



PISMA
JULIUSZA SŁOWACKIEGO

~~~~~  
TOM I.

P I S M A

JULIUSZA SŁOWACKIEGO

Z PRZEDMOWĄ

PIOTRA CHMIEŁOWSKIEGO

WARSZAWA.

DRUK TOW. S. ORGELBRANDA SYNÓW,  
*Krakowskie-Przedmieście Nr. 66.*

TOM I.

WARSZAWA.

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA.

1900.





25896

884-1 : 884 (091)

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.

Варшава, 3 Января 1900 года.

Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu  
nr inw.: K - 25896



BGZs 25896

## Juliusz Słowacki.

Żywioł fantazyi w literaturze naszej dawniejszej, przed wiekiem XIX-ym, przedstawiał się nadzwyczaj skromnie i w bardzo szczupłym zakresie. Nie znaleźmy wcale rycerskich romansów średniowiecznych, a lubo mieliśmy przekład bajecznych wypraw Aleksandra Wielkiego, gdzie walki ze smokami i wszelakimi dziwotworami były z lubością przedstawione, to przecież właśnie to samotne opowiadanie, bez pokrewnych sobie innych, bujnie na Zachodzie rozwiniętych, świadczy, że wielkiego zamiłowania w utworach fantastycznych nie znajdowano. Wszyscy znakomitsi poeci nasi trzymali się blisko ziemi, a w zmyśleniach swoich nie odznaczali się śmiałością wzlotu wyobraźni.

Dopiero ówczesne wypadki polityczne z jednej strony, a z drugiej wpływ literatury niemieckiej i angielskiej, rozbudziły i w naszych duszach silne i głębokie uczucie i przepojoną niem imaginacyę. Odrywać się zaczęliśmy od powszedniej, a przykrej lub wstrętnej nieraz rzeczywistości, pragnąc w „dziedzinie ułudy“ znaleźć to, czego nie dawała nam realna widownia ziemi. Zaludniły się najprzód widmami fantazyi ludowej ballady i sceny dramatyczne, a potem z coraz większą chyżością wznosiły się w krainę „cudów“ postaci wciąż eteryczniejsze.

Mickiewicz był plastykiem fantazyi, Słowacki niezrównanym kolorystą, który z pewną trudnością obrał się wśród stosunków czysto ziemskich, lecz zato

czuł się samowładnym panem wśród istot duchowych. Nikt u nas nie przewyższył go lotnością, giętkością, swobodą i barwnością wyobraźni; nikt cudowniej nie umiał malować tego, co się okiem zmysłowym dostrzedz nie daje. Dość zestawieć w myśli postać Switezianki, nakreśloną przez Mickiewicza, z Gopłaną Słowackiego, ażeby się o tem dowodnie przekonać.

Ta właściwość umysłu, nadmiarem eterycznej wyobraźni nacechowana, była darem natury, lecz wzmogła się i rozwieliła wskutek okoliczności wychowania, bardzo wczesnie i bardzo śpiesznie rozbudzającej ją do lotu.

## I.

Juliusz Słowacki, urodzony na Wołyniu, w Krzemieńcu, sławnym ze swego gimnazyum, 23 sierpnia 1809 roku, był synem osób, należących do sfery inteligentnej i starannie wykształconej, do sfery znacznie wyżej rozwiniętej, aniżeli np. rodzice Mickiewicza. Ojciec jego Euzebiusz, profesor literatury w gimnazyum krzemienieckim, posiadał sam dużo wyobraźni, ujętej, co prawda, w kluby ówczesnych przepisów poetyki klasycznej, był wytwornym tłumaczem „Henryady“ Woltera i wielu utworów poezji łacińskiej, znał może najlepiej z ówczesnych pisarzy naszą literaturę doby Zygmuntońskiej, sam wreszcie pisał tragedye, oczywiście w smaku wówczas panującym. Matka, Salomea z Januszewskich, tkliwa bardzo, albo mówiąc ściślej, „sentymentalna“ w znaczeniu, w jakim wtedy brano ten wyraz, to jest bez odzienia śmieszności, który dzisiaj do niego przyłgał, posiadała wykształcenie belletrystyczne w takim stopniu, w jakim średni ogół panien zazwyczaj go wtedy nie miał; czytając poezye i powieści, głównie po francusku, wyrobiła sobie smak estetyczny, który może dzisiaj wydałby się dziwnym, ale który w owych czasach nadał jej rozmowie powab bardzo wielki. Miała przytem zaletę, która i dzisiaj częstą nie jest, że wyszedłszy za mąż, nie zaniechała „talentów“, interesowała się nowościami literackimi, brała udział w ogólnym rozwoju

oświaty, zachowała wrażliwość na nowe prądy i kierunki.

Od najpierwszych zatem chwil dzieciństwa wchłaniał Słowacki nieświadomie te i drobne, niedostrzegalne dla zwykłej obserwacji wpływy, co w wątłym jego organizmie fizycznym miały nadać przewagę nerwom nad mięśniami. W parę lat po urodzeniu, przejechał wraz z rodzicami (r. 1811) do Wilna, gdzie ojciec jego otrzymał w uniwersytecie katedrę „wymowy i poezji“, którą przez sześć półroczy akademickich zajmował. Jeden z kolegów Euzebiusza, wymalował wówczas pierwszy portret Julka w postaci amorka. Niebawem też pierwszy głęboki smutek omroczył duszę 5-letniego dziecka, gdy ojciec go odumarkł (r. 1814), zostawiając dla niego zaginione pamiętniki i wiersz pełon smutnej melancholii, co miała przejść na syna:

Wędrownik, w życia drodze stargany mdłą siłą,  
Wkrótce rzucę, co miłe i co mi niemiłe.  
Bez trwogi, nie bez żalu, widzę kres zbliżony,  
Który nagle w nieznanie przeniesie mię strony.  
W tę uchronę spokojną, gdzie wieczność przebywa,  
I którą chmura, pełna tajemnic, okrywa.

Prawdopodobnie narazie nie odczytał tego wiersza Słowacki, ale później niejednokrotnie mu on na myśl przychodził, budząc zamglone wspomnienie ojca, zajętego pracą pomimo choroby.

Po zgonie ojca, wrócił Słowacki z matką do Krzemieńca, który teraz silniej oczywiście aniżeli przedtem miał się wyrzyć w jego pamięci, ze swoją rzeczka Ikwą, ze swemi górami: Zamkową i Czerczą, z lasami i łąkami. W późniejszej twórczości swojej nieraz wracał Juliusz do tych wspomnień dzieciństwa z głębokiem utęsknieniem. Zaczęły się wtedy pierwsze nauki, udzielane głównie przez matkę; francuzczyzna stała według obowiązującej mody na pierwszym planie.

Tak ubiegło cztery lata. W r. 1818 wyszła Salomea Słowacka powtórnie za mąż za Augusta Bécu, profesora higieny w uniwersytecie wileńskim, wdowca, mającego dwie córki, Hersylię i Aleksandrę, starsze od



Juliusza. Z tem nowem zameżciem łączył się oczywiście ponowny przejazd do Wilna. Dziewięcioletni chłopiec znalazł się pod wzmocnionym wpływem kobiecym, gdyż ojczym jego zupełnie się nie zajmował sprawą jego wychowania i wogóle mało się udzielał towarzystwu, jakie żona jego wkoło siebie zbierała.

Ten wpływ kobiecy odbił się wyraźnie na usposobieniu, pewnych rysach charakteru i przyzwyczajzeń Słowackiego. Najprzód uczynił go on bardzo bacznym na wygląd wewnętrzny.

Włos na czole dzielony na ramiona spadał  
I po nich czarnym, gęstym sypał się pierścieniem,  
Widać, że włos ten, co dnia, ręką dziewic gładką  
Utrefiony, brał blaski dziewczycych warkoczy...

I później dbał on zawsze zarówno o swe maniere; jak i o ubranie; był nawet w tej mierze i wybrednym i drażliwym. Ruchliwa jego wyobraźnia nie pozwalała mu nigdy cieszyć się chwilą obecną, lecz kazała wciąż wybiegać naprzód, w przyszłość, żyć rojeniami; stąd płynęło zmienne wielce usposobienie, skłonność do kaprysów i dziwactw. Nietylko dumnym był dumą „wielkiego człowieka,“ jakim się sobie bardzo wcześniej wystawiał, lecz i próżnym, pragnącym zwracać uwagę na siebie. W domu pp. Bécu bywał nieraz poważny i poważany powszechnie Jan Sniadecki, profesor astronomii, były rektor uniwersytetu. Słowackiego drażniło to, że ten uczony zupełnie nań nie zważał. „Przy tym człowieku — pisał Słowacki w wiele lat później — ja dziecko igrałem, jak przy wielkim posagu; ale ten lew brązowy zdawał się nie zważać na mnie, nie widzieć, nie czuć, że ja egzystuję na świecie; to też przekonany byłem, że jego siwe oczy nie widzą mnie, że jego ucho wyrazów moich nie słyszy, i nieraz wrzał we mnie gniew...“

Były niewątpliwie i strony dodatnie owego wpływu kobiecego, a mianowicie: dążenie ku wyżynom, pragnienie sławy, delikatność i subtelność w wypowiedaniu uczuć, czarem wyobraźni owianych.

W tym samym roku (1819), w którym Mickiewicz skończył uniwersytet i udawał się na posadę nauczyci-

ciela do Kowna, Słowacki wstępował do gimnazjum, gdzie miał przebyć lat sześć, zawsze należąc do liczby uczniów celujących. W ciągu tych nauk szkolnych, dwa zaszły ważne zdarzenia, mające wpłynąć na jego nastrój a po części i losy.

Pierwszem z nich było zawarcie ścisłego stosunku przyjaźni ze starszym od siebie Ludwikiem Spitznaglem, marzycielem, fantastą, nie umiejącym ująć swych rojeń w kształty określone, a piękne, lecz trującym się własnymi uczuciami, wzruszeniami i poglądami. Słowacki ślicznie opisał później swój z nim stosunek w „Godzinie myśli.“ Obaj żyli wyobraźnią więcej niż rzeczywistością, obaj uolbrzymiali swoje pragnienia i swoje cierpienia, a zamiłowanie do poezji przenikało ich do głębi. Świeżo wtedy ukazały się dwa pierwsze tomiki „Poezji“ Mickiewicza, pochłaniane przez młodzież, czytane niewątpliwie z zapamiętaniem przez obu marzących przyjaciół. Słowacki czuł już wówczas, że ma przed sobą „Krainę duchów do zdobycia,“ że „swoim marzeniom da kiedyś wyrazy,“ bo się umiał od ukochanych urojeń „odłamać zimniejszym rozumem.“ Już wtedy kreślił wiersze, które matka pokazywała Mickiewiczowi, bywającemu w jej domu, i posłyszała od niego przepowiednię o przyszłej sławie ucznia gimnazjalnego. Spitznagel zaś, lubo także pisywał, a nawet już wówczas drukował swe poezye, nigdy nie mógł oderwać rzeczywistości od marzeń, sprzęgał ze sobą razem „dwa niezgodne światy,“ „posągom jego myśli brakowało ciała,“ a dusza, jakby w kuli kryształowej zamknięta patrzyła na świat dzikiem obłąkaniem oczu, niezupełności wrażeń łamana katuszą. „I żył jak ranny, pogrążony w marzeniach, „a wiśnie i kwiaty ogrodu bezwonne przed nim rosły, bo myśl dalej biegła...“ Teorye magnetyczne, będące wówczas w modzie, chętnych znajdowały wyznawców w obu marzycielach, próbujących siły swojego wzroku wśród ciemnych tumanów kościoła, gdy „którą z kłęczących dzievic natrafiwszy losem, wołali na nią silnie niemym duszy głosem,“ a ona „twarz odwracała od Pańskiego stołu, jej wzrok w zadziwieniu, nieobłędnie rzucony, na twarz dzieci padał, jakgdyby na wołanie duszy odpowiadał.“ Od teoryj magnetycznych łatwe było



przejście do mistycyzmu, do rozczytywania się w piśmach (a przynajmniej ich streszczeniu) głośnego teozofa szwedzkiego z pierwszej połowy zeszłego stulecia, Swedenborga i do budowania na nich gmachu pojęć pełnego „głosów anielskich, szaleństwa i blasku.“ Marzyli o tej hierarchii duchów jasnych i ciemnych, co wedle mistyków wypełniają cały ogrom wszechświata; marzyli o wędrówce dusz po przez wieki cało przebierających się w kształty przeróżne, w duszo, nadające woń i barwę kwiatom, myśl ludziom, światłość aniołom; Niemali, że człowiek może silną myślą rozwinąć się w anioła, a ten anioł rozleje się zachwytem w światłość i „będzie częścią Boga na żywiołach tronie...“ Spitznagel, oddając się tym marzeniom więcej może aniżeli Słowacki, nurwany chorobą, zniechęany nieodwzajemnioną miłością, ukończywszy akademię języków wschodnich w Petersburgu, mając już wyjechać na Wschód, o którym dawniej marzył, zastrzelił się w Snowiu, w domu uwielbianej Zosi Rduftowskiej (r. 1827).

Zanim do tego przyszło, drugie zdarzenie, nagła śmierć ojczyrna od piorunu w r. 1824, musiało dotknąć boleśnie wrażliwego i ambitnego chłopca, zwłaszcza, gdy się w miłości rozeszła wieść, iż zgon nagły Augusta Bócu był widomą karą bożą. Nie z miłości dla ojczyrna, bo tej zapewne nie miał, ale ze względu na matkę, która nosiła nielubione odtąd nazwisko, przeboleć musiał Słowacki, mający wejść do szóstej klasy, ten okropny wypadek.

W r. 1825 wszedł do uniwersytetu na wydział prawny, i trzy lata poświęcał się niemylm sobie zresztą studyum, więcej trawiając czasu nad poozyami, niż nad kodeksem. Zaznajomił się już wówczas z utworami Byrona, najprzód w tłumaczeniach, a potem zrobiwszy bardzo szybko postępy w języku angielskim, także i w oryginalne. Była to chwila, kiedy w całej Europie liczono najwięcej bajronistów zarówno w twórczości poetyckiej, jak i w życiu. Zewnętrzna mianowicie strona bohaterów Byrona, wstręt do towarzystwa, ponurość malująca się na twarzy, zamknięcie się w sobie, udawanie obojętności i trawienie się wewnątrznie jakimiś gorzkimi wspomnieniami, będąc najłatwiejszą do naśladowania, najwięcej

też popłacała. I Słowacki uległ temu nastrojowi, zwłaszcza, że jego duma wybornie licowała z usposobieniem bajronicznym. Przedwczesna śmierć ojca, niezwykły zgon ojczyrna, często ponawiająca się a wielce dotkliwa choroba matki (podobno kamienie żółciowe), wszystko razem wyolbrzymione w wyobraźni, upoważniało niejako młodzieńca do przybrania pozy bajronicznej.

W dodatku przyłączyła się nieodwzajemniona miłość. Wzbudziła ją córka znakomitego fizyologa i chemika Jędrzeja Sniadeckiego, Ludwika, panna już dorosła, namiętnego i burzliwego temperamentu, czytana i wielce rozmowna. Lubiała ona Słowackiego i spotykając się z nim często już to na wsi w Jaszynach, już to w Wilnie, chętnie z nim się wdawała w poetyczne rozprawy, lecz uczucia jego nie traktowała poważnie, zwłaszcza gdy się zakochała sama we Włodzimierzu Korsakowie, synu gubernatora wojennego wileńskiego. Na wsi czuł się Juliusz swobodniejszym, zbliżał się więcej do ukochanej, w mieście musiał z nią być na stopie etykietałnej i zamiast swego imienia w jej ustach, słyszeć nieznośny wyraz: „pan“.

W ostatnich dniach pobytu w uniwersytecie (r. 1828) podczas egzaminów, nastąpiło ostatnie widzenie się Słowackiego z Ludwiką, mającą na całe lato wyjechać do Jaszun. „Dzień ten — pisał w 4 lata potem Słowacki — był dla mnie dniem piekielnym; zapewne w życiu drugiego takiego nie będzie. Przyszedłem o trzeciej po południu do Sniadeckich, zastałem ją razem z innymi osobami... Powiedziałem sobie, że na twarzy żadnego wżruszenia nie ukazuje. Pamiętam, jak dano lody; z filiżanką w ręku oboje staliśmy w oknie; wszyscy byli daleko. Milcząc, oboje patrzaliśmy na ulicę... potem kilka słów obojętnych... Chciała mi wmówić, że się zobaczymy. I już zajęchały powozy... pocałowałem ją lekko w rękę i powiedziałem: nie zobaczymy się nigdy może... Czuję, że zachwiałem się na nogach... Wkrótce odyskałem zmysły, rozsądek, dumę, i nie podałem jej nawet ręki, kiedy wsiadała do koczka. Konie ruszyły, wyszedłem na ulicę i patrzałem za odchodzącym powozem; widziałem jeszcze woal od jej kapelusza, potem powóz

się na chwilę zatrzymał, zapewne dla poprawienia uprzedź, i znów ruszył dalej... zniknął... i wszystko...“

Tegoż samego dnia doznał zawodu w uniwersytecie; zamiast nagrody, otrzymał tylko accessit... Połączono wrażenia silnie podziały na duszę młodzieńca, który tak streścić obraz jej w owym pamiętnym dniu czerwcowym: „Chodziłem długo, byłem aż pod Antokolem z rozszarzoną twarzą... A kiedy wróciłem do domu, zamknąłem się w pokoju i wtenczas płakałem; wtenczas przysiągłem, że do Wilna nigdy więcej nie wrócę. Lecz może dobrze, że to drugie nieszczęście uwagę moją nieco od pierwszego odwróciło... inaczej, możebym był nie został na świecie, ale myśl, że śmierć moją przypisywanoby zawiedzionej nadziei szkolnej, wstrzymała mnie.“

Po skończeniu uniwersytetu wyjechał Słowacki do Krzemieńca dokąd się matka jego przeniosła, zabawił tam pół roku, lecz się nie bawił. Przyczyną główną był stosunek z matką, którą kochał całym sercem, ale która go jeszcze wciąż trochę jak dziecko traktowała. Oto słowa samego Słowackiego: „Matka moja egzaltowana roiła sobie ciągle, że skoro ja skończę nauki, to ze mną na wojnę wyjedzie. Ta myśl jej była dla mnie niemiłą, bo, kochając się w Ludwisi, utworzyłem sobie charakter podobny do ciemnego charakteru bohaterów powieści Byrona; stąd myśląc o wojażu, myślałem o nim zawsze, jako o poetycznej pustyni, na którą sam jako poetyczna i ciemna osoba rzuconym będę. Wszystka zaś poetyczność zniknęła, skorom pomyślał, że mam podróżować z matką;—byłbym wtenczas jak dobrodusza osoba, odprowadzająca świętą pielgrzymkę; nie nadspodziewanego, nie dzikiego w mojem życiu... Matka wymagała ode mnie ciągłej otwartości i zwierzenia się... to być nie mogło. Wymagała tego ode mnie wtenczas, kiedy się właśnie uczyłem wszystko w sobie zamykać i lży pożerać w milczeniu; stąd ciągle jej skargi i nudzący mnie płacz;—wychowany między kobietami, pragnąłem jaknajprędzej z rąk ich się wyrwać, i być samotnym. Matkom trzeba by wmówić tę prawdziwą maksymę, że wszystko, co one starają dają swoim dzieciom,

dzieci nie im samym, ale swoim kiedyś dzieciom oddać powinny...“

Ażeby miłość Słowackiego stała się trwałą i wydała tak piękne świadectwo, jak jego „Listy do matki,“ potrzeba było oddalenia. Przyszło ono niabawem. Należało pomyśleć o sposobie utrzymania, bo jakkolwiek Juliusz miał po ojcu pewien fundusik, niepodobna przecież było nań liczyć wyłącznie. Na życzenie matki Słowacki, choć nie miał usposobienia do zawodu urzędniczego, zgodził się przecież pojechać do Warszawy i szukać miejsca w jakim biurze.

## II.

Zaopatrzony w listy polecające, wyjechał Juliusz 15 lutego 1829 roku z Krzemieńca i we dwa dni stanął w Warszawie. Zajechawszy do znajomego sobie jeszcze z Wilna zapalonego romantyka, Antoniego Edwarda Odyńca, zastał u niego Litwina Tadeusza Hrehorowicza, urzędnika w Komisji Skarbu; a ten zachęcił go do starania się o umieszczenie w tejże dykasteryi. Słowacki usłuchał i „z rozpaczą“ w duszy zasiadł przy zielonym stole, myśląc, że skazany będzie aż do śmierci przy nim pozostać. Naczelnik jego bezpośredni, Władysław Miniewski, sam trochę poeta-bajkopisarz, wyróżnił go zaraz; umieścił w oddziale sekretaryatu jeneralnego, „gdzie najbogatsza młodzież i krewni ministra Lubeckiego“ pracowali; okazywał wielką przychylność i dawał uczuć, że go uważa za najzdolniejszego; może go Słowacki zainteresował „cichym smutkiem, z jakim przez całe godziny milczący przy swojej pracy siedział.“

Melancholiczne usposobienie Słowackiego zwiększyło, jak sam przypuszczał, „okropna febra, która co dwa tygodnie coraz mocniejsza wracała.“ Po każdym paroksyzmie doznawał straszego gorąca, a „wtenczas leżąc twarzą na sofie,“ marzył o różnych poematach; „z rozpaczą“ chciał te ciężkie majaczenia odpędzić, lecz one wracały wciąż, a krew uderzająca do skroni coraz straszliwsze obudzała obrazy. Tak przebył całe lato 1829 roku; siedząc samotny, trawiony „piekielną gorączką,“ czasem wracał myślą na Litwę, czasem bawił się opo-



wiadaniem swego starego sługi, który niegdyś „podróżował z wojskowym panem po odległych krajach i nie z tych wozajów nie pamiętał oprócz błahych zdarzeń,“ z podróży po Węgrzech przypominał jeno sobie „olbrzymią kufę wina, która go niegdyś wielkością zadziwiała.“

Na jesieni dopiero wszedł w towarzystwa; bywał na rautach sobotnich u pani Teresy Kickiej i u pańswa Węgrzeckich. Wieczory u pierwszej nie podobały mu się, uważał je za nudne, nieożywione; „zwyczaj był—jak mówi— w Warszawie w towarzystwach wielkiego tonu, że się mężczyźni do dam młodych prawie nie zbliżali, albowiem to krótkie tylko odpowiedzi w rozmowie dawały i nigdy do niej chętnie należeć nie chciały.“ Inaczej u Węgrzeckich; tu trzy panny dały mu „zupełne wyobrażenie o warszawiankach: rodzice byli niczym w domu, one bawiły towarzystwo; jedna najładniejsza, na sawantkę wyglądała; średnia, najmniej ładna, była najlepsza; najmłodsza, ładniejsza od średniej, w tańcu rej wodziła, jako najweselsza.“ Pomimo jednak ożywienia panującego w tym domu, i w nim nie znajdował Słowacki przyjemności.

Widocznie, towarzystwo ludzkie oiężyło mu, wołał przebywać w „kraju imaginaoyi.“ Zabrał się też do pisania i prawie wszystkie powieści poetyckie oraz dwa dramata, słowem całą niemal zawartość pierwszych dwutomików, wydanych w parę lat potem, utworzył w przeciągu półtora roku za pobytu w Warszawie.

Z dawniejszych swoich utworów, pisanych w Wilnie (sonet do Ludwika Sniadeckiej, wiersz do Ludwika Szpitznagla, sonety, poemat w stylu wschodnim: Szanfary, zatracony dziś Nowy Rok) — nie był zadowolony; żadnego więc z nich do druku nie podał; na prośbę Odyńca, który wydawał noworocznik: „Melitelo,“ dostarczył świeżo wtedy napisaną powieść poetycką p. t. „Hugo,“ która się ukazała w drugim tomiku wydawnictwa na r. 1830. Pomysł tu bardzo mało prawdopodobny, przypominający, lecz niezręcznie, Grażynę zbierającą się w zbroję męża, nie dlatego, ażoby pójść walczyć, lecz by ponieść śmierć za ukochanego z ręki „sądu tajemnego“ (Vehmgericht), który Hugona, za porwanie Blanki

z klasztoru, potępił. W obrobieciu i stylu znać bardzo silny wpływ Mickiewicza, bez śladu jego plastyki; właściwości późniejszych Słowackiego zgoła tu jeszcze nie widać.

Pod koniec sierpnia 1830 roku, zachęcony przez jednego ze swych znajomych, wstawionego później agnoma i ekonomistę, Tomasza Potockiego, wybrał się Słowacki złożyć wizytę sędziwemu twórcy „Spiewów historycznych“, czei powszechniej używajacemu, Juljanowi Ursynowi Niemcewiczowi, mieszkającemu wówczas w pobliżu Warszawy, w wiosce przezwaney od jego przydomku Ursynowem. Przyniosła ona młodemu poecie dużo miłych wrażeń, z których się wypowiadał w liście do matki. Oto jego opis:

„Śliczny był ranek, trochę zimny; mgła lekka, jesienna pokrywała rozległe i piaszczyste równiny Mazowsza. Myśl, że jadę do starego poety, który wiek Stanisława Augusta z naszym wiekiem łączy, zajmowała mię bardzo. Nadto niepewny byłem, jakie mię tam spotka przyjęcie, bo Niemcewicz, przez kobiety popszuty, bardzo się zrobił kapryśnym. Nareszcie staneliśmy u celu podróży. Pojazd nasz zatrzymał się w alei, w której zdaleka widać już było dom poety; nie kazaliśmy jechać dalej, bo Niemcewicz stał przed gankiem... Zbliżyliśmy się pieszo, z sercem skruszonym; przywitał nas dosyć obojętnie; ułożyłem mu jakiś na przedce komplement, który przyjął z uśmiechem; zaczął rozmowę o Wilnie rabiącym tonem Jana Sniadeckiego. O źle! pomyślałem sobie;—na toż przyjechałem tutaj, żebym mu potakiwał?—Szczęściem, że rozmowa ta prędko się skończyła.

— Panie hrabio—rzekł do Potockiego—wszak znasz mój Ursynów, oprowadź pana Słowackiego po piękniejszych miejscach; ja się muszę tymczasem przebrać.

„To mówiąc, ukłonił się nam i wszedł do domu, a my poszliśmy chodząc po ogrodzie. Śliczny starego Ursynów, zarosły wielkimi drzewami, bardziej do dzikiego lasu, niż do ogrodu podobny; w wielu miejscach małe widać łąki, na których wybija pasze jedyna krowa Niemcewicza; z tej krowy, jak mi esm mówił, ma dwa złote na tydzień przychodu. Przyszliśmy wkrótce



do małej altanki z kory, na której wszyscy podróżni piszą wierszyki na pochwałę Niemcewicza; żadnego jednak napisu nie widać, bo je staruszek zdzierać kazał przez skromność. Usiadłem w altanie. Potocki stał nademną, a widząc, że jestem nadzwyczaj smutny i blady, spytał mnie o przyczynę.

„— Myśle—odpowiedziałem mu—iż szczęśliwy, kto może tak pisać jak Niemcewicz słodko i przyjemnie, bez trawienia się własnym ogniem; szczęśliwy, odpocznie na starość w tak cichym domku wtenczas, gdy na grobach młodszych od niego ludzi trawa porastać będzie.

„Wtem lokaj, przysłany od starego, zaprosił nas na śniadanie; właśnie trzeba było śniadania, żeby prze-rwać bieg marzeń. Usiedliśmy po obu bokach Niemcewicza i podano herbatę z pasztetem na zimno. Wymówiliśmy się od jedzenia i przestaliśmy na samej tylko rozmowie. Przy nogach Niemcewicza siedziały dwie małe córki dziewczynki. Są to córki jego kamerdynera, którym często pozwala swawolić z sobą. Jedna z nich przy gościach kilka razy mu mówiła: Pan jesteś tak głupi jak ja... A stary z uśmiechem przyjmował ten grzeczny komplement. Przy śniadaniu Potocki zaczął mnie prosić, żebym co przeczytał Niemcewiczowi. Staruszek oświadczył także chęć słyszenia moich robót, chociaż wprawdzie dosyć obojętnie. Kazał zdjąć herbatę, kazał się jednej dziewczynce w twarz pocałować, a zapytana od niego kto jesteś?—odpowiedziała: żona P a n o w a. Potem kazał im odejść i cicho się sprawować.

„Opatrzyłem się na przypadek, w trzeci akt tragedyi *M i n d o w e*; na wezwanie powtórne staruszka czytać zacząłem. Niemcewicz, słuchał z początku, siedząc bokiem odwrócony, gdy przyszło do drugiej sceny, w której *Mindowe* zrywa z krzyżakami, obrócił się nagle, czoło jego pomarszczyło się, widać było znacznie natężoną uwagę; patrzył mi w oczy, jakby chciał mnie całego przeniknąć; a oczy ma szare, przenikliwe i z wielkimi najeżonemi brwiami, jak oczy Jana Śniadeckiego. Przy końcu drugiej sceny wykrzyknął głośno:

— Ach, czemuż tej tragedyi grać nie można!

„Ten wykrzyknik bardziei mnie pochlebił, niż wszyst-

kie potem dawane pochwały. Czytałem dalej, słuchał cierpliwie; kiedy skończyłem, powiedział:

— Cieszę się, iż przed śmiercią widzę, że jeszcze zostanie w Polsce poeta, co ma tak wielki talent.

„Potem dodał:—Przepisz pan tę tragedję na kilka rąk; warto, niech czeka szczęśliwszych czasów; chciałbym ją całą czytać.

„Odtąd stary przypatrywał mi się z uwagą, a przy pożegnaniu powiedział mi jeszcze:

„— Cieszę się, iż poznałem tak zacnego młodzieńca.  
„Prawda, jak to po staropolsku?... Otóż cała wi-zyta“...

Nie przechował atoli tego serdecznego usposobienia względem Niemcewicza zbyt długo; wprawdzie jeszcze 3 sierpnia 1832 r. kiedy dowiedział się o podziękowaniu sędziwego „patryarchy poetów“ za przysłane sobie dwa tomiki poezyj, miał dla niego te same uczucia; lecz w rok jakoś potem, z niewyjaśnionych dotychczas powodów, szyderczo a boleśnie ucharakteryzował autora „Śpiewów historycznych,“ zowiąc go pogardliwie (w „Kordyianie“) „eunuchem dziewięciu Feba sultanie,“ a w jego całej działalności pisarskiej widział jeno mechaniczną a nudną robotę („Lachów dzieje, słownik rymowych końcówek, milion drukarskich czcionek, sennego maku trzy główki“). W powodach jakichś ogólniejszych niepodobna odszukać źródła tej niechęci; musimy ją niestety przypisać zadrągniętej czemś miłości własnej, jak to było nieraz później względem innych znakomych osobistości.

Narazie atoli wracał Słowacki do Warszawy w do-brem usposobieniu, zadowolony z wizyty u „starego.“

W przygotowujący się ruch polityczny nie był on wtajemniczony; był on dla niego, jak dla bardzo wielu, zupełną niespodzianką. Nastrojem, jaki następnie zapanował w Warszawie i kraju, Słowacki przejął się atoli łatwo i próbował wyśpiewać uczucia ogólne. Nie czuł się wszakże zrazu swobodnym na tem nowem dla siebie polu twórczości. Dotychczas zajmowały go wrażenia i wzruszenia osobiste, albo też w wyobraźni wy-tworzone; teraz miał odzwierciedlić ówczesne prądy. Poezja romantyczna nie wyrobiła jeszcze wówczas na to form nowych; utwory, w tym duchu pisane przez

Goszczyńskiego, znane były zaledwie najbliższym jego przyjaciółom, gdyż zostawały w rękopiśmie; w druku zaś chyba tylko ustępy niektóre z „Konrada Wallenroda“ mogły za wzór posłużyć. Ale Słowackiemu nie przyszło na myśl zużytkowanie wzoru tego; zwrócił się raczej do ód naszych klasyków, a mianowicie Ludwika Osińskiego, i w tym patetycznym a ogólnikowym tonie napisał dwa utwory. Z właściwą sobie elastycznością umysłu, prędko się wyzwolił z pęt klasycznej ody i w tonie żwawszym, nakreślił: „Kulig“.

Nagle przerywa się twórczość. Słowacki opuszcza Warszawę i kraj. Jaki był powód tego nader doniosłego w następstwa wypadku, na pewno nie wiemy; najprawdopodobniejszy domyśla jest, że ogłoszona przez Lelewela broszura po polsku i po francusku o procesie filaretów wileńskich, gdzie rola Augusta Bécu po raz pierwszy w druku przedstawiona została w bardzo ciemnych barwach, skłoniła Słowackiego, nie chcącego może się narażać na bolesne przytyki i gorsze nieprzyjemności, do wydalenia się na czas krótki, jak zapewne sądził naówczas. Zasilony funduszami przez matkę, w dniu 8 marca 1831 roku wyjechał z Warszawy — na zawsze. Odtąd już zaczyna się jego życie na obczyźnie w ciągu lat 19.

### III.

We Wrocławiu zatrzymały Słowackiego pewne trudności paszportowe; w Dreźnie liczne znajomości, zarówno dawniejsze (Odyniec), jak i nowo porobione. Dopiero w końcu lipca, mając sobie powierzony list do generała Grouchy, przebywającego w Londynie, puścił się z młodzieńczą fantazją i pewnem poczuciem ważności swojej „misji“ do Anglii i jechał szybko, nie szczędząc kosztów. Do Londynu przybył 3 sierpnia; jego „misja“ nie mogła mieć żadnego znaczenia; poeta pocieszał się tem, że zrobił, co było „w jego mocy“. Przebył tu miesiąc z górą, oglądając pamiątki, bawiąc się nieźle w towarzystwie, jakie znalazł w pensyonacie pani Gordon.

W dniu 9 września r. 1831 był już w Paryżu. Nie podobało mu się to miasto; nazywał je „prozaicznym,

szkaradnem“; malarstwo francuskie sprawiło na nim wrażenie nienaturalności i skrzywienia; w teatrze grano tragedye „szkaradnie“; publiczność nie miała gustu, bo światała na piękne kawałki; lubowała się jeno w wodewi-lach. Jeden z najmiłszych wieczorów przepędził na cmentarzu Pere la Chaise. „Nie nie widziałem piękniejszego w tym rodzaju — pisał do matki — za miastem wzgórze bardzo rozległe, którego pochyłość cała gęsto okryta grobami i zarosła cyprysami, przez które z trudnością przedrzeć się można; różne drogi krzyżują się w tym lesie; w cyprysach mnóstwo róż miesięcznych, białych, ale kwitnących wiecznie; czasem ognistym kwiatem błysnie geranium. Groby wszystkie podobne do siebie: najczęściej małe kolumny z marmuru białego; we środku, na górze, jest mała kaplica; stamtąd wzrok po murawie, z wierchołków cyprysiowych utworzonej, spada na dół, i zdala w dymie błękitnym pokazuje się cały Paryż ze swoimi gmachami; nad nim, gdy byłem, zachodziło słońce. Czarne wozy ciągle tam przez pryncypalną ulicę przejeżdżają; ale pogrzeby tu bardzo ciche; u nas tak żydów chowają. Dochodząc do cmentarza, pełno ogródków i sklepików, obwieszonych wiankami ze świeżych i artficyjalnych kwiatów. To charakteryzuje Francuzów: każdy za kilka groszy dobrze pokaże innym swoją boleść; a kiedy da kilkanaście, to kwiaty z płótna aż po roku trzeba będzie odnowić.“

Pod wpływem tych wrażeń, kiedy zwłaszcza pierwsza fala wychodźców nadszła, napisał Słowacki zwrotką Spenserowską, 9-wierszową, swój wiersz p. t. „Paryż“, nową Sodomą go zowiąc i przedowiadając mu kłeski, jakie spaść nań miały kiedyś od kul wrogów i z rozterki wewnątrznej.

Zostawał w Paryżu dlatego głównie, ażeby wydrukować swoje poezye. Miał ich, jak już wiemy, na dwa tomiki. Oddał je do drukarni panien Pinard, a jedna z nich, Kora, zakochała się w poecie, który lubił „kruszyć serca i patrzeć, jak się kruszą“. Ze strony Słowackiego nie było w rzeczywistości żadnego żywszego uczucia; lubił młodą panienkę, prowadził z nią długie rozmowy, a że potrafił, gdy chciał, być bardzo przyjemnym, zawrócił głowę biedaczce, która zamyślała czasami o samobójstwie, kiedy



Słowacki naumyślnie, dla wypróbowania jej serca, udawał obojętnego. Tragicznie jednak nie skończyła; wyszła potem za jakiegoś mieszczucha.

Druk tymczasem posuwał się naprzód w ciągu roku 1832, a poeta nasz, lubiący robić pochlebne dla siebie zestawienia, dowiedziawszy się o śmierci Goethego, pomyślał sobie: „Bóg go wziął z tego świata, aby dla mnie, wydającego poezję, miejsce zrobił na świecie“... Omylił się na razie w swoich marzeniach. Po wyjściu dwu tomików „Poezyi“ jego z druku, cicho było o nich w prasie polskiej w Paryżu; polityka zajmowała wszystkich, a na wiersze, nie mająco żadnego z nią związku, nie zwracano zgoła uwagi. W kraju mało komu tomiki te były znane; „Gazeta Warszawska“ przedrukowała z nich powieść poetycką „Zmiję“; a co do oceny, pisma owoczesne krajowe poprzestały na przetłómaczeniu artykułu, pomieszczonego w gazecie niemieckiej, wychodzącej wtedy w Petersburgu, artykułu zestawiającego najwznie trzy nazwiska: Mickiewicza, Odyńca i Słowackiego. W „Tygodniku petersburskim“, wydawanym przez Przecławskiego, ukazała się z tego powodu rozprawka Jana Sowińskiego, autora książki o „Uczonych Polkach“, prostująca sądy niemieckiego autora i podająca wiadomości dokładniejsze o owoczesnej poezji naszej. W rozprawce tej także się mieści zdanie o Słowackim w zestawieniu z innymi poetami: „Poezje Słowackiego we dwóch tomach wydane w Paryżu, noszą piętno *poprawnego smaku* i wygładzenia. Lecz o ileż ci dwaj poeci (t. j. Słowacki i Odyńca) są niższymi od Antoniego Malczewskiego, Bohdana Zaleskiego, Józefa Korzeniowskiego i Karola Sienkiewicza.“ Jeżeli poeta nasz czytał to zdanie, powtórzone także w Warszawie w „Tygodniku polskim“ (r. 1833, t. I, 50), to boleśnie musiał być zraniony zestawieniem siebie i z Odyńcem, i z Karolem Sienkiewiczem. Nie dziwimy się też jego rozżaleniu, gdy później w przedmowie do trzeciego tomiku napisał z goryczą te słowa: „Niezachęcony pochwałami, niezabity dotąd krytyką, rzucam tom trzeci w tę *otchłań milczącą*, która pierwszą polknęła. Minał ów czas błogi, chociaż mało korzystny dla literatury naszej, kiedy umieszczona w „Dzienniku Warszawskim“ oda, дума lub ballada na-

dawała imię poety. Trzydziestu prenumeratorów Dziennika (albowiem tytuł ich było) rzucało nazwisko nowe na woskowane posadzki salonów, i romantyczny poeta brał chrzest, znajome nadający imię. Nadto pisma czasowe dzienne, zamglonymi niemieczyzną okresami, rzuciły z paszcz sfinansowych zagadkę sławy autorskiej; szczęśliwy, kto ją zrozumiał; szczęśliwszy, kto w pokorze ducha niezrozumianej wierzył. Dziś dziennikarze, owi twórcy literackich królów, *milczą*.“

Późniejsi lepiej oconili poetę, przyznając mu przede wszystkim bogatą a barwną wyobraźnię, język i styl precudny. Całości pięknej w całym znaczeniu tego wyrazu, oprócz drobnych wierszy, nie było jeszcze ani w dwu pierwszych, ani w trzecim tomiku. Tonem panującym tu wszędzie był bajronizm, niekiedy do krańcowości posunięty, przenikający też nawskroś opowiadanie autobiograficzne, p. t. „Godzina myśli“. Mroczne, posępne, nienawistną ludzi, zemstą dyszące charaktery, chorobliwie uolbrzymiające własne cierpienia i nieszczęścia; sceny gwałtówne, choć niezawsze należycie upowodowane; prowadzenie opowiadania lub akcji umyślnie zgmtawane, ażeby obudzić ciekawość w czytelniku — to są ogólne cechy sześciu powieści poetyckich, tu pomieszczonych (Hugo, Arab, Mnich, Jan Bielecki, Zmija, Lambro), jak i dwu dramatów (Mindowe, Marya Stuart). Atoli, lubo jako całość zadowolić nie mogą wymagań estetycznych, wszędzie prawie (prócz Hugona) znać było mistrzowskie władanie dykcją, a nieraz przesłizne dialogowanie. Oprócz tego, dwa dramaty Słowackiego wprowadziły u nas pierwszy raz w druku reformę w układzie utworów dramatycznych, usuwając stanowczo wymagane przez poetykę klasyczną zachowanie jedności miejsca i czasu. Wprawdzie już Józef Korzeniowski w swojej „Pięknej kobiecie“, napisanej w r. 1829, zerwał również te więzy, idąc w ślady Szekspira, lecz ponieważ dramatu swego nie drukował zaraz, nie może być więc uważany za inicjatora reformy, która odbyła się u nas, jak widzimy, po cichu, bez walki, inaczej niż wo Francji. Z pomiędzy powieści poetyckich ogół wyróżnił „Jana Bieleckiego“, zapewne dlatego, że treść wzięta była Poezje Słowackiego. — Tom I.



z dziejów narodowych i że charaktery oraz sceny najbardziej jeszcze ze wszystkich przypadają do naszego usposobienia. Dla poetów i estetyków więcej karmi fantazyjnej i myślowej znajdowało się w „Arabie“ i „Lambrzo. Z dwu zaś dramatów, „Marya Stuart“ była słuszniej uznana za wyższą od „Mindowy“, a w dalszych dziejach naszego teatru okazało się, iż ona też była jedną z najbardziej scenicznych sztuk Słowackiego, zajmując publiczność i dając pole do popisu aktorom, a zwłaszcza aktorce w roli tytułowej.

Z pomiędzy dość licznych stosunków, zawartych w Paryżu z Francuzami i ziomkami, zajmuje nas najbardziej stosunek do Mickiewicza, którego poznał, jak wiemy, jeszcze w dzieciństwie i którego przez lat wiele był wielbicielem i naśladowcą. Urażona ambicja stała się przyczyną, jak się zdaje, ochłodzenia tego zapалу. Mianowicie w r. 1829 posłał nasz początkujący wtedy poeta parę próbek talentu swego do oceny Mickiewiczowi, przebywającemu w Petersburgu. Przesyłka ta przybyła za późno; Mickiewicz już wyjechał w podróż, a przyjaciel jego Malowski wtedy dopiero wyprawił mu te próbki, kiedy miał już jego pewny adres w Rzymie; komunikując je, dodawał drwiąco, że pereł uryańskich tam nie znajdzie. Czy Mickiewicz odczytał owe poezye, nie wiemy, ale wśród gwaru życia towarzyskiego, jakie w zimie r. 1830 prowadził, zapomniał Słowackiemu odpisać, może zresztą nie wiedząc, dokąd, po upływie bardzo długiego czasu od chwili wysłania wierszy z Warszawy, odpowiedź swą skierować. Drażliwość Słowackiego kazała mu uważać brak odpisu za dowód lekceważenia; a ponieważ talent jego wzmagał się, a duma potęgowała, więc gdy Mickiewicz w końcu lipca r. 1832 zawitał do Paryża, nie myślał bynajmniej składać mu wizyty. Pisał wtedy do matki: „nie pójdę pierwszy do nicgo; jeżeli się zechce poznać ze mną, to dobrze...“ Zeszli się na uczcie, wyprawionej 7 sierpnia na cześć generała Dwernickiego. „Po obiedzie—denosił Słowacki tegoż samego dnia matce—kiedy chodziło towarzystwo po ogrodzie, Mickiewicz przystąpił do mnie i zaczęliśmy sobie nawzajem mówić komplementa. Mówił mi, że mnie znał dzieckiem... Przypominałem mu ową jego wizytę u nas,

gdy się zszedł tak nieszczęśliwie z Janem Śniadeckim. Śmiał się z przypomnienia, potem przypomniał mi, że mu Malewski moje wiersze za granicę przysłał. Kiedyśmy zabrnęli w komplementa, kiedy mu mówiłem, że go uważam za pierwszego poe... jeden z Polaków, stojący za mną i podchmielony zapewne, powtarzał jak echo: nadto jesteś skromny—i temi słowami pomieszał zupełnie naszą rozmowę...“ Nie zbliżyli się też do siebie i potem, lubo spotykali się nieraz, mianowicie na posiedzeniach Towarzystwa, w którym Mickiewicz objął przewodnictwo oddziału historyczno-politycznego, Słowacki zaś był sekretarzem. Zdanie Mickiewicza o poezjach Juliusza, iż to gmach piękną architekturą stawiany, ale w nim Boga niema, — nie mogło oczywiście spowodować serdeczniejszego między nimi stosunku.

W końcu listopada wyszła III-a część „Dziadów“, gdzie tak samo jak w broszurze Lelewela, August Bécu pod nazwą „Doktora“ napiętnowany został straszliwie. Słowacki, odczytawszy utwór, nie tylko był rozżalony, ale wprost oburzony na Mickiewicza i zamierzał wyzwać go na pojedynek; tylko rada starszego wiekiem i doświadczeniem przyjaciela, Michała Roli-Skibińskiego (któremu „Arab“ i „Mnich“ byli poświęceni) odwiódła go od tego kroku. Czując jednak, że w jednym mieście razem z autorem „Dziadów“ żyć nie może, — („nienawidzę go!“—pisał jeszcze w rok potem), postanowił opuścić Paryż i starać się okryć matkę swoją „promieniem takiej sławy, aby inne ludzi pociski dojsz jej nie mogły.“ I wyjechał do Genewy 26 grudnia 1832 roku.

## IV.

Trzyletni z górą pobyt w Szwajcaryi należał do najszcześniejszych stosunkowo chwil w życiu naszego poety. Uroczą naturą górzyskiego kraju, orzeźwiającej, czyste powietrze, spokój zacisznego miasta, a raczej willi pod miastem (Pâquis), uwolnienie się od gwarów i swarów paryskich, towarzystwo miłe, ujmujące, miłoś Eglantyny Pattey, córki pani, utrzymującej pensjonat, w którym zamieszkał Słowacki, miłość serdeczna, wytrwała,

troszcząca się o wygody ukochanego, dzielająca jego radości i smutki, przyjaźń, albo przychylność innych osób: wszystko to razem wzięte, dobroczynnie, kojąco oddziaływało na duszę szlachetną i dobrą, lecz mrokiem melancholii bajronicznej osłonięta, dumną, wymagającą.

Nic zrzucił wprawdzie poeta i w tym czasie smętku i tęsknoty z serca, drapował się w pozy poetyczne jak dawniej, ale bywał wesołym po dziecinnemu częściej niż dawniej, puszczał się w tany, uczył panny genewskie mazura, jak go tańczono na Wołyniu, swobodniej nieraz wdawał się w gawędy, a listy wtedy do matki pisane są może najładniejsze ze wszystkich.

Ażebym nabrać pewnego wyobrażenia o tym nowym trybie życia, dość będzie odczytać jeden z listów pisanego niebawem po przybyciu do Genewy: „Co do mojego teraźniejszego położenia — pisał Słowacki w lutym 1833 roku—bardzo sobie miłe życie prowadzę. Mieszkam na wsi, u ludzi, którzy kazali mi mamie napisać, że mnie bardzo kochają i starają się to samo dla mnie uczynić, co chcą, aby dla ich oddalonego syna czyniono. Stara dama, pani Pattey, ciągle mnie się pyta o moje chęci, gusta, wszystkim chce dogodzić, nad zdrowiem mojem czuwa, słowem, mogę was zaręczyć, że bardzo godna i uczciwa osoba. Jej córka, panna Eglantyna, która już ma lat około 30, bardzo mnie także lubi, stara się mnie bawić, w kilku domach mnie zapoznała, a w domach tych przyjmują mnie ze znaczną atencją i rozróżniają od innych. Winien jestem panie Eglantynie, że wprowadzony zostałem na Kasyna i bywam na nich często dosyć. Kasyna tutejsze są bardzo świetne. Szwajcarki, ładne blondynki, jak śnieg białe, miesza się w kołach walca z zamysłonemi Angielkami, których tu jest najwięcej. Tańczą zaś tu tylko kontredanse, walce i galopady... Zaproszony byłem także na kilka balów, przez nieznanome dawanych osoby,—dziwny to weale zwyczaj. Byłem na jednym z nich i z trudnością wyszedłem przeczućciem prawie gospodynię, której się trzeba było uklonąć. Na takich balach tańczą mazura i to mi największa sprawa przyjemność. Najprzyjemniejsza jednak część dnia dla mnie jest ta, którą przepędzam w domu. Jestem zupełnie na wsi. Z rana po śniadaniu wychodzę z panną

Eglantyną do ogrodu. Czas tak mamy śliczny, że dzisiaj, chodząc w surducie, spotniałem. Ogród zawsze zielony, pełny sosen i jodeł, niebo błękitne, a na horyzoncie wysoko wznosi się Mont-blanc śnieżny, lekko jak chmura skreślony, czasem wiankiem białej chmury okryty. Chodząc tak z rana, często panie Eglantynie opowiadam różne przypadki mojego życia, zaczynając od lat 4 wieku, i zbieramy fiołki, które już się pokazują... Kilka dni temu pani Pattey umyślnie dla mnie dała wieczór i kilku Polaków zaprosiła, i kilka dam było ładnych. Bawiłem towarzystwo, jak mogłem, nauczyłem mazura, z trudnością przypominałem sobie z dziesiątek figur i bardzo były panny kontente. Potem ustawiłem wszystkie do angiela i znów im różne nasze figle pokazywałem. Kręciłem wszystkich w długiego gasiora, i tak się rozhasałem, żem im wszystkie tańce pokazywał, aż do kozaka...“

Nie byłby jednak Słowacki bajronista, gdyby ustępu tego nie zakończył minorowo. Zaraz bezpośrednio po „kozaku,“ pisze: „W głębi duszy jednak czułem nadzwyczajny smutek: wspomnienia tłumem cisnęły się do głowy, i napełniały *puszte serce*.“

Nie całe jednak dni spędzał w domu wyłącznie, kilka godzin trawił codziennie w czytelni publicznej, dobrze zaopatrzonej w pisma peryodyczne. Wiedział więc „doskonale,“ co się działo w Europie. Ale nie tylko gazety go pociągały: czytywał różne dzieła, a w pewnym przeciągu czasu najwięcej filozoficznych. Grywał też na fortepianie i to bardzo często, ale „tylko fantazyje i słyszano aryjki z oper.“

Pisanicm zajął się dopiero na jesień, która w ogóle stała się dla niego porą twórczości poetyckiej. Szczególniej piękna była jesień szwajcarska w r. 1833. „Dotąd—pisał Słowacki w końcu października—czas najpiękniejszy; słońce, świecąc na wpół pożółkłych drzewach, zdaje się być bardziej złociste, i piękne; murawy nie tak jak u nas spalone i bez życia; murawy tu dotąd zachowały wiosenną, szmaragdową barwę. Kilka dni temu o południu pływałem czółnem po jeziorze. Wystawic sobie jezioro czyste i równe jak zwierciadło, tak równe, że kiedy po niem zdaleka przepłynął parowy statek, w kwadrans potem widziałem zbliżający się fald



czarny rozbity kołem parnego statku wody: fałd ten posuwał się zwolna, wspaniale i czólnem mojem lekko zakolysał, przeszedł, popłynął dalej, a czółno znów stało nieruchome na zwierciadle wody. Wystawcie sobie po dwóch stronach jeziora brzegi zielone, nad brzegami w oddaleniu topole, pożółkłym liściem okryte, jak złote kolumny, wiele drzew zielonych, wiele białych domków i pałaców, a za tym brzegiem Mont-blanc biały, podobny do snycerskiego posągu sybirskiej krajiny. Wśród takiej natury trzeba być smutnym, albo trzeba się kochać... Na mnie Bóg rzucił jakieś przekleństwo; na mojej drodze stawia mi lalki, zabawkę; serce moje żyje okruszynami uczuć... i w moich uczuciach nie niema wielkiego, oprócz tej jakiejś nieskończonej niespokojności, bez rysów prawie, a którą jednak widzę wszystkimi zmysłami...

Przez dwa miesiące tej pięknej jesieni (październik i listopad) żył Słowacki przeważnie w „krajnie imaginacji“ i napisał poemat dramatyczny, który miał być jakby odpowiedzią poetycką na III-ą część „Dziadów“ i okryć matkę Juliusza „promieniami sławy“, odbijającymi wszelkie pociski. Był to „Kordyan“, drukowany beziemiennie w r. 1835. Słowacki zamierzył utworzyć, na wzór starogreckich dramatyków, wielką trylogię, to jest utwór z trzech osobnych dramatów złożony, ale tak, żeby jedna postać przynajmniej była im wspólna. Nie wykonał tego planu, dał tylko wstęp czyli „Przygotowanie“. Utwór ten świadczy o wielkim talencie dramatycznym Słowackiego; są w nim sceny, mogące wytrzymać porównanie z najsławniejszymi i najznakomitszymi ustępami w tragediach Szekspira i Schillera. Całość atoli nie stanowi jeszcze dobrego dramatu, dwa bowiem pierwsze akty są raczej dyalogowem opowiadaniem, aniżeli rozwinięciem, a choćby tylko przygotowaniem akcji; są one oczywiście potrzebne, bo dają nam poznać miotany sprzecznościami i wątpliwościami umysł bohatera. Siściśle biorąc, sam akt trzeci stanowi zamkniętą w sobie całość i należy do najsławniejszych, jakie Słowacki kiedykolwiek napisał w znaczeniu czysto-dramatycznym; potrafił w nim skupić, ześrodkować na chwilę wszystkie potęgi swego ducha.

W listopadzie zaznajomił się Słowacki z zamożnym domem Wodzińskich, których córka Marya miała z czasem odegrać ważną rolę w życiu poety. Zrazu nie podobala mu się zgola („bardzo brzydka“), podziwiał tylko jej grę na fortepianie. Długo też nie bywał tam wcale. Dopiero wspólna wycieczka w góry, latem r. 1834 odbyta, zbliżyła go nieco do tej rodziny i pewnym urorkiem poetyczności ooczyła „nieładną“ tym razem pannę Maryę. Z wycieczki tej zdał poeta matce sprawozdanie, wybornie malujące nam jego wrażenia i usposobienie. Nie tyle sama strona zewnętrzna widoków, ile wiążące się z nimi uczucia i nastroje, upamiętniały się w duszy Słowackiego.

„Zmiana ciągła miejsc — pisał — sprawiała to często, że w nich upatrywałem różne z rodzinnymi miejscami podobieństwa. Nigdy tyle cieniów przeszłości nie stanęło przede mną. Różne twarze znajomych i umarłych stawały po drogach i przeprowadzały mnie jak wierne przyjaciół; różne zapomniane piosnki cisnęły się do ust moich! Było mi smutno i miło... Towarzystwo nasze składało się z 9 osób: pani Wodzińska, dwie jej córki, panna Maryanna, młoda, ale nieładna, dosyć jednak miła i mnóstwo mająca talentów, druga córka jeszcze dziecko. Przy pannach była guwernantka, panna Malet, trochę podtatusiała i ciągle zajmująca się botaniką. Trzech synów pani Wodzińskiej, jeszcze jeden młody Żmudzin i ja. Towarzystwo to nie było tak przyjemne, jakbym ja żądał, ale też nie było nieznośne; owszem różnica charakterów podróżujących osób dobrą razem tworzyła harmonią... Rano 31 lipca statek parowy ruszył z nami, rzucając na miasto kłęby czarnego dymu. Widziałem przemijając jeziora brzegi, pożegnałem oczyma Pâquis i Pâquis zniknęło. Koleją wysuwały się z jeziora: Coppet, gdzie pani Staël mieszkała, potem Lausanne, za Lausanną Vevay, z drugiej zaś strony skały Meilleries, sławno skały, skąd kochanok Heloizy [w powieści Roussa] najpiękniejsze listy pisał. Przepłynęliśmy koło sławnego zamku Chillon i nakoniec wylądowaliśmy w końcu jeziora Villeneuve. Tam najęty powóz zawiózł nas do Bex, miasteczka sławnego solną fabryką i minami (kopalniami). Nazajutrz zwiedziliśmy



miny solne; pót mili prawie szliśmy podziemnymi drogami, niosąc w rękach lampy żelazne. Było w tej podziemnej podróży prawdziwie coś uderzającego imaginacyję... zwłaszcza prochem rozsadzane skały... Trzeciego dnia wędrowaliśmy do klasztoru ś. Bernarda. Wszyscy mężczyźni szliśmy pieszo dzień cały drogą, przez Napoleona wykutą. Z obu stron ogromne góry, rzeka płynie przepaścią pod nogami, chaty nędzne, ludzie ubodzy. O wschodzie słońca spotkaliśmy w górach pogrzb ubożego człowieka. Kilkoro ludzi w łachmanach i ksiądz stanowili cały orszak, a śpiew pogrzebowy nie mógł przewyższyć szumu potoków... O godzinie 5 wieczorem wjechałem na mule w krainę śniegów, potem między skałami w ciemnem i mglistem powietrzu ukazał się klasztor. Ksiądz gwardyan w czarnym habicie stał na ganku... pies ogromny leżał na dziedzińcu, jak z marmuru wykuty; za klasztorem błyszczało oprawione w skalistym brzegu czarne, ołowianego koloru jezioro. Klasztor ten, gdyby nie był przez mnichów zamieszkaany, byłby prawdziwie zachwycającym. Niestety, ludzie nie odpowiadają często wielkości powołania. Ksiądz gwardyan, świecki i światowy, uśmiecha się do dam, a ujęcie jego nieźleby się wydawało nawet na dworze Ludwika XIV. Refektarz wygląda jak salon światowy, a siedzące towarzystwo około kominka śmiechem i żartobliwą rozmową odstrasza wszelką myśl wzniosłą i smutną. Stamtąd weszliśmy znowu w uśmiechającą się krainę wiosny. Po dwóch dniach podróży stanęliśmy u stóp góry Ghomi. Trzy godziny na nią jechać trzeba na mułach, a tak jest storzcąca, że nie do góry, ale do muru gładkiego podobna. Droga w zygzak wykuta ciągle wisi nad przepaścią... Na zielonej równinie pod tą górą leży wieszczko sławne wodami, Louèche. Zadne opisy nie odmalują wam zieloności szmaragdowej, którą widać w dolinie, tych domów białych, które po niej są rozsypane, tej góry żółtego koloru, tych gazowych chmur, które się wieszają po jej szczytach. A ja to wszystko widziałem!... I znów po trzech godzinach drogi stąpaliśmy po gołych skałach, gdzieś niegdzie śniegami pokrytych... i znów nic nie widać było, tylko skały, śnieg, czarne jezioro i niebo. Po zejściu z tej góry, na drugiej stronie, znaleźliśmy jeszcze piękniejszą

okolicę, jeszcze piękniejsze drzewa i kwiaty i kaskady srebrne z gór spadające i prześliczne szalety... Po trudach pieszej podróży przyjemnie nam było się do łódki i przepływać jeziora Thun, Brienz, do sławnej kaskady Giessbach... Po odwiedzeniu kaskady, damy nasze, zmęczone i przerażone podróżą po przepaścistych górach, rzuciły nas i pojechały inną drogą do Luzern; my zaś chłopcy, trochę smutni z rozłączenia się, trochę weseli z odzyskanej wolności, poszliśmy pieszo przez góry. Tu dopiero wojaż nasz zachwycającami nas zaczął karmić dolinami... W Lauterbrun spada ze skał wysoka na 800 stóp kaskada Staubach; woda jej nigdzie się prawie nie odbija, ale przez sam lot z takiej wysokości, zamienia się na wstęgę mgły białej i leci na dolinę. Góra Jungfrau, śniegiem pokryta, stoi jak olbrzym biały... Druga dolina, Grindelwald, jeszcze piękniejsza, bo do niej wpływają dwie rzeki lodów. Lody te aż do jej głębi dochodzą i promienna ich białości ślicznie odbija wpośród muraw, drzew i kwiatów... Nigdy mi się nie podobnego nie śniło. Tam widziałem z gór spadające awalansze. Huk podobny do piorunu rozlega się po dolinie, ile razy bryła śniegu oderwie się z czoła gór... Weszliśmy na Faulhorn, gdzie jeszcze mało było podróżnych. Oberza na tej górze jest najwyższem mieszkaniem w Europie. Wojażerowie, chcąc patrzeć na okolicę, muszą wychodzić z domu koldrami okryci. Mróz nam dopiekał... ale też jaki widok! O zachodzie słońca mgły nas obwiała i staaliśmy na szczycie góry, jak na pokładzie płynącego do nieba okrętu. Słońce czerwone było od nas niżej na niebie, a jeszcze miało drogę do przebycia, nim zaszło. Za nami z mgły wychodził ogromny szereg gór śniegowych, niktby w godzinę nie zliczył ich szczytów, a wszystkie były czerwone od słońca, ogniste. Nocowaliśmy w oberży i zrana widzieliśmy wschód słońca, czysty, żadnej mgły, przepaście, błyszczące jeziora, cała Szwajcarya pod nami, widna, jasna, a jaka cichość!... Ja, patrząc o wschodzie słońca, mimowolnie płakałem, nie wiem dlaczego, ale mi żal było ludzi... Nakoniec, po 9-dniowej podróży, przybyliśmy do Luzern, gdzie na nas nasze damy od 7 dni czekały, a przybyliśmy tam przez najpiękniejsze jezioro Czterech Kantonów. Byłem w ka-

plicy Wilhelma Tella; łódka nasza zatrzymała się na skale, z której bohater wyskoczył, Gesslera na jezioro odepchnawszy... Wreszcie przez Bern wróciłem do domu. Zostałem dom pełny cudzoziemców, i może to z tej przyczyny wojaż zostawił mi jakiś ponury smutek i tęsknotę... bo z ciszy gór wszedłem nagle w gwar ludzi, gwar zimny, nie bawiący, nie dowcipny, nie rozumny. ale ów zwyczajny gwar świata — rozmowa ludzi, którzy się na chwilę poznają, aby się znów rozłączyć i zapomnieć o sobie...“

Po powrocie z wycieczki bywał Słowacki zapraszany przez panią Wodzińską, uczestniczył w wydawanych przez nią wieczorkach, ale ponieważ jesień nagliła go do pisania, więc się jeszcze nie bardzo zaprzętał myślą o Maryi. Napisał w tym czasie „Mazepę“, ale podobno spalił niebawem tę tragedję; dopiero później obrobił ją nanowo. W tym również czasie nakreślił „Balladynę“, uważając ją sam za „najlepszą“ ze wszystkiego, co do owego czasu utworzył; cieszyło go, że w niej odnalazł „nowy kraj poetyczny, niekńknięty ludzką stopą; kraj obszerniejszy niż ta biedna ziemia, bo idealny“. Rozczytywał się w Szekspirze i w Dantem, którzy się stali jego „kochankami“, odkrywał w nich coraz to nowe piękności. „Jaki ja byłbym szczęśliwy — pisał wtedy do matki — gdybym mógł z tymi dwoma umarłymi usiąść pod jaką lipą albo dębem, przed moją własną chatą, w mojej rodzinnej ziemi, i marzyć, i pisać marzenia, i gwarzyć z tobą, kochana mamo, i opowiadać ci z zapałem plany moje poetyczne... Tu jestem tak samotny, że nikt nie słucha moich marzeń“. Sam dopatrywał się „rodzinnego podobieństwa“ „Balladyny“ z „Królem Learem“ Szekspira, z powodu matki i niewdzięcznej, okrutnej córki, a nie wspominał zupełnie o „Śnie nocy letniej“, co mu podała pomysł do strony fantastycznej utworu, pomysł, co prawda, świetnie rozwinięty, lotniejszy i eteryczniejszy, niż u angielskiego twórcy. W „Balladynie“, nie będącej „najlepszym“ dramatem Słowackiego, ale najbardziej znamionnym, odbił się najdokładniej jego talent marzycielski, melancholijny, w świecie wyobraźni czujący się najbezpieczniejszym. Wszystko, co się tyczy stosunków czysto ziemskich, realnych,

nie ma tu doskonałego wyrazu, jest w części przynajmniej wzięte z innych dramatyków, głównie z Szekspira; przeciwnie w krainie fantastycznej, w otoczeniu Goplany, choć nawet pierwszy zarys pomysłu zaczerpnął skądinąd, czuje się Słowacki swobodnym i rozwija swój niedościgły lot poetycki tak subtelnie, z takim przejęciem zapuszczając się w duszę istot okiem nigdy niedostrzeżonych, że gotowiliśmy uwierzyć w ich prawdziwość.

Takie i tym podobne pomysły (np. zatracony drammat: „Wallas“) zapełniały fantazję Słowackiego w jesieni r. 1834; czytał też utwory współczesnej belletrystyki, powieści Balzaca, George Sanda, którą bardzo wysoko cenił, zalecając matce szczególnie „Indyanę“ i „Lolę“.

Dopiero w zimie i na wiosnę roku następnego częstym stał się u Wodzińskich gościem, zwłaszcza gdy za jego poradą, przeprowadzili się z dawniejszego mieszkania do willi w Páquis. Rozmowy prowadzone z Maryą, wiersz wpisany do jej sztambucha, zabawki w stokrotkę, pocałunek złożony na warkoczu panny — oto ważniejsze zdarzenia w tej sielance, w której więcej, zdaje się, wyobraźnia, niż serce, brały udziału. Słowacki był przekonany, że Marya w nim się kochała, „krótko, ale mocno, jak nasze panienki umieją“, a to przekonanie najzupełniej pocie wystarczało.

Narazie nawet nie wpływało to nowe uczucie na wybór tematów do poezji, bo na wiosnę r. 1835 Słowacki był zajęty tragedją „Horsztyński“, którego pomysł w żadnym nie zostawał związku ze stosunkami jego ówczesnymi. Dopatrzeć się w nim raczej można jakiegoś dalekiego echa stosunku do ojczyma, Augusta Bécu, i matki. Wybór imienia Salomei dla kobiety, w dramacie idealizowanej, pielęgnującej czule niewidomego męża, starającej się wyrugować z serca miłość dla Szczęsnego, do pewnego stopnia można uważać za potwierdzenie naszego domysłu. Motyw dramatu jest w istocie jeden z najtragiczniejszych, jaki pomysłać sobie można, a przytem bardzo realny, daleki od tych motywów imaginacyjnych, jakie w innych dramatach Słowackiego dostrzegamy. Kolizya między uszanowaniem i czcią synowską a obowiązkiem obywatelskim stanowi powód strasznej



melancholii i obłędu niemal w Szczęsnym, naturze szlachetnej, poetycznej, rwącej się do czynu, lecz zahamowanej w działaniu tem, że musiałby stanąć przeciw ojcu. Jest Szczęsny w położeniu straszniejszym, niż Hamlet, i jego ociąganie się, jego niepewność zrozumiałej się dla nas przedstawiają, niż wahanie się ustawiczne królewicza duńskiego. Dramat nie został dokończony, a przynajmniej nie doszedł do nas w całości, bo go Słowacki za życia nie drukował, z góry już odkładając go na czasy potomne; stąd nie wiemy, jakie dał zakończenie walce i to tylko pewna, że gdy ojciec Szczęsnego poszedł do Wilna w r. 1794, on nie pośpieszył tam ze siłą zbrojną—i hetman zginął śmiercią haniebną.

Różowa sielanka z Maryą została zamącona przez Eglantynę, której zazdrość, łzy i wyrzuty zmusiły poetę do opuszczenia Páquis i przeniesienia się na drugą stronę Lemanu, do Veytoux, gdzie powstały przepyszne liryki, wywołane świeżemi zajęciami, jako to: „Rozłączenie“, „Przekleństwo“, „Stokrotki“, „Chmury“, „Ostatnie pożegnanie do Laury“. Gdy Wodzińscy pożegnali Genewę, Eglantyna pojechała sama do Veytoux i uprosiła poetę, aby wrócił do swego zacisznego mieszkania. Uległ Słowacki i znów kilka miesięcy przebył w Páquis, nie atoli nowego nie tworząc.

Za nastrożeniem się sposobności oglądania wujostwa Januszewskich, którzy się do Włoch wybrali, poeta nasz, z niemałym smutkiem Eglantyny, pośpieszył w ich ślad, w lutym 1836 roku.

## V.

Słowacki tęsknił za krownymi; w wyobraźni wystawiał sobie rozkosz widzenia się z nimi po tylu latach rozłąki; ale przy zetknięciu się rzeczywistością rychło w zapale ostygł; okazało się bowiem, że niewiele miał z nią wspólnego w świecie umysłowym. Znalazł natomiast inne towarzystwo w Rzymie, do którego przylgnął całą duszą. Bawił tam wówczas młodszy od Juliusza, lecz wytrawniejszy od niego, z głębszą rozważą, z rozległemi wiadomościami, ogarniający okiem duszy wszechświato-

we widnokreśli, Zygmunt Krasiński. Łączyła ich ze sobą cześć dla poezyi, nastrój marzycielski; a przeciwności umysłów czyniły ich wzajem tem ciekawszymi dla siebie. Zygmunt zachwycony był brylantową fantazyą Słowackiego, a ten uznać w nim musiał przewagę refleksyi filozoficznej. Stąd powód do rozmów nie wyczerpujących się nigdy, którym wciąż świeżego materiału dostarczały zarówno dziejowe pamiętki odwiecznego grodu, jak i wycieczki do will po za miastem leżących. Ulubione szczególnie były przechadzki nocne przy blasku księżyca i nieskończone w Kolizeum rozmowy.

To przebywanie w towarzystwie Zygmunta i jego przyjaciół (Konstanty Danielewicz, dr. Sauvan, Adam Sołtan i in.) ochłodziło do reszty jego stosunki z Januszewskimi. Poeta nasz, pod koniec maja, skarżył się matce: „Przeczytałem był wszelkie moje prace Filom (t. j. Januszewskim, które się im niebardzo podobały, i mówili mi zawsze, że szlachta nie zrozumie. *Młodzi moi znajomi* z chciwością pożerali, cokolwiek im udzieliłem. Wiesz, droga, że dusza najmędrza wiele ma miłości własnej i, choć się jej broni, jak może, mimowoli jednak woli pełne zapału pochwały, niż zimne i grzeczne pochwalenie krewnych... Mając z nimi rok cały przepędzić, nie sądziłem, abym przez cały rok miał w domu siedzieć i tylko nad wieczór krok za krokiem wychodzić na zwyczajną przechadzkę z nimi razem, ja, co przywykłem prędko latać, czasem nic nie mówić, a czasem z jakim drugim szaleńcem gadać po szalonym językiem imaginacyi. Teraz Filowie wyjeżdżają, wyjeżdżają może rozżaleni na mnie, że niebyłem takim, jakim być należało...“

Januszewscy wybierali się do Neapolu, Słowacki widocznie zrazu nie myślał im towarzyszyć, ale gdy do Rzymu zjechał budowniczy z Wilna, Jakób Gaj, młody niegdyś „sowizdrzał“, z żoną, i gdy oni po obejrzeniu Rzymu mieli zamiar tę samą odbyć podróż, a Teofilowie bardzo ich lubili, więc zwlekli swój wyjazd, a potem już w początkach czerwca wyruszyli razem. Zabawili tu dni kilkanaście, poczem pojechali do Sorrento, pod Neapolem, gdzie krótko zabawiwszy, wrócili do miasta, pozostawiając Słowackiego samego. Przepędził tu Słowacki

cały lipiec, i dopiero, dowiedziawszy się, że Januszewscy mają wkrótce do kraju wracać, zjechał do Neapolu, aby z nimi ostatnie dni razem przebyć.

Po wyjeździe wujowstwa, dwaj bogaci znajomi, Zenon Brzozowski i Aleksander Hołyński, namówili Słowackiego, by z nimi udał się na wschód, do Ziemi Świętej. Sprawę finansową załatwili pożyczką i 28 sierpnia już byli w Otranto, by wsiąść na statek parowy. Podróż morzem, zwiedzenie Grecyi, wywołującej w poecie wielkie wspomnienie przeszłości, oryginalny widok pierwszego wschodniego miasta, Kairu, piramidy budziły w Słowackim wyobraźnię, poddawały myśli do nowych utworów. Tymczasowo zamykał swe wrażenia i wzruszenia w drobnych pismach, pomiędzy którymi mieści się perła jego tkliwej poezyi: „Hymn o zachodzie słońca na morzu“, i wiele refleksyjnych opisów i rozmyślań (Do Teofila Januszewskiego, List do Aleksandra Hołyńskiego, Piramidy, Rozmowa z Piramidami).

Przeszedłszy kwarantannę w El-Arish, wysłuchawszy opowiadania, które mu później posłużyło do utworzenia „Ojca zadżumionych“, po innych drobnych przygodach, silnie przylegających do wrażliwej wyobraźni, znalazł się wreszcie w Jeruzolimie, u grobu Chrystusa. Nabożnym nie był; wiara jego dziecinna zachwiała się dość wczesnie, istota jednak uczucia religijnego tkwiła w nim głęboko, a przytem myśl, że już nigdy w życiu po raz drugi nie będzie mógł doznać wzruszeń podobnych, skłoniła go do przepędzenia nocy na czuwaniu w kościele Zbawiciela z 14 na 15 stycznia r. 1837. „Na wspomnienie tej nocy—pisał do matki—tak miałem rozigrane nerwy, że łzy rzucały mi się z oczu. Noc u grobu Chrystusa przepędzona zostawiła mi mocne wrażenie nazawsze. O godzinie 7 wieczór zamknęto kościół, zostałem sam i rzuciłem się z wielkim płaczem na kamień grobu. Nade mną płonęło 43 lamp. Miałem biblię, którą czytałem do 11-jej w nocy. O pół do dwunastej weszła do grobu młoda kobieta i mężczyzna, jak sądziłem, małżonkowie, którzy musieli mieszkać w klasztorze i zrobili wotum odmawiać co dnia pacierz w nocy na grobie. Jakoż oboje pomodlili się krótko, pocałowali w kamień, a potem, przyszedłszy do mnie, oboje pocałowali mnie

w rękę. Tak byłem zmieszany, że nie wiedziałem, jak się znaleźć. Wyszli, zostałem sam. O północy dzwon drewniany obudził w kościele księży greckich. Różne wiary, każda mająca swoją mniejszą lub większą zagrodę w tym gmachu, budzić się zaczęły na głos tego dzwonu. Grecka bogata kaplica oświeciła się lampami; na górze ormiański kościółek zapalił także świece i zaczął swoje śpiewy. Kopt, mający małą drewnianą klatkę, przyczepioną do katafalku, pokrywającego grób święty, także (jak widziałem przez szczeliny) zaczął w swojej altance dmuchać na żar i gotować samotne kadzidło. Katolicy także w dalekiej kaplicy zaczęli śpiewać jutrznię. Słowem o północy ludzie obudzili się, jak ptaszki w gzymsach jednej budowy budzą się, świegocząc o wschodzie słońca... Grecy na grobie odprawili mszę, potem Ormianie; o drugiej zaś w nocy ksiądz rodak (Maksymilian Ryłto, jezuita) wyszedł ze mszą... a ja, klęcząc na tem miejscu, gdzie anioł biały powiedział Magdalenie: Niema Go tu, zmartwychwstał! słuchałem całej mszy z głębokim uczuciem. O trzeciej w nocy, zmęczony, poszedłem do klasztoru i spałem snem dziecka, które się zmęczy łzami.“

Z Jeruzolimy jeździł Słowacki do Morza Martwego, do Betlejem, Nazaret, Jerycho, czując, jak mu serce napełniało się „jakąś prostotą i świętością“. Następnie udał się do Damaszku, a przebywszy śnieżny Antyliban, znalazł się u przesłicznych ruin Balbeku, których sztychy ciekawe niegdyś oglądał w dzieciństwie. Konno przejechał Liban, również śniegiem okryty, a po drugiej jego stronie zastał najpiękniejszą wiosnę: jedne drzewa nie straciły wcale swej zieloności, inne w nią się właśnie ubierać zaczęły; migdały prószły kwiatem. Osiadł w klasztorze ormiańskim Betcheszban (spoczynek umarłych), zbudowanym na skale libańskiej, w miejscu bezludnem, i przepędził 45 dni, a w nich i dzień wielkanocny. Umyślnie przybyły jezuita ofiarował mu się na spowiednika; poeta nie chciał zrazu, lecz ujęty jego przyjacielskimi naleganiami, wypowiedział się z całego życia. „Kiedy w szarej godzinie poranku—pisał Juliusz—ukłęknałem przed nim, chcąc wymówić pierwsze słowo, rozplakałem się jak dziecko, tak mi to przypominało da-



wne lata, dawną niewinność, wszystko, od czego mnie potem długie lata oddzieliły... Po skończonej spowiedzi ksiądz wstał, uderzył mnie po ramieniu i rzekł: idź w pokój, wiara twoja zbawiła ciebie“...

Zazdrościł Słowacki jednostajności życia zakonników, kiedy klasztor opuszczali. „Nie zapomnę nigdy — pisał — wrażenia, jakie uczyniło na mnie ostatniego ranka, kiedy się obudziłem, stukanie do drzwi, które rozbudziło śpiących po celach zakonników. Tak było tego poranku, tak miało być jutro, tak zawsze dla nich; a ja wyjeżdżałem do Beyrutu, gdzie miałem wsiąść na okręt i ruszać do Europy, gdzie nikt mnie nie czeka, gdzie się ja niczego nie spodziewałem.“

Oczywiście, w samotności klasztornej nie długoby mógł Słowacki wytrzymać; ale chwilowo podobała mu się ona bardziej od gwaru. Przybywszy do Beyrutu, nie znalazł okrętu do Europy i musiał nań czekać dni 40. Zabawił się tu dobrze, a bal wyprawiony przez konsula francuskiego, choć tańczono na nim przy pozytywce, wiele go rozruszał. Wsiadł wreszcie na okręt i po 43 dniach żeglugi przybył do Liworna, gdzie musiał znowu odsiedzieć czterdziestodniową kwarantannę. W połowie lipca r. 1837 był już we Florencji, gdzie miał półtora roku zabawić, oddając się natężonej pracy poetyckiej.

Przywoził już ze sobą naszkicowany, czy też całkowicie w ciszy klasztoru Betcheszban obroiony piękny poemat prozą, jeden z najoryginalniejszych (pomimo wykazanych w nim wpływów obcych) i najbardziej do tęsknej zadumy pobudzających utworów swoich.

Wspomnienie Dantego, żywe we Florencji, w połączeniu już to ze świeżo odniesionymi wrażeniami, już to z dawniejszemi rozmyślaniami, wydały trzy poematy, przejmujące grozą. Najstańszym z nich jest „Piasta Dantyszka poemat o piekle“; lepszym daleko — „Wacław“ gdzie poeta nasz podjął po Malczewskim dalszą historię jego bohatera, jako nieszczęśliwego starca, obawiającego się wciąż trucizny od trzeciej swej żony, Zofii Greczynki; arcydziełem zaś — „Ojciec Zadźmionych“, z wielką prostotą a prawdą opowiadający o śmierci kolejnej najdroższych swych dzieci.

Drugie arcydzieło, ale w zupełnie innym rodzaju

tworzy poemat „W Szwajcaryi“. Są to przez pryzmat fantazyi przepuszczone dzieje uczucia Słowackiego dla Maryi Wodzińskiej. Niema w literaturze powszechnej drugiego utworu, któryby z większym powabem, z większą subtelnością, z większym mistrzostwem przedstawił ten rodzaj miłości, który musimy nazwać „fantazyjnym“, gdyż nie bezpośrednio, szczerze, serdeczne uczucie, lecz raczej wymarzona w wyobraźni, nią przeniknięta nawskroś, zarówno radość jak smutki z niej czerpiąca skłonność jest jej przedmiotem. Katusze wyobraźni nie mniej są dotkliwe od cierpień tak zwanych realnych, t. j. będących wynikiem rzeczywiście zranionego serca; owszem w pewnych organizacjach duchowych bywają one nieraz stokrój bolesniejsze. Nie wszyscy oczywiście mogą odczuć taki nastrój; ale ci, co go odczuwają, muszą być wielbicielemi poematu „W Szwajcaryi“. Motywów wprost z życia wziętych jest tu bardzo mało: widoki gór, dolin, jezior szwajcarskich, kaplica Tella — oto prawie wszystko; reszta dzieje się w „kraju imaginacyi“ pełnym czaru, blasku i niewypowiedzianej melancholii.

Z wymienionych tu utworów najprzód w r. 1838 wyszedł w Paryżu: „Anelli“, potem w r. 1839 już za pobytu Słowackiego w stolicy Francji: „Piast Dantyszek“, „Trzy poematy“, zawierające: Wacława, Ojca Zadźmionych i W Szwajcaryi; wreszcie i „Balladyna“ może przerobiona i w śliczny list do Zygmunta Krasińskiego zaopatrzona, z zapowiedzią całego cyklu takich historyj dramatycznych teraz dopiero (r. 1839) drukiem została ogłoszona.

Z dziejów serca Słowackiego w tym czasie, trzeba zaznaczyć żywsze, jak się zdaje, od wszystkich dawniejszych, prócz pierwszego naturalnie, uczucie powzięte dla milionowej panny Anieli Moszczyńskiej, poznanej we Florencji. W dwu cudnych sonetach („Do Anieli M.“) skarżył się poeta na jej chłód i dumę; w liście do matki wyznał, iż mu przez trzecią osobę robiono propozycję, żeby się o rękę panny starał. On, aby nie mieć kiedyś na sumieniu, że się „po szczęście, w ludzkim rozumieniu wielkie, nie schylił wtenczas, kiedy mu leżało na drodze“, zatrzymał się we Florencji dłużej, niż

zamierzał, a bywając często „w domu egoizmu i zimną napełnionym atmosferą złota,“ przechodził „przez wszystkie niepewności kokietowanego człowieka,“ tak że go wreszcie to udreńczyło, zwiastcza, „że serce jego było zupełnie zimne i wszystkie wady widziało.“ Postronni wmieszali się w ten stosunek... który raptem się oziębił. Słowacki nie chciał, ażeby sądzono, iż biedę swoją chce załatać bogatym ożenieniem... i postanowił wyjechać. „Pożegnanie moje—pisał do matki—było zimne, a cała ta awantura zostawiła mi tylko gorycz w sercu i niepewność, czy się nie urągano ze mnie. Może z mojej strony było nadto dumy, która się tej pani nienie mogła opieszczością wydawać... Gdyby jednak miała szlachetniejsze uczucia, zrozumiałaby, dlaczego tak nienaturalnie starałem się o nią. Ale to już przeszło. Ona mnie teraz widzi z nieba, bo już nie żyje. Choroby, z której umarła, nie rozumieli doktorowie, a ja byłbym nadto zarozumiały, gdybym ją memu zimnemu postępowaniu przypisywał. Może być jednak, że ta, która tyłu odmówiła, czuła się trochę dotkniętą przez to, że się nie oświadczył... a jednak pewny jestem, że byłaby mnie odrzuciła, wreszcie ona miała miliony, jam nie mógł jej nic dać nawzajem, nawet serca. Przyznam ci się jednak, iż kiedyś się o jej śmierci dowiedział, cierpiałem. Bo choćby to było w niej chwilową tylko myślą, aby mnie wybrać z tłumu i zrobić szczęśliwym, to już jej to nadało w oczach moich postać litośnego anioła, a śmierć jej dopełniła obrazu... upiękniła ją w moich oczach“...

Niepodobna uwierzyć, ażeby Słowacki rzeczywiście miał dla Anieli „serce zimne“; musielibyśmy w nim bowiem przypuścić zbyt niskie pobudki bywania w jej domu, pobudki zupełnie z jego charakterem niezgodne; raczej przypuścić wolno, iż duma nie pozwalała mu wyznać nawet przed sobą samym, iż był zakochany i że taż duma była głównym powodem zerwania. Imię Anieli utkwiło silnie w jego duszy i nadał je wiele sympatycznej bohaterce „Beniowskiego“. W drugiej połowie grudnia 1838 r. był już Słowacki w Paryżu.

Za przyjazdem do Paryża, gdzie poeta nasz miał już resztę życia przepędzić, rozwinął on gorączkową działalność; wydawał utwory pisane dawniej i tworzył nowe. Wśród nowych wtedy nakreślonych wyróżnić można dwie grupy wyraźne: w jednej dźwięki bajronizmu odzywają się jeszcze tu i owdzie, zmieszane z tonami zupełnie innego rodzaju; w drugiej mieści się krytyka nastroju bajronskiego.

Do pierwszej grupy liczę dramata: „Lillę Wenedę“, „Mazepę“, „Beatrix Cenci“; do drugiej: „Podróż na Wschód“ (albo „do Ziemi Świętej“), „Niepoprawnych“ i „Beniowskiego“.

„Lilla Weneda“ jest drugą z szeregu owych sześciu „kronik dramatycznych“, jakie ogłaszając „Balladyne“, zapowiedział Słowacki. Jako dramat nie może być ona uważana za doskonałą; środki bowiem, za pomocą których myśl zasadnicza została przeprowadzona, nie mogą być uznane za trafne i przekonywające; są one ładne poetycznie, jako fantazyja, lecz rozważane z realnego punktu widzenia, rażą nieprawdopodobieństwem (nakarmienie starca liliami, oczarowanie węzów muzyką). Pod względem natomiast uczuciowym jestto najbardziej wzruszający ze wszystkich dramatów Słowackiego, najsilniej przemawia do serca; a pięknnością wykonania scen niektórych wznosi się na szczyty sztuki.

Z dalszych „kronik dramatycznych“ nie opracował Słowacki w całości żadnej; zostawił jeno drobny urywek z „Krakusa“.

„Mazepa“ był, jak wiemy, napisany pierwotnie w Genewie, lecz spalony; z dawniejszego jednak opracowania pozostały silnie w pamięci niektóre sceny i te zostały w nowem obrobieniu powtórzone, chociaż pomysły ogólne uległy, zdaje się, zmianie. Takich pozostałości najwięcej znajduje się w akcie pierwszym, gdzie występują osoby, całkiem pominięte w dalszym rozwoju działania. Jest to dramat, w którym ludzie niewinni padają ofiarą; budzą oni współczucie, lecz nie wywołują grozy tragicznej. Kilka scen pięknych, parę charakte-



rów dobrze nakreślonych stanowi wartość tego dramatu. Pomysł zamurowania kaplicy z żywym, tam znajdującym się paziem (Mazepą) wziął Słowacki z powiastki Balzaca „La grande Breteche“, ale go po swojemu rozwinął, nie wywołując takiego tragicznego wrażenia jak autor francuski.

„Beatrice Cenci“ treścią swoją należy do rzędu pomysłów „okropnych“, lecz w obróbeniu częściowo tylko wrażenie okropności wywołuje; zwierzęca chuć ojca względem córki, zabójstwo, są silnie zaznaczone na początku utworu; dalszy zaś jego przebieg, to raczej dzieje smutnej miłości Beatryczy i artysty Gianiego, w malowaniu której stworzył Słowacki parę scen niezrównanych, technicznych prawdziwym, serdecznym, głębokim uczuciem, jak np. ostatnie widzenie się uwięzionej z ukochanym.

Kilka innych pomysłów do dramatów historycznych („Jan Kazimierz“, „Wallenrod“, „Walter Stadyon“) pozostało w rękopismach poety w stanie zarodkowym tylko; z tych fragmentów wyróżnić potrzeba „Złota czaszkę“, dlatego, że tu po raz pierwszy zeszedł Słowacki z krain mglistych na ziemię; po raz pierwszy starał się przemawiać językiem mowy potocznej, budzącej w nim poprzednio wstręt jakiś; po raz pierwszy wreszcie okazał talent plastyczny, bardzo rozwinięty, chociaż nie mogący się mierzyć ze zdolnością prawdziwie znakomitych artystów.

To zejście do rzeczywistości łączy się psychologicznie z krytyką nastroju bajronskiego i prowadzi nas do przeglądu utworów drugiej grupy.

Pozowanie i dramatyzowanie życia, pogoń za coraz to nowymi wrażeniami, by zaspokoić głód wewnętrzny, rozterka pomiędzy stosunkami zewnętrznymi a pragnieniami nienasyconymi, przyoblekanie twarzy w ponurość, uważanie się za nieszczęśliwych, niezrozumianych, nieocenionych, lubowanie się w boleści, przybierana umyślnie melancholia; jednym słowem, cechy ludzi, którzy bądź co bądź uchodzą chcieli za poetycznych, albo będąc nawet nimi, pragnęli spotęgować wywierane przez siebie wrażenie, bynajmniej nie obce samemu Słowackiemu przez czas długi, oglądane nieraz potem w karykaturze, wywołały w nim zastanowienie krytyczne i przedstawiły się z czasem ze swej strony komicznej. Powoli,

bardzo powoli uswiadamiał sobie te ujemności zarówno w prawdziwie poetycznych, jak zwłaszcza w udających poetyczność osobistościach, aż doszedł wreszcie do stanowczego potępienia wszelkich uczuć wywarzanych. I tu jednak wzorem i przewodnikiem dla niego stał się Byron w najdojrzalszym utworze swoim, pełnym strasznych zgrzytów, w „Don Juanie“. Tylko że Słowacki, nie mając tak głębokich namietności, jak Byron, ukwiecił swe szyderstwa Aryostyczną fantazją, i lubo się odgrażał, rzadko użył wężowego bicia Erynij (Furyj).

Tonem najłżejszym skreślił kilka bajronskich karykatur w „Podróży do Ziemi Świętej“, należącej do najwcześniejszych przejawów nowego, krytycznego zwrotu w twórczości Słowackiego. Powstawała ona niejako spółcześnie z samem odbywaniem podróży i odbijała kolejno to wesołe, zabawne, to poważne i smutne wrażenia. „Podróży“ tej nie wykończył poeta, doprowadził ją tylko do pobytu w Grecyi, na co potrzebował aż 9-u pieśni wskutek bardzo częstych *dygresyj*, mających na celu wypowiedzenie uczuć osobistych lub poglądów. Satyra, ironia, lekkość myślenia spajają się tutaj najściślej z głęboką melancholią, żalem, poważnym nastrojem. Za życia ogłosił Słowacki tylko cząsteczkę z tego utworu, p. t. „Grób Agamemnona“.

Najwięcej ironii subtelnej rozwinął Słowacki w „Niepoprawnych“ (lub też „Nowej Dejanirze“). Potrzeba było poety obdarzonego taką fantazją i takim delikatnym poczuciem, jak on, ażeby mózgiem wystawić śmieszności poetyckiego nastroju, bynajmniej nie zasłaniając prawdziwie szlachetnych, pięknych, nawet wzniosłych porównań, jakie rzeczywistość były w owych charakterach wyszydzonych. Mamy tu z ogromnym talentem słowa przedstawione dwa rodzaje poetyczności; jedną udaną, źle pokrywającą powszednio, grube instynkta w osobie zrujnowanej hrabiny Respektowej; druga prawdziwa, ale pragnieniem pozowania ośmieszającą się w hrabinie Idalii i w hrabi Fantazym. Naprzeciw zaś tych dwu rodzajów poetyczności postawił Słowacki natury proste, ale z charakterem dzielnym i dlatego mającym wyższość nawet nad szlachetnymi, lecz rozbujającymi fantastami-marzycielami; są to: Dyana, córka hrabstwa Respektów, Jan przez

nią ukochany i Major. Gdyby ten utwór był należycie wykończony, należałby do arcydzieł Słowackiego; jako poeta, zająwszy się głównie postaciami mniej lub więcej ujemnymi, nie dał dostatecznego rozwinięcia dodatnim.

„Beniowski“, najpodobniejszy do „Don Juana“, nie ma tej, co on, rozległości widnokregu, nie obejmuje ogromnych obszarów życia ogólnie europejskiego, z jego etycznymi i politycznymi stosunkami; lecz się obraca w szerszym zakresie. To wprawdzie — konfederacja barska — mogło dostarczyć sposobności do szerszego i głębszego traktowania tematu; poeta nasz wszelako nie skorzystał z niego w całej pełni, nie rozsznuł go tak, jakby to zrobić było można, wciągając do opowiadania zarówno zdarzenia, jak myśli związane ze sprawą, i poprzestał na opisie paru bitew, na poselstwie do Krymu, gdzie go zajęły raczej kolorystyczne obrazy Wschodu w miniaturze, aniżeli stosunki polityczne; przeważną zaś część poematu wypełnił *dygresjami*. Dygresye te podzielić można na trzy kategorie. Do pierwszej zaliczam ustępy uczuciowe. Przy opowiadaniu przygód bohatera, poeta nieraz opiewa własne wrażenia i wspomnienia, przechodząc całą skalę uczuć, od prostoty i serdeczności, smutku i melancholii do ironii, satyry i sarkazmu. Drugą kategorię nazwaćby można dygresjami literackimi; mieszczą się tu wycieczki przeciwko krytyce wogóle i krytykom poszczególnym; jak niemniej objaśnienia czytelnika o sposobie tworzenia, o powstawaniu takiej lub innej strofy, takiego lub innego nastroju. W trzeciej kategorii wreszcie, najmniej obfitej, pomieścił Słowacki swoje uwagi religijno-społeczno-polityczne, zastoso-  
wane do położenia i losów kraju.

Ze wszystkich dygresyj „Beniowskiego“ najpamiętniejsza jest ta, którą wymierzył przeciwko Mickiewiczowi, w końcu pieśni V-ej. Powodem do niej była świętna uczta, wyprawiona dla Mickiewicza w dniu 25 grudnia r. 1840, po pierwszym odczycie o literaturze słowiańskiej w Kolegium francuskim. Na uczcie tej improwizował Słowacki, składając hołd twórcy „Pana Tadeusza“, którego on jeden z najpierwszych wysoko ocenił, oraz skarzając się na obojętność ogółu dla siebie. Mickiewicz odpowiedział również improwizacją i wywarł nie-

słuchane wrażenie. Nie znamy jej treści, wiemy tylko, iż zwracając się do Słowackiego, wskazał serce i Boga, jako jedyne drogi, prowadzące do uznania i miłości w narodzie. Słowacki nie czuł się bynajmniej dotkniętym odpowiedzią Mickiewicza i miał nawet na drugiej uczcie wręczyć mu pamiątkowy puhar; ale tymczasem niezyczliwi mu rozgłosili, jakoby w owej improwizacji Mickiewicz odmówił Słowackiemu nazwy poety. Oburzony tą plotką, jak niemniej zaniechaniem myśli o daniu mu także jakiejś pamiątki (pierścienia), Słowacki usunął się od uczestnictwa w drugiej biesiadzie, która się w dzień Nowego Roku 1841 odbyła. Gdy zaś niebawem potem ukazał się w jednym z pism poznańskich (w „Oświadniku Naukowym“) ubliżający Słowackiemu artykuł o improwizacji, a Mickiewicz nie sprostował mylnych twierdzeń, gdyż o nich nie wiedział, zajęty swoimi odczytami, Słowacki do gotowych już pięciu pieśni „Beniowskiego“ dodał grof kilkanascie, poświęconych temu zajściu.

Strofy to śliczne, jako styl i wiersze, lecz nie wszędzie jednakowo porywają nas treścią swoją. Spółczujemy poecie, gdy się skarży na obojętność ogółu dla jego twórczości, gdy podaje się za pieśniarza ludu, nie zaś za barda minionych czasów, nawet gdy zapewnia, że lud pójdzie za nim; nie możemy atoli przyznać mu słuszności, kiedy drogę obroną przez Mickiewicza nazywa „kłamną“, ani też kiedy rokuje sobie zwycięstwo nad przeciwnikiem, ani zwłaszcza kiedy w uniesieniu obiecuje zabić go i trupa jego włożyć, jak drugi Achilles. W tych wynurzeniach znać słabą stronę dumy Słowackiego, a mianowicie próżność i zarozumiałość. Gdyby był poprzestał na wypowiedzianem przez siebie zdaniu, iż sąd o wartości swojej i o stosunku do Mickiewicza zostawi wiekom, byłby się nie naraził na zarzut, jaki mu uczynić musimy, że sąd ten chciał własnym swym uprzedzić, sobie tylko słuszność przypisując.

Inna dygresya, dotycząca krytyki, a mianowicie czasopisma, wydawanego w Paryżu p. t. „Młoda Polska“, wywołała wyzwanie na pojedynek przez czującego się obrażonym, zdolnego, lecz wielce nerwowego Stanisława Ropielewskiego. Z tej atoli sprawy wyszedł Słowacki zu-



pełnie zwycięzko; okazał męstwo i spokój, upokorzył przeciwnika, który się na plac nie stawiał, i w końcu przebaczył mu wspaniałomyślnie. Mógł więc z tryumfem pisać o tem do matki, że na śniadaniu u jednego z sekundantów przeciwnika „nadszkakiwano mu jak zwierzowi dzikiemu, którego trzeba ułagodzić“. Ale tryumf ten cieszył go jeszcze żywiej ze względu na osobę, w której wówczas szalonie się kochał, cieszył go, bo mógł się jej ze strony rycerskiej przedstawić. Osobą tą była Marya Joanna Bobrowa, przed kilku laty kochająca się w Zygmuncie Krasińskim i przezeń kochana. Chciała być wielbioną przez poetę, chciała może odgrywać względem niego rolę idealnej Beatryczy, być mu natchnieniem, podniecać do twórczości poetyckiej, lecz bliżej go dopuścić nie zamierzała. Nauczona smutnem doświadczeniem poprzedniem, trzymała Słowackiego na uwiezi. Po raz to pierwszy może poeta nasz rozgorzał. Jeździł za panią Bobrową do Frankfurtu nad Menem i pisał stamtąd do swego przyjaciela, Leonarda Niedźwieckiego, listy tchnące namiętnością, jak ten np.: „Nie żałuję, że przybył. Dni schodzą mi przyjemnie; widuję ją, czuję przyspieszone bicie swego i jej serca; twarz jej okrywa się rumianością, przypominającą mi przezrocza jasność jutrenki w Grecyi; uczyć się mówić językiem miłości, żyje i promienieje. I czegoż trzeba więcej?... Czytałem jej moją *Beatrice Cenci*, a wstrząśnienie elektryczne, jakiego doznała, z tem jedynie porównać się może. Jakie w czasie kąpieli sprawia nam (ryba) drętвик... Namiętność wydała się jej po mistrzowsku odmalowaną... Prawda, że czytając, dobieierałem takich cieniowań głosu, co wprawiały w drżenie wszystkie struny jej duszy... Są dni, kiedy jej prawie wcale nie widuję, bywa to wówczas, kiedy jej córka przybywa do domu. Dni takie są prawdziwym dla mnie piekłem. Zmuszony jestem przepędzać je samotnie z niemieckimi książkami, z rozstrojonym fortepianem i małą służącą niemiecką, zakochaną we mnie. Ozujesz, że się wściekam wtedy i że nie tykam ani książek, ani fortepianu, ani dziewczyny. Pograżam się w czarnych swych myślach jak Korsarz lub Lara“.

W końcu nie mógł wytrwać wśród takich udre-

czeń i postanowił wyjechać z Frankfurtu. Pożegnanie z Bobrową nie skończyło się rozdzwiekiem; przyjaźń z obu stron przetrwała lata całe.

## VII.

W połowie r. 1842, przedstawiony znanemu marzycielowi mistycznemu, Andrzejowi Towiańskiemu, został Słowacki jego wyznawcą. W dziecinnych niemal latach, jak wiemy, lubił on zatapiać się w teoryach Swedenborga o przechodzeniu dusz i szczeblowaniu istot; później powiew sceptyczny rozwiął mary, ale niezupełnie; jako natura czuła i wielce nerwowa, Słowacki miewał przeczcucia, którym dawał wiarę, miewał wizye, uważane przez siebie za prorocze. Zwątpił o wartości nastroju bajrońskiego, wysmiał go, a nie miał go czemś pewnem i określonym zastąpić. Towiański łączył jego dziecinną wiarę w wędrowkę dusz ze wskazaniem możności obcowania z duchami bezpośredniego, otrzymywania od nich natchnień, byleby tylko, odrzuciwszy całą sztuczność i nieprawdę zwykłego życia towarzyskiego, skupić się w sobie, dojść do potrzebnego „tonu“, wznieść się wewnętrznie i udoskonalić. Dodana do tego w początkach propagandy obietnica rychłego powrotu do kraju, oddziaływała także silnie na stęsknione za swymi serce Juliusza.

Wszedł więc do grona Towiańczyków, pogodził się znowu z Mickiewiczem, który po przymusowym wyjeździe „mistrza“ stał na ich czele; doznał uspokojenia, czuł się szczęśliwym i mocnym. Niedługo wprawdzie wytrwał w jedności z kołem Mickiewiczowskiem; różne sprawy, które mu się nie wydawały zgodnemi z duchem „mistrza“, skłoniły go do protestu i wycofania się z grona, by ze szczytym zastępem zwolenników swoich utworzyć odrębne zgromadzenie. Prawdę jedyną głównych nauk „mistrza“ o kolumnach duchów

złych i dobrych, walczących ze sobą, o migracyi dusz, uznawał do końca życia i rozwijał w swoich utworach.

Nie przestał bowiem pisać; owszem uważał to sobie teraz za obowiązek; ale treść tych nowych dzieł inną była od dawniejszych. Słowacki wierzył niezachwianie, że były mu one natchnione z nieba, a więc stanowić miały nie indywidualny wyraz przekonania jednostki, lecz prawdy niewątpliwe, jakby objawienia, których dla dobra ogółu poeta nie tworzy, ale je powtarza tylko, czyniąc zadość niepokonanemu naciskowi z góry, zmuszającemu go do zostania narzędziem woli wyższej. Widzenia i hallucynacje stały się u niego wówczas bardzo częste, a tak silne, iż poeta brał je za rzeczy z zewnątrz, a nie z wewnątrz pochodzące. Pisząc „Genesis z ducha“, którą za rodzaj nowej ewangelii przedstawiał, wybornie odmalował nastrój swego umysłu: „Kiedym się wahał—powiada—z wydaniem tej księgi, a był właśnie w połowie tej ewangelii, która jej ostatnie karty zamyka, coraz mocniej przerażony odpowiedzialnością przed Bogiem, oświecony zostałem ogniami niebieskimi... i w stanie zupełnie spokojnym, bez najmniejszego krwi rozegrzenia, przerażony zostałem mocą Chrystusa, już na świat nadchodzącego, *przymuszony* wymówić słowa, których nigdy w życiu nie używałem. Mówię to po rozwadze głębokiej, pewny, że to wyznanie w wieku dzisiejszym ujmie mi cześć w obliczu świata, który chętnie one-to rzeczy szalbiertwu, albo chorobie zwykły przypisywać, sądząc, że ujmują powagi rozumowi i stają na drodze cielesnym i ciągle idącym w górę usiłowaniam narodów“.

Szczerosc takich i tym podobnych wyznań nie ulega najmniejszej wątpliwości. Znajac usposobienie dumne, a przytem sceptyczne Słowackiego w latach, poprzedzających przyjęcie Towiańszczyzny, łatwo zrozumieć, że poeta nie chciałby się podawać za narzędzie jedynie natchnień, gdyby w głębi duszy nie był o prawdziwości takiego stanu duchowego przeświadczony.

Pod wpływem teoryj mistycznych zaszła ogromna w Słowackim zmiana, daleko większa aniżeli w Mickiewiczu: umysł jego z wątpliwego i skłonnego do szyder-

stwa stał się naiwnie a żarliwie wierzącym; charakter z dumnego i pogardliwego—ukorzonem, pałającym miłością ludzi, wielce serdecznym. Co dawniej przypisywał działaniu rozumu lub namietności, teraz uważał za wynik natchnienia i cudu. Czyny bohaterskie, silną dłońią i mieczem dokonane, straciły dla niego powab i wzniosłość, bo przeciwko nim postawił czyjś poświęcenia się cichego, ofiary, upokorzenia i cierpienia. Moc cielesna, której zresztą i poprzednio nie bardzo hołdował, miała teraz w jego oczach znaczenie tylko ujemne, a za jedyną siłę dodatnią pożytywał moc duchową. Stąd objawy cywilizacyi materialnej, udoskonalenia w gospodarstwie społecznym, w administracyi, polityce nie pociągały go ku sobie bynajmniej, budziły raczej obawę, że wśród tego postępu materialnego, zaniedbany zostanie postęp wewnętrzny, uduchowanie. Udoskonalenie ducha stało się dla niego troską wyłączną, a zarazem warunkiem szczęścia ludzkości. Nie rola, nie handel, ani rozdział pracy—mówił—jest źródłem bogactwa kraju, lecz natchnienie. Natchnienia tego nie może dać dzisiejszy kierunek oświaty, co czi „rozum tylko tak jak rzemiosło“. W obec rozpraw o wolności, Słowacki myśląc o udoskonaleniu wewnętrznem, porównywał jej posiadanie do posiadania fletu: „jeśli go weźmie człowiek, muzyki nieświadom, piersi straci i uszy sfałszuje sąsiadom“. Wolnym jest jedynie ten, kto się wzniosł ponad potrzeby powszedniości, kto umie się wyrzec wszystkich dóbr widzialnych, kogo namietności nie gnębią“. Nowoczesne urządzenia konstytucyjne nie znajdowały naówczas wielbiela w poecie naszym; porównywał je do fortepianów, w których klawiszami są ludzie, pedałami—bogacze, a wirtuozem, grającym na tych instrumentach—„najwyższy pieniężny interes“.

Pogardzając sprawami i rzeczami ziemskimi, podnosił poeta umysły ku Bogu i napełniał je głębokimi uczuciami religijnymi, lecz oswobodzonymi od form i formułek, bo jak wszędzie indziej, tak i tu cenił tylko ducha. Dlatego podał krytyce księdza, wołającego z ambony, że na wsi jest bliżej Boga, i pytał: „gdzie jest Bóg tego księdza?“ Dlatego zapewniał, że Kościół jest



tam, skąd „boskie płynie natchnienie“, a nie tam, gdzie krzyż, belki i kamienie“.

Wskutek takiego nastroju duchowego, bohaterami poetycznymi Słowackiego nie mogli już być bajroniści, myślący jeno o sobie, lecz duchy, albo ludzie przeniknięci nawskroś duchowością, będący wcieleniami potęg nadziemskich. Takimi są osobistości dramatów wówczas nakreślonych: „Sen srebrny Salomei“, „Książd Marek“, „Agezylausz“, „Zawisza Czarny“, poematu „Król-Duch“, rapsodu: „Rozmowa z matką Maksymą“; takie myśli tętnią w wierszu dydaktycznym „Teogonia“ i w licznych parabolach a epigramatach.

Dawniejsze swoje utwory, prawie wszystkie, jeżeli nie potępiał, to stawiał o wiele niżej od tych, jakie teraz pisał, lub które przyswajał językowi naszemu, np. od „Księcia Niezlomnego“ Kalderona, który rzadkiem zdarzeniem w dziejach poezyi wyższym jest w tłumaczeniu Słowackiego niż w oryginale, wedle zapewnienia znawców.

Gdy matka wyrzucała Słowackiemu, iż nie pisze tak jak dawniej, nakreślił list bardzo dotkliwy, którego po rozmyśle nie wysłał, ale który nam doskonale daje poznać ówczesne zdanie zarówno o swojej, jak o ogólnej twórczości poetyckiej. „Ja ci powiem— czytamy tu— że przed Chrystusem nie śmiałbym deklamować z zapalem ani *Szwajcaryi*, ani innych osobistych poematów. Ale deklamowałbym spokojnie opis walki na stepie z trzeciego aktu *Salomei*, albo też Wernyhory dramę w piątym. Więcej ci powiem: wystaw sobie chłopka bogatego, z rodziną już czytać umiejąca, za sto lat, w cichym gdzieś domku pod Krakowem. Odpoczywa po wojnie, szczęśliwy, ogień pali się w izbie, a przy kalendarzu już i niektóre książki znajdują się na stole. Wystawże go sobie, że czyta *Balladynę*. Ten utwór bawi go jak baśń, a razem uczy jakiejs harmonii i dramatycznej formy. Bierze *Lillę*, to samo. *Mazepa* trochę mu się już wydaje nadto deklamatorskim. Lecz zajrzał w *Godzinę myśli*, albo w *Lambra*, irzucił ze wzgardą te melancholiczne skargi dziecka niedorośłego. Otóż dla tego chłopca są dwa dramaty i *Książę Niezlomny*, ten książkę, który mi kości wewnętrzne połamał, gdzie są pioruny poezyi, a z którym

ty nie masz żadnego związku, bo nie na nerwy, ale na samo czyste czucie uderza; nie melancholie, ale boleść obudza, nie rozhartowyywa czytelnika, ale go czyni silnym i podobnym spokojnemu aniołowi... Proś Boga Najwyższego w dzień i w nocy o poezycę dla żywych ludzi. Kto pierwszy z taką poezyą przyjdzie, ja mu z wszystkich książek moich postument zrobię i sam się położę pod nogami, aby stał wyżej i prawdę zawsze oglądał z wysoka... A póki takiego niema, nie równaj mię z nikim, ale proś o Ducha Świętego i z Ducha tego dawaj mi rady, a wtenczas będziesz mi prawdziwie opiekunką.“

Poglądy swoje mistyczne w pewnym systematycznym ładzie wypowiedział Słowacki prozą w następnych trzech utworach, wydanych dopiero po jego zgonie: „Genesis z ducha“, „List do J. N. Rembowskiego“, „Wykład nauki“. Znajdują się one obecnie razem zebrane w tomie „Pism pośmiertnych“ Słowackiego, wydanych we Lwowie i Warszawie przez H. Biegeleisena r. 1884.

## VIII.

Życie zewnętrzne upływało poecie naszemu od r. 1842 bardzo jednostajnie. Rozmowy w kole Towiańczyków, czytanie i pisanie wypełniały większą część miesięcy każdego roku. Latem jeździł zwykle nad morze, do Pornic dla wypoczynku i kąpieli. Młodzi poeci, z kraju przybywający, ze czcią ku niemu podążali, a najpamiętniejszemi odwiedzinami były te, jakie złożył mu Kornel Ujejski w r. 1847, i jakie obaj poeci upamiętnili pięknymi wierszami.

Najważniejszym atoli wypadkiem z tego czasu było zerwanie kilkuletniej przyjaźni z Zygmuntem Krasieńskim. Już od r. 1841, od czasu poznania pani Bobrowej przez Juliusza, ochłodziły się nieco stosunki; wymieniają jednako ze sobą listy, ale rzadziej niż dawniej W r.

1845 wydał Zygmunt „Trzy psalmy“, wywołane ówczesną demokratyczną propagandą. Krasieński obawiał się, aby lud, podburzony, nie powtórzył hajdamaczyzny; potępiał przytem wszelką rewolucyę, jako objaw zwierzęcy, stawał w obronie szlachty polskiej, apoteozował ją nawet. Słowacki, który niejednokrotnie, a zwłaszcza w „Beniowski“, podawał się za wieszczę ludu, wystąpił w jego obronie, pisząc prześliczny wiersz „Do autora trzech psalmów“. Przywidzeniem płonem arystokraty nazwał obawy Krasieńskiego, pomawiając go o tchórzostwo; nie przystał na twierdzenie jego o źródle rewolucyi, słusznie utrzymując, że wszelkie przemiany społeczne poczynają się w duchu, nie zaś w ciele, bo w pierw musi być myśl, zamiar, aniżeli czyn; wreszcie obronę szlachty za spóźnioną, poczytał; szlachta dokonywała wielkich czynów dawniej, ale znikczemiała w następstwie.

Wiersza tego nie drukował Słowacki; rozszedł się on jednak w odpisach. Tymczasem w r. 1846 nastąpiła rzeź galicyjska; przepowiednia Zygmunta sprawdziła się, na nieszczęście; okazało się, że idealizowanie ludu jest również niewłaściwe jak apoteozowanie szlachty; że jeden i drugi czynnik ma swoje zalety i wady, że wykluczać jednego lub drugiego ze sfery działania społecznego niepodobna. Krasieński wyzyskał sprawdzenie swych słów w sposób niezbyt szlachetny: w świeżo napisanym „Psalmie żalu“ dużo miejsca poświęcił zbytecznej już polemice ze Słowackim, a w dodatku, sobie tylko przyznawał prawdziwą miłość kraju, gdy Słowackiego oskarżał o miłość własną.

Zanim te nowe psalmy wraz z dawnymi zostały wydrukowane, Słowacki zajęty był ważnemi myślami. Rewolucya lutowa w Paryżu r. 1848 wywołała odgłos i w innych krajach. Wielu, bardzo wielu z wychodźców naszych opuściło Paryż, podążając do W. Ks. Poznańskiego, i Słowacki wyjechał tam również. Związał się tu z Karolem Libeltem. Rząd pruski, zrazu zalekziony rewolucyą w Berlinie, uporawszy się ze swoimi, zaczął ostrzej występować przeciwko Poznańczykom, a przede-wszystkiem wydalił emigrantów. Słowacki pojechał do Wrocławia i tu po pięciu tygodniach gorączkowego oczekiwania, doczekał się przyjazdu matki, z którą od lat

blisko 20 się nie widział. Łatwo wyobrazić sobie zopolną radość. Dni kilkanaście zaledwie mogli być razem. Nastąpiła rozłąka nazawsze.

Na powrotem do Paryża odczytał wydrukowane w jesieni r. 1848 Psalmy Krasieńskiego. Oburzyła go odpowiedź; w pierwszym popędzie miał zamiar wystąpić przeciwko autorowi z nowym ciosem i rzucił na papier kilka pięknych zwrotek; lecz następnie, może w myśl tego uduchowienia, które głosił, zaniechał sprawy czysto osobistej.

Zapadł przytem w chorobę. Wątki zawsze, doznawał teraz częstych krwotoków, a te go sił pozbawiały. Przeczuwał zgon swój, napisał testament prawny, a dla ogółu „Testament“ poetyczny, w którym nakazał nieść przed narodem oświaty kaganiec, tę sprawę za rzecz najważniejszą poczytując; zapowiedział, że duch jego i po śmierci dzyłać będzie nieustannie na serca i umysły, dopóki zwykłych „zjadaczów chleba“ w aniołów nie przetworzy.

Dnia 3 kwietnia, przed przyjęciem Sakramentów, odebrał ostatni list od matki, który mu odczytał młody wtedy Zygmunt Szcześnie Feliński, późniejszy arcybiskup warszawski. Poeta prosił go, ażeby za widzeniem się powiedział matce, iż syn czuł się szczęśliwym, odbierając jej pismo jakby na pożegnanie i że umierał z myślą o niej. A potem mówił jeszcze tonem uroczystym: „Wiara w nieśmiertelność ducha i w sprawiedliwość Bożą pozwala spokojnie śmierć przyjąć... Dziś ja ufam w sprawiedliwość Bożą, bo ją pojmuję, tak ufam, że gdybym mógł powierzyć ducha mego w ręce matki, aby ona wynagrodziła go stosownie do zasługi, nie oddałbym go z taką ufnością, z jaką dziś oddaję go w ręce mego Stwórcy.“

Zmarł nasz poeta rano o godzinie 4 dnia 4 kwietnia (1). Pogrzeb nastąpił 5 kwietnia. w 24 godzin po zgonie, według przepisów owoczesnych. Skromny dwukonny karawan, w nielicznym orszaku żałobnym, zawiózł

---

(1) Zwykle podawana data zgonu (3 kwietnia) jest błędna.



ciało najprzód do kościoła parafialnego (ś. Filipa du Roule), gdzie było odprawione nabożeństwo, a potem na cmentarz Montmartre. „Żadna mowa pożegnalna — powiada Feliński — żaden jęk głośny lub niewieście łkanie, nawet rodzinny nasz Anioł Pański nie ozwał się na tem wzgórzu cmentarnem; tylko grudki ziemi, ręką życzliwych sypane, głuche echo wywoływały z trumny, mieszając się z ponurym śpiewem kapłana: *requiescat in pace!*“

Słowacki jako poeta nie ma tego przywileju, co geniusz Mickiewicza, nie jest dla wszystkich. Umysł zbyt rozsądkowy i „trzeźwe“, nie zdolne do wysokich wzlotów fantazyi, nie lubiące chwilowego nawet przebywania w „krajnie ułudy“; serca zbyt proste, dalekie od wszelkiego wyrafinowania i wysubtelnienia uczuć; charaktery pochopne jedynie do cenienia czynów na zewnątrz wykonywanych, a nieufne względem wszystkiego, co „ideologią“ nazywają — nie znajdują prawdziwego, głębokiego i szczerzego zadowolenia w większości utworów Słowackiego. Z takich to głównie ust wypłynęła jego charakterystyka igrająca z nazwiskiem, jako „poety słowa“, t. j. poety odznaczającego się głównie i przede wszystkim barwnością, giętkością i subtelnością wyrazu, nie zaś treścią i duchem. Dodano później, ze stanowiska artystycznego, że był największym „kolorystą“ wśród naszych poetów.

Lecz to nie dosyć. Słowacki jest poetą dusz delikatnych i wrażliwych jak płatki mimosy, dusz chwiejnych, nie osiągających prawie nigdy równowagi duchowej, a stąd skłonnych do krańcowości, serc czułych i tkliwych, a jednak rozmyślających nad swojemi uczuciami, wyobraźni nieco chorobliwych, lecz żywych i świeżych, charakterów może zanadto sobą zajętych w zwykłym trybie życia dlatego, że w otoczeniu swoim nie widzą duchowego pokrewieństwa. Pewne tony uczuciowe on tylko jeden z wielkich poetów naszych umiał

wydobyc z lutni i pod względem „nastroju“ daleko jest bliższym naszym czasom, aniżeli Mickiewicz; stąd liczni jego naśladowcy w młodszym pokoleniu. Niektóre jego poemata dzisiaj dalekosilniej są odczuwane, aniżeli dawniej („W Szwajcaryi“). Impresyonistą był Słowacki po części zawsze; zarówno w młodocianych swych twórcach, w których Byron był mu przewodnikiem, jak i wówczas, kiedy mu się zdawało, że stenografuje natchnienia duchów. Fantazyja lotna jak myśl, gibka, zwrotna i barwna jak koliber, bogata jak niewyczerpane zasoby ducha — z sercem wrażliwem nadmiernie — to najważniejsze żywioły jego wielkiego, nieporównanego talentu.

P. Chmielowski.

Zakopane, 10 grudnia 1898 r.

Poezye drobne, ulotne, liryczne i t. p.

P A R Y Ź.

Patrz! przy zachodzie, jak z Sekwany łona  
Powstają gmachy połamanym składem,  
Jak jedne drugim wchodzą na ramiona,  
Gdzie niegdzie ulic przeświecone śladem,  
Gmachy skreconym wydają się gadem,  
Zębata dachów łuska się najeża.  
A tam, czy żądło oślinione jadem?  
Czy słońca promień? czy spisa rycerza?  
Wysoko strzela blaskiem ozłocona wioża.

Nowa Sodomol pośród twych kamieni  
Mnoży się zbrodnia bezwstydną widomie,  
I kiedyś na cie spadnie deszcz płomieni,  
Lecz nie deszcz boży, nie zamknięty w gromie,  
Sto dział go pośle — A na każdym domie  
Kula wyryje straszny wyrok Boga;  
Kula ta mury przepali, przełomie,  
I wielka na cie spadnie kiedyś trwoga,  
I większa jeszcze rozpacz, bo to kula wroga...

I już nad miastem wisi ta dział chmura.  
Dlatego ludu zasepione tłumy,  
Dlatego ciemność ulic tak ponura.  
Przezuciem nieszczęść zblakane rozумы;



Bez echa kona słowo próznej dumy,  
O wrogach ciągle toczą się rozmowy...  
A straż ich przednia, już północne dżumy  
Obrońców ludu pozwiewały głowy,  
I po ulicach ciągły brzmi dzwon pogrzebowy.

Czy wróca czasy tych świętych tajemnic,  
Kiedy tu ludzie zbytkiem życia wściekli,  
Jedni pod katem, drudzy w głębi ciemnic,  
Inni ponurzy, bladzi, krwią ociekli,  
Co kiedy śmieli pomyśleć, wyrzekli,  
Lud cały kona, katy i obrońce,  
Dnia im nie stało, aby się wysiekli;  
I przeczuwając krwawej zorzy końce,  
Jak Jozue wołali: „dnia trzeba, stój, słońce!”

I nie stanęło, pomarli przedwczecośnie,  
Lecz zostawili pamiętki po sobie;  
Kraj po rozlewie krwi tonący we śnie,  
I lud, nie po nich, ubrany w żałobie,  
Krwii trójcę w jednej wcieloną osobie (1).  
Ten jak Rodyjski posąg, świecznik trzymając,  
I jedną nogę wsparł na martwych grobie,  
Drugą na zamku królów. — Gdzie oczyma  
Sięgnął, tam wnet i ręką dostawał olbrzyma.

A kiedy posąg walił się z podstawy,  
Tysiące ludu sławą się dzieliło,  
Każdy się okrył łachmanem tej sławy,  
Każdemu było dosyć, nadto było...  
Marzą o dawnej sławie nad mogiłą,  
I pod kolumną spiżu wszyscy posną (2);  
Choć cięcie kata głowę z niej strąciło,  
Choć na niej może jak na gruzach, z wiosną  
Chwasty z lilijami Burbonów porosną.

- (1) Napoleon.  
(2) Kolumna Vendôme.

Zdała od miasta szukajmy napisów,  
Gdzie wielki cmentarz zalega na górze (1).  
O! jak tu smutno, kiedy wśród cyprysów  
Poblądle w cieniu chowają się róże.  
A pod stopami, dalej, miasto w chmurze  
Topi się we mgłach gasnących opalu;  
A dla żałobnych rodzin przy tym murze,  
Przedają wianki z płótna lub perkalu,  
Aby dłużej świadczyły o kupionym żalu.

Patrz znów w mgłę miejską, oto wież ostatki,  
Gotyckim kunsztem ukształcona ściana (2)  
Rzekłbyś, że zmarła matka twojej matki,  
W czarne brabanckie koronki ubrana,  
Z chmur się wychyla jak duch Osyana.  
Ludzi nie dojrzysz. — Lecz nad mgłami fali  
Stoją posągi [gdzie płynie Sekwana] (3),  
Jakby się w Styxu łodzi zatrzymali,  
I przed piekła bramami we mgłach stoją biali.

Tam gmachy Luwru, gdzie tron Baltazara,  
A na nim siedział wyrobnik umarły;  
Przez dnie lipcowe panowała mara,  
U nóg jej ludzie snuli się jak karty;  
Bo nad nią cienie śmierci rozpostarły  
Wielkość olbrzymią, był to król narodu.  
I aksamity krew mu z czoła starły,  
Lecz jego dzieci umierały z głodu...  
Zaczął dynastją trupów, był ostatnim z rodu (4).  
1831.

### GODZINA MYŚLI.

Głuche cierpiących jęki, śmiech ludzki nieszczerzy,  
Są hymnem tego świata; a ten hymn posepny,

- (1) Cmentarz Père la Chaise.  
(2) Kościół katedralny Notre-Dame.  
(3) Most Zgody albo Ludwika XVI, z białymi posągami.  
(4) Po wzięciu Luwru na królewskim tronie lud położył trupa.

Zbłąkanymi głosami wiecznie wniebowstępnym,  
Wpada między grające przed Jehową sfery  
Jak dźwięk niesfornej struny. Ziemia ta przeklęta,  
Co nas takim piastunki śpiewem w sen kołysze.  
Szczęśliwy, kto się w ciemnych marzeń zamknął ciszę,  
Kto ma sny i o chwilach prześnionych pamięta.

Trzeba życie rozłamać w dwie wielkie połowy:  
Jedną godziną myśli trzeba w przeszłość wrócić;  
I przeszłość, jako obraz ściemniały i płowy,  
Pełny pobladyłych twarzy, ku słońcu odwrócić,  
I ścigać okiem światła obrazu i cienie,  
Jak lśniące rozprysniętych mozaik kamienie.  
Tam, pod okiem pamięci, pomiędzy gór szczytem,  
Piękne, rodzinne miasto wieżami wytryska  
Z doliny wązkim nieba nakrytej błękitem.  
Czarowne, gdy w mgłę nocnej wieńcem okien błyska,  
Gdy słońce rzędem białe ukazuje domy,  
Jak perły szmaragdami ogrodów przesuwa.  
Tam zimą leżą z lodów potoki rozkute,  
I z szumem w kręte ulic wpadają załomy.  
Tam stoi góra, Bony ochrzczona imieniem,  
Większa nad inne, miastu panująca cieniem;  
Stary, posepny zamek, który czołem trzyma,  
Różne przybiera kształty, chmur łamany wirem;  
I w dzień strzelnic błękitnych spogląda oczyma,  
A w nocy, jak korona kryta żalu kirem,  
Często szczerby wiekowe przesuwa powoli  
Na srobrzystej księżycy wschodzącego twarzy.  
W dolinie mgłą zawianej, wśród kolumn topoli,  
Niech blade uczuć dziecko o przyszłości marzy,  
Niechaj myślami z kwiatów zapachem ulata,  
Niechaj przeczuciem szuka zakrytego świata;  
To potem wiele dawnych marzeń stanie przed nim,  
I ujrzy je zmysłami, pozna zbladłe mary.  
Karmił się marzeniami jak chlebem powszednim,  
Dziś chleb ten zgorzkniał, piotun został w głębi czary.  
Do szkieletu rozebrał zeszcłte myśli ciało,  
Odwrócił oczy, serce już myśleć przestało.

Gdy lampa gaśnie, kiedy piosń piastunek ścicha,  
Kiedy się małe dziecko z kołyski uśmiecha,

Ma sen całego życia... A gdy tak przemarzy,  
Dzieci na świat nieznaną smutną patrzą twarz,  
I bladym przerażają czołem od powicia;  
Smutne pomiędzy ludźmi—bo miały sen życia.

Wśród litewskiego grodu, w ciemnej szkolnej sali,  
Siedziało dwoje dzieci, niezmiészani w tłumie.  
Oba we współzawodnej wykarmieni dumie,  
Oba wątłej postaci, marmurowo biali.  
Młodszy wiekiem nadzieje mniejsze zapowiadał,  
Piers mu się podnosiła ciężkiem odetchnieniem;  
Włos na czole dzielony na ramiona spadał,  
I po nich czarnym, gęstym sypał się pierścieniem.  
Widąc, że włos ten co dnia ręką dziewic gładka  
Utrefiony, brał blaski dziewiczych warkoczy.  
Ludzie nieraz „on umrze“ mówili przed matką:  
Wtenczas matka patrzyła długo w dziecka oczy,  
I przeczyła z uśmiechem; lecz w smutku godzinie,  
Kiedy na serce matki przeczuć spadła trwoga,  
Lękała się nieszczęścia i myślać o synie,  
Nie śmiała wyrzec: niech się dzieje wola Boga.  
Bo w czarnych oczach dziecka płomień gorączkowy,  
Przedwcześnie zapalony, trawił młode życie.

Wśród ciemnej, szkolnej sali, było drugie dziecko:  
Włos miało jasny, kolor oczu lazuruowy.  
Ludzie na niem nadzieje budowali szczytne,  
Pożerał księgi, mówił jak różne narody,  
Do licznych nauk dziennie palące czuł głody,  
Trawił się; jego oczy ciemne i błękitne  
Jak polne dzwonki łzawym kryształem pokryte,  
I godzinami myśli w nieruchomość wbito,  
Tonąc w otchłań marzenia, szły prostymi loty  
Za okresy widzenia, za wzroku przedmioty.  
Gdy patrzył w niewidziane oczyma obrazy,  
Ludzie obłądność w oczach widzieli, lecz skazy  
Żadnej dostrzec nie mogli. Młoda pamięć obu,  
Ogromna pamięć, z myśli uwita łańcucha,  
Świadczyła o istności przedżywotnej ducha,  
A przeczuciami życie widzieli do grobu.  
I nie ich nie dziwiło, co z lat przeszło biegiem,  
I smutni nad przepaści życia stali brzęgiem.



Nie odwracając lica. W ciemnej, szkolnej sali,  
Smutna poezya duszy dała dźwięk uroczy.  
Na ciemnych mglistych szybach zawieszając oczy,  
Wiosną, wśród szmeru nauk, myśleniem słuchali  
Szmeru rosnących kwiatów. A w zimowe pory  
Biegli na błonia białym pogrzebane śniegiem,  
Tam prędkim po równinach zadyszani biegiem,  
Twarze umalowane zimnymi kolorami  
Obracali na stronę, skąd przyjsć miała wiosna,  
I pierwszy powiew pili ustami jak życie.  
Potem, gdy w wiosennego powietrza błękiecie  
W balsamy się rozlała czarna lasów sosna,  
Znudzeni wonią kwiatów zmieszana, stokrotną,  
Wynaleźli woń tęskną, dziką i ulotną:  
Była to woń wierzbami oplakanej wody;  
Z cichej fali wstawiała każdego wieczora,  
Tajemnicze w powietrzu rozlewając chłody.  
Potem jesienią, dzieci wyobraźnia chora,  
Wypalona, igrała z żółtym liściem lasów,  
Smutna, jak w starcach pamięć przeminionych czasów

Serce każdego równą miarę uczuć trzyma,  
Smutna poezya duszy oba serca żywi;  
Lecz wrażeniami duszy odmionnie szczęśliwi,  
Odmionnie czuli. Dziecko z czarnymi oczyma,  
Młodsze wiekiem, natchnieniem dało myśl skrzydłata,  
I wypadkami myśli żyło w siódmym niebie,  
Młodszy marzenia stroił czarnoksięską szata,  
A potem, silną wolą, rzucił je przed siebie,  
I stawały, i widział przed sobą obrazy,  
Od których się odłamał zimniejszym rozumem:  
Więc przeczuł, że marzeniom da kiedyś wyrazy,  
Ze się zapozna myślą z myślonym ludzi tłumem.  
Przed sobą miał krainę duchów do zdobycia.  
Jego towarzyszył, większy nauką i laty,  
Nigdy od krain myśli nie odłamał życia;  
Sprzął razem i powiązał dwa niezgodne światy  
I nieraz go śmiech ludzi, śmiech, co czucia głuszy.  
Budził, i rzeczywistość smutna roztracała.  
Jako posagom nieraz braknie w rysach duszy,  
Posagom jego myśli brakowało ciała.

Dusza, jak w kryształowym zamknięta przezroczu,  
Patrzała na świat dzikiem obłąkaniem oczu,  
Niezupełności wrażeń łamana katuszą.

Nieraz te dzieci myślą dwoistą i duszą  
Składali jedne, piękne całością obrazy.  
W dnie wiosenne, przy ścieżce piaskowej na kwiatkach,  
Gdzie nad nimi różowe rozkwitały ślasy,  
Gdzie wisznie jak dziewice, w białych wiosny szatach,  
Między zarumienione kryły się jabłonie;  
Tam wzajem na ramionach opierając skronie,  
Zamieniali słowami uczucia wzajemne.  
Oni marzeniem księgi rozumieli ciemne,  
Nie rozumiejąc myślą. Z dziecinnego piasku  
Na księgach Swedenborga budowali gmachy,  
Pełne głosów anielskich, szaleństwa i blasku,  
Niebu Tytanowymi grożące zamachy.

Przez tworów państwa snuli myślą dwa łańcuchy,  
W światło zbite u góry, w ciemność spodem zlane;  
Tych ogniwa, jak szczeble wschodów połamane,  
Wiodą w światło idące, albo w ciemność duchy,  
I świat tworów w dwa takie rozłamane ruchy  
Wiecznie krąży. A dusza z iskry urodzona.  
Różnym życiem przez wieki rozkwita, i kona  
Przez długie wieki, biorąc kształty różnych tworów.  
W kwiecie jest duszą woni i treścią kolorów,  
W człowieku myślą, światłem staje się w Aniele.  
Raz wstępny pchnięta ruchem, ciągle w Boga płynie,  
W doskonalszym co chwila rozkwitając ciele.  
Człowiek się silną myślą w anioła rozwinię,  
Ten anioł zachwycaniem w światło się rozleje  
I będzie częścią Boga na żywiołów tronie.  
Lecz męty ziemskie w światła osiadają łonie;  
Jak o spadłych aniołach święte ucza dzieje,  
Ziemiakimi sny ścigani, grzeszą myślą dumy.  
I co dnia, z łona Boga dusz zagasyłych tłumy  
Lecą na ziemię, jak gwiazd zepchnięta lawina.  
Kaźda się w kształty ziemskie kryształa i ścina,  
I rosnącym ciężarem w bieg strącona skory,  
Przechodzi w ludzkie, czuciem zarządzające twory;

I będzie jadem w gadzie, a trucizną w kwiecie,  
 Patrząc na tłumy ludzi na tym ciemnym świecie,  
 Oni widzieli, którzy z łona Boga spadli,  
 I po schodzących szczeblach szli w otchłań i bladli.

W duszy dziecięcej, woli czarnoksiężka siła,  
 Ciągłem myśleniem, ciągłem rozwijana snuciem,  
 Niewyjawiona słowy, często w ludzi bifa.  
 Zaczarowanie wolą nazwali zaczuciem.  
 Bo nieraz wśród ciemnego tłumami kościoła,  
 Którą z klęczących dziewię natrafiwszy losem,  
 Wołał na nią silnie niemym duszy głosem;  
 Wtenczas twarz odwracała od Pańskiego stoła,  
 I pośród tłumy ludzi, jej wzrok w zadziwieniu  
 Nieobłądnie rzucony na twarz dzieci padał,  
 Jak gdyby na wołanie duszy odpowiadał,  
 Jak gdyby ją po znanem wołał imieniu.

Nieraz starszy błękitne topiąc w ziemię oczy,  
 Mówił: „słyszysz, mój luby, jak obecna chwila  
 Pada w przeszłość, rzucając dźwięk tęskny, uroczy;  
 Ona nigdy nie wróci, ona nas nachyla  
 Smutniejszymi twarzami w przeszłość upłynioną.  
 Szczęśliwy! twoje myśli świetniej w słowach płoną,  
 Niż gdy w sercu zamknięte; moje myśli gasną,  
 Słów nie cierpią, lecz nieraz w godzinie tajemnic  
 Tłumnymi słowy w piersiach jak szatany wrzasną.  
 I wołają, ażebym je wypuścić z ciemnic,  
 Abym je wywiódł na świat, słów otworzył drogę.  
 Niech mi świat da poezję, dać mu jej nie mogę.  
 W tłumie myśli mam przepaść wiecznie czczą myślami,  
 Przepaść ciemną, głęboką; napełnić ją życiem...  
 Jeżeli nie wystarczy? biada! ciągłem gniciem  
 Myśl się w martwą przekształca ciemnością i łzami,  
 Staną się myśli grobem, lub umrę przedwcześnie.  
 Słuchaj! wschodnie krainy dziś ujrzałem we śnie,  
 Piękne były, czarowne, nieraz o nich marzę.  
 Widzę słońcem ściemniałe Beduinów twarze,  
 Widzę lasy palmowe, świadki dawnych czasów.  
 Myśl moja, niewstrzymana w te krainy goni,

Chciałbym jak duch w kwicistej roztopić się woni,  
 Chciałbym jak liść nieznaną paść tam w głębi lasów“.

Gdy tak marzył, to wisznie i kwiaty ogrodu  
 Bezwonne przed nim rosły, bo myśl dalej biegła,  
 I wkrótce marzeniami ognistymi wschodu  
 Zamknęła go w płomieni kolę i obiegła.  
 Więc pojechał do wielkiej na północ stolicy,  
 Gdzie długo patrzył w Koran, zwierciadło Kalifów;  
 Albo samotny słuchał wieków tajemnicy,  
 Wymówionej niepewną twarzą hieroglifów.  
 Po trzech latach nauki, miał wziąć kij pielgrzyma.

Przez te trzy lata dziecko z czarnymi oczyma  
 Poznało miłość. Pierwszą i ostatnią była,  
 I najsilniejsza z uczuć, uczucia przeżyła.  
 Widziałem go przy stopach dziewicy—aniola,  
 Czarnymi weni oczyma patrzyła i bladła.  
 Myśląc o dziecku życiu, bo z wielkiego czoła  
 Przyszłość mu nieszczęśliwą jak wróżka odgadła.  
 Więc odwracała oczy, a wtenczas żyła.  
 Przed nią dusza dziecięcia, jako karta biała,  
 Czerniała się na wieki miłością daremną.  
 Ona go chciała wysłać na tę ziemię ciemną  
 Ze wspomnieniami szczęścia, chciała zbroić nimi  
 Przeciwno własnej duszy, i czczym chwilom ziemi;  
 Więc kładła w niego marzeń i myśli tysiące,  
 A słowa jej tak były łagodne, tak drżące,  
 Że we wspomnieniach dziecka złane, dały dźwięki  
 Podobne do miłości zeznanej wyrazu.  
 Ona umiała oczom nadać wzrok rozkazu,  
 I nieraz wstrzymać zamach samobójczej ręki.

On sam od siebie śmierci odsunął widziadło,  
 Dziwnem wynalezieniem cierpiącego życia.  
 On przed sobą przyszłości postawił zwierciadło,  
 I rzucał w nie obecne chwile, i z odbicia  
 Wnosił, jaki blask przyszłe wspomnienia nadadzą  
 Obecny chwilom życia. Taką myśli władzę  
 Śmiech nieraz słyszał, wspomnień powtórzone echem,  
 Smutny i połamany przyszłością niepewną,



I na wesołą chwilę twarzą patrzył rzewną;  
 A nieszczęście przyjmował pół smutnym uśmiechem,  
 Patrząc na nie z przyszłości. Był to wzrok wędrowca,  
 Co w drodze życia wstąpił na szczyty grobowca,  
 I stamtąd ściga mgliste rysy krajobrazów.

Nieraz z dziewicą bory przelatywał ciemne;  
 Gdy pod ich końmi iskry sypały się z głązów,  
 Mówili wzajem myśli głębokie, tajemne,  
 Jak do snu kołysani, marzący jak we śnie.  
 A dziecię, bolem uczuę złamane przedwcześnie,  
 Po takich mowach ludzi chroniło się tłumem,  
 I biegło w ciemne lasy; tam na dzikie wrzosa  
 Kładło się bladą twarzą, sosn słuchając szumu;  
 Tam uspionemu myślą wiatr rozwiewał włosy,  
 A myśli rosły wielkie, ciemne, tajemnicze,  
 Jak gwiazdy ogromnymi płynące obroty.  
 Lub w niebo kładł się twarzą; wtenczas na oblicze  
 Padało światło lasów, promień słońca złoty,  
 Pocięty cieniem liści w marmurowe plamy.  
 A potem w głębiach lasu wichur z szumeni wzbity  
 Nad głową mn odmykał gałęziste bramy,  
 Skąd w ciemne myśli nieba spadały błękity.

Po trzech latach, ów drugi młodzieniec powrócił,  
 Biegły wschodnich narodów tłómaczyć się mowa.  
 W otwarte dziecka ręce z rozkoszą się rzucił,  
 I rzekł: „odjeżdżam na wschód, w krainę palmową“  
 A potem umilkł nagle. O jakże odmienny  
 Od marzącego dziecka; pobladł—jego oczy  
 Oblakane jak dawniej, lecz wzrok miały senny,  
 Widać, że myśl co niegdyś żywiła, dziś tłoczy,  
 I whija go do ziemi; jakaś tajemnica  
 Niedocieczona spała w rysach martwych lic.  
 Mało mówił, i tylko raz, wśród dzikich sosen,  
 Wykrzyknął z oblakaniem: „Ginę marzeń zdradą  
 „Wysyłają mię w kraje bez zim i bez wiosen.  
 „Chcą mię zabić“ a potem uśmiechnął się blado,  
 I resztę zamknął w serca głębokim tajniku.  
 Potem wzięwszy uściski matki, druhów, bratnic,  
 Odjechał—i w drugiego dziecka imionniku,

Zapisał pożegnania wyrazy ostatnie:  
 „Po długich latach, gdy wiek sił ukróci,  
 „Gdy będziesz myślą w złotej przeszłości się stawił,  
 „Wspomnij na przyjaciela, który cię zostawił,  
 „Jak przeszłość zniknął, jak przeszłość nie wróci.“

Wkrótce potem, pamiętam, o księżycu wschodzie,  
 Drugie dziecię wśród ciemnej, dębowej ulicy,  
 Siedziało pochylone przy stopach dziewicy;  
 Z drzew opadały liście, i w całym ogrodzie  
 Zaledwo kilka kwiatów szronami srobrzystych;  
 Na niebie ledwo kilka gwiazd zabłysło mglistych,  
 Księżyc płynął samotny, las szumił daleki.  
 Tego wieczora dziecię ustami drżącymi  
 Anioła snów dzieciennych zęgała na wieki;  
 A potem bladą twarzą upadło do ziemi,  
 Jak zabite słowami, dumnym wstydem drżące.  
 Bo dziecko miało dumę wielkiego człowieka,  
 Przecuciem nakarmioną. Wtenczas lat tysiące,  
 Wtenczas mu w oczach przyszłość stanęła daleka,  
 Świetna okrzykiem ludzi, a z tymi obrazy  
 Obecna chwila czarnym łamała się cieniem,  
 Odrzuconą miłością, dumą, oburzeniem;  
 Serce jak kryształ w setne poroło się skazy,  
 I tak wiecznie zostało. Wszystkie uczucia skarby  
 Ognistej wyobraźni rzucił na pożarcie,  
 Wyobraźnia złotymi rozkwitała farby,  
 I kładła się jak tęcza na ksiąg białej karcie;  
 Lecz nie było w niej wiary w szczęście ani w Boga,  
 Ludzie w nim mieli druha, w myślach świat miał wroga.  
 On, w głębi duszy słysząc krzyk szczęścia daremny,  
 Mścił się, i gmach budował niedowiarstwem ciemny.  
 Ta budowa, ciężkimi myślami sklepiona,  
 Stała otworem ludziom; lecz by się w nią dostać,  
 Musieli wprzód jak wielocy szatani Milтона,  
 Zmniejszać się, i myślami przybrać kartów postać.

Tak w rozstania godzinie młody anioł zginął...  
 Wzniósł twarz, już nad nim młodej nie było dziewicy;  
 Długo dumiał, bo księżyc pół nieba przepłynął,  
 I patrzył drugą stroną dębowej ulicy,

Jak lampa w końcu ciemnej klasztornej arkady.  
 Młodzieniec zadumany patrzył w księżyc blade,  
 Potem nagle uszponą budząc się pamięcią,  
 Wydobył pismo, całą zamknięte pieczęcią  
 I przy księżycu świetle czytał nieruchomy  
 Na nieznanym liście podpis nieznamy,  
 A w głębi listu smutne kryły się nowiny.

„Twój przyjaciel wysłany w piramid krainy  
 „Jako drogman poselstwa, zajechał po drodze  
 „Do przyjaciół rodziców domu, trzy dni bawił,  
 „Niewinnej wesołości długie puścił wodze,  
 „I przy lampie wieczornej powieści nam prawił.  
 „Wczoraj miał dalej jechać... Widzieliśmy rankiem  
 „Jak po jesiennym liściu chodził smutny, cichy...  
 „Potem konie pocztowe brzęknęły przed gankiem;  
 „Potem wielkie, strzemienne podano kielichy...  
 „Zegnał się, za łzy dawał wesołe uściski,  
 „I puharem o nasze puhary uderzył.  
 „Odszedł. Wtem uczujących strzał przeraził bliski,  
 „Tłumem biegliśmy w jego komnatę—już nie żył.  
 „Przez serce przeszła kula, a broń trzymał w dłoni;  
 „Spoczywa na rozdrożu, wśród leśnej ustroni.  
 „Ksiądz grób jego poświęcił, wierząc w zdanie tłumu,  
 „Ze samobójstwo było w młodzieńcu chorobą  
 „Obłąkania, ciemnoty, szalu, nierozumu;  
 „Ten wypadek dom cały napełnił żalobą.“

Oto jest romans życia, niesklamany w niczem:  
 Zabite głodem wrażeń jedno z dzieci konca,  
 A drugie z odwróconem na przeszłość obliczem  
 Rzuciło się w świat ciemny...

1832.

Powieść nieskończona.

## DO MICHAŁA ROLA SKIBICKIEGO

podpułkownika wojsk Rzeczypospolitej kolumbijskiej  
 poświęcając mu powieści wschodnie

MNICHA I ARABA.

I znowu ciebie ziemia przywołuje stara  
 Z Kolumbijskiej krainy, z grobu Boliwara;

Z nowych światów żadnemu nieuległym panu,  
 Gdzie pył tronów nie spada jako proch Wulkanu,  
 I nie pokrywa grodów, ani grom tronowy  
 Szuka pomiędzy tłumem wyższej nad tłum głowy.

Dopóki światów nowych ludzie nie przeczuli,  
 Myśl nie śmiała biec skrajem przewróconej kuli,  
 Na kartach kładł rytownik chmurną dłoń olbrzymia (1).  
 Myślano, że Bóg ziemię tamtą stroną trzyma,  
 Jak czarę wrącom stworzeń napełnioną tłumem;  
 Dopiero Genuieńczyk przeniknął rozumem  
 Tajemnicę tej dłoni i z jej skrzepłych palców  
 Wyłamał świat drzew, złota, brylantów, padalców.  
 Europejska zbrodnia napełniła lasy,  
 Pod Kortezów mieczami padały lukasy,  
 Czarni misjonarze duchownymi berły  
 Z łona muszł zakrwawionych nieraz pruli perły,  
 Potop krwi religijny świat wyludnił młody,  
 Dzisiaj z krwi odrastają zielone narody,  
 Śnać płodne serce nowej ziemi nie ostygło.

Lecz myśl twoja żeglarską obłąkana igłą  
 Zwracała się na północ... Przebywasz otekłanie,  
 Droga, po której niegdyś biegli Luzytanie,  
 Myślą budzisz tajemnicę tłum na dnie koralii,  
 Oczyma Kamoensa czytasz w drżącej fali.  
 I może przed delfinem napierśnym okrętu  
 Powstał duch Luzyady, ów olbrzym odmetu (2),  
 Co niegdyś wróżbą nieszczęśie tłukł Hiszpanów statki,  
 A dziś może ci wróżył śmierć ojczyzny matki.

To ładł czy słyszysz stamtąd, jaki gwar i wrzawa?  
 To stary świat! spróchniały, jak rozbita nawa;

(1) Na kartach, przed odkryciem Ameryki kreślonych, na ogromnej przestrzeni Atlantyku rysowano dłoń olbrzymią z otwartymi palcami. Ta dłoń przerażała rozognioną podówczas fanatyzmem i imaginacją ludzi.

(2) W Luzyadzie olbrzym, duch morza, grozi Hiszpanom i śmierć przepowiada za to, iż odważają się zapuszczać w jego królestwo.



Żagiel, który ją nosił przez wypadków fale,  
 Spróchniał dziś na odległej mórz zatknięty skale;  
 Dziś go ziele zarasta. — Stara, obumarła,  
 Długowieczną płodnością ziemia się pożarła.  
 Walcząc o skąpe reszty płodów się wysieczem,  
 Tu drobnych państw granice karły kreślą mieczem.  
 Z tą dziką ziemią kraj twój porównywał złoty,  
 Tam słońce twarz ociemnia, tu czernią zgryzoty.  
 Jak struś, co głodny gardziel żwirzem pustyni dławi,  
 Tu człowiek kamień wzgardy połyka i trawi.  
 A to, co na świat stary zbladłem patrzy licem,  
 Słońce Europy, pięknym nazwałś księżycem.

Tyś smutny! o szaleństwo! ciemnej twarzy rysem  
 Pobielanych tu grobów stawać się cyprysem.  
 Skłoń lica do uśmiechu, w tej szalonej zgrai  
 Zamaskowana boleść łatwo się utai.  
 Tu śmiech jest znakiem życia... Śmiać się nauczyłem  
 Gorzko; niszczyć się, skonam i nie powiem: „żyłem“.

Lecz twoja dusza marzyć przyuczona szczytnie,  
 Jeśli uschnie obecnie, wspomnieniami kwitnie;  
 Myśl wraca po błękitnym oceanów szlaku,  
 Teraz się wahaś lekko w błękitnym hamaku (1),  
 Tu magnolii róże, a pod palmy cieniem  
 Skrzą czarne oczy światła przecięte promieniem,  
 Jak gwiazdy nad odbieglą od kraju żeglarzem.  
 Teraz płocha z piór złotych uwitym wachlarzem  
 Prysnęła wonią kwiatów, czyta myśli z czoła,  
 Smutna, jeśli uśmiechu śmiechem nie wywoła.  
 Tyś ją opuścił?... jako perła odrzucona  
 Będzie gasła powoli, i zamrze, i skona.  
 Gdy pamięć zadaleko w kraje marzeń wkroczy,  
 Nim ją odwołasz, łzami zalane masz oczy;  
 Lecz te łzy muszą oschnąć w rzeczywistej burzy.  
 Tu świat jak ciemny obłok gromami się chmurzy.  
 Wzmagaj siłę ciężarna, pracującą w ziemi,

(1) Rodzaj krzesła używany w Kolumbii i stosowny do  
 gorącego klimatu tej krainy: jest to siatka jedwabna, zawieszona na dwóch kwiecistych drzewach.

Dawniej fanatyzm, wolność czasy niedawnymi;  
 A gdy się ta rozwiąże, wałem otocz grody,  
 Na prędko-stawnych mostach rzucaj szyk przez wody;  
 Niechaj ulotna para z paszcz działowych gromów  
 Rzuci zgon, nakarmiona pożarami domów.  
 Czy maską tajemniczej zemsty osłoniony.  
 Jak dawny sąd tajemny, w same królów trony  
 Zapozew przed sąd Boga wbij ostrzem sztyletu.

Chcę myśl odbłakać, czytam dziką powieść Wschodu,  
 A choć odbiegiesz treści, dźwięk rymów powrotny  
 Będzie jak szmer fontanny bezmowny, lecz smutny.  
 1832.

#### LIST DO ALEKSANDRA H.

(pisany na łódce nilowej).

Rozdzielił nas gościniec płynnego szafiru:  
 Ty w Tebach, ja dopiero wypływam z Kairu.  
 Spodziewałem się niegdyś, że miło nam będzie  
 Złączyć na Nilu skrzydła okrętów łabędzie;  
 Razem odwiedzać mumij balsamiczne składy,  
 Razem oczy w nilowe rzucać wodospady.  
 I razem, jako dawniej, kończyć spór zacięty:  
 O cień Chrystusa z drzewa przez Woltera zdjęty.  
 Dziś próżno cię wyglądam i próżno mię czekasz;  
 Wiatrem, który mię niesie za toba, uciekasz;  
 A twój brak tak mi serce w podróży oziębia,  
 Zem przedsięwziął do ciebie pisać przez gołębia.  
 Nad Ioniwą więc myślą używając musu,  
 Już zapisałem listem listek papyrusu.  
 Kupecząca ludzkim ciałem łódź, płynąca z Nubii,  
 Dostarczyła posłańca, co błękitem lubi  
 Nosić listy, wracając pod rodzinne palmy;  
 Tak więc piszmy do siebie; przeczytawszy — spalmy.

A naprzód, pytam ciebie, gdzie mułowy wrątek  
 Wezbranych fal na Nilu ma bieg i początek?

Bo gdym o tem rozmawiał z nad-nilowym żeńcem,  
Rzekł mi: „Nimfa, lotusów ustrojona wieńcem,  
„Siedząc smutna pod skałą czarnych Etyopów,  
„Ostrożnie sączy dzbanem ojca naszych snopów;  
„Lecz kiedy się zapatrzy twarzą na koohanka,  
„Wtenczas z przechylnego Nil wybiega dzbanka,  
„Aż się na polach naszych strumieniem roztoczy.“  
Powiedz mi, czy widziałeś tę Nimfę na oczy?  
Czy taka, jak wiezione Abissy na sprzedaż?  
Czy nie zostaniesz przy niej? czy serca jej nie dasz?  
Lękam się, że ta Nimfa do zniknięcia skora,  
Zbliża widziana, w błotne zmieni się jeziora,  
Z których każde w dolinie, bez kwiatów i drzewa,  
Przez rok cały deszczami tropików nabrzmięwa;  
Aż zwiększone ulewą i skalnymi ścieki,  
Rzuci wszystko Nilowi gardłem białej rzeki.

Wreszcie wszystko to twoje „positive“ rozwiąże.  
Ja wiem tylko, że dla mnie — Nil dotąd wód kąpię;  
Piękny, kiedy błękitem wiąże się z palmami,  
Co stoją wiatrem lekko wahane nad waiami;  
Piękny, gdy pokazuje płaskie pustyni lądy,  
Gdzie o słońca zachodzie przechodzą wielbłądy,  
Mrówki pustyni. Piękny dla oka poety,  
Gdy stojące nad sobą białe minarety  
Podwójne i w błękitech pokaże odwrotne;  
Gdy ma senne bociany, jak za Polską smutne;  
A jeszcze bardziej oczy i duszę zachwyca,  
Gdy w nim za-palmowego widzę wschód księżycy.

Piękność Nilu dla ciebie małą jest zaleta,  
Którego Nilem wiodą Strabo i Manetho.  
Epok nie mierzysz dniami, ni wypadków całem.  
Era Franków: „gdy jeszcze cesarz był kapralem“  
Małą dla ciebie, który dziś patrzysz z wysoka  
Dalej, niż ludzie krótszej pamięci i oka.  
Ja także będę z tobą jak w rozmowie szczerzy:  
Należę do liczących czas na krótsze ery.  
Ja chcę prędkich rozkwitnień owoców i zgonów!  
Gniewa mię nieruchomość długa Faraonów.

Dla mnie rzecz mało-ważna i z niczem ta sama,  
Ze Manes był zjedzony przez hipopotama;  
Chciałbym tylko dziś widzieć królobójcze zwierzę.  
Mało dbam, że ze wschodu przybyli pasterze,  
I laski zamieniwszy na berła lub dzidy,  
Kładli na piasku kamień pierwszej piramidy.  
Ze z Egiptu wygnani przez rodzinne syny  
Założyli w Judei straszne Filistyny;  
I tam mniej twardą sztuką stawiali budowy,  
Kiedy Jo hardy Samson mógł rzucać na głowy.  
Jednak widzę wypadek jeden... obiem wiażesz:  
Mojesz królowi wole Jehowy obwieszczał  
Pomiędzy rzedem Sfinków czoło wzniosł ogniata,  
Król go słuca... nad królem słońce idzie mgliste,  
Obłąkano w szarańczy zwiechrzonej motyla.  
Tam dalej Nil, lecz zobacz, co niesie? krew w Nilu!  
Przy tronie Faraona, z pokręconym słupem,  
Stoją królewskie syny... jeden pada trupem.  
Krzyczą matki, pobladły starych ludzi twarze,  
Takich obrazów... stary już świat nie pokaże.

Wielkie czasy, gdy w królów zaniesione lochy  
Z królewskich ciał nie mogły uczynić się prochy  
I stała się na ziemi bogów różnorodność,  
I stała się na ziemi trupów nieśmiertelność!  
I pod ręką wążących glazy robotników  
Zaczynała się wieczność światowa pomników.  
Na ziemi trup odbywał sądzenie Erebu,  
Można było królowi zaprzeczyć pogrzebu:  
A że znalazł się człowiek tak wielkiej odwagi,  
Swiadcą w łonach piramid próżne sarkofagi!

Ten wniosek, może wniosków uczonych nie bliski.  
Rzuciłem w porfirów umarłych kołyski,  
Gdy wejściem pod sklepienia piramidy dumny,  
Przy świeczniku Araba zaglądałem w trumny.  
A ty może zaprzeczysz zdań uczonych różność,  
Rzucając w gadającą piramidy próżność?  
I wielkie ocha, ludzi nie mogą przekonąć,  
Będą w łonie grobowem budzi się i konać.  
Wyznam ci, że mi widać głębiej i wyraźniej



Gmachy stawiane myślą w krajach wyobraźni.  
Jakże się piękną zdaje przy dumań pochodni:  
Makbet, ta granitowa piramida zbrodni!  
Ludziom na nią wchodzącym bledną z trwogi twarze.  
Płaczesz nad Piramidą nieszczęścia w Learze.  
Z niczego, a zazdrością już szatana bliski,  
Otello, jak bodzące niebo obeliski.  
Jeśli gmachy piramid miały otwór ciemny,  
Skąd gwiazdy niebios człowiek wysledzał tajemny:  
W Szekspira gmachach równie zostawiona droga  
Patrzącemu się oku na błękit i Boga.

Jako skarby zakłete, strzeżone przez gryfy,  
Stoją dotąd nieznanie światu hieroglify  
Trup od wieków uśpiony, gdy zeń wieko spada,  
Zdaje się, że w balsamach śpi i przez sen gada,  
Lecz nie możesz zrozumieć! Z długimi przestanki  
Idąc, prawie połowę drogi uszli Franki.  
Już wiadomo, że w tamtą stronę czytać znaki,  
W którą lwy ryte patrzają, w którą lecą ptaki.  
Sto razy napisane Psametyk i Psychon,  
Wyświeciły dziwaczny wieków akrostychon,  
Od zwyczajnego pisma narodów odrodek,  
Złany z liter, wyrazom trzymających przodek.  
Lecz taki sposób pisma miał sobie zaletą,  
Ze pisarz mógł się zrobić w literach poetą.  
Tak w imieniu wrytem nad marmuru brusem:  
L rycersko lwem było, dziewicze, lotusem.

Piękna dziś, gdy się skreśli na łonie błękitu  
Mumia myśli, z jednego wycięta granitu,  
Strażniczka nie myślących grobowców od wieka,  
Która na dawnych panów zbudzenie się czeka  
Z dawnymi wspomnieniami! Kiedy patrzę na nią,  
Chciałbym z tobą wiekową nurkować otchłania;  
Być tam, gdzie pod-palmową zrobiła się chatka  
Sais, będąca niegdyś Ateńczyków matka.  
Pojąc, jak ci wychodnie, nazwawszy się Grecy,  
Od mglistych horyzontów palmowych dalecy,  
Smutni, że kolumn żywych brakowało oku,  
Zaczęli ją z kamienia malować w obłoku.

Porównać Luxor z domem współczesnym Ewandra,  
Egipt dać Persóm, Persów bić przez Ałeksandra;  
Widzieć wojsko w egipskim pogrzebane pyłe,  
Króla, synem Jowisza — i prochem w mogile.  
I Egipt odkruszony w Ptolomejów dłoni,  
Laur naukowy długo noszących na skroni:  
Aż zanurzeni w czasie i wypadków rzekę  
Oddali się z berłami w Cezarów opiekę.

I patrz, człowiek zrodzony w Tentyrze nad Nilem  
W rzymskiej sadzawce walczy z wrogiem krokodylem!  
Płaz olbrzymi nań leci, już go chwytą w paszczę,  
Iłot nań wskoczył, zabił... Koloseum klaszcze.  
Na plażie pokonanym usiada gladyator:  
Palmy, Nil, kolumnowy kościół boskiej Athor,  
Zone, dzieci i chatę przypomniał glinianą;  
Na plażę, pod klaszczącą z żywych ludzi ścianą,  
Oczy zakrył przed ludźmi, czy przed słońca blaskiem,  
I pojął, że się można uragać — oklaskiem.

Wzięty z pomiędzy ruin, prochów, pogorzeliś,  
Poszedł po obcych krajach błakać się obelisk,  
Wygnaniec, już jakoby samolub z kamienia,  
Zebrakowi na czoło nawet... nie da cienia!  
Z nikiem nie gada, stoi myślą w krajach ducha;  
Gdy na księżyc fontanna rzymska pod nim bucha.

Dziś gorsi, i podobni do Mojżesza plagi,  
Cudzoziemcy wynoszą z grobów sarkofagi.  
Anglik dumny w sterlingi zmienione na piastry,  
Rzuca trupy, trumiane bierze alabastry,  
I w Londynie zachwyca zgrają zadziwioną,  
Wstawiwszy świecznik w próżne alabastru łono.  
Rzekłbyś wtenczas, że wszystkie płaskorzeźby rusza  
Chrytusową nauką ożywiona dusza.  
Ze pełny nauk, ciemną przyszłością straszliwych,  
Grobowiec oświecony stał się lampą żywych.

„Niema Go tu“, powiedział anioł Magdaleno,  
Zazierającej w grobu skrwawionego cienie.

Taką odpowiedź tobie Arabcy wyniesą  
Z pustych katakumb: „niema ich tutaj“, lecz gdzie są?

Zamiast balsamu tego, co trupy przechował,  
Chrystus nam Iona naszych dusz nabalsamował;  
I duszę ludzką... duszą namaściwszy własną,  
Uczynił ją na wieki niezgonną i jasną.  
Już na palnie egipskiej naukę zaszczerpił,  
Już się był tym balsamem Egipcyanin krzepił;  
Już z grobowców nauki uczyniwszy pszczelnik,  
Na Tebaidzie święty zamieszkał pustelnik,  
Czyniąc mogiły... wiary podobne latoraiom,  
Gdy Omar straszny głowom, gmachom i księgaraiom,  
Kraj, sto razy różnymi pługami przeoran,  
Pod ognisty proroka dał butat i koran!

Lecz dosyć już, bo sędzę, nowy księżyc przyjdzie  
Oświecać nas w grobowców pełnej Tebaidzie;  
Tam niech inni o życia rozmawiają fraszcze,  
Pałac świecę w poźółkłej pustelnika czaszce.  
My, chcąc pojąć, jak niegdyś żyli ludzie sławni,  
Staniemy się myślami i rozmową dawni,  
Aż się tak obłąkamy w wypadkowym lesie,  
Jak w palmach biały gołąb, co ten list poniesie!  
1836.

## POEMATY.

HUGO.

I.

U c i e c z k a.

Młoda dziewica dziś w klasztornym murze  
Bogu na całe poświęcona życie,  
Gdy odrzucała świeże wianku róże,  
Ezy z pięknych oczu płynęły obficie;  
Gdy pod całunem legła na marmurze,  
Ustało prawie drżące sorca bicie;  
Ezy już nie płyną, lecz bladeść straszliwa  
Jak w chwilę śmierci jej lica pokrywa.

Już mrok zapadał, już wieczorno chłody  
Wróciły niebu barwy lazuruowe.  
Przed krzyżowymi kryjąc się narody,  
Stońce skwarami utrudzoną głowę  
Chowało w morza Bałtyckiego wody;  
Lecz nim się skryło w fale burzstynowe,  
Zajrzało w gmachu zasępienie skrzydła  
Przez szyb kościelnych ciemno malowidła.

Już lud ze świętych wychodzi podwoi,  
Skończone boskich tajemnie ofiary.  
Czemuz ten rycerz nieruchomy stoi,  
O marmurowe oparty filary?



Twarzy nie widać, ale znać ze zbroi,  
Ze to obrońca chrześcijańskiej wiary.  
Lecz w noc tak późną czegoż jeszcze czeka,  
Gdy wszyscy wyszli, on odejście zwleka?

Stał nieruchomy, jako posąg z glazu,  
Co strzeże grobów zimnego marmuru.  
Tam coś mignęło? — nie, to błysk obrazu,  
Co tak pozłotą odbija od muru.  
Jakiś szmer słychać — to odgłos wyrazu  
Cichej modlitwy, przyniesiony z chóru.  
A rycerz zadrżał, to może ze strachu?  
W tak ciemną porę! w tak pośepnym gmachu!

Już księżyc wstąpił na niebieskie smugi,  
I patrzył w ciche klasztoru ustronie.  
Wychodzi rycerz, z rycerzem ktoś drugi;  
Oba skoczyli z pośpiechem na konie;  
Pewnie miał giermka, paźiś do posługi;  
Lecz czemuż pędzą tak śpiesznie przez błonie?  
Czemuż tak prędko z bitej zeszli drogi,  
Biorąc się w lasy i dzikie odłogi?

Z początku żadnej nie wiedli rozmowy;  
Starszy ostrogą zachęcał rumaka,  
A potem nagle gniew gorzkimi słowy  
Wyrwał się z piersi gorącej krzyżaka:  
„Z radosnem sercem jam rzucić gotowy  
„Kraj ten przeklęty; chciałbym lotem ptaka  
„Z miejsc tych ulecieć, kędy mojej głowie  
„Grozą tajemnych wyroków sędziwio.

„Lubię zakonu turnieje, gonitwy,  
„Ale nie znoszę szpiegów tajnej sprawy;  
„Od nich uciekam w kraje dzikiej Litwy;  
„Lasy mi słodsze nad ciągle obawy.  
„Jagiełło z bratem toczą krwawe bitwy.  
„Przyzwał nas w swoje odległe dzierzawy;  
„Już zamek Trocki do niego należy,  
„I tam krzyżackich osadził rycerzy.

„Tam ja nad braćmi zakonu przewodzę,  
„Śledzę Litwinów i spraszam biesiady;  
„A ufny w silnej i licznej załodze,  
„Wrogów choć licznych nie lękam się zdrady:  
„I sąd, co trzymał mych czynności wodze,  
„Puścić jo musiał i stracił ich ślady.  
„W Litwie podstępem zdrady nie otoczy,  
„W Litwie nie dojrzy, choć ma bystre oczy.

„Oto krzyżackie zniknęły klasztory,  
„I błyszczą Niemen szeroki przed nami!“  
Zaraz się w rzekę rzucił rumak skory,  
Parskał i pianę miewał z wód pianami.  
Na drugim brzegu czerniły się bory,  
Srebrnymi nocy uwieńczone mgłami,  
Księżyc pośepny, płonąc na zachodzie,  
Długim się słupem srebrzył w Niemną wodzie.

Nim je grom spali, nim je ludzie wytną,  
Piękne są bory, cudny las sosnowy!  
Tysiączne kwiaty w jego głębiach kwitną,  
Wiatr tajemnicze prowadzi rozmowy;  
Tam dzwonki barwą błyszczą się błękitną,  
Owdzie kobierce ścięte wrzos różowy,  
Przez takie bory zarośnięte wrzosem,  
Prędkim tętniły kopyta odgłosem.

W pośpiechu szybko mijają rycerze  
Rozległe księżąt na Lidy dziedziny.  
Z wschodzącem słońcem witały się wieże,  
Choć cień pod zamkiem zalegał doliny;  
Ze słońcem jeźdźców migały puklerze,  
Słońcu nadbrzeżne kłaniały się trzciny;  
Nie jeden pączek przed słońcem rozkwita,  
Błyszczą się ziemia kwiatami okryta.

Lecz prędko szybkie przemknęły rumaki,  
Znikł obraz Lidy jak senne marzenie,  
Znow ciemne bory, zarośla i krzaki,  
I jednostajne rumaków tętnienie.  
Słońce, przebiegłszy lazuruwe szlaki,  
Już za Ponary chowało promienie;

Już cień na ziemię spuszczał się ponury,  
Gdy starszy Krzyżak wskazał zamku mury,

„Patrz! oto pyszna Kiejstutów stolica,  
„To ich dzierzawy, kędy zajrzysz okiem.  
„Nad zamkiem wieża, to pogan kaplica;  
„Tam między gęstym kadzidła obłokiem,  
„Boga piorunu szczerozłote lica  
„Patrzą się jasnym, brylantowym wzrokiem.  
„Widzisz to wielkie błękitu przestworze?  
„To Trocki zamek! a to Trockie morze!“

II.

Rycerz sądów tajemnych.

Stokroć weselsze są Malborga gmachy,  
Niż te posepno Kiejstuta komnaty;  
Ani je srebrne rozjaśniają blachy,  
Ani kobierców złocą jasne szaty.  
Sala zamkowa jak głuche więzienie,  
Wiatr po niej szumi i wolno przewiewa,  
Jej głębie wieczne zalegają cienie;  
A setne z ziemi wybiegłszy filary,  
To się zrastają jak altany drzewa,  
To się znów, dzieląc na setne konary,  
Wspierają różno łamane sklepienie;  
A okna cięte w gwiazd rozlicznych wzory  
W dzień dają światło słabe jak o świcie,  
Inne, okragłe lánia w tęczy kolory.  
Dziś okna, jutro strzelnice w potrzebio.  
A jedno w sklepión zasepionych szczycio  
Tak błyszczący zdala, jak miesiąc na niebie.

Choć noc głęboka, choć w tak późnej chwili,  
Jeszcze się lampa w ciemnym gmachu pali;  
I dwaj rycerze czuwają na sali,  
Dwaj, którzy wczoraj jeszcze z Prus przybyli.  
Starszy miał szyszak i pancerz stalowy,  
I płaszcz szeroki z wizerunkiem krzyża;

A ile razy do światła się zbliża,  
Na piersiach miga krzyż dyamentowy,  
I miecz u boku obosieczny, długi.  
Znam go! to komtur zakonu krzyżaków,  
To młody Hugo... Lecz kto jest ten drugi!  
Ile z widocznych poznać mogłem znaków,  
Nie miał on jeszcze ostrogi rycerza,  
Ani swej piersi krył ciężką kolczugą;  
Ubiór miał pazia, lecz pan mu się zwierza,  
Pan z nim rozmawia nie tak jak ze sługą.  
Słowa Hugona skryte, tajemnicze;  
Często na pazia spogląda oblicze.  
Bo też oblicze tak piękne, czarowne,  
Spojrzenie pazia tak czułe, dobitne,  
I oczy, jasno jak niebo błękitne,  
Cmią długie rzesy, gdy nadto wymowne;  
Włos jego splywa w złociste pierścienie,  
Ale na twarzy smutek, zamysłnienie.

Jakiż to rycerz w tę porę przybywa?  
Czarną miał ściśle zamkniętą przyłbicę,  
I czarny pancerz i naramiennice.  
Olbrzymią postać żelazo okrywa,  
Schylił się, wchodząc pod wielkie filary,  
Stanął w milczeniu i załamał dłonie.  
„Czegoś tu przyszedł?“ — rzekł Hugo ponuro.  
„Czyś jest brat rycerz chrześcijańskiej wiary?  
„Co mi przynosisz?“ — „Twoje śmierć, Hugonie!“  
Czoło komtura okryło się chmurą,  
I rzekł do siebie: „Wybadać go muszę“...  
„Twa mowa, bracie, śmiercią mi zagraża?  
„Czyliś gdzie widział Bodelszwingu gruszę?  
„Czyli z Saudkirchen powracasz cmentarza?“ (1)  
Na te nazwiska rycerz spuścił dłonie,

(1) Pod gruszą Bodelszwingu i na cmentarzu Saudkirchen odbywały się wielkie sądy trybunałów tajemnych. Cała powyższa rozmowa jest wyszczególnieniem znaków tajnych, po których sędziowie ukrytych zbrodni, jak dzisiejsi wolnomularze, poznawali się pomiędzy sobą.



I milcząc, tylko dwakroć głowę skłonił.,  
Pielegnowany troskliwie w wazonie  
W oknach zamkowych kwiat róży się płońi (1).  
Zerwał go Hugo i rycerza bada;  
A rycerz milczy, milcząc wziął kwiat róży,  
Do piersi niesie i do ust przykłada.  
Czoło Hugona posepniej się chmurzy,  
Zgasły na licu rumieńca szkarłaty;  
Ale dowodów jeszcze nowych szuka.  
„Powiedz, rycerzu, czyliś jest bogaty?  
Gdzie twoi bracia? Gdzie twoja rodzina?“  
„Bogactwem mojem jedna złota sztuka,  
„Bogactwem mojem są trzy miary wina (2);  
„A brat mój tutaj na mieczu wyryty;  
„W jednej ma ręce wieniec z róż uwity,  
„A w drugiej sztylet, co w krwi wroga tonie,  
„Tacy rycerze są braćmi moimi,  
„Taka rodzina jest w Czerwonej ziemi (3),  
„Czy dosyć na tem? czy znasz mię, Hugonie?“

„Znasz mnie! i dom mój i moją rodzinę.  
„Słuchaj więc, krótko są wyroku słowa:  
„Zbrodnia spełniona i kara gotowa.  
„Znasz wielkość zbrodni, umrzesz za godzinę!  
„A ty! co pazia pożyczasz ubioru,  
„Ażebym kazić ludzi świętej wiary;  
„Tam, skąd przybyłaś, wracaj do klasztoru,  
„Tam cię czekają wstyd, hańba i kary“.

Wyszedł, a Hugo jak ze snu się zbudził.  
„Czy słyszysz, luba, odgłos jego kroków?  
„Słyszysz! to poseł okropnych wyroków!  
„On mi śmierć przyniósł, gdy się szczęściem ludzi,

(1) Róża była godłem trybunałów.

(2) Każdy przyjęty do bractwa tajnych sędziów, powinien był wykupić się jedną złotą sztuką i trzema miarami wina.

(3) Tak nazywała się Westfalia, główne ognisko trybunałów tajnych, a nazwanie to wzięła od czerwonego koloru swoich herbów.

„O, łatwiej! łatwiej było skonać wczora,  
„Dziś szczęśliwшему trudniej mi umierać.  
„Patrz! księżyc zaczął przez szyby przezierać,  
„Słyszysz, jak szumią tam fale jeziora;  
„Księżyc mię żegna, żegnają mnie fale.  
„A sen mój jaki będzie za godzinę?...  
„Lecz próżno! próżno! ja marać nie zginę!  
„Mielizby życiem zarządzać zuchwale?  
„Czekaj tu, Blanko, zostawiam w tej sali  
„Ten płaszcz; on w boju płałaby mi dłoń,  
„Ten hełm z piórami z nadto kruchej stali,  
„I miecz ten nadto lekki na ich głowy.  
„Weź, moja luba, i krzyż brylantowy,  
„On długo, długo błyszczał mi na łonie,  
„Może ci kiedy przypomni po zgonie...  
„Nie, ja żyć będę, chcę żyć, moja luba!  
„Wszak jam w krzyżackim zhodował się domie,  
„I nieraz sławy szukałem za domem;  
„Mam miecz, co zdziwiał Polaków ogromem;  
„Mam zbroję, której stał tak twarda, gruba,  
„Ze ją żelazo żadne nie przelomie.  
„Gdy się tak Hugo na boje ustroi,  
„Nie wydrą serca z pod żelaznej zbroi.“<sup>1</sup>

„Jest jeszcze inna ocalenia droga:  
„Może w świątyni pogańskiego boga  
„Można się ukryć w jej lochach podziemnych.  
„W kryptach przechodach i kryjówkach ciemnych;  
„Ta droga bardziej pewna i ostrożna,  
„Wszak zdradą zdrady uchronić się można.“

To rzekł i wyszedł. Straszna zbroję wkłada,  
W której już nieraz występował w szranki;  
Potem zbiegł szybko przez zakryte ganki,  
Do świątyni boga, który gromem włada.  
Tu ogień Znicza dymny i ponury,  
Czarne filarów łamały się cienie.  
Szedł rycerz, ciemno przeglądając mury,  
Może w tych murach tajemne schronienie  
Zbiegów bezpiecznie do switu zatrzyma?  
Lecz przebóg! zdrzał: kamienne bożyszczka,

Stojąc wokoło święconego zgliszcza,  
Zywymi w niego patrzyły oczyma.

## III.

## Z g o n.

Nadeszła straszna godzina wyroku.  
Znów wszedł do sali mściciel tajnych zbrodni,  
Wszedł pod filary i zatrzymał kroku.  
Przy świetle bladej tlejącej pochodni  
Na dłoni rycerz oparty spoczywa,  
Ofiara śmierci. Znany płaszcz komtura  
Z posępnym krzyżem na barkach mu splywa;  
Na helmie znane kołyszą się pióra,  
I dobrze znany krzyż na piersiach miga,  
I dobrze znany miecz u jego boku.  
Lecz czyliż męstwo tak prędko ostyga?  
Hugo ów śmiały, męzny przed godziną,  
A teraz śmierci lęka się widoku?  
Dlaczegoż kryje lica w obie dłonie,  
Czy łzy zastania, co po twarzy płyną?  
Cichość ponura. „Czyś gotów, Hugonie?  
Biada ci! milczysz?“ Błysnął zamach stali.  
Krzyżak się długo nad trupem nie bawił,  
Sztylet mu w piersiach rozdartych zostawił,  
Spojrzał i z wolna wyszedł z krwawej sali.

Lecz przebóg! drzwi się otwarły zarazem,  
Wszedł młody rycerz. To on! Hugo młody!  
Cały hartownem odziany żelazem,  
Męstwem młodzieńcze płonęły jagody.  
Wszedł, spojrzał bystro: „Blanko! Blanko droga!  
„Poco ten ubiór? te pióra? ta zbroja?  
„Czemu tak milczysz? Ach! na miłość Boga,  
„Odpowiedz słowol droga! luba moja,  
„Odpowiedz słowol przebóg, twarz jak sinai;  
„Jej dłoń jak zimna! i szklisty blask oka!  
„I sztylet w piersiach! Więc biła godzina!  
„On był tu!...“ Zamilkł, tak boleś głąboka  
I żal tak ciężki jego serce ścisną!

Piersi pracują jak wzburzone fale;  
Na chwilę w oczach płomień zemsty błysnął,  
Lecz go zgasiły nowe łzy i żale.

„Może myślała Blanka nieszczęśliwa,  
„Że mnie swym zgonem od zgonu zachowa?  
„Nie, kiedy szczęścia zerwane ogniwa,  
„Ja mam żyć? luba, bądź zdrowa, bądź zdrowa!“

Kaięząc nad rankiem srebrzył zamku wieże,  
Niech on nam powie dalszy los Hugona.  
Zbójcecy sądów zniknęli rycerze,  
A straszny losem pana przerażona  
Cała się służba rozbiegła z wieczora...  
Hugo już nigdy nie powstał w zakonie.  
Gdzież się więc podział? niech powiedzą tonie!  
Niech mówią Ninfy Trockiego jeziora!  
Płakały po nim, a gdy z nocy końcem  
Słońce promienną ukazało głowę.  
Długo w dzień jeszcze ich łzy brylantowe  
Na srebrnych liściach lśniły się przed słońcem.  
1829.

## M N I C H.

## Powieść wschodnia.

Jeden z braciszków zakonu w klasztorze na górze Sinai  
w Arabii, trudniący się, zwyczajem średnich wieków,  
przepisywaniem dzieł starożytnych pisarzy, na ostatniej  
karcie przepisanej księgi dodaje następujące słowa.

W samotnej celi w Sinaju klasztorze  
Czekam posępny, aż wiek mój przeminie.  
Modłę się, patrząc na Czerwone morze,  
Albo na skwarne Arabów pustynie.  
Oto jest owoc pracy zakonnika;  
Oto na białym księgi pargaminie.  
Co się na klamry srebrzyste zamyka.  
Są dzieje Rzymian, są dumania Greków,



Wskrzeszone myśli, które się zatarły.  
 Wskrzeszona pamięć dawnych wielkich wieków,  
 Które bez pisma jak ludzie pomarły.  
 Moja to praca nadal je zachowa,  
 Pod mojem piórem wzrastały wyrazy.  
 Różnie barwiłem początkowe słowa,  
 Po ścianach błyszczą święcone obrazy.  
 Purpurę, złoto i drogie błękity  
 Łączyłem cudną malowidła sztuką.  
 Księga ta będzie dla wieków nauką,  
 Księgę tę pisał mnich w celi ukryty.

Oto została karta nieskalana,  
 Zapiszę na niej zdarzenie klasztorne.  
 Było to w roku — Narodzenia Pana —  
 W dniu, gdyśmy zbójców odparli napady;  
 Gdy już uciekły modlitwy wieczorne,  
 Stałem przy łożu śmiertelnem z gromnicą,  
 Brat jeden konał, posepny i blady,  
 Tak pod spowiedzi mówił tajemnicą:

### Spowiedź mnicha.

#### I.

W zakonnej celi pod habitem mnicha  
 Konam samotny. Włóż kamień pod głowę,  
 Niech na nim zasną. Noc ciemna i cicha.  
 Myśl moja wyschła jak źródło stepowe,  
 Ja sam jak palma usycham i więdnę.

Niegdyś na czele pokolenia ludu  
 Ścigałem w piaskach z płócien miasta błędne.  
 Niegdyś szczęśliwy wśród nędzy i trudu,  
 Pogardy okiem patrzyłem na nędzę.  
 A gdy mnie rozpacz przyceśniła gwałtowna,  
 Nie zwykłem jęków tłumić pod namiotem;  
 Sam cierpiąc, drugim cierpienia oszczędzę,  
 I cisnę sztylet; stał jego hartowna,

Tak można było pisać na nim złotem (1),  
 Jako ty piórem piszesz w swojej księdze.

#### II.

Marzyła dusza. Ileż razy w spieki  
 Ścigałem w stepach znikome obrazy;  
 Często myślałem, że już niedaleki  
 Odpocznę w cieniu kwiecistej oazy;  
 Płochę to było i marne złudzenie.  
 Ale raz z wiatru zachodnim powiewem  
 Doszło mię dzikie, melodyjne pienie,  
 Wypuszczam konia i gonię za śpiewem.  
 Śpiew ten brzmiał w niebie, na ziemi, dokoła,  
 Coraz doganiam wyraźniejsze tony;  
 Wkrótce ujrzałem złoty krzyż kościoła,  
 Tym smutnym śpiewem brzmiały wasze dzwony.

Wchodzę, stanąłem przy ciemnym filarze,  
 Już nie pamiętam wrażenia tej chwili.  
 W oczach się lśniły złociste ołtarze,  
 Wyście śpiewali i światła palili.  
 Ściana jak niebo gwiazdami okryta;  
 Każda kolumna jak palma stepowa,  
 A na jej czole złoty liść rozkwita,  
 A pod jej stopą skała marmurowa.  
 Promień z barwionych bijąc szyb kościoła,  
 Niósł z sobą obraz na szkle malowany,  
 A potem w dymie kadzideł zbląkany,  
 W mglistych błękitach utworzył anioła;  
 Nie znałem wówczas sztuki malowidła,  
 Widziałem tylko, że anioł nademną  
 Roztaczał złotem malowane skrzydła,  
 Spływał i patrzył w duszę moją ciemną...  
 W ten czas rzuciłem ojców moich wiare...

(1) Jest to oznaką prawdziwej damasceńskiej stali, iż potarta złotem, zatrzymuje na powierzchni ślady kruszcza.

III.

Ty mówisz, mnichu, że to dzieło cnoty?  
 Ale Bóg ciężką zesłał na mnie karę:  
 Dni moje gorzkie zatrwały zgryzoty,  
 Wszyscy odbiegli, bracia się zaparli,  
 Sam ojciec przeklął... „Idź, wyrodne dziecię!  
 Idź w świat i zostań sam jeden na świecie!”  
 Przeklął, i wszyscy przedemną pomarli.

IV.

Jej piękność wiecznie tkwi w sercu wyrwał  
 Piękność dziewicy jest jak piękność kwiatu,  
 Cudnie się błyszczy, lecz prędko przekwita.  
 Ale gdy róża strojna w liść szkarłatu  
 Utonie kiedy na mogiły piasku,  
 Jeśli ją tuman nakryje stepowy,  
 Róża w nim uschnie, lecz nie straci blasku;  
 Wiecznie zachowa swój liść rubinowy,  
 Jak gdyby wczoraj rosła wśród oazy,  
 Jak gdyby wczoraj zerwana na błoni;  
 Tak postać Zary kwitnącą od skazy  
 Mogiła myśli gasnących ochroni...

Pamiętam dotąd jej dzieciinne słowa.  
 Patrząc na śnieżne gór Iranu szczyty,  
 Raz mnie pytała: „Tam, pod gwiazd błękity,  
 Co to za lampa błyszczy kryształowa?  
 „Patrz, jakim blaskiem gór wierzchołek spłonał;  
 „Zapewne księżyc w ich łono utonął,  
 „I w alabastrach błyszczy się ukryty...”

Nie przeszła chwila, już byłem na górze  
 Wśród śniegów lodu; i w tak prędkim biegu  
 Wróciłem nazad, że doliny róże  
 Kwitły utknięte w wazonie ze śniegu.

V

Ja miałem brata... Całe pokolenie  
 Było mi niegdyś jak wierna rodzina,

Dzieliło razem i głód i pragnienie;  
 A teraz każdy z braci mię przeklina,  
 I chce mi szkodzić jawnie lub obłudnie.

Raz zapędzony na łowach daleko,  
 Wracałem w skwarne pustyni południe.  
 Koń mój z pod kopyt miotał piasek wrący,  
 Chwiał się znudzony pragnieniem i spieką,  
 W rozwarte nozdrza chwytał wiatr gorący.

Wtem jedzie Arab przez pustyni błonia,  
 Rzekłem do niego: „Słuchaj, bracie młody!  
 Musisz mieć wodę, daj mi kroplę wody.  
 Widzę, że pełne twe juki podróżne,  
 „Wody! nie dla mnie, lecz dla mego konia“.

A on mi na to: „Czary moje próżne,  
 „Ostatnia pełna, ciskam ją o głazy;  
 „Umieraj, zdrajco! Giaur niech nie żyje!  
 „Gdybym gdzie wiedział pobliskie oazy,  
 „Z których ty pijesz, albo koń twój pije,  
 „Zatrulbym wody—Bogdaj nie ochłódno  
 „Niebo, skąd chłodu twa dusza wygląda“.

Krzyknąłem wściekły: „W żywocie wielbłąda  
 Dla mego konia znajdę wody źródło!“

I oba zbrojni zwarliśmy się razem,  
 Jako dwa wichry wśród piasków tumanu.  
 Upadł przeciwnik przebity żelazem...  
 Koń mój pił wodę!!! Turban wroga złata,  
 Patrę się, przebóg! ta twarz z pod turbanu  
 Dobrze mi znana—Już nie miałem brata.

VI

Lecz koń mi został i biegł przez pustynie,  
 Koń, który myśli Araba przenika.  
 Jak strus na stepach, gdy skrzydła rozwinie,  
 Ledwie się ziemi stopami dotyka;  
 I grzywa konia z wiatrami igrała.



Lecz przebóg! koń mój chwije się, upada.  
Patrz! a w piersiach tkwi zbójceka strzała...

Ojezo mój! Ojeze! okropna to zdrada!  
Tę strzałę w twoim widziałem kolezanie!

Rumaka mego przeszło śmierci drganie,  
Parsknął i głowa na piasku zaległa.  
Wtenczas spojrziałem na pustyni błonia,  
Pierwszy raz mi się zdała tak rozległa...  
Stepy bez końca... Już nie miałem konia.

### VII.

Patrz! czy to śmierci postaniec ponury  
Wleciał do smutnej celi zakonnika?  
Motyl nie strojny w złoto ni w lazury,  
Ledwo z jedwabnej dziś zmartwychwstał truny,  
I znów tak blisko pogrzebu świecznika.  
Skrzydła czernieją jak zmartwych całuny,  
**I ma** na skrzydłach pisany gniew boży (1)  
Co mu tak cięży, że je w ogniu pali...  
Tak dziki Arab, gdy się los rozsroży,  
W dzień jest spokojny i zatłumi jęki;  
Lecz gdy noc ciemno przywdzieje zastony,  
Lśni przed nim jasność samobójczej stali,  
Patrzy posępny na niebios sklepienia,  
Twarz ma poblada i wzrok zapalony,  
I widać drżenie wstrzymywanej ręki,  
Silne jak drżenie głodu lub pragnienia.

### VIII.

Piękny nasz kościół! u stóp jego wały  
Spienione miecą na głazy ukropy;  
Stoi na skale, jego krzyż nad skały  
Jak ptak uleciał aż pod nieba stropy;

(1) Na skrzydłach wielu motyli a mianowicie szarań-  
czy, znajdują się niowyraźne znaki: lud prosty wierzy, iż to  
są litery arabskie i że zawierają napis: gniew boży.

A cudne palmy, pustyni królowe,  
Przy nim się zdają jak powiewne zioła;  
Czołem zmiatają ganki marmurowe,  
Jak gdyby chciały w prochu złożyć czoła..

Lecz wczoraj! wspomnij godzinę przestachu,  
Kiedy na kościół napadli Arabcy.  
Straszliwy odgłos rozbił się po gmachu,  
W klasztornej sali zebrały się mnichy  
Ale cóż znaczył mnichów odpór słaby?  
Już miano wydać kościelne kielichy,  
Gdy ja stanąłem: „Bracia! czyż niegodnie  
„Mamy się poddać? niech nas Bóg osmiela!  
„Weźcie do ręki psalmy i pochodnie  
„I czarne szaty i krzyż Zbawiciela“.  
Rzekłem, i zbrojny rzuciłem się pedem  
W sam tłum Arabów, niostem ślepe ciosy.  
Za mną się światła snuły długim rzędem,  
I brzmiały hymnów pobożne odgłosy.  
Pod mieczem mnicha legł nie jeden zbójca;  
A kiedy wodza spotkałem na błoni,  
Mnichu, widziałeś! on poległ z tej dłoni;  
W twarz mu zaglądam... Już nie miałem ojca.

A gdy nieszczęściu nie mogłem uwierzyć,  
Rzekł mi konając: „Synu! kryłem lica!  
„Abyś się w boju nie wahał uderzyć,  
„Abyś wyrzucił sobie śmierć rodzica.  
„Teraz, gdy możesz! teraz zapominaj  
„O zmartwych, ciesz się z tymi, co zostali...  
„Ona... umarła... od zgrzyzoł? od stali?  
„Nie wiem, nie pytaj... lecz ojca przeklinaj!“

### IX.

I pokolenie płacze po swym królu;  
A jam ostatni z królów pokolenia,  
Jako pszczoła matka gdy w wymartym ulu  
Siedzi posępna nad córek grobami,  
I sama szuka grobowego cienia.  
Ale lza moja pamięć przodków plani.

Myśl moja niegdyś tak cudna, skrzydlata,  
 Błąka się w zbrodni i jak kwiat przekwita,  
 Dzisiaj w księżycu widziałem twarz brata;  
 Lecz kiedy oko podobieństwo czyta,  
 Znowu spostrzegłem rysy ojca twarzy;  
 I znów się głębiej oko moje wkrada,  
 I znowu patrzy, znowu dziko marzy:  
 Z łona księżycy wykwita twarz blada,  
 I znów poznałem... to były jej rysy;  
 Smutne pamiątki wzrastają bez końca,  
 I tak się krzewią jak czarne cyprysy;  
 Już duszy mojej odjęły blask słońca.

X.

To moje życie... Teraz śmierć się zbliża  
 I w sercu czuję nieznana tęsknotę;  
 Wyznam ci, mnichu, choć ściskam znak krzyża,  
 Noszę na piersiach amulety złote (1),  
 Przez nią mi dane, jej ostatnie dary  
 A w nich koranu drzemie myśl zamknięta,

Nie drzyj... myśl godna chrześcijańskiej wiary,  
 Tak mówi prorok: „Dusza wiernych święta  
 „Niechaj miłością nieonawisz odplaca;  
 „Niech jako muszla srebrzystego łona,  
 „Kiedy pod ciosem chciwych ludzi kona,  
 „Morderce swoje perłami zbogaca“.  
 Mnie przyjaciele zdradzili najszczerzi...  
 Mnichu, ty gniew mi ukazujesz z czoła,  
 Więc zerwij, zerwij talizmany z piersi!...  
 Muzułman, gdy się z amuletem dzieli,  
 Słyszy ostatnio westchnienie anioła...  
 Zerwij!... Co słyszę! czy to wiatr w tej celi,  
 Smutnie zaszumił?... Słyszałem westchnienie!

(1) Amulety są rodzajem talizmanów, urobione z drogiogo kruszcu zamykają najczęściej wiersz koranu.

XI.

Cień dziewicy arabskiej.

Ciebie głos westchnień stłumionych zasmucił?  
 Zniknęłam niegdyś jak senne marzenie,  
 A obraz drżący i zbladły powrócił  
 Do twojej myśli, gdy masz zawrzedć oczy,  
 Aby cię znowu do snu ukotłusał.  
 Pomyśl! sen wieczny wkrótce cię otoczy,  
 A ty się wiersza pozbywasz koranu?  
 O luby! pomyśl, kto ten wiersz napisał!  
 Wspomnij na piękne krainy Iranu!  
 I patrzaj na mnie... tu jestem, tak blisko!  
 Czyliż ci moje nie znane wyrazy?...

Pamiętasz skwarów stepowych igrzysko,  
 Te cudne, błędne pustyni obrazy,  
 Których cień miły podróżnego nęci,  
 A gdy się zbliży, we mgłach się rozplywa (1);  
 W nich teraz żyje, w nich cień mój urzeczywala,  
 Błady jak iskra gasnącej pamięci.

Oto przybyłam na blasku księżycy,  
 Patrzaj! cień Zary ciebie nie przerazi;  
 Śmiertelna bladeść twarzy mi nie kazi.  
 Chciałam być piękną, ukraśniałam licą  
 Kolorem róży czarownego kraju;  
 Chciałam być piękną, ożywiłam oczy  
 Promieniem rosy; woń moich warkoczy  
 Jest tak łagodna, jak technienie róż maju.

Pomyśl, mój luby! chwila już się zbliża,  
 Czyliż być mamy wiecznie rozłączeni?  
 Odrzuć daleko ten czarny znak krzyża!  
 On nas rozdziela, odrzuć go daleko!

(1) Wielu podróżnych wspomina o tych dziwnych zjawiskach przyrodzenia. Pielgrzym dręczony pragnieniem często spostrzeże w pustyni niedaleko jeziora, a nawet obrazy palm, które za zbliżeniem się wędrowca nikną... Są to może krainy duchów.



Pójdziemy błędzić — para błędnych cieni —  
 W błędne krainy... Tam przed skwarną spieką  
 Wiecznie nas skryją z mgły uwiane drzewa;  
 Wśród kwiatów źródła z sennym szmerem płyną,  
 Jaśmin srebrnymi kwiatami powiewa;  
 Inne tam słońce lśni nad tą krainą,  
 Inny tam księżyc srebrzysty jaśnieje;  
 Jak eter czyste wody kryształowe,  
 Czarne cyprysy i drzewa palmowe;  
 A wiatr liściami wonnych kwiatów wieje.

A gdy twa dusza już od ludzi stroni,  
 Będziemy żyli samotni w tym raję;  
 Ani Araba koń nas nie dogoni,  
 Gdy będzie ścigał, próżno się utrudzi;  
 Na skrzydłach wiatrów po piaszczystej fali,  
 Kraj nasz czarowny i mieszkańce kraju,  
 Spłyniemy w stepy, coraz dalej! dalej!  
 Zeby już nigdy nie napotkać ludzi.

Ach! pomyśl! pomyśl nad szczęścia obrazem,  
 Powiedz mi słowo!... sen twój nie daleki...  
 Ty milczysz!... Chcesz nas rozdzielić na wieki?  
 Pomyśl!... już nigdy nie będziemy razem,  
 I nigdy nasze nie złączą się duchy...  
 Ty milczysz!...

Mnich.

Boże! zniknęła... O mnichu!  
 Precz mi z gromnicą! precz ze słowem skruchy!  
 Daj mi truciznę w święconym kielichu,  
 Albo mi powróć święty wierz koranu!  
 Słyszałeś! smutna to była rozmowa!  
 Słyszałeś?...

Spowiednik.

Bracie, ufaj w niebios Panu.  
 Ty sam się łudzisz... swoje myśli, słowa  
 Brałeś za pienne wyrazy dziewicy...

XII.

Mnich.

Ojcie! zgrzeszyłem... Gniew boskiej prawicy  
 Rozkruszy serce obłąkane, wróce...  
 Mnichu! gdzie koń mój? gdzie koń mój stepowy?  
 Koń, co tak prędko pustynie przelata,  
 Miecąc kamienie i piaski kipiące...  
 Wody dla konia! choćby ze krwią brata.

Ach! szybko! szybko odbyłem dziś lowy;  
 Ledwo wieczorem chmura tu nadpłynie,  
 Ktorą dziś rano wyścignął na wschodzie.

Mnichu! gdy potok lat prędko przeminie,  
 Zdaje się krótkim jako przelot konia.  
 A jam tak prędko spieszył się przez błonia,  
 Anim odpoczął gdzie w palmowym chłodzie.

XIII.

Napróżno oczy podnoszę ku niebu,  
 Ciężka śmierć moja... z podwoi kościoła  
 Dochodzi do mnie smutny śpiew pogrzebu;  
 I orszak mnichów niosą kir, kobierce,  
 I światła w rękach i zakryte czoła...  
 Modlą się za mnie, lecz nawet pozorę  
 Niema boleści... Zimne muicha serce!  
 I modły zimne jak mury klasztoru!...

Nieście mnie w stepy tam szukać grobowca,  
 Miło umierać wśród kwietnej oazy.  
 Widziałem drzewa, co proszą wędrowca  
 Zachwianym liściami, by spoczął pod cieniem;  
 A gdy się zbliży, drżą radości drżeniem (1),  
 Tam drzewa czują... tu ludzie jak głązy.

(1) Tomasz Moor w poemacie „Lalla-Rook“ wspomina o drzewach, które drżą liściami za zbliżeniem się człowieka.

## XIV.

Niech po mnie zabrzmie w pustyni jęk dzwonu.  
 A może Arab, co się jazdą strudzi,  
 Kiedy go odgłos pogrzebowy zbudzi,  
 Napóć ockniony, nim znowu zdrzémie,  
 Przypomni sprawcę swego króla zgonu.  
 Senny, z przekleństwem wymówi me imię.  
 1830.

## JAN BIELECKI

Powieść narodowa polska, oparta na podaniu  
 historycznym.

## I.

## Wyprawa nocna.

Oto się ciemne księgarnie otwarły,  
 Tu źródła bogactw w zapyłonej ramie.  
 Czytam... Jak dziko ten język umarły  
 Pod piórem w kształty nieżywe się łamie.  
 Język i gorszy przesąd zakonnika  
 Jak rdzawa kłamra myśl księgi zamyka.  
 Czy tu wygrzebiesz dzieła Giedyminów?  
 Czy głos Zygmunatów, jak echo daleki?  
 Są to jak Sfinksy, te ubiegłe wieki,  
 Mówią zagadką dziś ciemną dla synów.  
 Znajduję słowa: „kraj nasz dosięgnął szczytu,  
 Chylić się musiał.“ Precz z myślą szatana!  
 Pamięć w dalekich wiekach obłąkana  
 Niech spocznie... Okno klasztoru otworzę...  
 O! jak spokojne otchłanianie błękitu:  
 Tam zdala płynie złote kłósów morze,  
 A tu klasztoru szumią ciemne lipy;  
 Myśl rozwesela daleki szmer lasów.  
 Gdy pogrzebałem pamięć dawnych czasów,  
 Jestem wesoły, jak biesiadnik stypy.

Snem jest ów obraz. Umysł się najgrawa  
 Z nieszczęść obecnych, bezwładny—bez steru.

Gdzież jestem? Oto mury Westminsteru,  
 Tam Izba Parów, tu Tamiza mgława  
 Polyska słońcem. Przebiegałem chmurny  
 Ow pałac zmarłych z uczuciem przestrochu;  
 Bo ja sam byłem jak umarły w gmachu,  
 A oni żyli... Nie zająrałem w urny,  
 Wybiegłem — więcej nie wchodzę w te ściany...  
 Ale samotny wracam dziś i codziennie,  
 W dziedziniec głazem grobów brukowany,  
 Po których stapa niemyślny przychodzień...  
 Ci, co posnęli w tych grobach dokoła,  
 Walczyli nędzni z niezdolności wrogiem;  
 Dążyli spiesznie do progów kościoła,  
 I umierając, kładli się przed progiem.

Z dziką rozkoszą napis mniej widomy  
 Niszczę do reszty śladem mojej stopy  
 I czuję rozkosz, gdy mój cień znikomy  
 Grobowi gmachu nie dopuści cienia.  
 Szaleni! dążyć pod świątyni stopy,  
 Nie mając w duszy wrącego płomienia.

Posępny, siadę na odłamie głazu.  
 Smutna się powieść w pamięci rozwija.  
 Czytałem w księgach—a godło obrazu  
 Było: „kraj zdradził, lecz zdrada zabija“.

W kronikach znajdziesz powieści osnowę,  
 Z kronik czerpane rysy i kolory.  
 Już Zygmunt August w grobie złożył głowę,  
 Na tronie zasiadł król Stefan Batory.  
 Ciężkie dla szlachty były rządy nowe:  
 Cześć po wsiach własne zamieszkała dwory.  
 Co było w kraju, nie skreślę do razu,  
 Jeden cień tylko maluję obrazu.

Pan Brzeżan w cudnej mieszka okolicy.  
 Zamek objęła rzeka w dwa ramiona,  
 Nad bramą klasztor, w murach zakonniczy,  
 Dalej kaplica blachą powleczona.  
 W komnatach żadnej nie ujrzysz różnicy



Od złotych komnat, gdzie mieszkała Bona.  
Pan Brzeżan lubi żyć w królewskim dworze,  
Co ma król polski i szlachcic mieć może.

Posadzki wzorem włoskim marmurowe,  
Na ścianach srebrem tkane adamaszki;  
Gęsto się lampy lśnią alabastrowe;  
Z srebrnych sadzawek niby dla igraszki,  
Wytryska woda, tchnąca wonią róży,  
I nazad deszczem brylantowym spada.  
Dwóch karłów wiernie na skinienie służy,  
W oczy się patrzy i chęci odgada,  
Ani się kiedy śmie odczwać słowy;  
Spodlonym tworem Bóg odmówił mowy.

Pan Brzeżan huczno wydaje biesiady.  
Oto go łatwo rozeznac za stołem;  
W złocistej szacie, ale bardzo blade,  
Wydaje troski zachmurzonym czołem.  
Może biesiada cierpienia ukoi?  
Już od tygodnia szlachtę sprasza, poi.

Dzisiaj na czole pozbył zwykłej dumy.  
Już raz dziesiąty zagrzmiały wiwaty,  
Wesołej szlachty ozwały się tłumy,  
Wesołym gwarem zabrzmiały komnaty;  
Już wino słabsze zwycięża rozumy,  
Dość jednej iskry, wnet ogień wybucha.  
Pan Brzeżan mówi — szlachta wstaje, słucha.

„Bracia, na chwilę uciszcie te gwary,  
Słuchajcie pilnie — a ja w krótkim słowie  
Wyjawię powód, wyłożę zamiary,  
A potem każdy swe zdanie wypowie.

„Słuchajcie! szlachcic obraził mię podły.  
Szedłem do króla, nie błagałem łaski.  
Wnet sprawę długie indukta wywiodły;  
I jam był winien! winien był Sieniawski!  
I oko w oko, przed króla obliczem  
Widziałem wroga, nie próżno przychodził;

Król go pochwalił, pochwalił, nagroził,  
Nie spojrział na mnie i odprawił z nieczem.

„Nasz dumny Stefan do czegoż on zmierza?  
Śmiałyżby władać jak niemieckie księżę?  
Wszak nasze państwo to gotycka wieża,  
Z tysiącznych kolumn składa się i wiąże;  
Niechaj się jedna usunie kolumna,  
Gmach cały runie, cały się rozprzęże;  
Ja się usunę! — niech mnie grom dosięże,  
Gmach cały runie, dla mnie tylko trumna!...

„Hej! Szlachta, znacie Bieleckiego Jana?  
Dawniej w niewoli gnit u Bisurmana,  
A dziś się z pany w jednym stawi rzędzie,  
Jak król udzielnym w darowanej grzędzie.  
A kiedy zamki wałęsą się pod gromem,  
On podparł domu wałęsę się ściany,  
I tak spokojny między nimi żyje,  
I tak szczęśliwy, że nad jego domem  
Co wiosny bocian nowe gniazdo wije.  
Lecz dzisiaj ptaka ja wypłoszę z gniazda  
Jękiem i dymem, iskrami płomieni.  
Bracia! noc widna! niedaleka jazda!  
Słyszałem, dzisiaj Bielecki się żeni;  
Nim wróci, niech mi Bóg tak dopomoże,  
Dom zrzuć, spale, grunt domu zaorzę.“

Miodem i winem i uczą zagrzany,  
Tłum szlachty powstał z ochotnym oklaskiem.  
I tam widziałbyś, jakim cudnym blaskiem  
Migały w tłumie drogie aksamity,  
Złociste pasy i jasne żupany,  
Jak się wahały brylantowe kity  
I oko émiły różnobarwne krasy.  
Blask chyba równy, gdy w przedpotowe  
Wicher nowego świata zbłądzi lasy,  
Gdy aż do ziemi nachyli drzew głowę,  
Gdy się mieszażą wszystkie barwy borów;  
Liście i kwiaty płyną jak potoki,

Zachwyca oczy cudna gra kolorów,  
Szum razem miły, straszny i głęboki.

Pali się szlachta, już dosiadła koni,  
Pieszym pan Brzeżan rozdaje rumaki.  
Już most zwodowy pod kopyty dzwoni,  
Dalej! na pola przez ubite szlaki.  
Wino zagrzewa, zemsta pośpiech radzi...  
Już pojechali... Niech ich Bóg prowadzi.

## II.

### W e s e l e.

W Brzeżan miasteczku, w kościele u Fary  
Jaśnieje ołtarz; potężne organy  
Wstrząsają pełne grobowców filary,  
Po ławkach jasne migają żupany;  
Tam poźółkniały ksiąg pergamin stary,  
A ówdzie stoczek złotem malowany,  
Ołtarz upstrzony woskowymi kwiatai,  
Służba rozwija kobierzec bogatą.

Swaty i drużby wystąpili strojno,  
I młoda para przysięgi powtarza.  
Z otwartem czołem, Jan Bielecki zbrojno,  
W husarskiej zbroi, w misiurce ze stali,  
Jako do bitwy stanął do ołtarza;  
Patrzy na młodą, a wzrok mu się pali.  
Przy męskiej piersi, gdzie żelazo lśniło,  
Od łubej w miłym dany upominku  
Sklaniał się bukiet z róży i barwinku,  
I drżał listkami, tak mu serce biło,  
Tak silnie piersi wstrząsały puklerzem...  
A dalej, swaty za młodym rycerzem,  
A dalej, bracia husary, pancerni,  
A dalej, służba w wielkiem stoi kole,  
Zbroją od prostej odróżniona czerni.  
Piękny to widok, gdy przed wrogów tłumem  
Rozwiną skrzydła na barkach sokole,  
I jako ptaki głuszą skrzydeł szumem.

Lecz panna młoda jakże przystrojona!  
Trudno weselne opisać ubiory.  
Ślubna jej szata była w dwa kolory:  
Błękitną barwą lśniaca jedna strona,  
Bo takie było męża herbu pole;  
A na mienionym jedwabiu lazurze  
Lśnił się herb, srebrne księżycą półkole,  
Gwiazda, nad gwiazdą hełm o strusim piórze.  
A druga strona sukni szkarłatowa,  
I herb dziewicy, szyty na szkarłacie:  
Srebrzyste strzemie i złota podkowa.  
Piękna to szata, a przy takiej szacie  
O jakże cudna, gdy się wstydem płonił  
Widne łzy w oku, widne drżenie dłoni,  
I cała postać powiewna i drżąca.  
Jej śnieżne łono westchnieniem odtrąca  
Tę młodą różę, co wpół wychylona,  
Aksamitnego dotknęła się łona.

Dla czegoż smutna?... Patrz, na wód lazurze  
Kwiat się przegląda w jeziora kryształe;  
Choć chmury słońca nie zakryją światu,  
Kwiat liście zwiesza i kryje się w fale;  
Lilija wodna może przeczuć burze,  
Kwiat czuje — Ona miała czucie kwiatu.

Wracają tłumnie weselne orszaki,  
Zagrali grajki, grzmiały liczne wystrzały  
I pochodniami świecili kozaki:  
Noc księżycowa, widna jak dzień biały.  
„Stójcie! — zawołał pierwszy swat — przedemną  
Nie widzę domu... Janie, wszak tu droga  
Do twojej chaty? ha! cóż to? dla Boga!  
Czy dom twój zniknął? czy mi w oczach ciemno?  
Ale nie, widzę — oto orzą pługi,  
Wieśniak ostatniej miedzy doorywa“...  
Kiedy to mówił, przybiegł jeden, drugi,  
Patrzają, nie wierzą; sam Jan staje, słucha,  
Blednieje — nagle z tłumy się wyrывa;  
A w tłumie była cichość straszna, głucha.



Wkrótce Jan wrócił; prędko jak błysk gromu,  
 Stał przed żoną obłąkany, błądny.  
 Na jego szatach widać krwawe ślady...  
 „Anno — rzeź — Anno! wracaj! nie mam domu!  
 Nie wrócę z tobą, obelga dotkliwa!  
 Zniósłbym nieszczęście, lecz nie zniosę sromu.  
 Już mnie domowe szczęście nie omami,  
 Wracaj, o Anno! ty będziesz szczęśliwa,  
 W twojem objęciu zalałbym się łzami.  
 Ja nie mam domu!...“ Zadrżał — i spał konia,  
 I jak wiatr szybko poleciał przez błonia.

Nazajutrz rano pochowano w grobie  
 Starca, co orał grunt ostatniej miedzy.

Bielecki zniknął — żadnej o nim wiedzy,  
 A po nim żona chodziła w żałobie.  
 Jej serce straszne skołatały ciosy,  
 Po śnie wesela został płacz — pierścionek.

Nazajutrz rano, skoro spadły rosy,  
 Gdzie był dom Jana, samotny skowronek  
 Wzleciał nad skiby przeoranej roli,  
 Nuąc piosenkę smutku i niedoli.

### III.

#### Bal maskowy.

Oto ubogie szlacheckie komnaty,  
 Skromne, jak niegdyś naszych przodków życie.  
 Ściany drewniane, po ścianach obicie  
 W różne obrazy, w różne chińskie kwiaty,  
 Straszne jak mary, które roi dziecię.  
 Z ram poczerniało patrzą antenaty,  
 A przed obrazem jedna lampa płonie,  
 Gdzie Matka Boska w gwiazdzistej koronie.

Noc nadechodziła, mrok zapadał szary;  
 Lecz budzą ciszę wieczornej godziny  
 Głośnem wahadłem po ścianach zegary.

A na dziedzińcu lipy i osiny  
 Szumiały smutnie i gdzieś między szpary  
 Swierszcz się odzywał. — I pies, stróż rodziny,  
 U wrót podwórza nieraz się odwoła  
 Na psów szczekanie z pobliskiego siola.

Siedziała Anna, przy niej ojciec stary  
 Otwiera świętych poważnie żywoty,  
 I czyta głośno, a spokojność wiary  
 Jak deszcz wiosenny krzepi bujną niwę;  
 Zamienia rozpacz w uczucie tęsknoty,  
 I łzy zamienia w płacze nieszkodliwe;  
 Jako płacz dziecka, kiedy rozkwilone  
 Ściga za matką, chwyta za kraj szaty.

Wtem zaszczeakały brytany zbudzone  
 I nagle drzwi się otwarły komnaty.  
 Wszedł mały karzeł, czapkę miał na głowie  
 Brzmiącą dzwonkami, obszytą w galony,  
 I rzeź: „Niech będzie Chrystus pochwalony!“  
 „Na wieki wieków“ starzec mu odpowie.  
 A karzeł znowu nisko schylił głowy  
 I rzeź: „Sieniawski, pan mój na Brzeżanach,  
 „Dziś mnie posyła po paniach i panach,  
 „Jutro was prosi na swój bal maskowy.  
 „Jutro do zamku tłum się wielki ściaga,  
 „A wszyscy w dziwne przybrani maskary.“  
 „Ha! precz mi z oczu! — krzyknął cześnik stary —  
 „Precz! pan twój z nędzy, z łez naszych uragał  
 „Precz! bo na Boga...“ Lecz nie skończył mowy,  
 Upadł na krzesło i zdjęty niemocą  
 Już gniewu swego nie mógł wyrzucić słowy...

Była to straszna chwila przed północą;  
 Wokoło słyhać nocnych kurów pianie,  
 I psy szczekały, co wrót chaty strzegły.  
 Znagła zadrżały obrazy na ścianie,  
 Znow się drzwi domu na ścieżaj rozbiegły;  
 Wszedł błądny człowiek, lecz na powitanie

Jak zwykle Boga imienia nie chwalił,  
I opatrzone w pieczęć zawinięcie,  
Złożył na stole i sam się oddał.

„O córko! córko! to Jana pieczęciel“  
Wykrzyknął starzec, wosk rozłamał kruchy,  
I znalazł słowa: „Anno bądź na balu...“  
A dalej szaty z tureckiego szalu,  
Wielkie ze złota ulane łańcuchy,  
Brylanty lśniące jak gwiazdy w noc ciemną,  
Perły daleko łowione w Basorze.  
Anna spojrzała i zbladła: „O, Boże!  
Zmiłuj się nad nim — zmiłuj się nademną.“

Jak cudny obraz oczom się odkrywał  
Czy Zygmunt z grobu wstaje, tron zasiada?  
Czy znów z Wenecyi, co po morzu pływa,  
Do Polski wnosi karnawału święta?...  
Odkąd Batory sławną Polską włada,  
Polak się bije, zabaw nie pamięta.  
Snem mu się zdają te świetne Brzeżany.  
Oto są złote krakowskie komnaty,  
Podobne kształtem, złożonymi ściany,  
Strojne w atłasy i drogie bławaty.  
Oto jest zgraja królewska barwiona,  
Szaty ma cudne, dorobione twarze;  
Weszli na salę... Ale gdzież jest Bona?  
Może truciznę podaje Barbarze?

Snują się tłumem pomiędzy kolumny  
Ujrzyś tu wszystkie zwyczaje, narody.  
Patrz! oto piórem błyska hiszpan dumny,  
Nadto poważny, chociaż jeszcze młody;  
Krzyż ma na piersiach, jak obrońca wiary,  
Krzyż ma na piersiach i szablę szlacheica;  
A w rękę jego drżą struny gitary

Patrz! oto w czarnej zasłonie dziewica,  
Z różanym wiankiem, a przy niej młodzieniec.  
Oboje widać z wysokiego stanu;  
Ona zbierała w Neapolu wieniec,

On się urodził w Rzymie Oceanu (1).  
A pieśni majtków i szum cichej fali  
Ukołysały umysł jeszcze młody;  
I rzucił ślubny pierścionek do wody.  
Poślubił morze i jak Tas się żali.

Lecz w jedną stronę zbiegł się tłum balowy;  
Dziwna tam maska! dziwne jej ubiory!  
Kaszmirska szata w cudne szyta wzory,  
Od szaty bije blask dyamentowy,  
We włosach toną przepaski z koralu...

Wnet się rozlega szmer wielki po sali,  
Kto jest ta maska?... Sam król nasz Batory  
Nie ma tak wielkich brylantów w Krakowie,  
W skarbcu królewskim... Kto jest ta dziewica?...  
Próżna ciekawość, pod maską jej lica,  
Ani się słowem wydała w rozmowie.

#### IV.

#### Z e m s t a.

Zgiełkiem i wrzaskiem zabrzmiały komnaty,  
Głośna to radość, lecz radość nieszczera;  
Śmiech słychać!... śmiech to wymuszony świata  
Na białych licach nigdy nie umiera.  
Śmiech ten jaśnieje jako kwiaty z płótna,  
Którymi błyszczy biesiadnika głowa;  
Ich postać wiecznie, wiecznie jednakowa,  
Wiecznie bez uczucia, choć piękna, lecz smutna;  
Nigdy nie żyły i w nieba błękitcie  
Nie odetchnęły — i nigdy nie zwiędną.  
Lecz któżby przeniósł takich kwiatów życie  
Nad jedną chwilę rozkoszy, choć błędną?

Pan Brzeżan smutny, milczący, ponury,  
Porzucił tłumowi różnobarwne fale;  
Szedł do komnaty, gdzie ciemne marmury

(1) Wenecya.



I wodotryski wychładzały sałę.  
Okna posępne gotyckiej struktury;  
Przez okna księżyc pełnym blaskiem pada.  
Cisną się krzewy kwitnące jaśminu.  
Wokoło stoły z marmuru, bursztynu;  
A z ram złożonych nie jedna twarz blada,  
Którę wiekami ściemniały kolory,  
Twarz przodków patrzy, smutna, nieruchoma.  
Chodził starosta, — krok niepewny, skory,  
Za nim się cienie kładły od księżycą;  
A gdy na niebo podniósł blade lica,  
Na twarzy była zgryzota widoma.

W tłumie biesiadnym nowe słychać wrzaski;  
I zbiegł starosta do sali biesiady,  
Zawołał pazią, pomieszany, blady.  
„Paziu mój, paziu! co znaczą te maski?  
„Prawie połowę zajęli komnaty,  
„Czoła zakryte i tatarskie szaty...“  
„O panie! twojej bojaźni nie dziele,  
„To jakaś szlachta zjechała kulikiem.“  
„Nie są to, paziu, nie są przyjaciele!  
„Szlachta by zaraz wpadła z hukiem, krzykiem,  
„Zarazby pełne obległa szklanice,  
„A oni milczą, kryją tajemnicę...  
„Paziu, wybiegnij przez drzwi boczne sali,  
„Niechaj odzwierny... Lecz cóż to? O, Boże!  
„Zwodowa wieża i zamek się pali!  
„O zdrada! Bracia, kto mi dopomoże?  
„Miecz mój i zbroja! pędzej, paziu młody.“

Już nie czas... Zewsząd tłumne pogan wrogi  
Biegną przez wielkie marmurowe wschody;  
Trupami sali zawalili progi,  
Ogień pożaru zażęgli na gody.  
Lecz któż na czele roznieca pożogi?  
Któż tłumy pogan prowadzi do boju?  
Jestże ich wodzem, baszą, atamanem?  
Jakiś młodzieniec w muzulmańskim stroju,  
Czolo złocistym przyslonił turbanem,  
I wiarę złotym księżycem naznaczył.

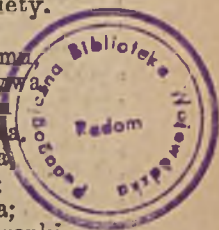
Leci na czele i służbę pomija,  
Nikogo dotąd uderzyć nie raczył,  
Miecz jego w pochwach; on wzrokiem zabija.  
Już wpadł do sali, zaraz za nim w ślady  
Straszny wiatr zawył na ściany zamkowe,  
Światła zadrzały, zgasty, tylko blady  
Świecił się promień lamp w alabastrowe  
Ukrytych głązy... Wpadł, jak śmierci mara,  
I wejście mnogą wartą zabezpiecza...  
Pan Brzeżan z mieczem stał wobec Tatara...

Lecz patrzcie! patrzcie! Tatar dobył miecza;  
Patrzcie! o zgroza! to miecz dobrze znany!  
Nad emalii zaćmionym lazurem,  
Obraz Najświętszej Panny malowany,  
I obraz krzyża — pod krzyżem na dole,  
Herb, jakby srebrne księżycą półkolo,  
I gwiazda, nad nią hełm ze strusiem piórem.

Błysnęły szabli obrazy święcone,  
I padł starosta na twarde granity.  
Zaśmiał się Tatar, śmiechem obudzone  
Zabrzmiało echo... Był to jęk kobiety.

Była to maska nieznaną nikomu,  
Którą brylantów moc wielka pokrywa,  
Śmiech usłyszała i jakby od gromu  
Zadrzała, padła na głaz jak nieżywa.  
A Tatar przybiegł i padł na kolana;  
Cuci ją, węży ścieśnione rozrywa;  
Twarz jego była straszna, obłąkana;  
Chwycił ją w dłoń, unosił przez ganki,  
Ona jak martwa była w jego dłoni;  
Z głowy różane pospadały wianki,  
I włos się rozwiął pełny słodkiej woni;  
Rozwiany sphywał aż do stóp Tatara,  
A strasznie bladą była twarz dziewczyny.

Budzi się, gdzież jest? w zamkowej kaplicy,  
A przed nią postać jak przeszłości mara.  
Dokoła było i straszno i ciemno,



A księżyc mury oświecał kościoła.  
 „Tyż to, mój luby? tyż to jesteś ze mną?  
 „Zaklinam ciebie, zdejm zawoje z głowy!  
 „Niech cię obaczę, rysy twego czoła...“  
 I zdjął Bielecki turban muślinowy,  
 Anna spojrzała — i padła omdlona.  
 Znów po niej życia rozlały się ślady.  
 I znów po chwili ciężko przebudzona  
 Rzeka: „O luby! tak straszny! tak blady!...“  
 „Chal! blady? — przerwał rycerz z dzikim śmiechem. —  
 „Wszak zdradzam!...“ zamilkł, lecz ostatnio słowo,  
 Trzykrotnie głuchem powtórzono echem,  
 Przerwało ciszę kościoła grobową.  
 A rycerz mówił: „Taki twarz moja bladą  
 „Z inną cię twarzą w czas szczęśliwy witał.  
 „Ja zdradzam! będę jak róża rozkwitał?  
 „Na mojem czole napisano: zdrada.  
 „Kraj cały wo krwi. Wznies na księżyc oczy,  
 „Patrz na te okna, na szkle malowidła.  
 „Gdy błysnie słońce, ów anioł roztoczy  
 „Różane lica a srebrzyste skrzydła;  
 „Lecz szklisty obraz przejęty księżycem,  
 „Teraz do lekkiej widm podobny larwy,  
 „Ciemniejszym patrzy i niepownem licem,  
 „Smutną ma postać, obumarłe barwy.  
 „Inny jest człowiek, gdy o sokościu marzy;  
 „Lecz gdy te same, wzniosłe, piękne rysy  
 „Oświeci nieszczęść lampa — od tej twarzy  
 „Weselsze będą grobowo cyprysy.  
 „O luba moja, poco te rozmowy?  
 „Luba! chodź ze mną wieść życie tułaczyl  
 „Chodź za wygnańcem potępioną głowy!  
 „Na twojom łonie dożyje siwizny,  
 „Siwizny nieszczęść, zdrady i rozpaczy.“  
 „Mój ojciec! — „Ojciec?... Ojciec przeklnie ciebie!“  
 „I ty się lękasz?... Przeklniel i cóż znaczy  
 „Przekleństwo ojca, braci lub ojczyzny?...  
 „Chodź w kraj daleki, tam będziesz jak w niebie,  
 „Znajdziesz tam łąki, gmachy, wonne gaje;  
 „Są ludzie wszysoy przyjaciołmi mymi,

„Jest wszystko! luba, czegoż tam nie staje?  
 „Luba! jest wszystko! wszystko! prócz tej ziemi.“

## V.

## Kościół wiejski.

Była to cerkiew, z modrzewiu jej ściany,  
 Już pochylone, wsparte na podpory;  
 Promieniem słońca błyszczał dach blaszany;  
 Słońce, wzierając przez ta szyby drzące,  
 Różne już na nich wybiło kolory.  
 Nad cerkwią rosły trzy brzozy płaczące,  
 Krzyż się przeglądał przez ich szczyt wyniosły;  
 Na progu zebrał paoierze powtarza,  
 Wokoło cmentarz kwiatami zarosły,  
 I wiejskie groby błyszczą wśród cmentarza.

Daleko słychać wiejski dzwon kościelny,  
 Zadzwonił, zewsząd lud śpieszy przez pola.  
 Było to święto, był to dzień niedzielny.  
 Dziś pląg spoczywa, zieleni się rola.  
 Dziewice ołtarz przystroikiły w kwiaty,  
 Zabrzmią młodzież do śpiewu gotowa:  
 Wyszedł ksiądz z mszą pochyłony lamy,  
 Tłumi się coraz pieśń ludu nikańca,  
 Ucicha... Ksiądz tylko słychać słowa,  
 Cichy szmer brzozy, co o szyby trąca;  
 Niekiedy dzwonek jęklivy uderzy,  
 Niekiedy starzec księdzu odpowiada;  
 Świergocą wróble, i pod szczytem wieży  
 Pierzchnie jaskółka i w gzmasy zapada.

Msza się skończyła. — Oto w niskie progi  
 Jacyś wędrowce weszli do kościoła.  
 Jeden padł na twarz, całował podłogi,  
 Drugi ponury, nie uchylił czoła.  
 Gdy się przypadkiem płaszcz odkrył, strój 1703!  
 Błysnął z pod płaszcza i twarz niowosota,  
 Bali się zasiąść w ławki, lub nie śmieli,  
 Oba pokornie przy progu stanęli.



Ksiądz modły skończył, mszał bogaty złożył,  
Teraz zaczyna mówić boskie słowo:  
„O! bracia! dziecic i tegożem dożył?  
„Ja stary wiekiem z ubieloną głową,  
„Ze kiedy nieraz osładzałem troski,  
„Dziś żal pod strzechę niosę w bożem słowie.  
„Tu niegdyś siadał — oto ławka pusta,  
„Nasz pan, Bielecki, niegdyś pan tej wioski.  
„Zdradził kraj, wiarę. Ksiądz Prymas w Krakowie  
„Wyklął go, klątwę na me przesłał usta.  
„Raz go ostatni bez klątwy wspominam,  
„Módlcie się! ja się będę modlił z wami...  
„A teraz, bracia! dziecic ja przeklinam!...“  
Zachwiał się starzec i zalał się łzami,  
Zabrzmiało amen, lecz amen żałoby,  
Jakże niechętnel dźwiękiem ledwo żywe.  
Potem się wzniosły łkania żałobliwe,  
Jakby w dzień sądu otwarły się groby.

Ale zaledwo podniosło się łkanie,  
Zaledwo doszło przed oblicze Boga,  
U progu nowy zgiełk i zamieszanie.  
Jeden z wędrowców, co stali u proga,  
Zadrzał i upadł bez czucia na głazy;  
Drugi zaś drżący i blady straszliwie  
Kląkł nad nim, ciche przemawiał wyrazy,  
Twarz towarzysza ukrywał troskliwie.

Ksiądz na ratunek śpieszył od ołtarza.  
Zaraz na cmentarz niesiono wędrowca,  
I tam, na zimnym kamieniu grobowca,  
Kładą martwego wśród kwiatów cmentarza.  
Cieniem świeżości okryły go drzewa,  
Oieniem; co groby kwitnące okrywa;  
Wiatr go ochłodził, co w grobach powiewa;  
Z pomocą pasterz troskliwy przybywa,  
Spojrzał i zadrzał... jakby blaskiem gromu  
Twarz go ta razi, twarz blada, nieżywa;  
I rzekł: „Wyklety!... my idźmy do domu!...“  
Wnet się oddalił tłum kościoła wierny,  
A ksiądz wychodził za kmieciów gromadą;

We wrotach stanął, twarz odwrócił blada,  
I rzekł poważnie: „Bóg jest miłosierny!  
A Jego litość, liczniejsza nad ziarna  
Morskiego piasku i głębsza nad morza.“

Jeden z wędrowców spał wśród mogił łoża;  
Oto z drugiego spadła szata czarna,  
I twarz odkryła... Przebóg! to dziewica!  
To Anna! z ust jej nie słyszano słowa,  
Czy brak w niej czucia? bo sucha żrenica;  
Twarz nieruchoma, jakby marmurowa,  
A w oczach ogień gorączki się pali.  
Jeszcze na czole miała zwiedle kwiaty  
I brylantami oświecone szaty;  
We włosach jasne przepaski z koralu.

„O! mój najmilszy! — rzekła — o! mój drogi!  
„Jesteśmy sami, już jesteśmy sami!  
„Tyś na mogile usnął, a w te progi  
„Umarli wchodzą i śpią pod grobami.  
„Ty milczysz? luby! odpowiedz mi łzami!...“  
Nagle spojrziała i krzyknęła srodze,  
Potem nań kwiaty rzuciła wonnymi;  
„Luby, nie zaśniesz na rozstajnej drodze,  
„Sama w święconej pochowam cię ziemi.“

Rzekła, krzyż jeden wyrwała z mogiły;  
Kopie grobowiec wśród świeżej darniny,  
Lecz coraz słabsza, coraz mdleją siły...  
I cicho smutne płynęły godziny.  
Zachód ozłocił słońca blask jaskrawy,  
Brzozy po grobach długie kładły oienie,  
Wonnej czeremchy orzeźwiało technienie,  
Szumiąły wzniosłe po grobowcach trawy;  
Lecz coraz bardziej ciemnieją kolory,  
I przez liś brzozy, księżyc zapłoniony  
Topił się we mgłach, w różne kształty, wzory.  
Lica wysrebrzał, a nocne zasłony  
Okryły cerkiew i groby cmentarza.

Już ciemno... Anna sama jedna w nocy

Do drzwi cierkiewnych stukanie powtarza;  
Nieszczęsna boskiej wzywała pomocy.  
Widna jej postać przy blasku miesiąca,  
Jak mgły ulotnej srebrzyste obrazy.  
Bije we wrota coraz słabszą dłońią,  
Smutne się echo o groby roztrąca;  
Lecz echo coraz słabsze niosło razy,  
I coraz słabsze, nikły, jako w Bogu  
Tonące modły, jako śpiew daleki...  
Dziewica blada, na kamiennym progu  
Usnęła, może usnęła na wieki...

I cicho! — niechaj głos pieśni stłumiony  
Nie budzi ciszy w wieczornej godzinie;  
Całego świata gdy się odgłos spłynie,  
Tworzy tę ciszę, co ziemię osłania;  
Lecz myśl głęboko zadumana słyszy,  
Jak gdzieś daleko brzmią pogrzebów dzwony,  
Jęki rozpaczy i wrzawa wesoła,  
I płacz boleści i śmiech obłąkania.  
I wszystko można rozróżnić w tej ciszy  
Słuchem anioła i myślą anioła.

### A R A B.

Kłęką mój wielbłąd jak Iman ubogi,  
Co się w modlitwie obraca do wschodu,  
Jukami garby ładuje do drogi,  
Kilka daktyłów w zapasie od głodu;  
U boku szabla dobrze wyostrzona,  
W kołczanie śmierci ukryte nasiona.

I lży i rozpacz są skarbnicą moją,  
I z tej skarbnicy lud podły obdarzam.  
Śmierć niosę nędznym, co się śmierci boją,  
Wesołych — cierpień widokiem przerażam;  
Gdy na mej twarzy ujrzą boleść sroga,  
Szczęśliwi błędną i śmiać się nie mogą...

Puścił się wielbłąd na stepów zacisze,  
Z pod racic ogień wypryska mu gesty,

I siodło lekko jak do snu kołysze,  
A w zębach żutej trawy słyszę chrzesty.  
Nim księżyc srebrzem pomaluje lica,  
Więcej ubiegnę drogi od księżycy.

### I.

Możnym być musze, gdy za moją sprawą  
Tylu na świecie płakało i płacze.  
Raz, kiedy na świat niosłem zemstę krwawą,  
Gdym biegł na stopy, wróg ludzkiej uciochy,  
Z łez cudzych winne wybierał haracze,  
Patrzę: nad morzem uklecona z trzciny  
Chata uboga, z ziemi bite strzechy  
Kwieciste morza okryły rośliny;  
Światło błyszcząco przez łatanę szyby,  
Po strzechach dym się błękitny rozciągał.  
Ha! czyż mieszkanie tej nędznej siedziby  
Będzie mi jeszcze weselem uragał?

Niskiej zagrody przestąpiłem progi;  
Nędza tam była, lecz mieszkanie chaty,  
Człowiek na pozór nędzny i ubogi,  
Choć ciężką pracą utrzymywał życie,  
Ten drżący starzec, pochylony łaty,  
Trzymał garść piasku i śmiał się jak dziecko.  
Był to ubogi nurek, a w tym piasku  
Odgrzebał perły... O nędzo żobranka!  
Perły... to perły! tak małe? bez blasku?...  
Spojrzałem gorzko na szczęście rybaka,  
I wiodłem starca po nad brzegi morza.  
Patrz! rzekłem, oto z łupów karawany  
Perła ogromna, błyszcząca jak zorza;  
Oto ją rzucam w te wiry, w te piany;  
Dostań ją z głębi, a który z mocarzy  
Perłę zakupi, da ci skarby złota.

Nadzieja w starca zabłysnęła twarzy,  
I wnet się rzucił w wiru fale ciemne;  
Zginęła perła, starania daremne!  
Wypłynął... była na twarzy zgryzota.



Zatruliem szczęście i pokój człowieka,  
 Dałem truciznę, dałem mu nadzieję,  
 O! jakże gorzko nad brzegiem narzeka,  
 O jak obfite do morza łyżę leje!  
 Widziałem potem, jak poszedł do chaty,  
 Z rozpaczą usiadł na liściane łożo;  
 I wołał z jękiem i z płaczem: O Boże!  
 Byłbym szczęśliwy! mogłem być bogaty.

Smiałem się gorzko, był to śmiech szatana!  
 Dalej, wielbłądzie! dalej na pustyni!  
 Może gdzie radość błysnie niespodziana,  
 Nie dam ja urość tej bujnej krzewinie;  
 Może gdzie zemsta to serce obudzi,  
 Już skamieniałe wśród kamiennych ludzi.

Tak koral niegdyś żył pod morską wodą (1),  
 Nieraz się smucił, przewidując burze;  
 Gdy słońce w niebios błysnęło lazurze,  
 Koral jak majtek cieszył się pogodą;  
 Ale zerwany wichrami jesieni,  
 Skamieniał, błądząc wśród zimnych kamieni.

## II.

Pamiętam kiedyś, było to w południe,  
 Płynęła zwolna wielka karawana;  
 Gdy przyплыnęła nad pustyni studnię,  
 Powstała wrzawa ze śmiechem zmieszana;  
 Tłum cały bieży prędkimi zawody,  
 Potem, jak stadem spłoszone żurawie,  
 Gwarzy wesoło i zaczerpa wody...  
 Ale śmierć była w tej wody przyprawie.  
 Była trucizna... Ha! po co się śmieli?...  
 Już piją! piją! jedna twarz pobladała,  
 Tam upadł drugi... tam bracia skościli,  
 I drżąca czara z martwych rąk wypadła.

(1) Zdaniem naturalistów koral jest istotą żyjącą, a każda z jego gałązek składa się z mnóstwa ożywionych stwożeń.

Rzekłbyś! że Diwy, że ciemni Anieli  
 Na świat zarazy wyrzucili technienie,  
 Ani tak liczne na brzegu kamienie  
 Jak były trupy!... Z całej karawany  
 Pozostał starzec, młodszy go ubiegli,  
 Pięciu miał synów... wszyscy trupem legli.  
 Przybiegł nareszcie, gdzie rozbite dzbany,  
 Gdzie ciała synów leżały na brzegu.  
 O! rozpacz! martwe było całe plemię!  
 Chciwie, jak sorbet ochłodzony w śniegu,  
 Chwyć! truciznę, z synami się złączy...  
 Przybiegłem, starca chwyciłem na strzemieniu,  
 I szybko w biegu uniósł nas koń rączy,  
 Z pod kopyt iskry rozniecał w granicie.  
 Uniosłem starca i puściłem cało.  
 Ha! on chciał umrzeć, ja mu dałem życie,  
 Gdy w życiu iskry szczęścia nie zostało...  
 Dalej, wielbłądzie! po co zwalniasz kroku,  
 Gdy mię rozkoszne zajmują wspomnienia?  
 Tu cicho, pusto, i tylko z obłoku  
 Księżyc posępne czoło rozpromienia.  
 Gdy człowiek w stepy od ludzi ucieka,  
 Mysł własna wtenczas jest wrogiem człowieka

Serce, jak muszla wyrzucona z fali,  
 Pełna ślimakiem, życie zamknie w sobie;  
 Cicha, lecz kiedy słońce ją wypali,  
 Słuchaj! usłyszysz gwar w kamiennym grobie,  
 Rzekłbyś, że wspomnień napełniona tłumem,  
 Wszystkie zmieszany rozpowiada szumem.

## III.

Dawnymi laty... Jeszcze byłem młody;  
 Kiedy za strusiem na piaski zagnany,  
 Bystrego konia puściłem w zawody;  
 Leciał i parskał i białymi piany

Srebrzył skrawiony munsztuk i wędzidła.  
 Strus nie mógł skrzydeł rozwinąć ścigany,  
 A koń mój leciał, jak gdyby miał skrzydła.

Wtem patrze... między dzikie pustyni glazy,  
Jakby czarowne rajy malowidla,  
Kwieciem błysnęły zielone obrazy.

Pod palmą, między źródła kryształowe,  
Stała dziewica, królowa oazy,  
Omglona w lekkie szaty muslinowe.

Twarz z pod zasłony jak księżyc z obłoku  
W połowie widna, skryta przez połowę;  
A promień szczęścia jaśniał w czarnem oku.

Szczęśliwa! ona kochała Solima!  
Uciekać trzeba od szczęścia widoku,  
Oto koń nawet spina się i żyyma.

Dalej, mój koniu!... Sroższy nad tygrysy,  
Leciałem gnany rozpaczą Kaima.  
Koń mnie zrozumiał, zaniósł pod cyprysy,

Tam Solim w cieniu cyprysowym drzemie.  
Dzięki ci, koniu! Patrze, jego rysy  
Błyszczwały szczęściem... zginąłś, Solimiel!

Dziewicól wkrótce wróciłem w te strony;  
Chciałem się łzami nacieszyć twoimi:  
„Ha gdzież twój Solim? gdzież twój ulubiony?  
„Czy jeszcze jesteś szczęśliwą na ziemi?

„Mój luby, rzekła, na piaskach spoczywa,  
„A wiatr pustyni jego ciałem miota;  
„Lecz skoro pierwsza błysnie gwiazda złota,  
„Dusza się jego od ciała odrywa,  
„Ty nie wiesz, nie wiesz, jakem ja szczęśliwa!  
„Jego duch, w niebios niesiony błękitnie,  
„Przybywa do mnie, odzywa się w duszy,  
„A dusza jego zgaduje przybycie (1).

(1) Obraz, który tu następuje, jest oparty na podaniu wschodniem, że upiory wracające na świat, piją krew i dręczą osoby, które niegdyś kochali za życia. Arabowie zarzucają powrotowi na świat upiora, ucinając zmarłemu głowę.

„Gdy nie mileżenia nocy nie poruszy,  
„Gdy nawet serca, co wzruszone bije,  
„Zanadto głośnie wydaje się bicie,  
„On znowu przy mnie, znowu dla mnie żyje.  
„Nie są to zmysłów znikome utwory,  
„Ja go tu czuję, widzę, on ponury!  
„Lekki, jak z mglistej utworzony chmury,  
„Ubrany w tęczy złociste kolory.  
„Jego głos długie i długie godziny,  
„Jak szmer fontanny duszę mi zachwyca;  
„A gdy ustami dotknie lekko lica;  
„Zda się, że spadły kwiciste jaśminy.

„Potem się zbliża i krwi krople pije,  
„Ciężkie rozpaczy wydając westchnienie;  
„A kiedy od niej błysnie i odżyje,  
„Gdy w nim już krążą mojej krwi strumienie,  
„Widzę z rozkoszą, jak źródło wysycha.  
„On z piersi moich chwyta wątle tchnienie.  
„I sam z rozkoszą tem tchnieniem oddycha;  
„Na chwilę moje zatrzymuje serce  
„I jego serce zaczyna bić z cicha;  
„Z oczu mi bierze po światła iskierce  
„I jego oko tym się ogniem pali;  
„Z lic mych pożyczca jasnego szkarłatu  
„I jego lice bierze blask korali,  
„Cały rozkwita podobny do kwiatu.

„A gdy on smutny wini los i siebie,  
„Serca Solima zachwycona biciem,  
„Słucham nderzeń, szczęśliwa jak w niebie!  
„Ze Solim jeszcze żyje mojem życiem,  
„Wśród nocy, w całej piękności i sile  
„Błyszczą, jak niegdyś błyszczwał w szczęścia chwile;  
„Lecz skoro pierwsze promienie poranka  
„Oświecą niebo w mgły różane strojne,  
„Próżno go tuli do łona kochanka,  
„On drży i zwraca oczy niespokojne  
„I coraz gaśnie i coraz blednieje;  
„I tak jak księżyc, kiedy słońce zoczy,



„Blednie i we mgłach topi się i mroczy,  
„Tak Solim w mgły się błękitu rozwieje“.

Więc jeszcze szczęścia usnułaś budowę?  
Zniszczę ją! Solim do ciebie nie wróci...  
Znalazłem trupa i uciałem głowę,  
Upiór mogiły stepów nie porzuci;  
Teraz dziewica cienia nie zobaczy,  
Napróżno czeka każdego wieczora;  
I miała umrzeć w objęciach upióra,  
Przezemnie tylko umarła — z rozpaczy...

Dalej, wielbłądzie! tak pusto dokoła,  
Czy już na ziemi szczęśliwych nie stało?  
Żaden jęk do mnie w pustyni nie woła,  
Tylko sępkrąży nad samotną skałą  
I głośno bije skrzydłami czarnymi.  
Szczęśliwszych niema odemnie na ziemi.

## IV.

O nie! ta palma musi być szczęśliwa.  
Źródło się kryje pod stopami drzewa,  
Patrz, jako liściem miłośnie powiewa;  
Kocha się w źródle, przed słońcem zakrywa,  
Bo słońce wzrokiem wykradłoby wody.  
Lęka się oczu srebrnego księżycy,  
Na liściach spuszcza rosę i ochłody;  
Wodom niebieskie odebrała szaty,  
I dała swoją barwę, swoje lica;  
Kocha się w źródle i stroi się w kwiaty.

Stój! stój, wielbłądzie! tę palmę podpale,  
O nie, zasypię źródlane kryształy.  
I skona palma w piekielnym upale,  
Wkrótce z jej czoła kwiat opadnie biały.  
Zostanie sama wśród pustej krainy,  
Jak ja sam jeden zostałem wśród świata.  
Niech cień uwiedłej wskazuje godziny,  
Jak cień cierpienia wskazuje mi lata.

Stój! stój, wielbłądzie, zakończyłem drogę.  
Trudno już szkodzić ludziom, śmierć się zbliża;

Czuję do biegu mniej polotną nogę,  
I strzała z mojej ciężkiwy mniej chyża.  
Widzę zdaleka śmierć posepną, ciemną,  
Już się czarnymi skrzydłami nasuwa;  
Zasnę... Już widzę, jak wkrótce nademną  
Ten wielbłąd, który śmierci nie przeczuwa,  
Gdy wicher w stepach posepny zawyje  
I zwłoki moje toczy przez tumany,  
W piaskach się czai, myśli, że pan żyje,  
Że się pod śpiące skrada karawany.  
Wielbłądzie! pan twój w innym błądzi kraju,  
Zasnął na stepach i marzy o raj.

Nie! nie chcę raju, lecz proszę proroka,  
Niech mojej duszy da stepy bez końca,  
Dzikie i puste, bezbrzeżne dla oka,  
I wiecznie wrące promieniami słońca.  
A gdy zapragnę, wśród dzikiego błonia  
Na me skimienie niech źródło wypływa;  
Niech mi tam prorok wróci mego konia,  
Który gdzieś w piaskach pustyni spoczywa;  
Niech dla rajskiego duszy zachwycenia  
Step ten mych wrogów okryją mogiły;  
Niech mi się wróć znow młodoci siły,  
Lecz nie wracają młodoci cierpienia.  
O takim szczęściu serce moje marzy.  
Ach! wtenczas będę spokojny! szczęśliwy!  
Niech tylko żaden, żaden człowiek żywy  
Tej samotności przerwać się nie waży.  
1830.

Ż M I J A.  
Romans poetyczny z podań ukraińskich w sześciu  
pieśniach.

Pieśń I.  
S u m a k.

Piękny to widok Czertomeliku,  
Sto wysp przorznięły Dniepru strumienie,  
Poezye Słowackiego. — Tom I.

Brzoza się kąpie w każdym strumyku,  
Słychać szum trzciny, słowika pień.  
A kiedy wiosną wezbrane wody  
Zaleją wszystkie wyspy dokoła,  
Jeszcze nad wodą widać drzew czoła,  
Jakby rusałek cudne ogrody.  
Gałązką mącą wodne błękity,  
I jeszcze słowik w gałązkach śpiewa,  
I szumią brzozy, lecz nad ich szczyty  
Wznosi się fala i nikną drzewa.  
Dziko Dniepr szumi, gdy w jego łonia  
Sto wysp zielonych wiosną zatonia.

Piękny to widok stu wysep pana,  
Woda mu ziemię z pod stóp wykradła:  
Zamek się patrzy w fali zwierciadła,  
Co mu przy stopach szumi wezbrana.  
A gdy nań patrzysz, dziwnym pozorem  
Rzekłbyś, że zamek wstecz rzeki płynie.  
Cegła koralów świeci kolorem,  
Lekkie filary podobne trzećcinie;  
Kilka ogromnych paszcz samostrzału  
Patrzy strzelnicą na Czarne morze:  
A górą, zamku okna z kryształu  
Świecą się, palą, jak ranne zorze;  
I tysiąc barwy w każdym promyku,  
Co się z tych okien nazad odkradnie.  
W zamku pan mieszka Czertomeliku,  
Dumny Ataman, co Siczą władnie;  
Lecz czy sam mieszka? Któż to odgadnie.  
Nikt nie był w zamku; mówią, że czary  
Mieszkają w gmachu, że dłoń zaklęta  
Nadludzką sztuką wzniosła filary;  
Lecz kiedy wzniosła? Nikt nie pamięta...

Niejeden rybak wieczorną doba,  
W Czertomeliku płynąc ostrowy.  
Słyszał przed sobą, słyszał za sobą  
Śpiew słodszy, miłszy, niż szum dniewprowy;  
A rybak milezał, płynął pomału;  
Kiedy wieczorne zorze zapadły,

Widział, jak w zamku okna z kryształu  
To się paliły, to znów błady;  
A z okien blaskiem konały pieśni.  
Znów cicho... głucho... a rybak stary  
Zegnał się drżący... to czary... czary!  
Wszak rybak czuwa? wszak rybak nie śni!

Już to noc trzecia, gdy gasną zorze,  
Błyska na zamku ogień jaskrawy;  
Hol to kaganiec, to znak wyprawy,  
Popłyną czajki na Czarne morze.  
Kozaków obóz zalega brzegi,  
Pośród czaharów spisa połyska;  
A po nad Dnieprem w długie szeregi  
Gęsto strażnicze płoną ogniska.  
Tam na mogiłę wstąpił wysoka  
Geślarz i śpiewa pieśni z mogiły;  
Jeśli w tych grobach nie śpią głęboko,  
Może ich dzikie pieśni zbudziły?  
O śpijcie! śpijcie! przeszła wam pora,  
I wyście żyli... tu... w Ukrainie,  
I wyście żyli... to było wczora!  
My dziś żyjemy, czas szybko płynie.  
Pocóż tu wracać z licem upiora,  
Gdzie nikt nie chodzi po nas w żałobie?  
Jutro na naszym powiedzą grobie:  
I wyście żyli! to było wczora.

Płynmy więc! płynmy w natolskie grody  
Burzyć pałace, rąbać fontanny,  
Żelazem niszczyć Turków narody,  
I porwać obraz Najświętszej Panny,  
Obraz, co płacze rzewnymi łzami;  
A gdy go człowiek w fali zanurzy,  
Morze gniewliwe bije falami,  
Pieni się, huczy, pryska i burzy,  
I póty gniewne podnosi tonie,  
Aż wrogów statki w falach pochłonie...

Lecz gdzież jest Hetman? w rannej godzinie  
Wyszedł i w stepach bładzi od rana.  
Oto przy brzegu czajka Hetmana



Powiewnym żaglem bieli się w trzcinie.  
I wkoło gwarzy zgraja zebrana,  
Wszak nam na drogę brak na zwierzynię;  
Idźmy na łowy! idźmy na łowy!  
Lecz gdzież nasz Zmija, Hetman Niżowy?

Ty śpisz, sumaku! ty śpisz, sumaku!  
Między byszczące rosą czahary;  
A tutaj strzelce w stepach Budziaku  
Otoczą wkrótce knieje i jary.  
Sumak nie słyszy! sumak nie słyszy!  
Bo milcząc strzelce idą na łowy,

I coraz ciszej  
Między parowy,  
Pomiędzy trawy,  
Toną i toną;  
A zorze płoną,  
I świt jaskrawy  
Pożłacia nieco na wschodzie.

O! jakże nuda przy rannym chłodzie  
Tak się zapuszczać w stepowe knieje.  
Jak tajemnicza ta chwila nocy,  
Kiedy noc kona, księżyc blednieje;  
Już dzień na wschodzie, a na północy  
Jeszcze lśnią gwiazdy, jeszcze lśnią jasno,  
I wschód się złoci, blednie, czerwieni,  
Niebo się mieni;  
Gwiazdy w lazurze  
Już gasną, gasną;  
I polne róże  
Powstają z rosy perlami.

I cicho łowce szli manowcami.  
Trzymaj, myśliwce, ptaka na dłoni,  
Zakryj mu oczy złotym kapturem;  
Niech nastrzępionem nie szumi piórem,  
Niech się nie trzepie, w dzwonki nie dzwoni!  
Zdejmiesz mu kaptur, gdy w nasze sidła  
Zwierz się dostanie, wtenczas posłuży.

Sokół się ohmurzy,  
I ociemniony  
Nastrzępił skrzydła,  
Wyciągnął szpony,  
Ponury, piersi napuszył.

Tam jakiś szelest! czy to zwierz ruszył  
To nadto wcześniel! to nadto skorol  
O! nie, to lekki chart tam na smyczy,  
Niechętny więzom piszczy, skowyczy,  
Skarć, łowcze, charta ręką i sforą.  
Pierwej wysłedzić sumaka tropy,  
Potem go gończe podniosą głosem,  
A potem charty... I chart karcony  
Przypadł do stopy;  
Okryty wrzosem,  
Kwiatem zroszony,  
Ciągnie się smutny na sforze.

Wysłać strzelców na rozdroże,  
Gdzie się kończy ta dolina,  
Tam, kozacy, wielkiem kołem  
Stójcie cicho,—a drużyna ;,  
Niech tam idzie drogą, dołem,  
Niechaj tonie w trawy, ziola,  
W tej dolinie sumak leży.  
Gdy starszy strzelec zawoła,  
Niech służba w trąby uderzy.

Dane rozkazy, i dzikie jary  
Otoczył kozak, tonie w czahary.  
W krzakach się kryją ponure czola,  
I cicho, jakby ludzi nie było!  
Jakby się tylko o łowach śniło!  
Wiatr wieje w kniei i szumią ziola,  
Zniknęły zbroje, łuki, oszczepy;  
Świt płonie ogniem umalowany,  
I słońce wstaje nad martwe stepy.  
Oblane złotem świtu burzany  
Ognistej barwy kwiatem się palą,

I gną się z wiatrem: fala za falą  
Przebiega stępy milczące.

Cicho... Wtem trąby zagrały grzmiące,  
I zagrział razem pod niebo wzbity  
Z brzękiem surm, kotłów, okrzyk wesoly,  
I uwolnione z więzów sokoły  
Szybko w powietrzu lecą błękity,  
Krażą i kraczą, dzwonekami dzwonią,  
I psy spuszczone jęczą i gonią.  
Czekają łowce: wśród strasznej wrzawy  
Patrzą na niwy złoczone świtem,

I oto śmiga  
Sumak zbudzony;  
Ledwo kopytem  
Dotyka trawy,  
Charty wyściga,  
I przez zagony  
Przed szybką smyczą  
Sadzi przez doły;  
Gończe skowyczą,  
Kraczą sokoły.

I jeden sokół już zleciał nisko,  
Siadł mu na grzbiecie, szpony zatopił.  
Chart wiatronogi za zwierzem tropił,  
Już go dościgał... już blisko, blisko...  
A sumak leci, bojaźnią ślepy,  
Leci w zasadzkę, wpadł na oszczepy,  
Drgnął tylko, upadł... A tłum wesoly  
Znow w trąby dzwoni, znow w kotły bije,  
Żeby wystraszyć, co tylko żyje  
Pomiędzy trawy. Lecą sokoły,  
Krażą i kraczą, dzwonekami dzwonią,  
Ogary znowu jęczą i gonią.  
Czekają łowce.—Wśród kwiatów fali  
Znow coś mignęło? to sumak nowy?

O nie! to Tatar miga od stali,  
Jak wiatr stepowy,  
Jak wąż piersiami  
Trawy rozcina;

Między kwiatami  
Złotem połyska,  
I łuk napina,  
I strzały ciska;

I rohatyny kolczate miota.  
Dziwi kozaków ta zbroja złota,  
Musi to jakiś być wódz Tatarów?  
Puścić ogary:—jeden z ogarów  
Już go dościga, — ha! zobaczycie!  
Ogar to stary, dobrze się sprawi,  
Wskoczy na piersi, i w strasznej męce  
Wydrze mu życie,  
Zgniecie, zadławi.

Już go doścignął,—rzecz niespodziana!  
Skacze na piersi, liże mu ręce,  
U stóp się kładzie, wyje, skowyczy:  
Wszak to jest ogar, ogar Hetmana!  
Pierwszy z ogarów! tak sławny w Sieczy!  
Nieraz Tatara wytropił w jarze,  
A dzisiaj znalazł pana w Tatarze.

Wróciła nazad psiarnia zagnana,  
A Tatar leci i trawy łamie.  
Patrzenie i sokół siadł mu na ramię  
O dziwy! dziwy! sokół Hetmana!  
Siadł na ramieniu, nastrzępia pióra,  
Zda się, że skrzydłem nagli go w biegu.  
W łowców szeregu  
Okrzyk dokoła;  
Strzał lekkich chmura  
Ściga Tatara;

I jedna w piersi trafia ogara,  
Druga pod skrzydło trafia sokoła,  
Trzecia Tatara w czoło drasnęła.  
Czy krew płynęła? czy łza płynęła?  
Nie można wiedzieć; stanął, zakrywa  
Oczy zalane czy krwią, czy łzami.  
Z piersi ogara obróże zrywa,  
Z szyi sokoła pierścien z dzwonekami;  
I znow przez stępy,



Wprost na oszczepy  
 Leci w zasiane wrogiem parowy.  
 Tam go wstrzymają?... nie, nie wstrzymali!  
 Daleko zdradnie prześcignął łowy,  
 I zniknął w burzanów fali...

Nie, to nie było senne widziadło,  
 Bo tam gdzie przebiegł, pośród wądołów,  
 Bez życia sześciu kozaków padło,  
 I sześć ogarów — i sześć sokołów.

Pieśń II.

P Ł A C Z K A.

Z tętentem konia leci przez wrzosa,  
 To pan nasz, Zmija, Hetman na Niżu.  
 Biela się wzbite tumany rosy,  
 Z pod kopyt konia spłoszone wrony  
 Stadem się zbiły, siadły na krzyżu.  
 W burzanie miga kołpak czerwony,  
 Stałowa zbroja miga w burzanie:  
 „Witaj, Hetmanie! witaj, Hetmanie!...“  
 „Zdrowia! drużyno, co słychać w Siczy?  
 „Czy szumią żagle? czajka gotowa?  
 „Czy nam złą wróżbą wrona nie krzyczy?  
 „Czy zawsze nasza fala dniewprowa,  
 „Tak jak płynęła, płynie do morza?  
 „Ha! tak? to dobrze... Nim błysnie zorza,  
 „Być w pogotowiu... Teraz niech czara  
 „Zaszumi mibdem; pieśń grzmi wesoła...  
 „Lecz gdzie mój ogar? puścić ogara!  
 „Gdzie jest mój sokół? puścić sokoła“.

Stróż psów hetmańskich, ptasznik Hetmana,  
 Dzicci nieletnie, wyszli z drużyny;  
 Pobladli oba uczuciem winy,  
 I wyczytali gniew w oczach pana.  
 Potem rzekł starszy: „Nieszczęsne łowy!  
 „Na nasze łowy ktoś rzucił czary.  
 „Gdzie niegdyś leżał sumak stepowy,  
 „Dzisiaj okryte zbroją Tatary  
 „Trudzili charty i skrzydła ptaków.

„Od strzał tatarskich sześciu kozaków  
 „Pośród stepowych padło wądołów,  
 „I sześć ogarów i sześć sokołów.  
 „Tatar ci zabił psa i sokoła“.  
 „Kłamstwo! to kłamstwo!“ Hetman zawoła,  
 „Gdy w polach jęczą wasze cięciwy,  
 „Smycz moja pada, a Tatar żywy...  
 „Umiem wybadać prawdę za mgłami  
 „Uwitą w słowa krzywoprzysiężne.  
 „Znacie tę obróż? pierścień z dzwonekami?  
 „Śmiercią wam biją dzwonki mosiężne“.  
 Śnać, że obróżę charta poznali,  
 Pieśń śmierci w głosie dzwonek odgadli;  
 Oba zadrżeli, oba pobladli,  
 Łza im błękitne oczy kryształi...

„Parę kłamiwa, co razem wzrosła,  
 Rzekł srogo Zmija, „polecieć Bogu,  
 „Wsadzić do czajki, w czajce bez wiosła,  
 „Niech z dniewprowego wpływają progę.“

Już odszedł Hetman... Powstały gwary,  
 Skądże wie Zmija o naszych łowach?  
 Czy mu przynieśli pierścień Tatary?  
 Czy gdzie ukryty sam był w parowach?  
 W różnych domysłach zabrzmiały struny.  
 Jako żorawi nuta wędrowna,  
 Pieśń przez srebrzyste płynie pioluny,  
 Mięsza się z echem, dzika, czarowna,  
 Po kiedyż kozak o czarach nie śni?...  
 Może domysły rozkwitną z pieśni.

P o w i e ś ć K o z a c k a.

Rusałka.

I.

Nad mogiłą w mgłach wysoko  
 Krąży sokół, siadł na krzyżu.  
 Pod tym grobem śpi głęboko,  
 Niegdyś Hetman, pan na Niżu.

Jeszcze sława Zaporozia,  
Jako miesiąc blady, nowy,  
Nie przebyła w czajkach morza,  
Nie wleciała nad ostrowy.

Na ostrowach rosły głogi  
I samotna róża bladła.  
Zapienione skalne progi  
Mgły błękit wód zwierciadła.

Przy Rusałce, wysp Hetmana  
Widać było w blask miesiąca.  
Jego luba z mgły uwiana,  
Z mgły dnieprowej, zimna, drżąca.

Choć mroziła mglistą dłoń,  
Zapalała czarnem okiem...  
„Luby“, rzekła... „tam się płonią  
„Polne róże nad potokiem,

„Dzwonki barwą lśnią błękitną:  
„Uschną dzwonki na pokosach,  
„Lecz z różami, gdy przekwitną,  
„Rozkwitają w moich włosach.

„Duchem zmarłych na tym świecie  
„Zyję, kwitnę jak mogiła.  
„Cóż po łąkach? cóż po kwiecie?  
„Niechaj uschna, bym ja żyła...“

„Czarna duszo! precz odemnie,  
„Już miłości nie ocucę.“  
„Wyrzekasz się? leez daremnie!  
„Znów zawołasz, znów powrócę.“

## II.

Rusałka się w mgłę rozplywa.  
Nocą blady miesiąc świeci,  
I po łodziach lśnią łuczywa,  
I do Dniepru toną sieci... ,

Hetman smutny i ponury,  
Płynie zwolna łódź Hetmana;  
Przed nią postać z mglistej chmury  
Płomieniami malowana.

Taka piękna, po nad falą,  
Gdy się o nią blask roztraca.  
Wpół się ogniem lica pała,  
Wpół się srebrzą w blask miesiąca.

W zachwyceniu, nieprzytomnie,  
Choć to może duszy zguba,  
Hetman wołał: „Chodź tu do mnie!  
„Chodź tu do mnie, moja luba!“

## III.

Odtąd zawsze, zawsze razem.  
Hetman w więzy Ignął widziadła,  
Choć jej dusza zimnym głazem  
Na twarz różne barwy kładła.

Zawsze piękna... z polnych głogów  
Róże złote włosy wieńcza.  
I kradzioną z nad porogów  
Mgliste szaty złoci tęcza.

Gdzie zarastał gaj odludny,  
Jednem słowem, jednym rankiem  
Wzniosła z wyspy zamek cudny,  
I obwiodła złotym gankiem..

Z koralowej zamek cegły.  
Wieża druga, trzecia, czwarta,  
Na skinienie w niebo biegly:  
Lud go nazwał zamkiem *csarta* (1).

W zamku, jak kładzione kosa,  
Powiązała róż szkarłaty;

-----  
(1) Czertomelik.



Brylantami jakby rosa  
Poiskrzyła jasne kwiaty.

Hetman patrzył na kobierce,  
Okiem blask brylantów śoigak;  
Ciagle patrzył, stygło serce,  
Dla Rusałki już ostygał..

Ta, choć zimna pod obłokiem,  
Zimne serce wnet odgadła;  
Szybko, szybko, czarnem okiem  
Brylantowe blaski kradła;

Kwiaty brała do workoczy. —  
Hetman spojrział, wzrokiem tonął,  
Nad brylanty skrzą jej oczy!  
I znów kochał, i znów płonął.

„Luba! ty masz blask anioła...“  
„Więc mnie nagródź, jeśli warta?“  
„Daj sokoła, daj mi charta,  
„Zabij charta i sokoła.“

„Czarna duszo, precz odemnie!  
„Sercem się z szatanem kłóć.“  
„Znów zawołasz? lecz daremnie!  
„Przyjdiesz do mnie — ja nie wrócę.“

#### IV.

Odpięła... Hetman kroczy  
Zamyślony po komnatach...  
„Co! nie wróci? a jej oczy  
Takie cudne, włosy w kwiatkach...“

Myślał... Z oczu lzy ogromne  
Po niemeskiej płyną twarzy.  
Rzekł do siebie: „Już nie wspomnę!“  
Nie wspomina, ale marzy...

„Nad zamglone chmur błękit  
Óto miesiąc już się płoni;  
Już mój sokół, chart zabity,  
A jej niema?... pójdę do niej...“

Jakże miłe technienie wiosny!  
I woń fali świeża, chłodna!  
Nad porogiem czarne sosny  
Szronem bieli mgła nadwodna.

Pod skałami ciągle burze  
Łamią w falach blask księżycy,  
Nad falami w mglistej chmurze,  
W blasku srebrnych tęcz dziewica.

Przy jej stopach chart bladawy,  
Niespokojny i ponury,  
Na ramieniu sokół gławy,  
Nastrzępiony, patrzy w chmury.

„Jakżeś piękna! Hetman woła,  
„Któż ci może ujść bezkarny?  
„Chodź tu, luba, spłosz sokoła,  
„Chart niech leci gonić sarny.“

„Tu pod moich ust płomieniem  
„Twe się blade mgły rozploną.  
„Jak tu miło! pod sosn cieniem!“  
Prosi, błaga, okiem, dłonią.

Lecz dłoń jego, ciężka wina!  
Czy przypadkiem, czy po myśli,  
Na krzyż srebrną mgłę rozcina,  
Znak zbawienia święty kreśli.

Przed krzyżem się mgły rozpięzchły  
Jak złamane wód błękity;  
I Rusałki rysy zmierzchły,  
Obraz zniknął w mgłach rozbity..

## V.

Znikła... słyhać tylko burze  
W głębi Dniepru, i szum piasków.  
Lecz mgła spływa, spływa w chmurze  
Zabłąkanych kilka blasków.

I rozbite mgły zwierciadła  
Wiatr przybliża, zmniejsza, zmniejsza;  
Lśni Rusalka, lecz poblądła,  
I poblądła, i smutniejsza...

Potem rzekła: „O mój miły,  
„Zegnam ciebie, ginę, ginę.  
„Jak mnie z wiatrem mgły rozbiły,  
„Tak w uściskach się rozplynie.

„Prosisz, błagasz nadaremno,  
„Próżno czekasz na tej skale;  
„Lecz chodź zemną! lecz chodź zemną!  
„Droga do mnie przez te fale.

„Mgły tu zimne, ale jasne;  
„Gdy i ciebie mgła okryje,  
„Patrz, mój luby, teraz gasnę,  
„W twych uściskach znów ożyję.

„Sokół żywy, chart twój żywy.  
„Z sobą razem jak z sokołem  
„Pójdę błędzić nad te niwy,  
„Nad dymiących chat padołem.

„Pójdę z tobą, tak w mgłę ciemną  
„Osłonią jak w kryształach.  
„O chodź zemną! o chodź zemną!  
„Droga do mnie przez te fale.“

Hetman kochał, obłąkany,  
Hetman kochał, ogniem płonął;  
Z progu spojrzął w Dniepru piany,  
Padł do fali, i zatonął...

Gdy go skryły burz odmetry,  
Potrzaskały w proch granity;  
Duszę zbawił obraz święty,  
Krzyż na piersiach miał wryty.

Od grzechowej zmaży czysty,  
Już ulata w nieba stropy;  
Za nim wzleciał sokół mglisty,  
Chart Rusalki rzucił stopy,

A Rusalka, nad ostrowy  
Sama jedna... we łzach woła:  
Kiedyż! kiedyż Hetman nowy  
Da mi serce, psa, sokola.“

Pieśń kona z echem... i wnet jałowe,  
Dziki domysły urosły w gminie:  
Więc Hetman kocha fali królowę?  
Na oślepiec leci w przepaść i ginie.  
Zawsze samotny... zawsze nie z nami:  
Gdzieś na cmentarzach, nad mogiłami...

Ciszej!... tam zachód krwawy, ponury,  
Ozłocił stopy, jary i chmury,  
Zagasa słońce... słyhać, jak zdala  
O brzegi bije spieniona fala.  
Ciszej!... tu smutne mogił wybrzeże.  
Oto ostatnie zachodu blaski  
Złocą wichrami burzone piaski,  
Złocą trzy cerkwi posępne wieże,  
Co nad brzeg Dniepru wybiegły stromy.  
I tysiąc grobów, gdzie przez wyłomy  
Posępne trumien wieka świeciły.  
O! dzika Sycyz! twoje mogiły  
Z piasku uwiane... a grób tak kruchy,  
Gdy pod przechodnia zapadnie nogą:  
Potem w mgłach srebrnych płynące duchy  
Wczorajszych mogił znaleźć nie mogą.

Tam białą postać słońce oświeca.  
Łatwo z wybladłej odgadnąć twarzy,



Że to posepna mogił dziewica,  
Ze to siczowych płaczka wyspiarzy.  
Stała na wieku spróchniałej truny,  
A wiatr jej czarne unosił włosy,  
I wzruszał wianku srebrne piołuny,  
I róże wianku, lśniące od rosy.  
Mówią, że niegdyś płaczka ta miała  
Czoło wesole, lica różane;  
Lecz przymuszona płakać, płakała...  
I dzisiaj zmysły ma obłąkane  
Zmyślonym płaczem... i we łzach oczy.

To Hetman Żmija na omentarz kroczy;  
Stanął na grobie, rzekł „Witaj, Kseni!  
„Witaj, o sławna płaczko pogrzebu!  
„Ty nas modlitwą polecasz niebu;  
„Przez ciebie pieśnią w grobie uspieni,  
„Sen mamy cichy, gdy zbroja rdzawa  
„Zimną się rosą ziemi napawa.  
„Straciłem dzisiaj ptaka i charta,  
„Wierni mi byli... i tem boleśniej;  
„Jeżeli zgraja tych pieni warta,  
„Chart mój i sokół wart także pieśni:  
„Spiewaj nad nimi.“ — „Błuznisz, mój miły!  
„A ja do takich próśb się nie zniżę.  
„Czujesz to zimne technienie mogiły,  
„Słyszysz! jak skrzypią spróchniałe krzyże,  
„Jak z dzikim wrzaskiem rybitwa biała  
„Po nad błękitną falą się wiesza;  
„Pieśń moja smutna, gdybym śpiewała,  
„Wszystkie te dzikie głosy pomiesza.  
„Ciszej!“ Lecz Hetman nie słuchał mowy,  
„Wzrok miał ponury... Pomiędzy trzciny  
„Lśni Dniepru fala i próg dniewprowy.  
Wśród skał posepnych fale się zwarły,  
Na skałach dzikie rosły kaliny,  
I mech czerwony i sosny karły.  
Na progi czajka z falami leci  
I już zawisła po nad urwiska,  
A w czajce dwoje płynęło dzieci.  
Łódka z pianami w głąb się wciska,

A pod nią otchłań pieni się, burzy.  
Te dzieci połkną dniewprowe fale...  
Młodsze chwyciło za kwiecie róży,  
Co się po nagiej zwieszała skale,  
I padło w przepaść z gałązką kwiatu.  
Starsze po sosnach pnie się na głązy,  
Napróžno ręce podaje bratu,  
Słyszcy huk fali i obłąkane  
Mając na ustach modlitw wyrazy,  
Rzuca się z krzykiem w przepaść i pianę...

I nic nie wyszło z fal tajemnicy,  
Nic z głębokiego serca Hetmana;  
Dłoń swoją oddał w ręce dziewicy,  
Ta zachmurzona i pomieszana  
Wiodła go w cerkiew... W cerkwi tak ciemno!  
Posrebrza szyby księżyc na nowiu;  
Serce przenika trwożą tajemną  
Szyba brzęcząca w ramach z otłowiu;  
I przez otwarte dachu szczeliny  
Wglądały z kwiatem drżące kaliny.  
„Kseni, rzekł Hetman, co to się 'znaczy?  
„Słyszę jęk smutny i płacze rzewne:  
„Czy to jest nocne pienie puhaczy?  
„Czy ty chorągwie wzruszasz cerkiewne,  
„Ze się bez wiatru smutnie kołyszają?“

„Luby! chorągwie spokojnie wiszą,  
„Może je wzrusza technienie mogiły.  
„Czego się lękasz? czego? mój miły!  
„Chodź za mną.“ Zdjęła lampę z ołtarza,  
Weszli w podziemnych lochów zakręty.  
O! jak tu głucha cisza przeraża,  
Tu połamane Turków okręty;  
W spróchniałych deskach, w zbroje przybrani  
Leżą dokoła śpiący hetmani.  
A jako kazał obyczaj grecki,  
Każdy miał w ręku święte obrazy,  
Na nich tajemne modlitw wyrazy,

Usta przymknięte, w nich piastr turecki.  
 Kseni do malej zbliża się truny;  
 I strasznie drżała ręka dziewicy,  
 Gdy podnosiła czarne całuny,  
 Splamione gęsto łzami gromnicy.  
 O nieba! dziecię pod całunami  
 Piękne i żywe... Kseni pobladła,  
 I przed Hetmanem zalana łzami  
 Klasnęła w dłonie, do nóg upadła.  
 „Mój luby! rzekła, to dziecię, dziecię!  
 „Teraz się w ciemnych grobach ukrywa.  
 „Luby, niech pop nas połaczy skrycie,  
 „Pop moim ojcem... Ja nieszcześliwa!  
 „Łzy moje płyną na wzgardę światu.  
 „Gdy plotę z polnej róży zawoje,  
 „Wnet drżące liście padają z kwiatu.  
 „Wszystko usycha, wszystko—co moje.  
 „Świat mi szyderczym śmiechem przygania.  
 „Zlituj się, luby...“ Lecz próżne słowa,  
 Już wyszedł Hetman... śmiech obłąkania  
 Potknęła w ziemi cisza grobowa.

Pieśń III.

P o ż a r y.

Pieśń odpływających.

I

Ho! daleko Czarne morze,  
 Gdzie się czajki kapią w pianach.  
 Palmy zamki na Bosforze,  
 Jako trzciny na limanach.  
 Piękny to pożar łąk, oczeretów,  
 Lecz jakże płonie wspaniale  
 Wielki las masztów, las minaretów.  
 Szumcie czajki! szumcie fale!  
 Ho! kozak panem  
 Błękitnej fali.  
 Urra ho! dalej! urra ho! dalej!

Z naszym Hetmanem.  
 Urra ho! dalej!

II.

Nasza czajka szybka, zwrotna,  
 Choć nie błyszczy w malowidłach;  
 Jak jaskółka czarna, lotna,  
 Na sitowia leci skrzydłach:  
 Pięćdziesiąt wiosel w biegu ją nagli,  
 Dla Turków niesie podarek:  
 Dwa dział ze spiżu i sto janczarek,  
 Z szumem wiosel, z szumem żagli.  
 Ho! kozak panem  
 i t. d.

III.

Lećcie z nami, morskie wrony,  
 Gdzie południa świeci gwiazda;  
 Lećcie z nami, wam na gniazda  
 Damy turban zakrwawiony.  
 Za nami, wrony! za czajek śladem!  
 Dla was, co pożar ocali,  
 Łachmany żagłów, zaszumcie stadem,  
 Z szumem wiosel, z szumem fali.  
 Ho! kozak panem  
 i t. d.

IV.

Jak wesoło czajki płyną;  
 Piękny widok przy pogodzie,  
 Gdy chorągwie się rozwiną,  
 Gdy obwieją nasze łodzie...  
 Mijamy ementarz, nasze mogiły,  
 A tam nas żaden nie słyszy?  
 Sen ich szanujmy, sen słodki, miły,  
 Zagle ciszej! wiosła ciszej!  
 Ho! kozak panem  
 i t. d.



## V.

Zmarłych uśpi blask miesiąca  
 I szum brzozy, pieśń ołtarzy;  
 Równie smutna, dzika, drżąca,  
 Jak zblakanych pieśń wioślarzy...  
 Chaty, mogiły znikają nagle.  
 Zaszumciel zaszumcie wiosła!  
 Bogdaj nas do nich fala odniosła.  
 Szumcie czajki, szumcie żagle.  
 Ho! kozak panem

i t. d.

## VI.

Pieśń dziś smutna, czajka pusta,  
 Lecz powrócą pełne łodzie.  
 Tym, co zgina, włożym w usta  
 Piastr wybity w Carogrodzie.  
 Pacierze za nich a potem wina,  
 Wina w weneckim kryształe:  
 Za pamięć druhów pije drużyna.  
 Szumcie czajki, szumcie fale.  
 Ho! kozak panem  
 Błękitnej fali...  
 Urra ho! dalej! urra ho! dalej!  
 Z naszym Hetmanem  
 Urra ho! dalej...

Tak dziką pieśnią, przy wiosel pracy,  
 Chaty żegnali, a przed chatami  
 Na brzegu stali tłumem rybacy,  
 Starce siczowi, zalani łzami.  
 Jeszcze niekiedy nuta wędrowna  
 Od zablakanych powraca czajek...  
 O! pieśni dzika, pieśni czarowna,  
 Zmieszana z dźwiękiem wiosel i grajek,  
 Upływaj z echem, jak upłynęła  
 Młodość... tak rybak marzy i wzdycha,  
 Wrócił ponury, milczał — sieć cicha  
 W błękitne fale Dniepru tonęła.

Niech wolniej pieśń płynie— na moim torbanie  
 Strun braknie... Któż wyda kozackie pożogi,  
 Huk ognia, trzask domów, co lecą w oteńnianie?  
 Rwę struny torbanu i ręka drży z trwogi.  
 Spiewając, sam jestem jak Turek wyblady,  
 Choć widzę ogniska płonące po chatach;  
 Zatrważa mię każdy liść z drzewa opadły  
 I szelest sumaka, co śmiga po kwiatach...

Jak ciche, błękitne przystanie Synopy.  
 W około na palach podnosi się szaniec,  
 A fala błękitna konąta u stopy  
 Latarni portowej, gdzie w nocy kaganiec  
 Oświecał dalekie błękitu odmęty.  
 Dla kupca, dla majtka, to widok jedyny,  
 Te mnogie przy groblach nspione okręty,  
 Gdzie siatkom podobne krzyżują się liny,  
 I białą się żagle—ze strzelnic galery  
 Wygląda blask spiżu, gdzie drzemie grom bitwy,  
 Na masztach różnego koloru bandery,  
 Tak lekkie, krajane jak skrzydła rybitwy.  
 Gdy niebo i morze nie łączą się mgłami,  
 Ciekawe wejrzenie z wież puszcza się szczytu,  
 I ściga okręty z białymi żaglami,  
 Co zdają się płynąć do nieba błękitu.

Dziś tłumem się grobla napelnia portowa,  
 I fala spieniona od huku zadrzała.  
 Poznali huk Turcy—to mnogie grzmia działa;  
 Lecz w której to stronie? Od stron Oczakowa.  
 To może znać dają galery Sułtana,  
 Ażeby strzec portów od hord Zaporozża.  
 Ha! cóż nam te czajki? nam trwoga nieznaną,  
 Sam huk je dział naszych zatopi do morza.  
 Tak Turcy mówili... Lecz kiedy po fali  
 Noc ciemna posępnie rozciąga całuny,  
 Na czarnych niebiosach błysnęły dwie łuny:  
 To płonie Białogród—Trebizont się pali.  
 Noc była ponura, a luna szeroka  
 Pozłaca księżycę i szczyt minaretów.  
 Otwarto żelazne podwoje meczetów,

Przy lampach lud wzywa modlitwą proroka;  
A potem, ufając w przeznaczeń wyroki,  
Skończywszy modlitwy, lud wrócił do domów.  
I wszystkich w haremach sen ujął głęboki...  
Obudza się może wśród ognia i gromów.

Gdy Ulem meczetu zamykał podwoje,  
Nie postrzegł zapewne, lampami olśniony,  
Ze Turek posepny ubrany we zbroje  
Stał między filary jak gdyby uśpiony,  
I ani się ocknął—choć słyszał ponury  
Jęk rdzawych zawiasów i ryglów łoskoty,  
I widział po ścianach, jak łuny blask złoty  
Oświecał żyłami krwawione marmury.

W haremie nie widać, że niebo się pali,  
Bo mury wysokie, krzew gęsty i drzewa.  
Dziewice w złocistej zebrały się sali,  
Gdzie płoną pochodnie, róż technienie przewiewa.  
Jak szczere tam śmiechy! jak miłe zabawy!  
Bo Basza daleko, na czterech fregatach  
Na Czarne gdzieś morze przedsięwzięł wyprawy  
Eunuchy w odległych usnęli komnatach.

Dziewice obsiadły sadzawki, gdzie z głazu  
Tryskają fontanny, lamp ogniem iskrzone.  
Z westchnieniem widomem przez gazy zasłono  
Słuchają miłosnych gazalów Szirazu.  
Ta żądy tajemnej kraszona rumieńcem,  
Choć przyszłość zna swoją, a jednak ciekawa,  
Dziecinnie się śmieje, gdy w dłoni jej trawa,  
Węzłami spojona, rozwija się wieńcem.  
Ta smutna, kwiat róży po liśtku obrywa,  
Liśc każdy opadły ma tajne znaczenie,  
Ostatni liśc róży jej przyszłość odkrywa;  
Zerwała ostatni,—i słychać westchnienie;  
I długo dumiała nad kwiatem opadłym,  
Ze łzami na twarzy i z czołem poblądnętem,  
Ta kwiaty obrywa, ta patrzy, jak kwitną;  
Ta chroniąc płeć dłoni od wiosny upału,

Podrzuca na dłoni dwie kule z kryształu,  
Lub płoszy wachlarzem mgłą kadzidł błękitną.

Zulema, szukając zacięży i chłodu,  
Usiadła samotna na złotem węzłowie  
I okno otwarła na kwiaty ogrodu.  
Noc była tak ciemna, bo księżyc na nowiu.  
Cieniami pokryte fontanny i drzewa;  
I tylko przez okna barwione i kraty  
Od sali się światło złociste wylewa  
Na drzące pod oknem z kwiatami granaty.  
Na niebo zamglono patrzyła dziewica,  
A myśl jej igrała z ciemnością i mgłami.  
Czy sen to?... Przy blasku niepewnym księżyca  
Widziała minaret pomiędzy drzewami;  
Na szczycie z ołowiu, jak światło poranku,  
Mignęły płomienie niepewne jak zorze.  
Ukazał się rycerz na wieży krużganku,  
W turbanie na głowie, w tureckim ubiorze.  
Spojrzała dziewica, westchnęła boleśnie  
I oczy odwraca, zapomnieć by chciała,  
Bo tego rycerza widziała gdzieś we śnie.  
Znów patrzy—o nieba! tatarska to strzała,  
Puszczona pod chmury ze skrzydłem płomionem,  
Wróciła na wieżę i zgasiła na szczycie.  
To może w jej oku zroszonym i sennem  
Lśni gwiazda przelotna po niebios błękitnie?

Lecz skądże się nagle szczyt nieba rumieni?  
W około płomienne rozlały się blaski,  
I słychać z daleka trzask głuchy płomieni,  
I słychać jęk ludu, gwar dziki i wrzaski,  
I straszny szcęk broni i grzmienie janczarek.  
Na wieży krużganku znów nowe zjawiska:  
Od króla polskiego kosztowny podarek,  
Złocona chorągiew hetmańska połyska.  
Gdy miasto w płomieni okryło się wianku,  
Chorągiew dla Turków—to całun grobowy;  
A przy niej stał kozak na wieży krużganku,  
Żelazem błyszczący od stóp aż do głowy.



W światłości czerwonej haremu ogrody;  
Odkryły się kręte gaików zarysy,  
I ciche kanałów złościły się wody,  
Po wodach cień smutne rzucały cyprysy;  
Fontanny, jak ze snu zbudzone pożarem,  
Tryskają pod niebo złotymi słupami,  
Więć straszna, więć śmierci przebiega przez harem.  
Rzezańce, wzruszeni rozpaczą i łzami,  
Prowadzą dziewice po jasnym ogrodzie  
Nad kanał, w około drzewami zarosły;  
Tam róże haremu usiadły na łozie,  
A wiosła je szybko od brzegu odniosły.

Czy mamże powiadać, jak czajka w haremy  
Przez kraty skruszone na kanał wybiegła?  
I krzyki żon Baszy—i radość Zulemy,  
Gdy z wieży rycerza przed sobą spostrzegła.  
Ta postać, wpół żaglem na czajce owiana,  
Znajoma Zulemie... Nie zdradzę tu w pieniach  
Tajemnic ukrytych w nieśmiałych westchnieniach,  
I w oczach Zulemy i w oczach Hetmana.

„Skorzej, żeglarze! skorzej! czas nagli,  
„Księżyc jaśniejszy i dłuższa zorza.  
„Może nam wicher uciec z pod żagli,  
„Może nas cisza przykuć do morza;  
„A ciężko będzie po martwej fali  
„Tłuc się wiosłami i bladnąc z głodu?

„Cóż to za gwiazda we mgłę się pali?  
„Ho! to latarnia z wież Carogrodu.  
„Dalej za światłem! dalej! i dalej!  
„Jak trzej magowie za gwiazdą wschodu,  
„Jak trzej magowie za gwiazdy lotem,  
„Lećmy po złoto, choć nie ze złotem.

„Ho! ho! ostrożnie. Czajka na czatach  
„Niech daje bacność, zdala i zbliśka...  
„Szczęśliwi oni w rodzinnych chatach,  
„Wieczorne teraz palą ogniska;

„Pełne ryb sieci i piwa dzbany,  
„I pies ich nawet w chacie spoczywa;  
„A tu na morzu kozak zbłąkany,  
„Gdy się przez czajkę fala przelewa,  
„Jak morska wrona, ze srebrnej piany  
„Otrząsa skrzydła, na wierzech wypływa;  
„Byleby w fali znalazł dolara,  
„Lub piast turecki... Ho! bacność, wiara!

„Lecz my szczęśliwi niż oni w chatach,  
„Gdy nas obwieją dymem pożary;  
„Miło w tureckich błądzić komnatach,  
„I pić, i złote chować puhary;  
„Lub leżeć w siatce, gdy kołysana  
„Lekko się waha, buja na maszcie;  
„I patrzeć w niebo i drzwi z Sultana.

„A teraz, bracia, dobrze rozważcie;  
„Oto zdaleka wieża drewniana,  
„Czy ją zapalić? czy zrównać z piaskiem?  
„Oto na wieży latarnia miga,  
„I brylantowym pali się blaskiem.  
„Niech moja czajka brzegu dościga,  
„Ja sam pod zręby ogień podłożę.  
„Lecz jeszcze okiem rzucę na morze;  
„Jak cudny widok?... Tu czajek dwieście,  
„Które noc kryje i groźna strzeże.  
„Zdala rząd światła, Pera przedmieście,  
„Dalej Sofijskie złoczone wieże;  
„Ledwo ich blade widać zarysy  
„Na ciemnym niebie... Tam krzew żałoby,  
„Tureckich grobów widać cyprysy.  
„I w nocy nawet czernią się groby.  
„I gwar daleki i morza szumy,  
„I myśl o wschodnich roi straszydłach:  
„Zda się, że widzę, jak widmo Dżumy  
„Płynie nad miastem na czarnych skrzydłach.”

Już zniknął Hetman—czas szyko bieżyć...  
Cicho i głucho, słyhać jęk dziki...  
To pewno strażnik skonał?... Na wieży

Błękitne siarki widać płomyki,  
I nagle światło na morze pada;  
Krwawo się czarna fala rumieni,  
I twarz miesiąca zagasa blada.  
Słychać huk ognia i trzask płomieni,  
I ożywione jak malowidłem  
Dalekie miasto z minaretami  
Z cieniów wypływa—a tu chmurami  
W dymach pożaru zbudzone wrony  
Niekiedy białem migają skrzydłem.  
Słychać pisk ptactwa—ogień szalony  
Wzmaga się, rośnie. Ogniem owiana,  
Straszniejsza niżli widmo pomoru,  
Niżli pochodnia w gmachach szatana,  
Świeci kozakom wieża Bosforu.

„A teraz, druhy—hej do zabawy!  
„Dalej! w przedmieścia, gdzie Grek zdradziecki,  
„Gdzie kryje złoto kupiec wenecki;  
„Lecz pamiętajcie, gdy świt jaskrawy  
„Pożłoci niebo, wrócić do łodzi  
„I przynieść wiele złota z wyprawy;  
„Będziemy piastry mierzyć na garce.  
„Lecz jeśli kogo szatan uwodzi,  
„Jeśli się z łupu nie wypowiedzi,  
„Niechaj pamięta, w Żmii janczarce  
„Pięć kul się kryje, biada mu! biada!”

Już świta—świta... Ognie pożarów  
Gasły przed słońcem, a wschód był krwawy.  
Patrzcie! pod miastem chmura kurzawy,  
Czy to się zbliża rota janczarów?  
Migają zbroja... Zasiąść na ławy,  
I szyję harmat zwrócić do wałów;  
Jeśli się zbliżą? wnet stem wystrzałów  
Przywitać Spachów... Nie będzie boju..  
Biała chorągiew błysnęła w tłumie,  
Posłowie niosą słowa pokoju:  
Oto kadzidło hetmańskiej dumie...  
Słyszę ich trąby i rozstrojony  
Dźwięk surm tureckich, dziki i huczny;

A w tłumie miga kolor zielony:  
To jakiś Emir, Basza buńczuczny.  
Koń jego szybki jak błyskawica...  
„Cóż tam, Emirze, od twego pana?“...  
Emir pozdrowił nisko Hetmana  
I rzekł... „Syn słońca a brat księżycy...“  
„Ho! przerwał Hetman, wasz Sułtan stary  
„Jak brat księżycy zbladł przed pożarem.  
„Jeśli cię z jakim przyszyła darem,  
„Chętnie przyjmujemy Sułtana dary;  
„Lecz póki jestem w brzegach Bosforu,  
„Póki mam silne prawo zdobyczy,  
„W darach mieć mogę prawo wyboru.

„Pierwsza jest cerkiew... Dla cerkwi w Siczy  
„Żądam obrazu... Między ikony  
„Jest w Carogrodzie obraz święcony,  
„Obraz, co płacze rzewnymi łzami;  
„A gdy go człowiek w morzu zanurzy,  
„Morze gniewliwe bije falami,  
„Pieni się, huczy, pryska i burzy,  
„I póty gniewne podnosi tonie,  
„Aż pogan statki w falach pochłonie.  
„Lecz to dla popa - słuchaj, Emirze!  
„Niech sobie mnichy walcą cudami;  
„Póki mam szablę i czajki chyże,  
„I zamek w Siczy, król nad zamkami,  
„Póki mam tysiąc różnego chłopca,  
„Co po obrazie?... Obraz dla popa.

„Słuchaj, Emirze! dla mej drużyny  
„Złota potrzeba cudnego blasku!  
„Nie rodzą kruszców nasze krainy,  
„Dniepr się nie toczy po złotym piasku;  
„Gdyśmy go cały orał flotą,  
„Pytając: Dnieprze, ma twoje łożo  
„Złoto?... On czajki wyniósł na morze,  
„Aż pod Carogród, - rzekł: tam jest złoto.  
„Tu pięć tysięcy jest młodzi z Siczy,  
„A w ięc syn słońca, pan twój łaskawy,  
„A w



„Da pięć tysięcy piastrow odprawy;  
„Dla mnie?... jednego niech nie doliczy. —

„Emirze! teraz dar dla Hetmana,  
„Nie piast turecki, nie malowidło...  
„Widziałem pyszny pałac Sultana,  
„Gdzie się on kryje błądy ze strachu.  
„Każcie rozrzucić pałacowi skrzydło,  
„A każdy kozak gruz weźmie z gmachu,  
„Z kamieniem w pola Siczy powróci,  
„Jak skarb przechowa na dnie skarbnicy;  
„Potem ten kamień na grób mi rzuci,  
„Wstanie mogiła, pod tą mogiłą  
„Głucho śpiącemu będzie się śniło,  
„Że w czajce grozę waszej stolicy.“

#### Pieśń IV.

C z a j k i

Kozacy wygnani nad Donu brzegami,  
Gdy Dniepr opuszczali, pieśń smutna i szczytna  
Z rozpaczny wyrazem, zmieszana ze łzami,  
Na głowę carycy przekleństwa miotała.  
O falo błękitna! o falo błękitna!  
Tyś czajki nosiła... tyś łzy te widziała...

„Zda się, że słońce piękniejsze świta,  
„Gdy do powrotu czajka zwrócona.  
„Miła tej fali barwa zielona,  
„Czajkami w srebrną pianę rozbita.  
„Jak się te nurki spokojnie pławia,  
„Pod słońca blaskiem skrzydły trzepocą.  
„Lecz kto wie, druhy, może przed nocą  
„Srebrne się morza fale zakrwawia?...

„Ha! zgadłem, bracia... tam na obłoku  
„Turecki żagiel z wiatrem ucieka.  
„Zaczęto łowy, mieć go na oku,  
„Lecz się nie zbliżać... zawsze zdaleka.  
„Nicch żadne wiosło czajki nie nagli,

„W dzień się nie zbliżać, nie stawić czoła,  
„Galery mają oczy sokoła,  
„Zaraz dostrzeżę... Zwinąć pół żagli...

„A przed obrazem Bogarodziocy,  
„Co burzy morze i czajek strzeże,  
„Zapalić świecę... a przy tej świecy  
„Niech pop odmawia głośno pacierze.  
„Gdy wydam rozkaz... za mym rozkazem  
„Wziąć pośród siebie czajkę z obrazem,  
„Lecz niech się teraz pop nie przysłuży,  
„Niechaj obrazem morza nie burzy,  
„Niechaj się modli... innej usługi  
„Teraz nie żądam... Jakże dzień długil...

„Ho! ho! szalony ten Sultán stary,  
„Budować takie wielkie galery,  
„Co trzykroć tyle nabiorą wody,  
„Niż nasza czajka; za to z czajkami  
„Tureckim statkom nie iść w zawody:  
„Gdy pełnym żaglem płyną za nami,  
„My na mielizny... często w pogoni  
„Okręt ich pryśnie o piasków ławy,  
„I tak jak szklanny puhar zadzwoni...

„Widzicie, druhy, jak zachód krwawy,  
„To wiatr nam wróży... korzystać trzeba.  
„Więc nieco białych żagli rozwinąć  
„I robić wiosłem... ku słońcu płynąć.  
„Postawić czajki w płomieniach nieba,  
„Tak, aby słońce było za nami...  
„Ze zwiniętymi teraz żaglami  
„Utonąć w blaskul.. pod tą opieką  
„Nas nie wyśledzi ów upiór smoczy,  
„Co ma z kryształu stokrotne oczy,  
„Tymi oczyma sięga daleko...

„Dzięki Ci, Boże! oto do końca  
„Dzień nachylony blade się pali,  
„Oto nad falą widać pół słońca,  
„A pół do ciemnej kryje się fali,

„I na świat rzuca odbłysek ponury...  
„Już się nad słońce fala podniosła,  
„Po niebie krwawe snują się chmury.  
„Teraz do żagiel teraz do wiosła!..“

Okrzyk stokrotny  
Bije o chmury;  
I żagiel lotny,  
Jak skrzydło ptaka,  
Białymi pióry  
Czajkę kozaka  
Niesie... Ta drżąca  
Wygina szyję,  
Kapie się w wodzie,  
Fala roztrąca;  
I kozak żyje,  
I czajka żywa.

Już leca... Błady na wschodzie  
Z za chmury księżyc wypływa...

„Ho! dobra wróżba — galera Baszy.  
„Lubię mieć sprawę z Baszy galera,  
„Znam tę banderę, a nad banderą  
„Buńczuk, co płocze jaskółki straszy.  
„Widzę przy ogniach tureckie twarze,  
„Zdają się blade... Czekać w pobliżu,  
„Aż nam galera boki ukaże,  
„Aż na nas spojrzę okiem ze spiżu.“

Galera okropną cichością owiana,  
Jak widmo posępne, jak pałac zaklęty,  
Choć wiosło nie szumi, choć żagiel zwinięty:  
Bez ludzkiej pomocy, czarami szatana  
Odwraca pierś złotem ozdobną straszylem,  
I boki jej księżyc bladawy oświeca.  
Trzydzieści paszcz widać przy blasku księżycy,  
Skąd wkrótce ognistem wyleci zgon skrzydłem...

„Druhy! do wiosła już dają znaki,  
„Ażeby iskrą podrażnić działa;  
„Lecz my pierzchniemy stadem jak szpaki,

„Próżno nas będzie kula szukała,  
„Dalej! do wiosła!..“ I mnogie wiosła  
Wnet zaszumiły.  
Czajkę zbłąkaną  
Fala rozniosła.  
I żagiel biały,  
Z białawą pianą  
Zmieszany, zniknął na morzu...

I rzekłbyś, że fala te czajki pożarła?  
Ze kozak grób znalazł w błękitnych fal łożu?  
I cichość posępna i cichość umarła  
Okryła na chwilę błękity odmetu.  
Lecz iskrą galery zbudzone już działa  
Wzruszyło sen głuchy, błysk widać z okrętu,  
I dział trzydzieści zagrzmiało.

Dym czarny chmurą na morzu drżemie,  
I okręt zabrzmiął szatańskim śmiechem;  
Lecz nim śmiech skonął z trzykrotnem echem,  
Czajki stadami błysnęły w dymie.  
Pobledli Turcy... Oto kozaki  
Na pierś okrętu rzucają haki,  
Dra się na pokład. Nad pogan karki  
Widać wzniesiony miecz Atamana,  
I nad turbany pióro Hetmana,  
I atamańskiej odgłos janczarki.  
Wśród damasceńskich krzywych pałaszy,  
Miece się Żmija okropnym bojem;  
Gdzie walczył Basza, syn młody Baszy  
Nawpół makowym spity napojem.

„Ojczel! — do Baszy rzekł Selim młody,  
„Giniemy, pozbadź niewczesnej dumy.  
„Łódź okrętową spuścić do wody;  
„Gdy ja sam wrogów zatrzymam tłumy,  
„Uciekaj, ojczel! — Na środek skoczył,  
I pośród tłumy swój turban biały  
Błyskiem krzywego miecza otoczył.  
Jęk na pokładzie, janczarki grzmiały  
Pośród pałaszy w błysku i dymie



Hetman młodego spotkał Selima;  
I dwa się miecze starły olbrzymie.  
Zmija miecz wroga na mieczu trzyma,  
A drugą dłonią z janczarki błysnął,  
Strzelił pod maszty, i płomień nagłe  
Szybkim poskokiem wpłynął na żagle,  
Aż na banderze złotej zawisnął:  
I maszt sosnowy zajął się z trzaskiem...

„Byłaby walka w cieniach schowana,  
„Trzeba ją takim oświecić blaskiem...  
Oto pochodnia błyszczy Hetmana.“  
Z trzaskiem pożaru znów szczęk oręża  
Słychać, i dźwięki hartownej zbroi.  
Miecz straszny Zmii, jak żądło węża,  
Krwi wroga szuka i krwią się poi.  
Koszula Zmii utkana w druty,  
Hartowna wprawdzie na próbę kuli,  
Lecz miecz Selima w Damaszku kuty  
Przedarł drucziane węzły koszuli.  
Krew popłynęła aż na kobierce,  
Co okrywały Baszy okręty:  
Zmija się zemścić — ugodził w serce,  
Schylił się Selim jak kwiat podcięty,  
Upadł na pokład ze chrzęstem stali;  
Padając, okiem rzucił po fali,  
Przez fale płynie łódź okrętowa,  
Tam jego ojciec. — Selima głowa  
Spadła na piersi...

#### Czajka wesola

Znów śliską pierśią roztrąca piany,  
I na błękitne wpływa limany;  
Nad limanami z ołowiu czola  
Wież Oczakowa widać wysoko;  
A wież turecka załoga strzeże.  
Dostrzegło czajek pogańskie oko,  
I wiankiem ognia błysnęły wieże;  
Dym widać srebrny, huk słysząc głuchy.  
Lecz czajki ciche, ciche, jak duchy,  
Gdy wiatrem wzdęta żagli pierś biała,

Płyną wstecz Dniepru, dalej! i dalej!  
Znów z wież tureckich zagrzemiały działa,  
Lecz huk bezsilny skonał na fali.

Jak cudnie błyszczą, czajek szeregi,  
Słońce pozłaca barwy orszaku;  
Jak cudnie błyszczą dniewrowe brzegi,  
Kwiat oczeretów szkarłatem świeci.  
Niekiedy w ciszy Tatar Budziaku  
Mignie na koniu, jak wiatr przeleci;  
Lub w oczeretu kwiatach ukryty,  
Patrzy na czajki, na fal błękity.

#### Pieśń powrotu.

Czajki! czajki! Sicz przed nami!  
Oto brzegi Zaporozża!  
A daleko, za czajkami,  
Już pożarów gasnie zorza;  
I wśród morza,  
Miedzy mgłami  
Płonie wielka masztów sosna,  
Siła żagłów spada.

Gdy nam błysnie nowa wiosna,  
Znowu zadrzy dziec wybladła,  
Znowu zagrzmi śpiew janczarek;  
Lecz w tym roku dość zachodu,  
My do miodu!  
Z brzękiem czarek  
Pijmy w naszej Ukrainie  
Miód nasz przepalony.

Gdzieśmy byli, kto popłynie?  
Za trupami chyba wrony,  
Wrony czajek przyjaciółki,  
Co śmierć kraczą Asawule;  
Kiedy kule,  
Jak jaskółki,  
Nad czajkami po przestworzu  
Lecą chmurą czarną.

My kozacy siejem w morzu.  
 Gdy się z wiosną plony zgarna,  
 Pełnym workiem piastry świecą  
 Podłe, jako liś zżółkniały;  
 Jak wleciały,  
 Tak wylecą.  
 Przez pół roka pan dostatni,  
 Kozak Wojewoda.

A gdy wyjdzie piastr ostatni,  
 Znów z Kijowa Dniepru wodą  
 Do chat naszych.—Kozak śpiewa,  
 A gdy nędze zakłopotą,  
 W łodziach nocą  
 Lśnią łuczywa;  
 I do ciemnej Dniepru wody  
 Cicho sieci toną.

Miło błdzić, gdzie ogrody  
 Wschodnich Baszów, kędy płoną  
 Złota blaskiem jabłka duże;  
 Lecz się milej schylić z konia,  
 I wśród błonia  
 Polną różę  
 Zerwać, zanieść z ranną rosą  
 Lubej w upominku.

Pierwej fale wyspy zniosą,  
 Niżli kozak dla spoczynku  
 Tknie się pługa... gdy raz złotem  
 Da zakupić ręce panu,  
 Wśród limanu  
 Zlany potem,  
 Zlany łzami, będzie w stożec  
 Składał kryształ soli.

O! nie pójdzie Zaporozec  
 Zaprzędany do niewoli  
 Błdzić! . . . . .

O cicho! cicho drużyno!

Czy tam widzicie żagle za nami,  
 Żagle się galer biela za trzcina,  
 Za kozackimi płyną czajkami.  
 W Czertomeliku płynmy ostrowy,  
 Tam będą czajek bezpieczne floty;  
 Próżno nam buńczuk zagraża złoty,  
 I pierś galery i żagiel płowy.  
 Oto na brzegu nasze rodziny..  
 Czajka ma czucie, wierność brytana,  
 I tak jak brytan o stopy pana  
 Tak się o wodne otarła trzciny.

Pieśń V.

B A S Z A.

Wrócił syn stepów wyprawą dumny.  
 Jakże mu piękne zdają się chaty!  
 Róża je polna ubiera w kwiaty,  
 Malw różnobarwnych drżące kolumny  
 Aż po nad strzechy rosną i kwitną.  
 Owdzie spróchniałe skrzypiąc żórawie,  
 Siegają w studni wodę błękitną:  
 Tam Zaporozec napawa konia,  
 Śpiewając dziką pieśń o wyprawie,  
 I gwarząc z echem, wraca przez błonia,  
 Kiedy wieczorna zabyłśnie gwiazda.  
 Na śpiew szczeniem pies się odwoła.  
 Chaty wiszące w parowach siola,  
 Jako jaskółcze czernieją gniazda...

Ale dla Turków jakże zdradzieckie  
 Czertomeliku wysep zakręty!  
 Gdy w nie galery weszły tureckie,  
 Utkwił na miejscu żagiel rozpięty.  
 I tak za czajką płynące wrogi  
 Co wprzód grozili, blade od strachu,  
 Nie mogli znaleźć powrotu drogi,  
 Jakby w egipskim zbłąkani gmachu.



Kozak spokojne porzucił chaty  
I biegł na brzegi; tam ksiądz z gromnicą,  
Przywdziewał lśniące złotem ornaty,  
Trzykroć oświecił Dniepr kadzielnica,  
A gdy odmówił z księgi pacierze,  
Rzekł do Hetmana: „Mój wierny synu,  
Czy wierzysz w cudy?“ Hetman rzekł: „Wierzę“.  
Lecz uśmiech jakby na wzgardę gminu  
Oświecił blade lica Hetmana.  
A ksiądz rzekł dalej: „Więc w imię Pana,  
„Jeśliś ochrzczony, weź obraz święty,  
„Gdzie malowana Bogarodzica,  
„Zanurz do fali, niechaj okręty  
„Zatona—zgasną jak ta gromnica“.  
Rzekł... i gromnicę rzucił do wody.  
Tłum cały milozał, a Hetman młody  
Jakby ze wzgardą słuchał rozkazu;  
I malowidłem cudownem błysnął,  
Lecz nim tknął fali ramą obrazu,  
Obraz się w drobne sztuki rozprysnął.  
A ksiądz zbladł drżący... zbladła drużyna...  
Hetman zawołał: „Czemuż blednicie?  
„Jeśli pękł obraz? nie moja wina,  
„Spróchniał w tureckim wisząc meczecie.  
„Ale ten okręt zastrzągł do mułu,  
„Turków wytracę przed wschodem słońca;  
„Jednego tylko zostawię gońca,  
„By o tem zaniósł wieść do Stambułu...  
„Cóż ten szmer znaczy?... czyż szabla Zmii  
„Tak się na karkach tureckich starła,  
„Że już kozackiej nie tknie się szyi?!  
„Do chat, kozaki!... niech myślą Turki  
„Że już drużyna nasza wymarła:  
„A gdy noc głucha padnie na wzgórkii  
„I na parowy... być w pogotowiu  
„Na odgłos trąbki... Do chat, kozaki!...“

Już przy zachodzie dneirowe ptaki —  
Czuple się kładły do snu w sitowiu,  
Galera pierśią nie miała wody,  
A spód jej ledwo w trzcinach widomy;

I nad zielonę wysep ogrody  
Wyrastał wielki maszt nieruchomy.  
Słońce złociste, niećmione mgłami,  
Tonie w oczeret... blaski niktące  
Spały na żaglach, a nad żaglami  
Zwieszały liście brzozy płaczące.  
A jeszcze wyżej, na żagłów szczycie  
Bandera Baszy połyska złotem;  
I jeszcze wyżej, w nieba błękiecie  
Jaskółki szybkim krążyły lotem.

Tak cichy widok... Niech Turki marzą,  
Że są panami stu wysp na Niżu;  
Niech śpią głęboko... bo już na krzyżu  
Usiadł jak do snu sokół stepowy,  
Smutny wszedł miesiąc z płonącą twarzą  
I na zamglone patrzył ostrowy.

Cichość posepna i noc głęboka,  
Na straży Turek zbrojny połyska,  
I z chat kozackich nie spuszcza oka:  
Ale po chatach gasły ogniska.  
Turek odmawia modły Proroka,  
I tak się rajska oteczył chwałą,  
Że ani dostrzegł, jak pośród cienia  
Mierzonym razem światło łyskało,  
Jakby budzone ognie z krzemienia.

Podobnie, kiedy Turków ogrody  
Bogatym w kwiaty błysną granatem,  
Tak zdala trzciny nad Dniepru wody.  
Nagle rozkwitły ognistym kwiatem.  
I blask pożłaca ciche brzoź coła,  
Cztery płomieni błysnęły koła;  
A gdy znalazły upływu łoża,  
Pobiegły szybko, w jedno się zwały,  
I wnet ogromne pożaru morze  
Pod okręt wzniosłe toczyło wały.

Na krzyk strażnika, ze snu zbudzeni  
Zbiegli się Turcy. Rozpacz straszliwa!

Rozpacz bezsilna! morze płomieni  
Suche okrętu deski podmywa.  
Zawyli strasznie i odurzeni  
Umijkli... Cisza spadła straszliwa.  
Potem w tej ciszy, galerom znana,  
Dziko zabrzmiała trąbka Hetmana.

Na odgłos trąbki, jak z ogniów piekła,  
Wstali kozacy na czarnych skałach,  
Rzekłbyś, że zemstą dzicz ta zaciekła  
Gasi pragnienie w ognistych wałach.  
Na nagich głazach, obwiani w dymie,  
Jako posągi stali olbrzymie;  
Rzekłbyś, że dusza ich marmurowa  
Nie słyszy jęku, głosu rozpaczy.

I słysząc grzmiące Hetmana słowa:  
„Druhy! nim płomień Turków obsaczy,  
„Kto do okrętu dopłynię z wodą,  
„Jeśli jest Basza? Baszę wyszuka,  
„Baszę wykradnie, takiego kruka  
„Bogata piastrow uczęże nagrodą“.  
Kozacy milczą... Za skarby świata  
Któż pójdzie w piekło?... Patrzcie! sam Żmija,  
Jak istna żmija ogień przelata,  
I padł do fali, wśród fal się wzbija,  
I znów zatonał... Tam iskry padły.  
Ho! ho! z tej wanny nie wyjdzie cały...  
A teraz słysząc Turków wystrzały.  
Widzę go znowu, gdzie tłum wybladły,  
Wpadł... oto Turek w rękach Hetmana.  
Już maszt się pali, już żagiel spłonął.  
Hetman do fali z Turkiem zatonał,  
A płomieniami fala zawiana;  
Miko to płynąć w takie ukropy!  
Patrzcie tam! patrzcie! Hetman na skale,  
Na znak tureckie rozwija szale;  
Waż mu się — Turek wije z pod stopy

Nad rankiem, kędy oczerot spłonął,  
Błękitne tylko krążyły dymy.

Galere Baszy pożar pochłonał,  
Na skałach czarne znikły olbrzymy.  
Tak na skinienie Hetmana ręki  
Wznoszą się ognie, gasną pożary.  
Po wyspach słysząc wesole gwary  
I dzikie śpiewy, torbanów dźwięki.  
Czemuż tak głośne wesele w Siczy?  
Czemuż się tłoczy lud do tej lipy  
Z tak głośnym śmiechem? Czy dział zdobyczy?  
Czyli po zmarłych wyprawia stypy?  
Czy mu chorągiew przysłał król polski?  
O! nie stąd radość... Pośród drużyny  
Wznosi się wielka klatka ze trzciny,  
A w klatce siedzi Basza Natolski.  
Przed kilku dniami stu miast był panem,  
Zamykał tysiąc dziewięć w haremie,  
Był ojcem syna; a dziś bez ziemie,  
Syn jego poległ walcząc z Hetmanem;  
Z Hetmanem dzikie żywioły w znowie  
Zniszczyły miasta, a zgraja dzika  
Jak na tygrysa patrzy w sitowie,  
Plwa mu na czoło, palcem wytyka.  
Co musiał cierpieć? nikt nie wypowie,  
Ale cierpienia w sercu zamyka;  
Gdy go raniło goryczy słowo,  
Na wzgardę chował twarz marmurową.  
Lecz chociaż duma wiele wytrzyma,  
Gdy z urąganiem wystąpił hardo  
Kozak, ubrany w zbroje Selima,  
Basza na niego spojrział z pogardą;  
Lecz gdy stanęły w oczach przytomne  
Syna pamiątki, piersi nabrzmiały,  
W oczach się długo dwie łzy zbierały,  
I spadły na twarz dwie łzy ogromne.

Już ciemnem skrzydłem noc się nasuwa,  
I gmin się rozszedł, po chatach gwarzy.  
Tam zbrojny kozak, stojąc na straży,  
Liczy godziny, nad więźniem czuwa.  
I okolica mgłami zawiana.  
A teraz słysząc hasło strażnika:



„Kto idzie?” „Hetman!” „Witam Hetmana!”  
 Zmija milczący klatkę odmyka.  
 Potem odwraca twarz zamysłoną:  
 „Precz stąd, kozaku! Zmija na straży.”  
 Wszedł zgięty, odkrył lampę tajoną,  
 Potem ją światłem podniósł do twarzy:  
 „Życ będziesz, Baszo! wzgardę przeżyłeś.  
 „Znasz mnie?” „O znam cię! znam cię, szatanie,  
 „Syna zabójco! krew za krew stanie...”  
 „Baszo, mojego ojca zabijeś.  
 „Blask cię buńczuków zaślepił wabny,  
 „Tyś go oczernił, ty od Sultana  
 „Przyniosłeś Baszy stryczek jedwabny,  
 „I sam na Baszę! i sam na pana!  
 „Ja słabe mając do zemsty ramię,  
 „Ja sam, syn Baszy, z miasta wygnany,  
 „Gdym okiem żegnał rodzinne ściany,  
 „Widziałem głowę ojca na bramie;  
 „I dotąd jeszcze, dotąd w noc ciemną  
 „Tę bladą głowę widzę przedemną,  
 „Jak mnie krwawymi ściga oczyma.  
 „Lecz teraz Zmii cienie nie straszą,  
 „Sen mój kupiłem śmiercią Selima,  
 „Jeszcze krwi twojej trzeba mi, Baszo.  
 „Krew swoją oddasz za łzy Zulemie,  
 „Łzy, które lała w twoim haremie;  
 „Lecz w równej walce oddasz ją zbrojny.  
 „Teraz idź za mną, nie bój się zdrady.”

Szli oba we mgłach. Basza spokojny  
 Oczy obracał na księżyc bladey.  
 Szli krętą ścieżką, gdzie wśród wyrzeźby  
 Wznosi się zamek nad Dniepru wały.  
 Koło ogromnej środkowej wieży  
 Wież mniejszych lekkie wybiegły strzały.  
 W wieżach się smutny puszczyk odzywa,  
 Spi blask księżycy i mgła przepływa.

Weszli do zamku, weszli do sali;  
 Po ścianach błyszczą broje, a z góry  
 Blask od kagańca padał ponury.

I słyhać zdala szum Dniepru fali.  
 W dalszych komnatach, o dziw nad dziwy!  
 Jakie tam cuda w zamku dnieprowym?  
 Na ścian wysokich tle lazuruwém  
 Płoną lamp gwiazdy, kobierców niwy.  
 Kwiatem zabłyśły, a kwiat tak świeży,  
 Jak gdyby z ranną rosą zerwany.  
 Gdzie niegdzie kryształ zastąpił ściany;  
 W zwierciadłach oko bieży i bieży,  
 Nową odkrywa salę za salą.  
 W każdej te same lampy się palą.  
 Czy to są czary? tak długim gankiem  
 Mógłby wędrowiec zejść aż do Boga.  
 Z marmuru sali cięta podłoga,  
 A delfin złoty obrzucał wiankiem  
 Kryształ, co daje miłe ochłody,  
 A światła płoną pod szklami wody.  
 Patrząc na ognie, kryształ i kwiaty,  
 Oko zalśnione w ciągłym zachwycie,  
 Przez okna sali bieży z komnaty,  
 Bieży odpocząć w nieba błękitcie;  
 I wpada nagle jak w otchłań ciemną,  
 Przez którą srebrny księżyc przepływa.

Hetman sprężynę ruszył tajemną,  
 Złota się nagle ściana odkrywa;  
 I nowa sala... Sali połowa  
 Alabastrowem światłem zaćmiona,  
 W połowie ze mgły spada zasłona,  
 A za mgłą srebrną znów jasność dniowa.  
 Gdy na złocistym siedli dywanie,  
 Na znak Hetmana zdala za mgłami  
 Zabrzmiały arfy, słyhać śpiewanie  
 Stłumione zrazu echem i łzami  
 Cichej fontanny... Potem ze śpiewem  
 Dwanaście dziewięć kwiaty kobierca  
 Depce—i płynię z zasłon powiewem.  
 Basza dłoń prawą podniósł do serca,  
 Potem zbladł cały, oczy odwrócił,  
 I twarz rękami zakrył obiema,  
 I rzekł: „Mój sztylet tak mię porzucił,

Sztylet niewierny, jak ta Zulema“.  
 „Baszo! rzekł Hetman, ona szczęśliwa,  
 „Z waszych pałaców bierze podarki;  
 „Dla niej po morzu czajka ma pływa,  
 „Błyszcza pałasze i grzmią janczarki;  
 „Dla niej to Zmija przez długie lata  
 „Zdradzał i zaprzął swego proroka,  
 „I twarz zmienioną nosił dla świata,  
 „Choć w sercu była rana głęboka.  
 „Hetman i razem wróg mej drużyny,  
 „Często, przebrany, z bracią Tatory  
 „Na własne siola niosłem pożary;  
 „Często przez długie, długie godziny,  
 „Pamiętam, nawet przed dniem wyprawy,  
 „Jak waż ukryty pomiędzy trawy,  
 „Patrzając na słońce, leżę dzień cały,  
 „By choć dzień jeden ukraść obludzie,  
 „By świst kozackiej usłyszeć strzały;  
 „Sokół mnie poznał prędzej niż ludzie,  
 „Tak twarz wprawiłem, aby udaną  
 „Nosila barwę. W takiej niewoli,  
 „Jak liść dwubarwny srebrnej topoli,  
 „Cierpiałem mękę — niewypłakaną.  
 „Gdym własne siola palił i burzył,  
 „Gdym na przekleństwa gminu zasłużył,  
 „Błogosławili... Ale już błada,  
 „Już gwiazda Zmii mroczy się, spada;  
 „Gdy w mojej dłoni pękł obraz święty,  
 „Odkryją zdradę, spadnie ta głowa,  
 „Przeklną!...“ Głos grzmiący przerwał mu słowa  
 „Więc bądź przeklęty! więc bądź przeklęty!“  
 I przed Hetmanem stanął w komaatach  
 Ze srebrnym krzyżem pop w czarnych szatach.

## Pieśń VI.

## W a l k a.

Szczęśliwe czasy dawnych rycerzy!  
 Szczęśliwe czasy! gdy cud po cudzie  
 Barwił powieści. Dzisiaj kto uwierzy,

Jacy to byli żelazni ludzie,  
 Jakie to były zamki zakłęte,  
 W czarnych cyprysach dusze zamknięte?  
 Takie powieści śpią niewierzone,  
 Takie powieści kryją klasztory,  
 Gdzie mnich, przez szyby patrząc barwione,  
 Światu nadawał tych szyb kolory.  
 Dzisiaj kto uwierzy? że na skinienie  
 Reki Hetmana, we mgnieniu oka,  
 Zagasły światła. — Arf kona brzmienie,  
 Z ciemnością spada cichość głęboka.

Popa okropna przejęła trwoga,  
 A Hetman mówił z twarzą wesołą:  
 „Biada, kto tutaj w imieniu Boga  
 „Wstąpi w czarami skreślone koło.  
 „Lecz gdyś tu przyszedł, bądź pozdrowiony!  
 „Zostaniesz moim gościem na wieki,  
 „Słońca nie ujrzysz twoje powieki,  
 „Rdzą się okryje ten krzyż srebrzony;  
 „Nikt nie usłyszy jęku, prócz Boga.“  
 Skinął, zapadła nagle podłoga.  
 Pop, przeniesiony w lochy podziemne,  
 Zniknął — i słychać było westchnienie...  
 Znow skipnął Hetman, a na skinienie  
 Dzień światła wpłynął w komnaty ciemne.  
 Gdy się rozjaśnił, obaj rycerze  
 Znow przez te same wyszli podwoje,  
 I do narożnej wstąpili wieże,  
 By się do walki stroić we zbroje.

Basza wziął turban stałą podszyty,  
 Piersi drucianą kryje koszula,  
 I ciężki czekan z kolczatą kulą.  
 Tak uzbrojony, lekki i rzeski,  
 Za pasem sztylet zawiesił Fezki;  
 Wziął tarcz z sitowia, jakiej do wojny  
 Używa w stepach Tatar budziacki;  
 I już był gotów. Hetman kozacki  
 Bezpieczniej wprawdzie, lecz ciężko zbrojny,



Zaknął pierś mezną w pancierz ze stali,  
 Niósł hełm z przyłbicą ściśle zakrytą;  
 A z piór i włosów na hełmie kitą  
 Rośnie we dwoje do sklepień sali.  
 Kopia wstrząsa do rzutu celną,  
 Przy boku błyszczący miecz obosieczny.  
 Tak z Baszą sercem i zbroją sprzeczny,  
 Wychodził staczać walkę śmiertelną...

Już się na biały dzień zabierało,  
 Gdy wyszli z zamku. Jakby zbudzone  
 Chmury nadranym wiatrem kręczone,  
 Już się z mgłą dolin mieszały białą.  
 I słychać oddech poranku świeży,  
 Co lekko wzrusza nadwodne trzciny;  
 Świegocą wróble na zamku wieży,  
 Napół uśpione między kaliny.  
 I księżyc, blady i gwiazdy bladły,  
 Szarzeją światłem nieba błękity;  
 A kawki krążąc stadem obsiadły,  
 I ołowiane wież czernią szczyty

Wsiedli do czajki obaj rycerze,  
 Płynęli z wodą. Hetman ponury  
 Patrzał na wichrem kręczone chmury,  
 Na mgły tumany, na zamku wieże;  
 A jego serce, choć stała zbrojne,  
 Tak mocno bije, tak niespokojne,  
 Jakby w przeczuciach; zadrzał i nagle  
 Chwycił za wiosło, rozpuścił żagle,  
 I pędził czajkę; ta w szybkim biegu  
 W chwilę na drugim stanęła brzegu.  
 Tam z serca trwożę odpędził płonną:  
 „Jak los osadził, rzekł, niech się stanie.  
 „Baszo! czy walczysz pieszo? czy konno?“  
 „Gdy Arabczyka dasz mi, Hetmanie,  
 „Ujrzysz, jak lekko na siodło wskoczę,  
 „Jak z konia biję i koniem toczę.“  
 Hetmana trąbki słychać odgłosy:  
 Wnet, nauczone, na trąbkę pana  
 Dwa szybkie konie lecą przez wrzosey:

„Biały twój, Baśzół czarny Hetmana.“  
 Oba rycerze siedli na konie,  
 Oba pędzili szybko przez błonie,  
 Póki kaganiec z wież Oczakowa  
 Nie błysnął gwiazdą ze mgły wywity.  
 Za wodzą Żmii stanął koń wryty,  
 A Hetman rzecze: „Na próżne słowa  
 „Nie traćmy czasu, poleć się Bogu.  
 „Tam twój Oczaków, kędy się palą  
 „Mnogie kagańce w masztowym lesie,  
 „Tam twoje wieże, do wież tych progę,  
 „Gdy mię zwyciężysz, koń cię zaniesie,  
 „Gdy padniesz, trup twój popłynie z falą.“

Rzekł, ściślej zamknął w przyłbicę czoło,  
 I czarnej tarczy okrył się skrzydłem,  
 Basza jak jastrząb kazał wokoło,  
 Na różne strony zwijał wędzidłem,  
 I rzucał czekan i koniem toczył.  
 Tarcza Hetmana wydała dźwięki,  
 Trzykroć od tarczy czekan odskoczył  
 I na rzemieniu wrócił do ręki;  
 Trzykroć odskoczył — za czwartą razą  
 Zgruchotał twarde hełmu żelazo,  
 Lecz ugrzązł w hełmie. Żmija zań chwytą,  
 Nie pospiał Basza odciąć rzemienia;  
 Tak związanego, gdy zbył strzemienia,  
 Hetman pod końskie ciągnął kopyta.  
 Skrwawiony ostem i oceretem,  
 Czołga się basza jako gadzina;  
 Żmija miecz wznosi, Basza sztyletem  
 I lewą ręką rzemień przecina,  
 Wstając pod koniem, ów sztylet srogi  
 Aż po rękęjęś wraził pod strzemie.  
 Rumak Hetmana runął o ziemię,  
 Lecz Hetman szybko powstał na nogi,  
 Odrzucił dzidę, miecza dobywa;  
 I znów grzmi walka, walka straszliwa!

Daleko słychać szczęki pałaszy,  
 I tarcza daje odgłos jak dzwony.

Już krew turecka, krew świeża Baszy,  
 Łśni po burzanach jak kwiat czerwonny;  
 Ten widok siły Hetmana dwoi,  
 Więc w obie dłonie miecz chwyta silny,  
 Podniósł i spuścił—lecz raz był mylny,  
 Sam padł, zwalony ciężarem zbroi;  
 Nim powstał z ziemi, już wróg straszliwy  
 Tłoczył mu piersi, wznosił sztylet mściwy,  
 I nad bezbronnym mszcząc się rycerzem,  
 Gdy mu się sztylet po zbroi zwinął,  
 Podniósł pancerza i pod pancerzem  
 Wbił po rękojęcie aż krwią zapłynął.  
 Basza siadł na koń, spał go ostroga,  
 Leciał jak z wiatrem chmura stepowa;  
 Lecz nie do Turków, do Oczakowa;  
 Na północ wsteczną poleciał droga.

Już zniknął... Błado wschód się czerwieni,  
 Już się oddala tętent po wrzosie.  
 Tu koralową barwą jesieni  
 Błyszczą burzany w srebrzystej rosie,  
 I szpaków stada po nieba sklepach  
 We mgłę się kapia i lgną na łoży.  
 Gdzie dwie samotne płakały brzozy,  
 Hetman kozacki konał na stepach...

Ciszej!... tam jakiś śpiew obłąkany,  
 Z echem przez suche płynie burzany;  
 Pieśń taka smutna, dzika i rzewna.  
 Oblana złotem słońca promieni  
 Zbliża się postać, jak cień niepewna,  
 Dziewica mogił — to młoda Kseni!  
 Pieśń jej, jak lutni niesfornej głósy,  
 Nagle skończyła, krzykiem ucięta,  
 Bo koło Kseni skrwawione wrzosa;  
 A choć przyłbica Żmii zamknięta,  
 Już go poznała — tak dziewczę oczy  
 Wprawne w miłości, choć obłąkane.  
 Ale napróżno wysłedza ranę,  
 Chce krew zatrzymać rąbkiem warkoczy.  
 Gdy mu przyłbicę wzniosła na czole,

Zmiję do życia wróciły bole;  
 Spojrzał i poznał, lecz nie rzekł słowa,  
 Ani się zdradził nagłem poznaniem.  
 I była cisza, cisza stepowa,  
 Przerwana czasem łzami i łkaniem  
 Smutnej dziewczycy. Kseni oczyma  
 Ściga wejrzenie zgasłe Hetmana;  
 A Zmija oczy wlepione trzyma  
 W stronę gdzie mglistą chmurą owiana  
 Wznosi się zamków Siczowych wieża.  
 Nagle blask ognia stamtąd uderza,  
 Potem się rozlał po Dniepru fali,  
 Między wieżami płomień się wije.  
 „Zdrajca, rzekł Hetman, Kseni, kluj Żmiję!  
 „Oto mój zamek, zamek się pali!  
 „W zamku twój ojciec!... A Basza mściwy  
 „I nad nią jeszcze zemsty dokonał.  
 „Przekleństwo jemu!“ westchnął i skołał.

Zaledwo skołał—przez kwiatów niwy,  
 Rzucając za się wzrok niespokojny,  
 Na koniu Turek przeleciał zbrojny,  
 I zniknął we mgłę... Śmiech dziki Kseni  
 Smutnie po rosach zabrzmiał. „Mam syna!  
 „Ojciec mój skołał pośród płomieni.  
 „Syn mój jak świeża rośnie kalina;  
 „A Hetman... Syn miał ojca Hetmanem,  
 „I żyć nie będzie pod innym panem.  
 „Lecz wam, kozacy, wam nie pokażę  
 „Syna mojego—w grób go zakopię;  
 „Ale krew jego przyniosę w czarze,  
 „I krwią mogiłę ojca pokropię“.

Jakie tam było po chatach łkanie!  
 Gdy wieść okropna biegła przez sioła.  
 Zgasłeś! wołali, zgasłeś, Hetmanie!  
 Któż, jak ty w czajce lotem sokoła,  
 Z nami na Czarne popłynię morze?  
 Kiedyż takiego ujrzyiny pana?  
 Kiedyż drugiemu ślać będziemy łożo  
 Gruzami z wielkich gmachów Sultana?... !



Wieżą tłumami kozackie kity,  
 Hetmańska trumna już nad mogiłą;  
 A w trumnie Hetman leży odkryty.  
 Coś mu się we śnie straszego śniło,  
 Bo wyraz wzgardy w twarzy wyryty.  
 Z żagliw tureckich śmiertelna chusta  
 Spowiła ciało. Złotym obrazkiem  
 Książd go opatrzył, posypał piaskiem,  
 Kawalek chleba włożył mu w usta,  
 Zgraję tym samym obdzielił chlebem;  
 A gdy wymówił ostatnie słowo,  
 Płaczki zaczęły pieśń pogrzebową.  
 Lecz jedna z płaczek szła za pogrzebem,  
 Śmiechem zbląkała pieśni odgłosy;  
 A choć wesela tańc nie umie,  
 Na przekór śmiechom, jak srebrne rosy  
 Łzy jej do wielkiej płyną łzawicy;  
 A gdy łzy cudze zbierała w tłumie,  
 Gdy w czarę padło światło gromnicy,  
 Kofem się wszystkie chmurzyły twarze.  
 Widzieli wszyscy, krew była w czarzel  
 I krew do grobu wylała cieśni...  
 Padła — skonała. — Konaj, o pieśni!

1831.

### O b j a ś n i e n i e.

Romans tu umieszczony jest prawie zupełnie utworem imaginacyi. Na Ukrainie lud dotąd pokazuje wąż ogromny, wążem Zmii nazwany; niektórzy sądzą, że Zmija był jednym z pierwszych i najdawniejszych wodzów Zaporozża; inne podanie niesie, że szatan pod postacią zmii niósł wielki kamień, chcąc nim kościół przywalić i, przerażony kura zapianiem, głaz na stopy upuścić. Idąc za pierwszą z tych powieści, utworzyłem osobę bajeczną, będącą bohaterem mojego romansu i z nią powiązałem różne przez historią wspomnianą wypadki. I tak, prawdziwą jest rzeczą, że Kozacy z czajkami wybiegali na Czarne morze, spalili wiele miast Natolii i Cylicyi, a zapędziwszy się aż pod Carogród, ogień w przed-

mieście Pera zanieśli. Sułtan przerażony, widząc płonące wieże Bosforu, złotem okupić się musiał. W papierach znalezionych w kuli na kościele S-go Jana w Warszawie, a które Niemcewicz w pamiętnikach o dawnej Polsce umieścił, znajduje się wzmianka o Kozakach. Stamtąd powziąłem wiadomość, iż któryś z Baszów w niewolę przez Kozaków ujęty, na pośmiewisko w klatce, jak drugi Bajazet był uwięziony. Opisy miejsc po części z Grądckiego, po części z Beauplana wyjęte; za czasów tego ostatniego, widziano na najwyższej z wysp Czertomeliku ruiny zamku, tak postawione, aby ich woda, wiosną inne wyspy zatapiająca, osiągnąć nie mogła. — W tymże autorze wyczytałem, jak galery tureckie, zapędziwszy się za czajkami, zginęły, w labiryncie wysp Czertomelickich obłąkane; tenże pisarz opisuje sposób, jakim Kozacy i Tatarowie na sumaki polowali, a obraz tej oblawy starałem się wiernie w pieśni pierwszej romansu wystawić, równie jak sposób zdobywania czajkami okrętów tureckich w czwartej pieśni opisany. Niekiedy, idąc za duchem poczciwi ludu ukraińskiego, chcąc obraz żywiej wystawić, porzucam sposób opisowy, i opowiadanie wkładam w usta sternika kozackiego, nie sądząc, aby taka wolność imaginacyą czytelnika obrażać miała.

Wiersz dziesięcio-zgłoskowy w niniejszej powieści użyty, a może nadto wyraźną miarą nieprzyjemnie morderujący ucho czytelnika, w mojem jednak przekonaniu najwłaściwiej do takiego rodzaju utworu zastosować się daje. Z użycia takowego wiersza wynikała potrzeba, nie inne, jak dwunasto- lub ośmio-zgłoskowe łączyć z nim rytmy; tak, ażeby średniówka zawsze w połowie wiersza przypadać mogła.

## L A M B R O

Powstańca Grecki.

*Powieść poetyczna w dwóch pieśniach.*

## Pieśń pierwsza.

..... Should we again provoke  
 Our stronger, some worse way his wrath may stir  
 To our destruction; if there be in hell  
 Fear to be worse destroy'd . . . .

Milton.

## I.

Falo błękitna, kołysz łódkę Greka,  
 Niech mu po morzu ściele księżyc złoty  
 Sieczki obędne, niech przed nim ucieka,  
 Gdy po tej drodze puści żagłów loty;  
 Kołysz go, falo, i łódkę Majnoty  
 W samotną morza obłakaj krainę,  
 I tam mu powiedz: ja nosiłam floty  
 Na moich skrzydłach aż pod Salamine;  
 Płynęłam taka, jaką dzisiaj płynę.

W Archipelagu zanieś go ostrowy.  
 Tam góry chmurą owiane błękitną,  
 Na górach kolumn potrzaskane głowy;  
 Nad nimi wiecznie kwitnie laur różowy,  
 Pomarańczowe drzewa wiecznie kwitną,  
 I śniegiem kwiatów zasypują gruzy.  
 A ludzie cierpią, że umrzeć nie śmieli;  
 Twarz ich boleści rysem naznaczona.  
 Gdyby tu błysnął dawny wzrok Meduzy,  
 Gdyby ci ludzie, jak są, skamienieli,  
 Ileżby nowych posągów przybyło  
 Łamanych wiecznym bólem Laokona.  
 Tu, nad pomników i ludzi mogiła,  
 Księżyc posepny płynie co wieczora.

Gdy góry światłem błękitnem przeniknął,  
 Mgły zasłonami doliny ośnieżył,  
 Szuka posągów, które widział wczora,  
 Do których twarzy wiekami przywyknął;  
 Błady jak starzec, co na ziemi przeżył  
 Zagasłe, mrące co dnia dzieci koło,  
 Gdy wszyscy padną, gdy ostatni padnie,  
 Tak ma wiekami wyniszczone czoło,  
 Ze się nie chmurzy żalem ani bladnie,  
 I nikt cierpienia z twarzy nie odgadnie.

## II.

Archipelagu wysp wieniec różowy  
 Lekkich karków przerzynają wiosła.  
 Jak dawne Nimfy, tak dziś te ostrowy,  
 Przed tureckimi uciekając gwałty,  
 Odmiennie pierwszym biorą na się kształty.  
 Jak niegdyś Dafne w liść lauru porosła.  
 Tak dzisiaj Hydra zielona laurami.  
 Ipsara skalnym błyszczy stroma brzegiem,  
 Podobna córce głazowej Tantalą;  
 Gdy pod nią śnieżna rozbija się fala,  
 Wiecznie od czoła wieńczonego śniegiem  
 Kryształowymi uplakana łzami.

Ipsarskie miasto, jak dłutem snycerza  
 Ze skał ciemnego łona wydobyte,  
 Barwy ma szare, od tła nie odbite,  
 I lasem masztów na poły schowane.  
 Gdzieniegdzie lekka minaretów wieża  
 Niesie pod niebo szczyty łożwane.  
 Tam rzędy okien od łuny zachodu,  
 Jak mnogie lampy rozpalone, drżące,  
 Co chwila bladse, co chwila gasnące,  
 Już zaszyły mrokiem, ale szczyty grodu  
 Długo złociste miały słońcem dachy.

Ostatnie światło z ciemnością się starło...  
 Chociaż to miasto na pół obumarło,



Gwar słychać w mieście, bo bezludne gmachy  
 Głośniejszem odgłos odbijają echem;  
 Gwar smutny, rzadko pomieszany śmiechem,  
 I tajemniczy jako te odgłosy,  
 Które wiatr z martwej muszli wydobywa.  
 W głębiach haremów lśniące perłą rosy  
 Pałają różę, smutno słowik śpiewa;  
 Przez szczyty murów na ciche ulice  
 Wonnych akacyj zwieszają się kwiaty;  
 Czasem pochodnia błysnie z poza kraty,  
 Księżyc turbanu olśni bawełnicę.  
 To Turek dąży w znajomą gospodę,  
 Co inne gmachy przenosi wytworem,  
 Gdzie wielkie kotły wracają źródła wody  
 Leją w kanały złotym dziwołowem;  
 Ta z kłębem pary wytryska w fontanny,  
 I wieczną walkę z zimną siostrą toczy;  
 Opryska warem, parą ją omroczy  
 Wprzód, nim zezwoli iść do wspólnej wanny.  
 Tam woń arabskich napojony duchem  
 Przechodzi Turek w marmurowe sale:  
 Jedna za drugą wiążą się łańcuchem,  
 Kłamane dalej w zwierciadła kryształe.  
 Tam Grek usłużny obiega wokoło,  
 Dla muzułmanów nie szczędzi ukłonu;  
 Do ziemi chyląc osiwiiałe czoło,  
 Nalewa mokkę w łono róż z Japonu;  
 Potem przed Grekiem stawia czarę z gliny,  
 Chowając aspra, do czary nalewa  
 Napój z makowej tłoczony rośliny,  
 Co śmierć sprowadza, jak cień tego drzewa,  
 Które usypia snem głębokim zgonu.  
 Mrok spada w dymu stambulskiego chmurze,  
 Gdzieniedzie tylko z Etrusków wazonu  
 Widać w połowie wychyloną różę;  
 Gdzieniedzie błyszcząca sztyletów głowice;  
 Tam nieruchome wyznaców turbany  
 Porosły kołem jak łąk tulipany;  
 Nad turbanami pałają się księżyce.

## III.

Wchodził do sali młody Ipsaryota,  
 Jak u śpiewaka twarz blada i smutna;  
 I na ramieniu miał kapotę z płótna,  
 Niegęsto niemi przetykaną złotą.  
 Widać z gitary, znać po blasku oka,  
 Że z pieśnią siola i grody przebiega...  
 Wnet go tłum Greków do koła oblega,  
 Wypuścił bursztyn wierny syn proroka.  
 Greki i Turki zarówno ciekawi,  
 Jaki głos śpiewak, jaki lutnia wyda?  
 Czy ich upiorów powieścią zabawi?  
 Czy brylantową bajką Alraszyda?  
 Śpiewak po sali wiódł wzrok obłąkany,  
 Jak gdyby liczył tureckie turbany;  
 A potem spojrzął w mnogie Greków twarze  
 I gdy w nie patrzył, znalazł dźwięk w gitarze.

## Powieść Greka.

## IV.

Małe tu znajdę dla pieśni pokupy,  
 Miłość ją kraju i rozpacz uprzedły.  
 Tu żółtkie twarze, może serca zwiedły?  
 Miałem tu znaleźć ludzi, widzę trupy.  
 Niezdolni z życia wybić się skonaniam,  
 Wyście odważni, lecz na pół otrucia,  
 Wyście przywykli zabijać pół czucia,  
 I zmartwychwstawać, lecz półzmartwychwstaniem,  
 Wiecznie okuci w żelazne ogniwa.  
 Pieśń często z kajdan iskry wydobywa,  
 Więc będę śpiewał i dążył do kresu;  
 Ożywie ogień jeśli jest w iskierce.  
 Tak Egipcyanin w liście z aloesu  
 Obwija zwiedłe umarłego serce;  
 Na liściu pisze zmartwychwstania słowa;  
 Chociaż w tym liściu serce nie ożyje,  
 Lecz od zepsucia wiecznie się zachowa,  
 W proch nie rozsypie... Godzina wybije.

Kiedy myśl słowa tajemną odgadnie,  
Wtenczas odpowiedź będzie w sercu, na dnie.

Myśl syna pieśni ciemna, niezgłębiona,  
Jest jako fala umarłego morza;  
Co jej powierzysz, wnet wyrzuci z łona,  
Lecz barwą ciemnych głębi przyodzieje,  
Da nieśmiertelność kamiennego łoża,  
Kwiat w niej nie tracąc barwy kamienioje.  
Lecz jeśli wieszczek nie znajdzie wyrazów,  
W głąb jego serca słuchacz nie dosięga;  
Często podobny sam do zimnych głązów,  
Choć pieśń ognista w myśli się wylęga,  
Często go słuchacz odbiegnie wesoly...  
A pieśń, co ledwo dopłyne połowy,  
Jak mórz zamarłych owoc rubinowy,  
Bezpłodne w sobie zamyka popioły.

## V.

Ja byłem dzieckiem i patrzyłem z chaty...  
Powietrze chmura proporców krajała,  
W tureckich szykach lśnił księżyc bogaty,  
Nad nim dym srebrny wyrzucały działa;  
Stamtąd huk leciał, stamtąd ziemia grzmiała,  
I grad pocisków wyrzucały spiże;  
A stąd, zachodnim złoczone promieniem,  
W ten dym ognisty szły błękitne krzyże,  
Z upornem, z głuchem rozpaczy milczeniem.  
Potem je dymy spiżowe pożarły,  
Mignęły w ogniu złote—i pobladyły.  
Przed nocą wszystkie szeregi wymarły,  
I wszystkie krzyże w szeregach upadły.

## VI.

Tak się zwycięstwa przeważyły szale...  
Lambra tureckio ominęły gromy,  
Wdarł się na skałę, całą noc na skałę,  
Patrzył na groby, na groby bez końca!  
I tak nazajutrz jeszcze nieruchomy

Błyszczał w promieniach wschodzącego słońca...  
A stamtąd poszedł błakać się po świecie.  
Lecz nie samotny, znalazł się ktoś drugi,  
Co przy nim giermka podjął się usługi;  
Kto to był taki? — może odgadniecie.

Po długich latach, z krainy wygnania  
Ujrzał jak Grecy z wiatrem na wysięgi  
Nieśli po górach hasło zmartwychwstania;  
Pieśń grzmiała w dzwonach, była to pieśń Rygi.  
Ale niedługo Grek o szczęściu marzy:  
Kolejno w siołach milkła pieśń i dzwony,  
Gdzieś tam snuł się Kleft, lecz zakrwawiony,  
I z krwią miał rozpacz przysechłą do twarzy.  
Płacz, narzekanie wstrząsa Greków chaty,  
Echami skał się rozplakały łona.  
Jutro, wołają, na maszcie fregaty  
Haniczną śmiercią młody Ryga skona.

## VII.

Na dzikich brzegach skalistej Ipsary  
Wznosi się klasztor wysoko nad morze;  
Krzyż jego pierwszy wita ranne zorze,  
Ostatnie słońcem złocą się filary.  
Kolo klasztoru bez czoła kolumny  
Stoją jak palmy pozbawione liści.  
Tam mnich pracuje koło własnej trumny,  
Tam od tureckiej uciekł nienawiści...  
Ów dzwon, co dzisiaj ogłasza pacierz  
Nieraz do broni powoła Majnotę;  
Nieraz od Turków okrażone wieże  
Czoła dział srebrnym uwieńczają dymem,  
Z tych okien błyszczą spiżu paszcza złote,  
I mnich pokorny staje się olbrzymem.  
Nieraz rozpaczy naglony potrzebą  
Rozwała miną poświęcone ściany;  
Rzekłbyś, że mnich ten chce zdobywać niebo  
Skał odłamami, jak dawno Tytany.



Na niższych skałach cmentarz muzułmanów,  
Czarowny, cichy, pełny drzew i kwiatów,  
I dłutowanych w marmurze turbanów,  
Jak odłam z rajskich oderwany światów  
I przesadzony na skalne urwiska,  
Tam byłem wczora... Słońce zachodziło...  
Za marmurowe skryty grobowiska,  
Widziałem dwoje ludzi nad mogiłą;  
Widziałem Klefta i Greczynkę młodą:  
Ona — do Peri podobna uroda,  
Jak była piękna, wyraz nie określił  
Gdy długo, długo patrzałem w jej lica,  
Kiedy się potem obudziłem z myśli,  
Tak byłem tęskny, rozmarzony, smutny,  
Jak gdybym długo patrzył w twarz księżycą.  
Snać, że jej życie był to czas pokutny  
Za całą przeszłość szczęścia pogrzebana;  
Miała na twarzy smutek, lecz nie żalność,  
Barwę koralu łą nie opłókaną;  
Rumieniec tonął w bezpromienną białość,  
I w białych szatach stała między drzewa  
W pół przeświecona blaskami zachodu,  
Podobna srebrnej fontannie ogrodu,  
Z której wiatr mgliste warkocze odwiewa.

Kleft, znać z ubioru, był kiedyś rycerzem,  
I wierne rysom członków nosił szaty:  
Piersi jedwabnym zamknięte pancerzem,  
Co się od słońca w różne barwy łamie,  
Wypukło w złote wyszywany kwiaty.  
I miał kapotę rzuconą na ramię,  
Białą jak śniegi, i pas zlotolity;  
Nogę złoconym wiązaną rzemieniem,  
Małą miszurkę, której aksamity  
Pod kruczych włosów tonęły pierścieniem;  
Na niej z misternie ułożonej zwici  
Węzeł w złociste rozpadał się nici.

Choć stłumionymi przemawiali słowy,  
Mogłem dosłyszeć ułamek rozmowy.

VIII.

„Lambro! ty w słowach dajesz mi obłudę,  
„Nie odpowiadasz szczerze, gdy zapytam.  
„Na twojem czole z przerażeniem czytam  
„Ostatni stopień wszystkich nieszczęść — nudę.  
„Blask twego oka nie odbłyska z duszy.  
„Serce jak brylant, chociaż się rozkruszy,  
„W każdym odłamie iskra się zawiesza,  
„A każda czystym łśni tęczy promieniem:  
„Lecz na twem czole jakiś szatan mięsza  
„Rozpacz ze śmiechem, śmiech błady z cierpieniem...  
„Ty jesteś z ludzi, których serce żywi  
„Łzami, lub gorzką trucizną laurową.  
„O! bo też prawda, że my nieszczęśliwi,  
„I czasem czuję, że pociechy słowo  
„Ma dźwięk szyderczy i na serce spada.  
„Gdy myślą wracam w przeszłości krainy,  
„Widzę, jak przy nas stojąc, rozpacz błada  
„Czekała szczęściem niepełnej godziny,  
„Aby się poznać z nami — i być z nami...  
„Czekała długo, przyszła choć nie skora;  
„Ze wspólnych myśli jednego wieczora  
„Myśmy się w stronę rozbiegli myślami.  
„I dziś mi nie chcesz odkryć serca głębi,  
„Milczysz?...“ —  
„Dziś nie chcę zabijać słowami.  
„Bo każde słowo do serca utonie,  
„I tak jak sztylet dreszczem je oziębi;  
„A potem długiem rozpamiętywaniem,  
„Jak żar piekielny rozpali się w łonie,  
„I potem, potem — cała przyszłość twoja  
„Stanie się długiem i ciężkiem konaniem.  
„O! patrzaj na mnie, ta złocista zbroja  
„Dzikiego Klefta nigdy nie stroiła,  
„Zmieniłem szaty, tyś serce zmieniła.  
„Winnas wyczytać na poblądłem czole  
„Myśli ukryte i obecne bole,  
„I wszystkie zbrodnie — a żądasz wyrazów!  
„Tak jak wędrowiec wśród grobowych głązów  
„Nie umiesz czytać napisów cmentarza?

„Więc poznaj Lambra, jak ludzie poznali...  
 „Jam dzisiaj królem błękitnawej fali,  
 „Mszczę się... Dziś czarna bandera korsarza  
 „Rzuca cień śmierci, gdzie dosięgną działa;  
 „I zapomniałem zetrzeć z mego czoła  
 „Cieniu, co dzisiaj rzuciła nań rano;  
 „Otarłem tylko szablę krwią skalaną.  
 „Kłóć niebacznym spokojność anioła...  
 „Napół przeklęty, napół zapomniany,  
 „Rozpalam ogień miłosnej pochodni,  
 „I wiąże serce dwoma talizmany:  
 „Wielkością nieszczęść i wielkością zbrodni.  
 „Mój obraz kształty przybierze olbrzymie  
 „W głębi twej duszy — jak anioł upadły,  
 „Wo krwi skalany, w dział omglony dymie,  
 „W blasku brylantów i złota wyblady.  
 „O! bo ja miałem wielką niegdyś duszę!  
 „Lecz gdy ją znudził smutek jednobrzmienny,  
 „Idę wśród ludzi jak przez las jesienny,  
 „Kędy pod stopą żółtkie liście kruszę,  
 „I gardzę liściom, co ścieżki pozłaca  
 „Barwą uwiędła, lecz szum ich zasmucał  
 „Wolę niech moją łodzią fala rzuca,  
 „Niechaj mi wzgardą za wzgardę odpłaca.  
 „Morze — to wielka mogiła stworzenia,  
 „Dumającemu na niej myśli płyną.  
 „Nieraz na fali umieram z pragnienia,  
 „Jak obciążony tantalową winą,  
 „I mogę niebo przeklinać i morze.  
 „Usłałem sobie rozwahane łożo,  
 „Co mi piastunki daje kołysanie;  
 „Bo spać nie mogłem na ziemi — a teraz  
 „Często mię zorza śpiącego zastanie,  
 „I nie obudzi skrawem światłem — nieraz  
 „Działo mi dając ranne powitanie,  
 „Zbudzić nie może — często sen przedłużę,  
 „Aby w tom życiu żyć jak najmniej — nie snem.  
 „Dziś nieszczęściami są mi nicbios burze,  
 „Lina zerwana ujęciem niewczesnom;  
 „Mam jeszcze czucie, bo dziś mię rozczuła,  
 „I łyż mam w oku, gdy rozryje kula

„Maszt, z którym długie przebiegałem drogi,  
 „Wycięty z rosłej Epiru topoli,  
 „Co mi rodzinne wspominał rozłogi;  
 „Lecz gdy mrą majtki, wtenczas poniewoli  
 „Na moich ustach błyszczy uśmiech dziki,  
 „Jak gdybym szydził, że niezręczni byli  
 „Śmierci uniknąć — a ci ludzie żyli  
 „Ze mną przez długie lata trosk, cierpienia,  
 „Jak krwi tygrysy, druhy, niewolniki...  
 „Ostatnia miłość, miłość przywyknienia,  
 „Skamieniałego serca nie poruszy...  
 „Ze złotem stawię człowieka na szale,  
 „A potem złoto rzucam w morską fale,  
 „Jakby w tem była jaka wielkość duszy.“

## IX.

Słucha dziewica, jej rumieniec mgławicy  
 Zrazu rozkwitał i blasku nabywał...  
 Gdy zaczął mówić, to uśmiech ciekawy  
 Twarz jej oświecił, we łyzy się rozpląwał,  
 I znów powracał tak w odcieniach zmienny,  
 Ze słów kochanka wydawał się echem;  
 A gdy ten uśmiech gasiła zgryzota,  
 Gdy obumierał zadumaniem senny,  
 Podobną była do niewiasty Lota  
 W chwili, gdy tonie ostatnim uśmiechem  
 W nieodgadnioną boleść, w sen kamienny,  
 I jeszcze słucha w przeszłość odwrócona...  
 I tak posągów brała kształt nieżywy,  
 Tak opuściła bezwładnie ramiona,  
 Ze z ramion szata płynąca do ziemi  
 Jakby w kamienne łamała się spływy.

I Lambro bladnął i usta drżącymi  
 Mówił: „O lubal wybac, że to słowa  
 „Zanadto czarną malowały dusze;  
 „Przywykłem kruszyć serca — a gdy kruszę,  
 „Patrząc, jak cierpią i śmiać się szalenie.  
 „Lecz twoja boleść, błądź marmurowa,  
 „To już nad moje siły, nad sumienie!



„Czy wierzysz, luba? ja się wyznać wstydzę,  
„Ja, korsarz krwawy, ja ludzi morderca!  
„Ze się zabójstwem i zbrodniami brzydzę,  
„Ze mam myśl jedną, wielką, w głębi serca,  
„Co kiedyś zbawi nawet pamięć moją.  
„O luba! teraz niech się ludzie boją;  
„Niech się przed czarnym chronią pawilonem;  
„Znajdę ich, zbudzę... jeśli nagłym zgonem  
„Bóg wielkiej we mnie myśli nie rozłamie.  
„Na mojem czole widzisz dumy znamię,  
„To jest przeczucie sławy; tam, tam w dali  
„Widzę okropną przyszłość, ale sławną!  
„Precz te obrazy... Luba! jakże dawno  
„Z tobą po obcych błędziliśmy światach?  
„Jakżeśmy dawno w przeczuciach szukali,  
„I w oberwanych po liściu róż kwiatkach  
„Naszej przyszłości? Z tobą moje losy  
„I z tobą dotąd wiąże myśli moje.  
„Często przed ludźmi w kajucie ukryty,  
„Jak dziecię trefię przed zwierciadłem włosy,  
„Szaty poprawiam, brylantami stroję,  
„Bo widzę jasno, widzę w twych marzeniach  
„Mój własny obraz wyraźnie odbity;  
„Więc podobieństwa szukam w ukraszaniach,  
„I póty śmiechem rozjaśniam jagody,  
„Aż poki czyste wróci mi zwierciadło  
„Obraz twych wspomnień z twarzą mniej pobladła  
„I mniej posepny, i smutny, i młody.

„O! świat ten gorzki, śmiechem przeraźliwy  
„Dla tych, co płaczą czy to krwią czy łzami.  
„Chroń się ty świata, bo on nie był z nami  
„W szczęścia godzinie, więc i dziś nie będzie;  
„Bo przeciw wielkim czuciom on gniewliwy,  
„I nie przebacza tym, co toną w błędzie.  
„Patrz, jak ten klasztor czoło w chmurach trzyma,  
„Ja ci wynajdę mieszkanie w klasztorze;  
„Zamknij się w cichej celi i ze skały  
„Patrzaj nocami na rozległe morze,  
„I błękitnymi po fali oczyma  
„Mojego statku ścigaj żagiel biały.

„A gdy zagrożą fali niepokoje,  
„Kiedy się będziesz modlić zdjeta trwoga,  
„Razem popłyną w niebo, jedną drogą,  
„Twoje modlitwy i przekleństwa moje.

„Lecz nim obierzesz klasztorny spoczynek,  
„Jutro nim zorza świtem się rozpali,  
„Przyjdź do mnie sama, tam, nad brzegi fali,  
„Odziana płaszczem bogatych Turczynek.  
„I miej kalemkiar czarny z musselinu,  
„Lub czewrę gęsto haftowaną złotem;  
„Niechaj się z wiatru nie wznosi polotem,  
„Nie zdradzi twarzy przed oczyma gminu.  
„Jutro, pamiętaj! tam łódź moja czeka,  
„Gdzie się przy skale załamało morze.  
„Ja sam przebrany w turekim ubiorze  
„Płynę na pogrzeb ostatniego Greka.“

Skończył, a kiedy z ostatnimi słowy  
Na piersi chylił twarz cierpieniem zbladła,  
Zda się, widziałem, kilka łez upadło...  
Nie wiem... to może z silniejszym powiewem  
Opadał z drzewa kwiat pomarańczowy?  
Nie wiem, czy płakał, czyli zachwiał drzewem?

## X.

Ranek był. Morze rozpalone świtem  
Wre zdala, szumi i srebrzy się w pianę,  
Potem portową groblą odłamane  
Brzegi spokojnym oblewa błękitem;  
A brzeg wysoko szarzeje granitem.  
Wyżej palm błyszczy zieloność wesola.  
Te palmy w niebo sięgające szczytem,  
Jako nam istność malują aniola;  
W mgłę mają stopy — a w błękicie czoła.

O! jakże smutny fali szum bezdenny,  
Co się z cichego morza wydobywał  
I ten las masztów, jako las jesienny,  
Z którego barza pójnocy gaiewliwa.

Połowę jasnych liści pobrywa,  
A pozostałym da rozliczne szaty,  
Liść Statudera złotem się pokrywa,  
Róż Albionu płoną się szkarłaty,  
Szronem się Franków osrebrzyły kwiaty.

Słyszac szum żagli, słyszysz jakby we śnie  
Gwarzące różnym językiem narody...  
Rozdarte gromem skarżą się boleśnie,  
Jakby mówiły doznane przygody,  
I prześcignięte z wiatrami zawody.  
A fala milczy, choć może w niej tonie  
W tej chwili okręt nadziejami młody;  
I jęk rozpaczy wydany przy zgonie  
Uczuła fala, lecz zamknęła w łonie.

## XI

Okręt troistą opisany spiżą  
Zatknął na maszcie księżyc, trzy buńczuki,  
Omglit się dymem, dział rozesał huki,  
I wtenczas niby szatana był tronem.  
Gdy wiatr poddany dym unosił chyżo,  
Wszystkie go maszty witały pokłonem;  
A okręt ucichł, pił dumy kadzidla.  
Mgła ranna hukiem potrójnym rozbita,  
Srebrne po masztach zawieszala skrzydła;  
Na wschodzie skrawo dzień wschodzący świta.  
Nie ma wyrazów język niezaskarbny  
Malować słońcem ukazane czary.  
Jako rozkwitłe Nilu nenufary  
Z kwiatów kobierzec wiążą różnofarbny;  
Jak odświeżone muszle i kamyki  
Pieszczotą fali — tak na cichej wodzie,  
Wiążąc się razem w jasne mozaiki,  
Spłynęły żagleń oskrzydłone łodzie.  
Tam turban kitą ozłocony świetną,  
Tam srebrna dziewic zastona powiała;  
Od łodzi fala różny połysk brała,  
Barwiona złotem, lub purpurą Tyru.  
Cała ta przestrzeń była łąką kwietną,

Była doliną, szalem kaszemiru.  
Łódź każda wiosłem drugą łódź prześciga,  
Pod maszt fregaty, gdzie ma skonać Ryga.  
I tak jak cheiwe sępy albo kruki,  
Gdy czują oddech śmierci, tak spłynęli  
W bogatych łodziach, po morskiej topieli,  
Z męczarni Greka różne brać nauki.  
Wielu jest w tłumie, co się śmiać naucza,  
Śmiech taki wrzкомо wielkość serca kłamiel  
Wielu stąd wróci i miecze rozłamię,  
Co jutro w królów miały tonąć łona.  
Gdy tacy zemstę Aniołom poruczą,  
Nieliczny może z męczarni wyłamię  
Prawdę, że skonać nie trudno — i skona.

## XII

Wstąpił na pokład Ryga wśród janczarów;  
Kiedy chciał mówić, słowa mu nie dali,  
Więc tylko okiem raz rzucił po fali,  
Spojrzał na mgłami osrebrzone góry.  
A wtenczas ucichł dźwięk niesfornych gwarów,  
W szmer się zamienił gasnący, ponury,  
I była cisza... Z ciszy wyblakana  
Pieśń między Turków urodzona tłumem,  
Na kilka cichych głosów rozłamana,  
Rośnie i z fali kołysze się szumem;  
Rzuciła w tłumie grzmiące Rygi hasła:  
Powstańcie Grecy! ale Grek nie słyszy,  
Powstańcie, Grecy! brzmiało—ale ciszej—  
Do broni—cicho—pieśń znikła—zagasła.  
Pieśń serce Rygi przy skonanu kruszy,  
Lecz radość widna z twarzy i z postawy,  
Jak gdyby przeczuł nieśmiertelność duszy...  
Może czuł tylko nieśmiertelność sławy.

## XIII

Widziałem! ja sam widziałem, o Greki!  
Jako na wielkie wstąpił rusztowanie,  
Widziałem wszystko, i tłumilem łkanie



On był tak młody, nie zmrużył powieki,  
 Choć śmierć tak bliska! choć śmierć tak straszliwa!  
 Jeszcze go widzę, jak zasłonę zrywa,  
 Jeszcze go widzę, jak pod nieba stropy  
 Na rusztowaniu stanął — i smutnymi  
 Oczyma dawał pożegnanie ziemi,  
 Siłom młodości, marzeniom młodości.  
 Wtęm szczeble pękły, wymknięte z pod stopy...  
 Nie mam wyrazów... Któż mu nie zazdrości  
 Śmierci teutońską sprowadzonej zdradą?  
 Lecz któż się zemści? któż w całym narodzie?

I właśnie słońce wstawało na wschodzie,  
 I promień z rannej otrząśniony rosy  
 Pozłocił Rygi twarz martwą i bladą,  
 I na ramiona spływające włosy.  
 Na twarzy siłę ukazał niezmienna,  
 Uratowaną z męczarni rozbicia;  
 Na twarzy walczy senna boleść życia  
 Z długą boleścią wieczności—bezsenna.

## XIV.

A w tłumie widzów jedna łódź ożyła;  
 Jak po jeziorze trzciniami zarostem  
 Weźwowa ścieżką z tłumy się wywiła;  
 Turek ją pędził obustronnem wiosłem,  
 I bawił Turków, rzucając nad głowy  
 Tysiączne kregi wodnistych obręczy,  
 Umalowane kolorami tęczy.  
 A łódź, jak delfin w wodzie rozigrana,  
 Czasem tonęła w odmet lazuruwy,  
 Równa powierzchni morza, tak że piana  
 Żagiel srebrzyła; czasem statek złoty  
 Po wierzchu fali szedł ptasimi loty,  
 I coraz bliższy fregaty sultana,  
 Nie bacząc niby, pod srogimi kary  
 Wzbronione łodziom granice przechodzi.  
 Nie śmieli strzelać strzegące janczary,  
 I od płynących zdrady się nie bali;  
 Bo w tej złocisto-malowanej łodzi

Ujrzeni postać dziewicy, i głośno  
 Śmiejąc się wszyscy, wszyscy przeklinali  
 Szatę turecką, zamkniętą, zazdrośną,  
 I ów kalemkar z musselinu biały,  
 Tak gęsto lśniącym haftowany złotem,  
 Że go powiewy wiatru nie odwiały,  
 Ani łódź szybkim odstąpiła lotem.  
 Ta pod zasłoną róża niewidoma,  
 Snać z ciekawością dziecinną haremu,  
 Może przejęta zgrozą, nieruchoma,  
 Chciała się bliżej przypatrzeć zmarłemu?  
 Może się pod tą zasłoną ukrywa  
 Uśmiech w połowie ciekawy, wesoły?  
 Z takim uśmiechem liście róż obrywa,  
 Z takim uśmiechem te ziemskie anioły  
 Widzą zgon róży, serca, lub człowieka.

A wtęm okrętu piersi niedaleka  
 Łódka uczuła silny popęd wiosła,  
 Biegła po fali, z fregatą się zrosła:  
 I wnet z jej łona dym się wybił szary,  
 A potem jasność błękitnawa siarki.

Majtek przez chwilę patrzył na pożary;  
 A gdy mu płomień ramiona otoczył,  
 Odrzucił turban i do fali skoczył.  
 Za zbiegłym setne strzeliły janczarki,  
 Przed kulą w morzu zanurzony zginał...  
 Po chwili błękit piana się zakłócił,  
 Majtek na fali powierzchnie wypłynął,  
 Pobladył Turkom śmiech szyderezcy rzucił...  
 A gdy śmiech echo okrętu powtarza,  
 Gdy się twarz majtka słońcem oświeciła,  
 Śmiech ten poznałem, był to śmiech korsarza,  
 I twarz poznałem, to twarz Lambra była.

## XV.

Splonęła łódka, a w dymie z lazuru  
 Błękitna siarka błysła — z razu blada  
 Poczyje Słowackiego. — Tom I.

Całuje okręt jak czarę z marmuru,  
 Jąć się nie może, ślizga się i spada,  
 Wgląda na pokład, potem z trzaskiem nagle  
 Czerwona dębu zajęła się ściana,  
 I w dymu kłębie iskra zablakana  
 Jak gwiazda z nieba upadła na żagle.  
 Wnet płomień szybko aż na maszty wbiega,  
 Spodem okrętu roztwiera szczeliny...  
 Pękały szyby i rwały się liny,  
 I maszt z węglowym padł na pokład dźwiękiem.  
 Odgłos rozpaczony w trzasku się rozlega,  
 A tysiąc jęków było jednym jękiem...  
 Ucichły razem... huk płomieni głuchnął;  
 Cisza się zdawał, gdy doń słuch nawyknął.  
 Nagle w płomieniach nowy blask wybuchał.  
 Jak tknięty różyczką czarowną aniołów,  
 Z gromem wulkanu cały pożar zniknął,  
 Zostawił przepaść i w niej wręca pianę,  
 I wszystkie łodzie burzą kołysane,  
 A na nie chmura upadła popiołów.

## XVI.

Takim był Ryga uczczony pogrzebem...  
 Nie poszedł próchnieć w marmurowe lochy,  
 Stos miał wzniesiony pod błękitnem niebem  
 Z dębów i trupów; jako do łzawicy  
 Do czary morza spadły jego prochy.  
 Lecz jak okropna śmierć młodej dziewicy!  
 Anielskim niby ożywiona duchem,  
 Kiedy ją ogień dokoła obchodzi,  
 Boleści żadnym nie zdradziła ruchem,  
 Bez jęku prochem opadła do łodzi.

## XVII.

A Lambro w morzu przechował się cały,  
 Do korsarskiego dopłynął okrętu;  
 Przywołał pazia i napół omdlały  
 Padł na kobierce, mówił, a z odmetu  
 Myśli zburzonych płynie mowa skora,

W stu słowach ledwo jedna myśl rozkwita...  
 Mówił do pazia: „Już pora! już pora!  
 „Zmienić bandere... Ale czy powstaną?  
 „Gdy krzyż na czarnej banderze zaświta,  
 „Może powiedzą: szalony! za rano!  
 „Więc dla niczego tyle znieść męcza, ni?  
 „Paziu! idź w góry, gdzie się klefity kryją,  
 „Do marmurowych zazieraj kawiarni,  
 „I pieśń im śpiewaj, i zobacz, czy żyją?  
 „Zobacz, na grobach czy płaczą mściciele?  
 „Lecz wróć jak zwykle łać napój makowy,  
 „O każdą kroplę napoju się spierać;  
 „Bo dzisiaj czuję straszny ciężar głowy,  
 „I ciężar myśli... wypiłbym za wiele.  
 „Dzisiaj chcę marzyć dłużej i spać dłużej,  
 „Ale żyć muszę, z Grekami umierać...  
 „Idź, dobre wieści przynieś mi z podróży...“  
 Poszedłem...

Śpiewak cały się zapłonił,  
 Czuł, że się słowem nieroztropnem zdradził;  
 Kryjąc zmieszanie, silnie w lutnię dzwonił,  
 Ręką przez wszystkie struny przeprowadził.  
 Obejrzał koło Greków... myśli czyta.  
 Zaśmiał się gorzko, rzucił wzgardy okiem  
 I wyszedł... Za nim śpiesznym wyszła krokiem  
 Jakaś Greczynka zasłoną okryta.  
 Może ciekawa pieśni tajemnicy  
 Za odchodzącym paziem zawolała?  
 Potem z nim długo, długo rozmawiała  
 Na osrebrzonej księżycem ulicy.  
 A choć rozmowy nie dosłyszeć dźwięku,  
 Snać gorącymi prosiła go słowy...  
 Musiał zezwolić, bo na jego rękę  
 Błysnął księżycem pierścień brylantowy.

## P i e ś Ń d r u g a .

## I.

Już noc zapada w korsarza kabinie,  
 Zalana falą szyba bursztynowa



Coraz ciemniej; jak w piekła krainie  
Mrok był ognisty i cisza grobowa,  
Piekło to było... i te same słowa,  
Co na piekielnej wypisane bramie,  
Tu z pierwszym wiatrem na wchodzących wieją;  
Bo kto tu wejdzie, żegna się z nadzieją.  
Tu myśl starzeje w przeciągu godziny.  
Gdy się nad głową grzmiąca fala łamie,  
Gdy huczą płótna, jęczą starte liny,  
Choćbyś wrażenia powiązał łańcuchem,  
To się rozprysną, ogarnąć nie mogą  
Ruchu, co ziemi wydaje się ruchem,  
Pojeży tylko jednym zmysłem—trwogą.  
Jest ktoś w kabinie, bo chociaż wśród cienia  
Nie widać kształtu żyjącej istoty,  
Lecz słychać często ciężkie odetchnienia.  
Ktoś w tym się grobie musiał zamknąć żywy;  
Jeżeli czuwa, to ma myśl zgryzoty,  
Jeżeli zasnął, to ma sen straszliwy.

## II.

Paź wszedł, postawił na stół lampę kryształową.  
Przy stole siedział korsarz z pochyloną głową,  
I zadrzał, bo to światło z marzenia go budzi,  
Bo to światło natrętne było jak tłum ludzi,  
Co widząc blade czoło, o szaleństwo woła.  
Korsarz długo ze światłem godził rysy czoła,  
Twarz jego jakby z kruszcu łamała się twardo,  
Malowana na przemian, śmiechem, bolem, wzgardą;  
A potem się w bezwładną spokojność przybrała —  
Jeśli twarz może skonać, twarz Lambra skonała.  
I spoczywał bezwładnie, na stole oparty,  
Przed nim rozwite świata znajomego karty,  
Cała ziemia, ramieniem Lambra opasana,  
Leżała jak w żelaznych skrętach Lewiatana.

A te ściany są krwawą powieścią korsarza.  
Lampa, co przed nim płonie, zdjęta z przed ołtarza,  
Świeci zbrodni, jak niegdyś przyświecała Bogu,  
Tam dalej blask księżycy rzucony na progę

Odblyska jakby kawał śniegu błękitnawy.  
I różne pawilony, z obcej wzięte nawy,  
Skarżą się pod stopami korsarza rozdarte.  
A tam—lampa oświeca pergaminu kartę,  
Firman złotem w sułtańskie ustrojony słowa;  
Na nim jak pieczęć z wosku leży trupia głowa,  
Od sułtana samego głowy mało mniejsza,  
Zółta, lśniąca i może z czaszek najpiękniejsza.  
Dalej złotem wybite, krwią rdzawe oręże,  
Nad czarami ze spiżu okrecone węże  
Zginają kark do czary po szczątki trucizny.  
Z tych ścian wyczytaj zbrodnie wygnańców z ojczy-  
A sumieniem kajuty są ściennie zwierciadła, [zny;  
Których powierzchnia parą wilgoci pobladała,  
I co dnia zasłonami grubszymi ciemnieją,  
I co dnia na co patrzą, spowiadać nie śmieją.

Czasem słychać szum morza, czasem cichość głucha.  
W ciszy korsarz podnosi blade czoło—słucha.  
Jego myślom, w daleki rzuconym zawody,  
Odpowiadają dźwiękiem krople morskiej wody,  
Co ze szczelin sączone dźwięk wydają szklanny,  
Jak płacz łzawy dalekiej w cytrynach fontanny.

## III.

Czegoż paż czeka? — powinien co nocy  
Podawać czarę, w niej napój makowy.  
Bo Lambro, co dnia bladejszy, o północy,  
Szaleje trucizną namiętne pić;  
I życie mieni na sen gorączkowy,  
Sen tak jasnymi grający barwami,  
Ze chwile życia zdają mu się snami,  
A sen szalony wydaje się życiem.  
I co dnia czara, o kroplę pełniejsza,  
Te same widma i sny mu dawała.  
A choć twarz bladeja, żrenica świetniejsza,  
W ciemność wlepiona, krwawa, potem biała,  
W krainę duchów biegła — i wracała  
W krainę myśli... wtenczas cierpiał, szalał,  
Zebrał u pazia trucizny nad miarę,

Lecz paż jak dziecku groził, nie pozwalał,  
I nieraz w morze ciskał zgubną czarę.

## IV.

Lecz cóż się stało, że choć noc zapadła,  
Paż jak zazwyczaj nie podaje czary?  
I korsarz milczy, choć mu twarz poblądła;  
Snać, że się lęka ze wspomnień zwierciadła  
Zamglić szaleństwem gorączkowej mary  
Owego widma płonącej fregaty,  
Co stoi przed nim pełna jęków, wrzasku  
Przeraźliwego, wśród płomieni blasku,  
Dotknięta palcem anioła zatraty.  
Więc nie chce trucizn, ale czy wytrzyma  
Przez noc zwyczaju przelamać narowy?  
Obłąkanymi spogląda oczyma,  
Wstał—i na pokład wyszedł okrętowy.

## V.

Noc była cicha. Okręt na kotwicy  
Niepełnym żagleń brał wiatru pieszczoty.  
Powietrze szkliste, pełne tajemnicy,  
Księżycowego blasku i tęsknoty.  
I tak się błękit ochylił do koła,  
Że maszt najwyższy, schyłony u szczytu,  
Nie śmiał jakoby wznieść dumnego czoła  
Pod kryształowem sklepieniem błękitu.  
A w drżącej fali, jak srebrne delfiny,  
Igrały w koło blaski księżycowe,  
A dalej mgłami błękitne krainy,  
Archipelagu wyspy cytrynowe,  
Na widnokregu nieraz czarna skała,  
Albo w lodowej—albo w gwiazd koronie,  
Przejdzie przez księżyc—i we mgłach zatonie.  
I nieraz z szumem fali doleciała  
Pieśń, którą słowik napelnia ogrod;  
I róż woniami, co na brzegach kwitną,  
Nieraz wiatr drżącą falę zakolysze.  
I wszystkie barwy topią się w błękitną,

I wonie — w zapach tajemniczy wody,  
I wszystkie dźwięki toną w wielką ciszę.

Gdy wyszedł Lambro, drużyna korsarza  
Długo, ciekawie śledzi rysów lica...  
Twarz jego straszną bledością przeraża,  
Pobłękitniała od blasku księżycyca.  
Odeszli... Lambro osłonił w żagle  
Patrzył na morze, na odległe skały,  
I patrzył długo, dumając... potem nagle  
Zachwiał się, chylił i upadł omdlały.

## VI.

Wnet go tłum majtków dokoła otoczy...  
Błady był strasznie, napoły nieżywy.  
I paż krzyk wydał z piersi przeraźliwy,  
Gdy omdlałego przyniesiono pana.  
Lambro zbiegł na krzyk podniósł oczy,  
Twarz mu rozstała, śmiercią obłąkana.  
Otworzył usta—mówił nieprzytomnie:  
„Kto tutaj jęczał, kto tu płakał po mnie?  
„Jeden znam tylko taki głos na ziemi,  
„W płaczu z miłosnym pomieszany dźwiękiem.  
„Paziu, płakałeś łzami nie twoimi,  
„Ty mnie zabijesz takim drugim jękiem!  
„Ten jęk dziewicy posłyszany we śnie  
„Dziwnym połamał myśli moje kształtem;  
„I wyciągnąłem dłonie i sił gwałtem  
„Z letargu wstałem... gdzież ona?... tu była!  
„Nie, tu paż tylko. Jakże mię boleśnie  
„Noc ta urokiem ciszy przeraża!  
„Noc księżycowa, czemu nie ciemniejsza?  
„I noc przekląłem i morza zwierciadło.  
„Morze tak ciche, czemu burz nie miało?  
„Gdy w nie patrzałem, moje czucie mdlało,  
„Patrzałem w czucie, moje czoło bladło,  
„I mgły na serce spadały jak śniegi.  
„Lecz to minęło... niechaj noc przemarzę.  
„Paziu, daj czarę nalaną po brzegi,  
„Niech wiem przynajmniej, że w obfitej czarze



„Śmierć trzymam pełną, dotkniętą ustami;  
„Nie spełnię całej, chociaż drżącej ręki  
„Nikt nie odchyli prośbą ani łzami,  
„Lecz nie chcę skonać, póki ziomków jęki  
„Będą pacierzem i grobu hymnami.“

Wnet paż, posłuszny rozkazowi pana,  
Podał mu czarę i odstąpił krokiem.  
A czara była kształtnie dłutowana,  
Niepełna z roślin wytłoczonej sliny;  
Chwycił ją Lambro i pożerał okiem,  
Blady na czole i na ustach siny.

## VII.

Wypił — i zwolna płomieniem rozkwita;  
Z czoła zasłony opadają mgliste,  
W źrenicy płomień obłąkania świta,  
Oczy tak jasne, błyszczące i szkliste,  
Ze można było przejrzeć w nie daleko,  
Straciły barwę — stały się iskrami,  
I gorączkową rozpalone spieką,  
Kryształowymi pokryły się łzami.  
A potem czoło wsparł na drżącej dłoni,  
Oczy nie miały wzroku, choć bezsenne,  
I wszystkie żyły wyblęskły na skroni,  
Jakby gałązki bluszczu powiązane;  
I wszystkie włosy jak liście jesienne  
Drżały na czole wiatrem nie rozwiane;  
I w marmurowej na pozór postawie  
Rozkołysanie widać zmysłów pjane.  
A o czem inni śnią, widział na jawie,  
Tylko jaśniejsze. Jak węża kawały  
Rozcięte widma jednym życiem drgały.

Ciszej! bo właśnie teraz sen czarowny  
Rzucił go lotem po nieba błękiecie...  
Dzikiej rozkoszy urok niewymowny  
W nagłonym technieniu zamknął zmysły, życie,  
Słowo poczęte śmiech porywa, łamie,  
I śmiech poczęty w odetchnieniu kana.

Bo to nie skrzydło, ani silne ramie  
W lekkiej powietrza pławilo go fali;  
Lecz ciężar myśli opadł z głębi łona,  
I ciężar wspomnień zniknął z uczuć szali.

Stanął.. i nagle tysiące błyskawic  
Więcem ognistym mignęły do koła.  
Rzekłbyś, że tysiąc zamachniętych prawic  
Wiało tysięcznym mieczem archaniola.  
Pogasty, w błękit stopiły się ciemny,  
Tak przezroczysty, głęboki, tajemny,  
Jak nieskończoność.. I słychać szum morza,  
Potem z ciemnego błękitu przestworza  
Wykwitał mglisty obraz sennych czarów.  
I gmach z tysięcznych złożony filarów,  
Lekką jasnością w w powietrzu skreślony,  
Od stóp korsarza w dwie się rozbiegł strony  
Po całym niebie. A jedna połowa  
Uwiana była z promieni księżycza,  
Jasna i blada, jak noc księżycowa,  
Cała w przezroczu błękitnawo-szklista;  
A druga strona posępna, ognista  
Jak piekło. Wielkie zwierciadło egidy  
Gmach cały kryło jasności sklepieniem;  
Pod niem schylone duchów karyatydy,  
Dwubarwnym światła uwiane promieniem,  
Z bliska ogromne, jak ciemni szatani,  
Biegły w dwie strony oddaleniem mniejsze,  
I coraz dalsze, i coraz świetniejsze,  
Jak mglisto gwiazdy niknęły w otchłani.

A Lambro nie śmiał technąć, bo choć wyniosła  
Była duchami otoczona sala,  
Lecz taka lekka, że powietrza fala,  
W otchłani człowieka technieniem potrącona,  
Możeby duchów kolumny rozniosła.  
Więc stał i technienie polykał do łona,  
By czarownego nie zamglić zwierciadła.  
A w lesie kolumn widział ludzkie cienie,  
Kleptów oddawna pomarłych widziadła;  
A wszyscy w gmachu wplątani promienie,

Bładzi — posępno-srebrni lub ogniści,  
 Lekcy i liczni, jako chmura liści  
 Wiatrem zwichrzona, wiązali się w tłumy.  
 Ale dotknięci żywego oczyma  
 W twarzach zdradzili wiele ziemskiej dumy.  
 Widać, że znaczni rysami Kaima  
 I strojni dotąd w blask ziemskich kolorów,  
 Nie mogli zasiąść wśród niebieskich chorów;  
 I przed oczyma Lambra, napół sini,  
 Napoły lśniący od złota, szkarłatów,  
 Ziemskimi barwy, jak oazis kwiatów  
 Stali na srebrno-ognistej pustyni.

A skoro Lambro stanął w duchów kole,  
 Milionowe patrzyły nań duchy;  
 I tak go w spojrzeń zakuły łańcuchy,  
 Ze nie mógł zamknąć oczu — i na czole  
 Pałace uczuł znamię duchów wzroku,  
 I drżał, gdy szmerem rosnącym potoku  
 W ciszy setnymi głosy zawołali:  
 „Czemuś nie skonał, gdy wszyscy konali?“

## VIII.

Straszna twarz Lambra łamana cierpieniem —  
 Otworzył usta, chciał mówić, i nie mógł...  
 A potem słowo złamane westchnieniem,  
 To słowo „żyje“ rzucił z głębi łona...  
 I wstał z dywanu, wyciągnął ramiona,  
 Widać, że walczył ze snem i sen przemógł.  
 Spojrzał w około... „Paziu! daj mi czarę;  
 „Za mało trucizn zapalonych piłem,  
 „Bo myślą ziemską we śnie się rozbiłem...  
 „Ze nie zginałem, życie mam za karę;  
 „A to piekielna kara niebios — życie...  
 „Być w świetle dźwiękiem rozwiązanej struny,  
 „Co razi serca tonące w zachwycie!  
 „Być jako wieko przysypanej truny,  
 „Co zrazu każdej garści zapomnienia  
 „Posępnym, głuchym jękiem odpowiada;  
 „A potem mileży... Paziu, chcę marzenia!

„Lej mi trucizny, pić będę — pić będę,  
 „Póki się wszystkich myśli nie pozbędę,  
 „I tej ostatniej, co serce przejada.  
 „Paziu, daj czarę...“

„Próżno błagasz, panie,  
 „Tej czary żadna nie zdobędzie siła;  
 „Bo dziś, jak niosło twoje rozkazanie,  
 „Jam czarę (kłamał) do morza wrzuci...“

Nie skończył, Lambra przerażony wzrokiem,  
 Bo korsarz drżące wyciągnął ramiona,  
 I pochylony naprzód stąpił krokiem,  
 Patrzył w twarz pazia i krzyknął: „to ona...“  
 O nie! to widmo z piekielnej otchłani,  
 To mi upiora przysłali szatani,  
 Aby tak za mną wiecznie szedł po świetle...  
 Ha! wy anieli piekieł! wy nie wiecie,  
 Ze ona żyje, i tylko dziś rano,  
 W jej szaty lalkę ubrałem słomianą;  
 I tym podstępem omyliłem strażę,  
 Palnego statku Turcy nie poznali...  
 O! gdyby ona spłonęła w pożarze;  
 Chciałbym z morskiej wynurzyć się fali?...  
 Pocóż to widmo?... we mnie lub koło mnie  
 Wiecznie i wiecznie — czemuż ludzi twarzo  
 W jej twarz się mienia? paziu! chodź tu do mnie,  
 Chodź, niech przy lampie...“

Lecz paż nieprzytomnie

Nalewał napój w poztacaną czarę,  
 I z drżącej ręki nieliczonych wiele  
 Kropel trucizny upadło nad miarę.  
 I szedł zachwiany i stapał nie śmieie,  
 Jakby od blasku ręką zakrył oczy;  
 I tak przed lampą stanął, że ją cieniem  
 Swojej postaci nachylonej mroczy...  
 Lambro miał usta spalone pragnieniem;  
 Oczy, sennymi tłoczone ciężary.  
 Z oblicza pazia upadły w głąb czary.



IX.

Wypił. Wnet całe spłonęło mu lice,  
 W tym blasku, w oka obłąkanym rzucie  
 Nieodgadnioną widać tajemnicę;  
 Jakby niepewne boleści przecucie.  
 Znów mu się senne ukazały barwy:  
 Ciemno-ognista i miesięcznej bieli;  
 I znów te same widział kleftów larwy.  
 Stał w ich kole, słuchał, lecz milczeli,  
 A przed kleftami stali dwaj anieli:  
 Jeden, ognisty jak piorunu strzała,  
 Bezkarne wzrokiem człowieka nie tknięty,  
 Był w Lambra myśli jako płód poczęty,  
 I nie mógł w zmysłów narodzić się świecie.  
 Drugiego istność księżycowa, biała;  
 Miał skrzydła u głów, u rąk, u stóp trzecie.  
 Widać, że kiedyś był Boga aniołem,  
 Lecz barwy skrzydeł spłowiwały, pobladły,  
 Musiał je zrosić ów anioł upadły  
 We łzach człowieka nad światła padolem.  
 Ma w ręku czare, w której błękitnawy  
 Płomyk wytryska i lice mu bieli...  
 I w ciszy Lambra marzeń dwaj anieli  
 Spiewali razem hymn straszny i krwawy.

Hymn aniola.

Falo ludzi! falo ludzi!  
 Przewracasz się, pienisz — i mętna  
 Bez wiatru usypiasz... któż ciebie obudzi?  
 Czy sława paląca, czy miłość namiętna!  
 Falo ludzi! falo ludzi!  
 Przed tronami niższa czołem,  
 Przerzedzona mieczem wroga!  
 Gdy chciałaś się modlić i modlić do Boga,  
 Modliłaś się do mnie, jam zemsty aniołem.  
 O! byłem ja nieraz w ostatnim pacierzu  
 Na ustach zmarłego... Ja stoję przy grobach,  
 Gdy krewni przychodzą ubrani w żałobach,

A kiedy się modlą po zmarłym rycerzu,  
 Wzywają mnie więcej, i więcej niż Boga.

Płynęła od wschodu  
 Szarańcza złowroga;  
 Niszczona od głodu,  
 Na Stambuł upadła;  
 Z tej chmury lazuru,  
 Jak ciemne widziadła,  
 Wybiło się wieży tysiące;  
 I rzekłbyś, że wielkie olbrzymy milczące  
 Szarańcze rozgniotły stopami z marmuru.

A potem te mrące na głazach owady  
 Stworzyły myśl w chmurze, co duszą jej była.  
 I gryzły bezsilne z marmuru posady,  
 I marły — a mrących myśl we mnie ożyła.  
 Myśl zemsty mrącego narodu.  
 A kto chce iść za mną, gdy nie śmie lud cały,  
 Na inne uczucia niech lice ma z lodu;  
 Gdy lud będzie milczał do zemsty nieśmiały,  
 Gdy grobów gościjsze porosną cyprysy,  
 Gdy głośne łez będą rozpaczce,  
 Ja śmiechem złamane pokażę mu rysy,  
 Aż póki w nim śmiechu nie wzbudzę szatana;  
 I będzie go zgraja przeklinać spłakana,  
 Ze z nimi na grobach nie płacze.

Wylany ze łzami

Mój duch obumiera,  
 Mnie światło dnia płamą,  
 Mnie księżyc otwiera  
 Jak kwiaty, co kwitną nocami.  
 Ja czekam, aż Turki wychodzą z meczetu,  
 I płynę w ich serca przed Bogiem otwarte.  
 Ja jestem modlitwą na stali sztyletu,  
 Ja mieczem ognistym aniola  
 Wśród księgi wspomnienia zaginam tę kartę,  
 Co o krew wola.

## Hymn anioła.

Gdzie kilka palm pustyni, gdzie wróce powietrze  
 Drży przebiegane falą żółtawą płomyków,  
 Tam ja byłem na spiekłym urodzony wietrze,  
 Tam jak szakal pilnuję gryzących się szyków.

A kiedy trupami pustynię pokryją,  
 Nim księżyc się w niebie wysrebrzy dwa razy,  
 Szakale nocami pieśń sławy im wyją,  
 Ja mszczę się umarłych, jam anioł zarazy.  
 I lecę ich żony zabijać i dzieci,  
 Ażeby nie długo umarłych płakały.

A moje skrzydło krwi plamami świeci,  
 Ani ich w morza opłócze kryształ.  
 I lecę miasta zamieniać w pustynie;  
 A w miastach ludzie czują, że ja lecę  
 W srebrno-błękitnej, w nadpowietrznej rzece,  
 Co nad krętymi ulicami płynie.

Z sultana powracam ja grodu;  
 Sto głów sultański ściał miecznik;  
 A każda na postrach narodu  
 Z bram miasta jak żółty słonecznik  
 Spogląda za słońcem zachodu,  
 I oczy wlepiły w mgłę białą,  
 Co kraj im rodzinny zakrywa;  
 I każda się zda jakby żywa —  
 Krwią płaczą, gdy łez im nie stało.

Zemsty natchnąłem je duchem,  
 Mścicie się, rzekłem, dam broni...  
 Czarnym zarazy łańcuchem  
 Sultańskie grody związały,  
 W meczetów zakradły się woni.  
 Za bramy wybiegł lud cały,  
 Na bramach była zaraza;  
 Lud martwe dał jej pokłony.  
 Głowy, jak królów korony,  
 Swiecą na słupach z żelaza,  
 I mają poddanych — trupy.

Z syryjskimi łupy  
 Ja okret przez wały  
 Po morza błękicie  
 Do portu zawiąłem.  
 I stał oniemiały,  
 Nie spuścił szalupy,  
 A na żaglu szczytów  
 Nad cichymi trupy  
 Ja anioł siedziałem.

Lud widząc bitny  
 W grobów popiele,  
 Chciałem, by groby otwarli.  
 Żłoty anielel  
 Rzekli umarli,

Weź z naszych grobów płomyk błękitny  
 I mścij się za nas... Duch grobów wziąłem  
 I lecę mściwy,  
 Bo lud nieżywy  
 Nazwał mnie zemsty aniołem.

Skonały dzikie dwóch aniołów pienia.  
 Lambro je we snach gorączkowych składał.  
 Hymn ostatniego tak rymami spadał,  
 Jak gdyby w piersi marzeń brakło technienia.  
 Wstał, chciał się zbudzić, lecz padł na dywany;  
 Usta mu tylko drżały blade, sine,  
 Jakby chciał mówić—i wzrok obłąkany  
 Przebiegał marzeń zamgloną krainę.  
 A jego twarzy powleczonej w bieli  
 Nawet szatani marzeń się przelękna.  
 I rzekł: „O Duchy! o ciemni anieli!  
 Wyście mi zemstę malowali piękną,  
 Jak najpiękniejszą ze wschodnich Odalisk,  
 Bo w mojem sercu miłość zapaliła.  
 Choć sny wygasną, ona będzie żyła,  
 Dla niej utworzę, pośród myśli zwalisk,  
 Krainę czucia, brylantowy Eden...  
 I nie sam będę... choć klasztorna krata  
 Już mię na wieki rozdzieliła z Idą...  
 Szalona zemsta!... burzę świat sam jeden.



Mamże być znowu piekiel Danaidą,  
 I krew łać wiecznie do tej czary świata,  
 Co się krwią nigdy napełnić nie może.  
 Czyż się bezemnie sam nie zemścisz, Boże!  
 To są anieli twoi... ci... przedemną,  
 Przynieśli na świat myśl wielką i ciemną,  
 Całą na czołach ogniem wypisaną,  
 Ale nie mogę wyłamać z niej słowa.  
 Słuchajcie, ludy, mścić się nie za rano...  
 Nie... dziś nie mogę, dziś mi cięży głowa...  
 Jutro—dziś w marzeń upływam potopie...  
 Jutro. Lecz dzisiaj sennym wydrę cudom  
 Myśl wielką... potem tę myśl zmartwychwstania  
 Jak Kleopatry perłę w krwi roztopię,  
 W czarze z kryształu, i dam czarę ludom...  
 A one może w chwili obłąkania  
 Odepchną czarę... wieczna im mogiła!  
 Jeżeli czarę od siebie odrzuca,  
 Jeżeli usta dlatęgo odwróca,  
 Że się w krwi ludzkiej myśl ta roztopiła,  
 Chociaż tak była bezcenna i droga,  
 Że o niej dotąd nie śnił nikt—prócz Boga.  
 Lecz niech ją pojme, niech przeniknę jasno,  
 Niech mi z posianych rozkwitnie zarodów  
 Zemsta człowieka i zemsta narodów...  
 Jest w sercu... w myślach... moje myśli gasną...  
 Znow mię ogniste porywa marzenie;  
 Widzę je sercem i okiem zamkniętem.  
 Powietrze zda się wielkim dyamentem,  
 W którym kolory grają i płomienie.  
 Szatani! o ciemni szatani!  
 Jak płyną wirem obrazy!  
 To mój okręt korsarski na ciemnej otchłani  
 W skrzydlate widmo się mieni;  
 A z prawej strony anioł zarazy,  
 A z lewej anioł ognisty,  
 Liny z promieni...  
 I morza obrus błękitno-szklisty  
 Nie łanie się w pianę pod statku piersiami,  
 I okręt białymi nie szumi żaglami;  
 I tylko ozują, że płynę,

Jak duchy w północną godzinę,  
 Posępny, okryty mgłami.  
 I mgła błękitna pobiela  
 Uciekające wstecz brzegi,  
 Topią się, nikną jak śniegi.  
 Znow widne... tam palma drżąca,  
 Jako kapłan Izraela,  
 Do cichej twarzy miesiąca  
 Wznosi dłonie, twarz odwraca  
 I mówi modlitwy szmerem.  
 Anioł zemsty kieruje okrętowym sterem,  
 Odbłyskiem swego lica ciemny brzeg pozłaca.  
 Palmy się zamieniają w ogniste kolumny,  
 I brzeg cały przeraża pożarów ogromem,  
 Tylko czarne cyprysy, niedotknięte gromem,  
 Stoją, zmarłego świata pilnujące trumny...  
  
 A tam... Kolumny wybrzeże,  
 Białe posagów narody.  
 Wśród kolumn tureckie wieże,  
 Na gmachach las ostów szumi,  
 Jak Babilońskie ogrody,  
 I szmerem głos modlitwy Mahometa tłumi,  
 Głos, co się smutnym dźwiękiem po fali rozlewa.  
 A tam, gdzie laur różowy, gdzie oliwne drzewa,  
 Wybłyska jedna, druga i czwarta kolumna;  
 Szczęty gmachów Jowisza ściegą mają głowę.  
 Jakaż to jaskółka dumna  
 Na te gzemsy marmurowe  
 Zaniosła gniazdo?—skonała  
 W tych gmachach wiara i chwała,  
 A ta jaskółka nie skona?  
 O nie... to chata Santona  
 Na gzemśów zawisła szczyście.  
 Posępna w około cisza...  
 Przed chatą postać derwisza  
 W nieba skreślona błękitnie,  
 Jako posąg nieruchoma...  
 Modli się... depcąc świątynie".

Lambro marzył... a w twarzy zgryzota widoma  
 Czerni się, i łza wstydu po licach mu płynie.  
 Patrzył w anioła zemsty, w anioła zarazy,  
 I oba stali cicho, posępnie jak głązy,  
 I w ich postawach ogień potępieńców bladnie.  
 „Gdy cały kraj powstanie, ta chata upadnie“  
 Rzekli... i okręt płynął na błękitne morze.

Tam zdala okryta mgłami  
 Turków stolica w Bosforze.  
 Tysiące gmachów, meczetów,  
 I tysiące minaretów,  
 Jakby złotymi głoskami  
 Jakiś napis alkoranu  
 Pisały w nieba błękicie.

Zemstę będziemy winni przedwiecznemu Panu,  
 Anioł zarazy siada na sofijskim szczycie,  
 I patrzy na stolice... Gdzież sen mój? ciemnieje.  
 Paziu, ty rozbić musiałeś zwierciadło,  
 W którym czytałem wszystko na te oczy.  
 Rozbić musiałeś, bo wszystko tak mgleje,  
 Czerni się, pierzcha, rozbija, pobladło.  
 I coraz grubiej wzrok mi się zamroczy,  
 Tak, że nie widzę nic prócz myśli własnych  
 O mękał mękał z tych obrazów jasných  
 W ciemność myślenia nagle wpaść oczyma.  
 O jak głęboko pośród myśli tłumy  
 Wzrok mój zabiega, jeszcze dna nie trzyma,  
 To wzrok ocknienia... to promień rozumu  
 Budzi się z marzeń piekielnych rozkuty...  
 Tu korsarz zamknięty, sam w sobie zamknięty,  
 Długo na łożu leżał rozciągnięty,  
 Potem się zerwał, rozryknął: „jam otruty“.

## X.

Zrazu się wahał i myśli przedziwa  
 Żadnymi na jaw nie śmiał wydać słowy,  
 Jakby się lękał, aby śmierć skwapliwa  
 Nie rozwiązała w pół zaczętej mowy;  
 I widać było, jak na jego czole

Ze snu chmurami łamały się bole.  
 Chwyta za sztylet złotem wybijany,  
 A tak był drżący, że go ledwo dźwignął;  
 I krwi gwałtownem rozigraniem chwiany,  
 Nad bladym pazim dłoń wzniesioną trzyma.  
 Palik się cały, potem cały stygnął...  
 Żelazo z dźwiękiem padło na podłogę.  
 „Paź błękitnymi ściga mię oczyma,  
 On ma twarz Idy, zabić go nie mogę!  
 Idź w świat, tam ludzie wszyscy ciebie godni,  
 Obludą w serca wkradaj się tajemnie;  
 Ty się odemnie nauczyłeś zbrodni,  
 Na Boga, szczęścia nie ucz się odemnie!  
 Idź, weź to złoto... może niem zapłacisz  
 Za snu godzinę, za czarę trucizny,  
 Weź i tę czarę—wśród domowych zacisz,  
 Jeżeli kiedy dożyjesz siwizny,  
 Niech do tej czary twoje dzieci własne  
 Cypryjskich jagód nalewają winą;  
 A może zaśniesz, jak ja teraz zasną,  
 Ja nie przeklinam, śmierć ciebie przeklina,  
 Śmierć od trucizny, bezślawna i marna  
 I nadto wczesna... Głębi mego łona  
 Bóg tajemnicze dał zarodu ziarna,  
 Dał samobójczą myśl: ta wykarmiona  
 Rosła jak bujne, głośzące rośliny,  
 Stała się zmysłem duszy, rozkwitała.  
 Czekałem tylko szczęśliwej godziny,  
 A wtenczas dusza, rozwiązana z ciała,  
 Mogłaby skończyć pasmo wyobrażeń  
 Uczuciem dumy i śmiercią bez marzeń.  
 Wtenczas koło mnie stałyby w około  
 Z grobów wezwane dawnych druhów twarze,  
 Z uśmiechem gorzkim odwróciłbym czoło,  
 Niechby widzieli, że śmierć była w czarze;  
 Bo oni niegdyś niedowiarstwa wzrokiem  
 Śledzili we mnie męstwa, nie dostrzegli...  
 I dziś, dziś jeszcze nie wszyscy odiegli.  
 Widzę ją, widzę, tam, z błękitnem okiem,  
 O nie! to szatan ubiera w mgłę ciemną  
 Takie obrazy! Wściekłość mnie porywał



To paż... to ona... martwa... jeśliś żywa?  
 Ja konam! konam! chodź ze mną! chodź ze mną!  
 Paż upadł we krwi. Lambro drżący, błady,  
 Zbył w nim sztyletu, szedł — i niezatarte  
 Stopami krwawe powyciskał ślady,  
 Pot miał na czole, usta w pół otwarte.

XI.

Taką twarz noszą anieli przekleci.  
 Na czole myśli biegające tłumem,  
 Niepowiązane czuciem i rozumem,  
 Zwały się w ciemną niepewność pamięci.  
 Niepomny zbrodni, którą był wykonał,  
 Sennymi słowy trzykroć pazia woła;  
 Paż jeszcze słyżał, podniósł nieco czoła,  
 Westchnął głęboko, chciał mówić i skonał.  
 Lambro spalony truciznami bladnie,  
 Potem się drżący przyczołgał do stoła,  
 Chwycił za czarę, w czarze znalazł na dnie  
 Męty napoju—wypił je i ożył;  
 I sen od powiek na chwilę oddalił,  
 Śmierci przyspieszył, lecz marzeń przysporzył;  
 Jak lampa blaskiem ostatnim się palił.

XII.

Oto mój żywioł, ta ciemność ponura,  
 Już do otchłani myśli moja należy.  
 I nieskończoność, jako ciemna chmura,  
 Świat opłynęła; gdy myśl w nią pobieży,  
 Wraca zbląkana i znów się zamyka  
 W sennych marzeniach, moja nie wróciła...  
 Już nie mam myśli, odbiega mnie—znika.  
 Raz nad świat wzbita, nie jest częścią świata.  
 Zna nieskończoność, znała piekło, żyła.  
 Niech jak zabójca pierworodny brata  
 Leci płomienną naznaczoną bliżną,  
 W małej z początku żywiona iskierce,  
 Kiedy w popioły obróciła serce,  
 W proch się rozpadło dotknięte trucizną...

O jak tu ciężko... poci pod sklepienia  
 Zamknięto kwiaty?... ta woń kwiatów nudzi!...  
 Bo kwiaty nocą jak dawne wspomnienia,  
 Kiedy rozkwitną, zabijają ludzi.  
 Rozbić te okna! rozbić szklane stropy!  
 Czy mi się zdaje? zali w tym wazonie  
 Rosnące róże i heliotropy  
 Podobne z siebie jak krew dają wonie?

Wiele, tłum wspomnień zostawiam po sobie:  
 Sławę... i zbrodni przebieżone stopnie,  
 I krew — o sława! sława! to okropnie  
 Stać jako posąg na ojczyzny grobie.

. . . . .

Wyście mnie wplekli w koło Ixyona,  
 Wyście się po mnie wiele spodziewali:  
 Lecz miałem skute cierpieniem ramiona,  
 I wiecznie w tłumie zanurzony fali  
 Nie mogłem czoła wznieść nad tłum, cierpiałem.  
 Precz, ludzie... dajcie spokojnie mi zasnąć!  
 Ha! i ta lampa chce ze mną zagasnąć,  
 Świeć, blada lampo, kiedy ja się mroczę,  
 Świeć i świeć jutro nad korsarza ciałem...  
 Dotknąłem lampy i całe przezrocze  
 Krwią poplamilem. Tu wrogi być musza...  
 Wpadli na pokład i krew się rozlała.  
 Słyszę nad głową, jak się deski krusza,  
 Jak pierś okrętu rozbijają działa.  
 Chodźcie tu wszyscy, choć mam twarz poblada,  
 To nie od trwogi... Chodźcie wszyscy razem!  
 Jeszcze nad głową powieję żelazem...  
 O jak mi ciemno!... więc wszystko przepadło?  
 Przekleństwo temu, co pomiędzy tłumem  
 Jękiem rozpaczy przeraźliwie wrzasnął,  
 Przekleństwo fali, co z piekielnym szumem  
 Drze się, szczelinę rozwierając krucha.  
 I okręt z głębi łona westchnął glucho...  
 W głąb idę...“ Upadł na dywan i zasnął...

## XIII.

Lampa zagasła. A korsarz otruty  
 Przed śmierci chwilą tonął w sen głęboki...  
 A teraz... słycać tajemnicze kroki,  
 Ktoś przez otwarte cicho drzwi kajuty  
 Wchodzi ostrożnie w krainę męczarni...  
 „Cicho? rzekł, cóż to oboje uśpieni?“  
 Więc nieco tajnej otworzył latarni,  
 Rzucając kołem kilka mdłych promieni,  
 A gdy te biegly po ścianach komnaty,  
 Gdy od zwierciadeł wróciły przezroczy,  
 Widać przychodnia... Pazia nosił szaty,  
 Do zabitego szat podobne krojem,  
 I równie bliski postawą jak strojem;  
 Ale miał czarne, jak noc czarne oczy,  
 I mniej był młody i piękny na twarzy;  
 Bo na niej uśmiech i błądź korsarzy,  
 Jako na miękkim wosku odcisnięte,  
 Świadczą, że bolem przed latami dojrzał;  
 Że miał już serce na czucia zamknięte.  
 Stał, słucał chwilę, potem ku drzwiom spojrział,  
 Chcąc niezgłębioną rzucić tajemnicę,  
 I tak jak ludzie niepewnością chwiani,  
 Znow się odwrócił, z potu otarł lice,  
 I wołał coraz głośnie: „Pan! pan!  
 Już ranek świta... Pani! o na Boga!  
 Uciekaj ze mną, korzostajmy z cieni...  
 Bo teraz jeszcze mgłą pewniejsza droga,  
 I on się zbudzi... korzystajmy z mroku...  
 Choćbyś mi dała twoich sto pierścieni,  
 Za sto pierścieni nie chcę czekać kary,  
 Ja nie wytrzymam nawet Lambra wzroku,  
 Bo on jak człowiek, co się mści bez miary.  
 Pani! odpowiedz... chwil mamy nie wiele...  
 A korsarz... Cóż to? podłoga zroszona,  
 I krew... na martwym spotknąłem się ciele.  
 Lampę odkryję... O Boże! to ona!  
 Sztylet ma w piersiach, to ona—zabita“.  
 Umilkł, tysiączne uczucie nim miota,  
 Martwy z przestraczu, przerażeniem ożył.

Spojrzał przez okno, krzyknął: „świta! świta!“  
 I z obłąkaniem chwycił za wór złota,  
 Wybiegł i rygle za sobą założył.

## XIV.

Bogini nocy przed blaskami świtu  
 Gwiazdy z rozwianych strząsała warkoczy;  
 Deszczem spadały do morza błękitu,  
 Inne blask zorzy płonącej pochłonał.  
 Lambro otworzył mgliste snami oczy;  
 Połową czucia jeszcze we śnie tonął,  
 Połową myśli sen przenikał zdradny,  
 Rozkolysany wśród burzy wrażeń.  
 Lecz boleść była nicią, Aryadny,  
 Po której wyszedł z labiryntu marzeń.  
 A szatan ciemny, co się karmi łzami,  
 Skąpy swych darów żadnych nie uronił;  
 I chwil boleściom ukradzionych snami  
 Większem cierpieniem i bólem dogonił.  
 Skoro w komnaty dzień przeniknął jasny,  
 Lambro krew ujrzał, stał nad martwym ciałem  
 I rzekł: „Sztyletu głowicę poznałem.  
 To jam go zabił, to mój sztylet własny.  
 Boże! czyż w świecie byłem tak spleąany  
 Z tym tłumem ludzi, że nawet samotny  
 Umrzeć nie mogę; ale w tłum wmięszany  
 Konam — i ludzie koło mnie padają  
 Jak oberwany z drzewa liść stokrotny.  
 O! boleści! boleści! umierać ze zgrają,  
 Jak pod gruzami zawałonej ściany!  
 Gdzie nawet śmierci ostatnie westchnienie;  
 Głośnymi jęki ludzi zagłuszone;  
 Gdzie i ostatnie o zmarłym wspomnienie  
 Nie na człowieka, lecz na tłum upada...  
 Wzniosę ten zawój, pióra zakrwawione,  
 Ujrzę twarz pazia czy mściwa i błąda?“

## XV.

Lambro schylony z drżeniem i nieśmiało  
 Zdjął zawój pazia ze strusimi pióry...



I uderzony jak gromem, o mało  
 Nie padł na ziemię, gdy spotkał oczyma  
 Na pół otwartej żrenicy lazury.  
 Upuścił zawój, sztyletu się ima...  
 Potem przypomniał śmierć... sztylet odrzucił...  
 Bo miał na ustach gorycze napoju.  
 I z obłąkaniem odszedł i znów wrócił,  
 I znów rękami od śmierci drżącymi  
 Zdjmował zawój; wtenczas z pod zawoju  
 Włos uwolniony sypał się po ziemi  
 Ze smutnym szmerem, i dokoła twarzy  
 Kładł się w tysiączne pierścienie rozwity.  
 Okropny widok! Ta krew, co się warzy,  
 Co poplamiała jej szat aksamity,  
 Na twarzy smutek i miękka omdlałość  
 I przezroczysta alabastru białość;  
 Kilka uwiedłych kwiatów w martwej dłoni  
 Trzyma na piersiach, a drugą dłoń dała  
 Jak śpiące dziecko za węzłowie skroni,  
 W takiej postawie martwa, jakby spała.

## XVI.

Sily korsarza na pomoc zwołane,  
 W serce wrzucone, z boleścią się łamią.  
 On tak jak ludzie, co przed sobą kłamią  
 Moc wielką duszy, wstydzi się cierpienia.  
 A gdy mu własne serce zlitowane  
 Niosło jątmużnę łez i uzalania,  
 On ją odrzucił, on sercem hartownie  
 Boleści ciała brał i nie wydawał.  
 Ale: po chwili, nowych cierpień nawał  
 Wszystkie mu członki połamał gwałtownie.  
 Straszna to boleść! rwał na czole włosy,  
 Ręką bił w piersi i krwawymi ciosy  
 Rozdzierał w bojach odebrane blizny.  
 Skądże ta rozpacz? oto w głębi łona  
 Uczuł nikaące cierpienie trucizny,  
 I myśl okropna, że siłami ciała  
 Bole zwycięży — trucizny pokona,  
 Ze się wyłamię śmierci — zabijała.

„Tak, rzekł posepny, pochowam ją święcie  
 W grób mój rodzinny, w ciche fal błękity.  
 Sam dałem rozkaz, aby na okręcie  
 Pod tą zasloną pawilonu krwawą  
 Nie przeszła stopa ani cień kobiety...  
 Miałbym pierwszy łamać dane prawo?  
 Mogliby ze mnie uragać niegodnie!  
 Przed nimi trzeba kryć wszystko, prócz zbrodni.“

## XVII.

Otworzył okna kajuty kratowe,  
 Siadł nad cichymi morza zwierciadłami.  
 Morze się lśniło ciemno-lazurowe,  
 Żłociste słońcem, osrebrzone mgłami;  
 I wiatr po żaglach okrętowych szumiał.  
 Korsarz na łonie złożył Idy zwłoki  
 I długo z martwą rozstać się nie umiał.  
 To patrzył w odmet ciemny i głęboki,  
 To na jej lice zwracał smutne oczy;  
 A wiatr mu ranny przesłaniał oblicze  
 Mgłą rozwiewaną jej długich warkoczy;  
 Wtenczas czuł włos w onie tajennicze,  
 I dumał długo cichym wspomnień żalem.  
 Ani go zmarłej twarz razifa zbładła;  
 Na pieć jej niegdyś płonąca koralem  
 Śmierć bledsze barwy, ale piękne kładła.  
 Widząc jej kształty, zda się, że upadła  
 W uściski Lambra, zachwyceniem żywa;  
 I tylko drżąca tuli się do łona,  
 O nadto skore rozstanie lekliwa.  
 Zda się, że szumem morza przerażona,  
 Od grobu lice odwrócone trzyma;  
 I z okiem Lambra wiąże się oczyma,  
 I dłoń mu błędną kładzie na ramiona.  
 O! patrząc na nią, musiał czuciom kłamać,  
 Jeśli ży nie miał na cierpienia nowel  
 Gdy przyszło z objęć martwych się wyłamać,  
 Odrzucić z szyi ręce lilijowe,  
 I twarz odsłonić z wonnej włosów chmury,  
 Przebył męczarnie wszystkie, wszystko przeżył..

Rzucił ją w morze i patrzył ponury,  
 Jak się krąg fali złamanej rozszerzył;  
 Patrzył, jak odmet zraszał się rozbity,  
 A martwe ciało napoły widome,  
 Napół morskimi przykryte błękity,  
 Wzruszonej morza fali się bronilo,  
 Łamiąc się w kształty życiem nieruchome;  
 I utonęło pod morza mogiła.

A Lambro... on był szatanem, czy głazem!  
 Lambro schylony nad takim obrazem  
 Śmiech miał na licach, wesołość na czole.  
 Ten śmiech ustami wydany bladymi,  
 To były trucizn wracające bole,  
 Był to śmiech Lambra — ostatni na ziemi.

XVIII.

Lambro mileżący usiadł na dywanie,  
 Cały się mroczył i bladnął i gasnął.  
 A potem głośno w obie dłonie klasnął.  
 Wnet stary majtek wbiegł na zawołanie.  
 Lambro rzekł: „Majtku, niech ksiądz okrętowy  
 Zapali lampy jak o wielkiem święcie;  
 „I niechaj głośno śpiewa hymn grobowy,  
 „Przy mnogich światłach, w mrocznym kadzidł dymie  
 „Za tych, co mają skonać na okręcie  
 „I co skonali...”

„Panie! jakież imię  
 „Wspomni w modlitwach? czyjeż gaśnie życie?”  
 „Powiesić pazia na masztowym szczycie.  
 „Za niego modły niech wzniesio do Pana.”  
 „Lambro! twój rozkaz spełnić się nie może.  
 „Twój paż gdzieś uszedł i zniknął od rana,  
 „Musiał tajemnie spuścić łódź na morze.  
 „Lecz choćby w Pera ukrywał się wieże,  
 „Choćby się w gmachach zamykał sułtana,  
 „Nakarmię kruki ciała jego ćwiercią.”  
 „To nie... Ksiądz niechaj odmawia pacierzo  
 „Za konających i za zmarłych dusze;

„Teraz ty odejdz... ja sam zostać muszę.”  
 I cicho dodał: „sam jeden ze śmiercią.”

XIX.

Oto na czarnej okrętu banderze .  
 Martwe korsarza spoczywają zwłoki.  
 Majtkowie wyszli na pokład szeroki,  
 I słyhać było szeptane pacierze;  
 Szarawe kadzidl snuły się obłoki,  
 W dymach żółtawe płonęły gromnice.  
 I był to widok pięknnością straszliwy,  
 Gdy majtki patrząc w umarłego lice,  
 Cicho brzęczące zrywali kotwice,  
 I okręt płynął — a Lambro nieżywy  
 Po raz ostatni wędrował przez morze.  
 A skoro trzecie zabłysnęło zorze,  
 Umalowane czerwonymi świty,  
 Do fal rzucili ciało — i zniknęło.  
 I dział trzydzieście głęboko wstchnęło  
 Na bezehowe otchłani błękity.  
 1832.

Przypisy do poematu Lambro.  
 Pieśń pierwsza.

Podobna córce głazowej Tantalą  
 Gdy, etc.

Te cztery wiersze są tłumaczeniem z Antyfony  
 Sofoklesa.

I miej kalemkiar czarny z musselinu,  
 Lub czewrę...

Rodzaj zasłony kobiet tureckich.

Pieśń druga.

W jej szaty lalkę ubrałem słomiana,  
 I tym podstępem omyliłem strażę;  
 Pałnego statku Turcy nie poznali.



W ostatniej wojnie o niepodległość, Grecy często pod tureckie floty puszczali statki palne, napełnione lalkami, czyli tak zwanymi manekinami, aby w Turkach podejrzenia nie wzbudzić. — A łodzie takie miały pozór handlowych statków.

Miał skrzydła u głów, u rąk, u stóp trzecie.

Obraz anioła naśladowany z Milтона.

...to chata Santona.

W Atenach, na gruzach kościoła Jowisza, Santon, derwisz turecki, zbudował chatę.

Korsarz otruty

Przed śmierci chwilą tonął w sen głęboki.

Otruci napojem opium usypiają, lecz przed śmiercią budzą się.

## W SZWAJCARYL

### I.

Odkąd zniknęła jak sen jaki złoty,  
Usycham z żalu, omdleвам z tęsknoty.  
I nie wiem, czemu ta dusza z popiołów  
Nie wylatuje za nią do Aniołów?  
Czemu nie leci za niebieskie szranki  
Do tej zbawionej, i do tej kochanki.

### II.

W szwajcarskich górach jest jedna kaskada,  
Gdzie Aar wody błękitnymi spada.  
Pozwól tam spojrzeć zawróconej głowie.  
Widzisz tę tęczę na burzy w parowie?  
Na mgłach srebrzystych cała się rozwiesza,  
Nie ją nie zburzy, i nie ją nie zmieszają;

A czasem tylko jakie białe jagnię

Przez tęczę idzie na skraju doliny  
Szczypać kwitnące róże i leszczyny;  
Lub jaki gołąb, co wody zapragnie,  
Jakby się blaskiem pochwalić umyślnie,  
Przez tęczę szybko przeleci i błysnie.  
Tam ją ujrzałem! i wnet rozkochany,  
Ze z tęczy wyszła i z potoku piany,  
Wierzyć zacząłem i wierzę do końca:  
Tak jasną była od promieni słońca!  
Tak pełna w sobie anielskiego świtu!  
Tak rozwidniona źrenicą z błękitu!  
Gdy oczy przeszły od stóp do warkoczy,  
To zakochały się w niej moje oczy;  
A za tym zmysłem, co kochać przymusza,  
Poszło i serce, a za sercem dusza.  
I tak się zaczął prędko romans klecić,  
Ze chciałem do niej przez kaskadę leciść;  
Bo się lękałem, że jak widmo blade,  
Nim dusza ze snu obudzona krzyknie,  
Upadnie w przepaść, w tęczę i w kaskadę,  
I roztopi się — i zgaśnie — i zniknie.  
I byłem jak ci, co się we śnie boją,  
Bo jużem kochał, bo już była moja.  
I tak, raz pierwszy spotkałem ją samą  
Pod jasną tęczy różnofarbnej brama;  
Powiew miłości owiał mię uroczy.  
Stałem przed nią i spuściłem oczy.

### III.

Poszedłem za nią przez góry, doliny:  
I szliśmy razem u stóp tej lawiny,  
Gdzie śnieg przybiega aż do stóp człowieka  
Spłaszczoną płetwą, jak delfin olbrzymi;  
Para mu z nozdrza srebrzystego dymi,  
A Rodan z paszczy błękitnej ucieka.  
Pamiętam chwilę... poranek był skwarny.  
Tameśmy szmerem spłoszyły dwie sarny;  
Te, jakby szczęścia ludzkiego świadome,  
Stały blisko, złote, nieruchome,

I utopiły oczu błyskawice  
 W kochanki mojej błękitne źrenice;  
 I długo patrząc, nieruchome obie,  
 Głowy promienne pokładły na sobie:  
 Rzekłem: one się zakochały w tobie!  
 Rzekłem — i za to z ust zamkniętych skromnie  
 Najpierwszy uśmiech jej przyleciał do mnie,  
 Przyleciał szybko i wrócił z podróży,  
 Do swego gniazda, do pereł i róży;  
 A gdy zobaczył, że oczu nie mrużę,  
 Całą jej białą twarz zamienił w różę.  
 A wiecie? ani tak za serce chwyta  
 Rumieniec kwiatu, co świeżo rozkwita;  
 Ani tak oko wędrowca zachwyca,  
 Gór nad-alpejskich śnieżysta dziewica,  
 Kiedy od słońca różane ma lica:  
 Jak ten rumieniec bez wstydu i grzechu,  
 Co się na twarzy urodził z uśmiechu.

## IV.

Odtąd szczęśliwi byliśmy i sami,  
 Płynąc szwajcarskich jezior błękitami;  
 I nie wiem, czy tam była łódź pod nami,  
 Bom z duchy prawie zaczynał się bratać,  
 Chodzić po wodach i po niebie latać,  
 A ona tak mię prowadziła wszędzie!  
 Ach! ona była jak białe łabędzie,  
 Była jeziora błękitnego pania;  
 Płynęła lecać, łódź leciała za nią,  
 Za łodzią jasność szafirowym szlakiem,  
 Za tą jasnością rybek korowody,  
 I wyrzucały się aż do niej z wody:  
 I takimiśmy płynęli orszakami,  
 Uśmiechając się w błękitu krainie.  
 Bo ona była jak wodne boginie:  
 Miała powozy z delfinów, z gołębi,  
 I kryształowe pałace na głębi,  
 I księżycowe korony w noc ciemną...  
 I mogła była, co chce, zrobić ze mną.

Raz, że nie była niebieskim aniołem.  
 Myślałem całe długie pół godziny;  
 Wypowiadałem się potem z tej winy —  
 Słuchajcie! Oto przed Tella kościołem  
 Pierwsza na kamień wyskoczyła płocha,  
 I powiedziała mi w głos, że mnie kocha,  
 I odesłała mnie znów na jezioro;  
 Łódkę mą piersią odtrąciwszy białą...  
 A ja, ach nie wiem, co się ze mną stało!  
 Czy mnie anieli do nieba zabiorą,  
 Czy grzmiące fale jeziora pochłoną,  
 Czy uśmiechami rozrywa się łono,  
 Czy serce jak lód rozegrzany taje,  
 Czy dusza skrzydeł anielskich dostaje,  
 Czyli w nią wstąpił cały anioł złoty?  
 Czyli uśmiechów pełna? czy tęsknoty?  
 Wszystkie uczucia gwałtownymi loty  
 Na serce spadły, jak gołębi chmura  
 Pić łzy i białe w niem obmywać pióra,  
 Aby się czyste rozlecieć po niebie...  
 Wtem zawołała łódź ze mną do siebie.  
 Usłyszała ją łódka i spostrzegła,  
 I sama do niej z błękitu przybiegła.

## VI.

Pod ścianą ze skał i pod wieńcem borów  
 Stoi cichości pełna i kolorów  
 Tella kaplica. Jest próg tam na fali,  
 Gdzieśmy raz pierwszy przez usta zeznali,  
 Ze się już dawno sercami kochamy;  
 A pod tym progiem są na wodzie plamy  
 Od sosen, co się kołyszają na niebie,  
 I od skał cienia, gdzie, mówiąc do siebie,  
 Wbite do wody trzymaliśmy oczy.  
 A pod tym progiem fala tak się toczy,  
 I tak swawolna i taka ruchoma,  
 Ze wzięła w siebie dwa nasze obrazy,  
 I przybliżyła łącząc je rękoma,



Chociaż nas tylko łączyły wyrazy.  
 Ach! fala taka szalona i pusta!  
 Ze połączyła nawet nasze usta,  
 Choć sercem tylko byliśmy złączeni.  
 Fala tak pełna ruchu i promieni,  
 Ze jednym światła objawszy nas kołem,  
 Zmieszczała niby anioła z aniołem.  
 Gdy myślę, boleść dręczy mię niezmierna.  
 Falol niewierna falol — i tak wierna!

## VII.

Raz mię ów anioł zaprowadził złoty  
 Przez jasne łąki do lodowej groty.  
 Tam ją obielił dzień alabastrowy;  
 I mróz na czole mej jasnej królowej  
 Perłami okrył wszystkie polne róże;  
 I ze sklepienia łyzy leciały duże;  
 A we łzach sylfy z jasnością ogromną  
 Deszczem spadały na białą i skromną.  
 Słyszac, że ściany płaczą coraz głośniej,  
 Cała się szatą okryła zazdrośniej,  
 I wszystko oczom ciekawym ukradła,  
 I jeszcze ręce skrzyżowane kładła  
 Na alabastry widne, choć zakryte.

Tak nieruchoma stała, a koło niej  
 Igrały tęcze w blaski rozmaite.  
 Ja wtenczas modlić się zacząłem do niej:

Ave Maria!  
 Jak biała róża, kiedy się rozwija,  
 Róż pokazuje z piersi odemkniętej,  
 Taki rumieniec wyszedł z lica świętej.  
 I zamysłona odwróciła głowę,  
 Palec na ściany kładąc kryształowe,  
 Jak ta, co imię ukochane kręśli,  
 Lub o błękitnych jakich myślach myśli.  
 Wreszcie się do mnie obróciwszy, rzekła:  
 Może za miłość ja pójdę do piekła,  
 I gdzieś w piekielne wprowadzona chłody,  
 Wszczepioną będę w kryształowe lody,  
 Jako ta bańka z powietrza i z tęczy...

Lecz prawda, rzekła, jeżeli się męczysz  
 Ta jasność słońca stworzona promieniem,  
 Którą lód w sobie mrozi i zabija,  
 Można ją z lodu uwolnić westchnieniem...  
 Ave Maria!

## VIII.

Pójdziemy razem na śniegu korony!  
 Pójdziemy razem nad sosnowe bory,  
 Pójdziemy razem, gdzie trzód jęczą dzwony,  
 Gdzie się w tęczone ubiera kolory  
 Jungfrau, i słońce złote ma pod sobą;  
 Gdzie we mgłę jeleni przelatuje skóry;  
 Gdzie orły skrzydeł rozwianych żałoba  
 Rzucają cienie na lecące chmury;  
 O! moja luba, tam pójdziemy z tobą.  
 A jeśli z takiej nie wrócimy góry,  
 Ludzie pomyślą, że nas wzięty duchy  
 I gdzieś w niebieskie uniosły lazury.  
 Ześmy się za gwiazd chwycili łańcuchy  
 I ulecieli z pelejad gromadą.  
 I tylko po nas potok spadnie głuchy,  
 I błyszczącą się też rzuci kaskadą.

## IX.

Achl najszcześliwsi na ziemi nie wiedzą,  
 Gdzie duchy skrzydła na ramionach kładną,  
 Gdzie jak łabędzie zadumane siedzą?  
 Ach! najciekawsi na świecie nie zgadną,  
 W jakim szalecie żyłem z moją miłą;  
 I wiele nam róż do okien świeciło,  
 I wiele wiszeń na około rosto,  
 Ile słowików na wiszniach się niosło:  
 Ile tam w każdą noc miesięczną, bladą  
 Klóteń słowików płaczących z kaskadą;  
 Ile trzód naszych szło na łąkach dzwonić...  
 Ach! tego nawet śpiącym nie odsłonić,

Ani pokazać, ani zawrzeć w słowie...  
Łąka i szalet i wisznie w parowie,  
W takim parowie, że stróż anioł biały  
Rozwijał skrzydła od skały do skały,  
I nakrywał ten cały parów dziki,  
Szalet — i róże — i nas — i słowiki.

X.

Lecz nadto było cyprysowej woni,  
I nadto barwy, co się w różach płoni;  
I chciała nas już miłość ująć zdradą.  
Było to rankiem, pomnę, pod kaskadą:  
Byliśmy niezem niestrwożeni, sami,  
Czytając książkę pełną łez, ze łzami.  
Wtem duch mi jakiś podszepnął do ucha,  
Ażebym na nią z książki przeszedł okiem.  
Była jak anioł, co myśli i słucha;  
I nagle takim przejrzystym obłokiem  
Rumieniec smutny twarz jej umalował,  
Że nie wiem dotąd, jak się wszystko stało,  
Alem ją w usta różane całował,  
I czułem ją tu, na mych rękach, białą,  
Sercem bijącą, brylantową w oczach.  
Wtem nagle, w jasnej kaskady warkoczach  
Coś pomieszało się i coś urzekło;  
Wiatr na nas rzucił całe wodne piekło,  
I z kwiatów spłoszył wilgotnymi mgłami.  
Odtąd jużesmy nie czytali sami.

XI.

Odtąd w uśmiechach była dla mnie rzadsza,  
Smutniejsza, cichsza i bielsza i bladejsza.  
W głębszych się coraz zanurzała cieniach  
I obrywała róże na strumieniach;  
Albo przy kaskad naciągniętej lutni  
Stawała słuchać, tak jak ludzie smutni,  
Z twarzą spuszczoną; lub sama w ustroni  
Ręce na białą zakładała szyję,  
Jak ta, co boi się, albo się broni.

Lub jako gołąb, co w strumieniu pije,  
Do nieba jasnym wzlatywała okiem.  
Już wolnym, sennym błąkała się krokiem,  
I jaskółeczek utraciła zwinność,  
I zadumała ją całą — niewinność.

XII.

Widząc ją taką, chciałem bronić siebie  
I rzekłem: Luba! jak Bóg jest na niebie,  
Z sercaś mi wszystko odpuścić, powinna;  
Lilija jedna wszystkiemu jest winna.  
Otoś ty wczoraj w tem źródle, co bije  
Na jasnej łące, myła twarz i szyję;  
A tam za tobą prosta, niedaleka,  
Jak służebnica, co z rąbkami czeka,  
Lilija jedna cała jasna, w bieli,  
Oczekiwała, aż wyjdiesz z kąpieli.  
Widząc was obie takie białe, w parze,  
Myślałem, że śpiąc o aniołach marzę;  
I drzeć zaczęłam i zdrząłam wszystko,  
I jeden tylko poruszyłem listek,  
Ten listek inne poruszył listeczki,  
I szmer się zrobił — ty wybiegłaś z rzeczki;  
I takeś prędko uciekała złąkła,  
Ześ łonem kwiatu potrafiła pręty;  
I lilijowa wnet łodyga pękła,  
I kwiat z niej upadł twoją piersią ścięty;  
A jam rozważać zaczął z twarzą bladą,  
Jak ten kwiat kruchy, jak ty jesteś zwinna.  
I oto dzisiaj, rankiem, pod kaskadą —  
Nie jam był winien — lecz lilija winna.

XIII.

Płoneła wonna jak kadzidło mirry,  
I widać było, że nie wiedząc płonie.  
Głębszymi oczu stały się szafiry,  
I prędsza fala białości na łonie.  
I dziwnym ogniem rozpalone skronie  
Wczesne zwiędnięcie dawały blawatkom.



Ona z tych była, co się skarżą małkom,  
I skarżyła się gwiazd cichej gromadzie,  
Gdy do snu księżyc niepełny się kładzie,  
Gdy kwiaty szepcą miłośnie do ucha,  
Co zamysłone własnych myśli słucha.

XIV.

Czy ty gdzieś teraz, o miła! z rozpaczą  
Aniołom boskim mówisz rozżalona?  
Jak ci, co mówią, skarżąc się i płaczą,  
Ze była burza gromami czerwona,  
Ze była grotą posępna i ciemna,  
I grocie z kaskad kryształu zastona;  
Ze była trwoga w ciemności tajemna,  
Razem niepamięć jakaś boskiej kary;  
I skarga smutna czystych Nimf, podziemna,  
Ze nas tam samych dzień odstąpił szary,  
I zastał z twarzą ognistą przy twarzy;  
I ptasząt nas tak obudziły gwary.  
Mówisz ty o tem? jak ta, co się skarży?  
O! nie mów ty tak aniołom, niebieska!  
Bo każda twoja brylantowa łezka  
Jednemu będzie z tych jasnych pożarem.  
Bo ja, ach gdybym był także aniołem  
Z rozpromienionem na błękitach czołem,  
I nieskończoność całą miał obszarem,  
I mógł zarządzać gwiazdami wszystkimi:  
Nie chciałbym gwiazdy niebieskimi świecić,  
Lecz tylko rzucić błękity i lecieć,  
I taką, jak ty, mieć moją — na ziemi.

XV.

Z groty ta piękna wyjść nie śmiała sama.  
Słońca się może bała na lazurze,  
Ze za za promienne będzie i za duże,  
Albo, że będzie jako czarna plama.  
Ale na niebie była z tęczy brama,  
Na wyplakanej rozwieszona chmurze.  
Wyszia—i naprzód ją zdziwiły róże,

Że takie były jak wczoraj różowe.  
Zerwała jedną i podniosła głowę,  
I zadziwiła ją ta tęcza ranna,  
Niebios błękitnych przezroczystość szklanna,  
Krażek księżycy tonący w błękitcie.  
Zda się, że nowe ją zdziwiło życie,  
Tak w ciszy czegoś słuchała, tak biegła;  
Aż gdzieś w kryształe jeziora spostrzegła  
Na licu swoim przezroczystą białość,  
Żywszy ust korał, i większą omdlałość,  
I uśmiech pełny tęsknoty, i żalność.  
Więc osłoniła się całą w warkoczu,  
I więcej na mnie nie podniosła oczu.

XVI.

Jest chwila, gdy się ma księżyc pokazać,  
Kiedy się wszystkie słowiki ucisza,  
I wszystkie liście bez szelestu wisza,  
I ciszej źródła po murawach dyszą;  
Jakby ta gwiazda miała coś nakazać,  
I o czem cichem pomówić ze światem,  
Z każdym słowikiem, z listeczkiem i z kwiatem.  
Jest chwila, kiedy ze srebrzystą tęczą  
Wychodzi błądy pierścionek Dyanny;  
Wszystkie się wtenczas słowiki rozjęcza,  
I wszystkie liście na drzewach zabręcza,  
I wszystkie źródła jęk wydają szklanny;  
O takiej chwili, ach! dwa serca płaczą,  
Jeśli coś mają przebaczyć — przebacza;  
Jeżeli o czem zapomnieć — zapomna.  
O takiej chwili z moją panią skromną  
Jużośmy siedli w naszych progach sielskich,  
Już rozmawiali o rzeczach anielskich.

XVII.

Jak śpiewający na niebie skowronek  
Z gór słysząc było pustelnika dzwonek.  
Rzekła raz: „Chodźmy do staruszka celi,  
„Może rozgrzeszy, może rozweseli,

„Dłonie nam zwiąże i kochać ośmieli.“  
 Tak mówiąc, wbiegła do sosnowej chaty,  
 Szybko zamknęła wszystkie okienice,  
 Ażeby na nią nie patrzyły kwiaty;  
 I ustroiwszy się jak gór dziewice,  
 Wybiegła do mnie—myslałem, że padnę!...  
 Ani jej oczy kiedy takie ładne,  
 Ani jej usta takie były świeże.  
 Motyla miała czarnego na głowie,  
 Ten alabastrów od smagłości strzeże;  
 I przeświecony od słońca w połowie,  
 Na czoło rzuca skrzydła cieniu duże;  
 A pod motylem pochowane róże  
 Z pod czarnej gazy patrzyły ciekawe,  
 Na pół zamknięte, świeże, jeszcze łzawe;  
 Wiedząc, że zawsze strzegę serca strony,  
 Złośliwy motyl usiadł przechylony.  
 Myślałem, że mu to skrzydło połamię...  
 Siadł i na lewe przechylił się ramię.  
 I któżby wierzył w przeczucia, co straszą,  
 Gdy wyobraźnia cała szczęściem dumna!  
 Gdy z góry spojrział na dolinę naszą,  
 Szalet się oku wydawał jak trumna,  
 Maleńki, cichy; kiedym spojrział z góry,  
 Nasz ogród z wiszeń jak cmentarz ponury,  
 I niespokojne o nas gołębicę,  
 I zadumano o nas w łąkach trzody,  
 Ziemia smutniejsza, błękitniejsze wody,  
 Zabito śmiercią ówiekiem okienice;  
 Wszystko zaczęło mię straszyć i smucić,  
 Jakbyśmy nigdy nie mieli powrócić.  
 Szedłem posepny i drżący na góry...  
 Jeziora czarne, głązy, śniegi, chmury,  
 Girlandy z orłów na błękitnym lodzie,  
 Słońce czerwone jak krew o zachodzie,  
 Dom pustelnika śniegiem przysypany,  
 I dwa ogromne na straży brytany,  
 Krzyżyk na celi, gdzie siadały gile,  
 Cela, pustelnik stary, księgi w pyłe,  
 Wszystko to dzisiaj już podobne snowi...  
 Pamiętam tylko, że promień zachodu

Cały się na twarz rzucał Chrystusowi,  
 Kiedy na palec jej zimny jak z lodu  
 Kładłem pierścionek . . . . .  
 . . . . .

XVIII.

Gaje! doliny, łąki i strumienie!  
 O nie pytajcie wy mię smutne o nią.  
 Są łzy, co mówić na zawsze zabronią.  
 A kiedy mówię, wpadam w zamyślenie,  
 I widzę jasne błękitne spojrzenie,  
 Co się zaczyna nademną litować,  
 I widzę usta, co mię chcą całować,  
 I drzę—i znów mię ogarną płomienie.  
 I nie wiem, gdzie iść i gdzie oczy schować?  
 I gdzie łzy ukryć? i gdzie być samotnym?  
 I staje błądy i kreszę jej rysy,  
 Lub imię piszę na piasku wilgotnym;  
 Lub błądzę między róże i cyprysy,  
 Jak człowiek, który skarb drogi postrada,  
 Zmysły utracił, i płacząc usiada  
 Tam, kędy urny na grobowcach siedzą,  
 Myśląc, że groby o niej co powiedzą.

XIX.

Jest pod moimi oknami fontanna,  
 Co wiecznie jęczy zapłakany szumem;  
 Jest jedno drzewo, gdzie harfowym tłumem  
 Żyją słowiki; jedna szyba szklanna,  
 Gdzie co noc błąda zaziiera Dyanna,  
 I czoło moje smutnym blaskiem wami.  
 I tak mię budzą zalanego łzami  
 To drzewo, księżyc ten i ta fontanna.  
 I wstaję błądy, przez okno wyzieram,  
 Słuchając różnych płaczów na dolinie.  
 Słowiki jęczą i fontanna płynie,  
 Mówią mi o niej — ja serce otwieram  
 I o śmierć prędką modłę się z rozpaczą,



I schnę, i wiednę — i — ach! nie umieram...  
I co dnia budząc mnie fontanny płaczą.

XX.

Kiedy się myślą w przeszłości zagłębie.  
Nie wiem, jak sobie jej postać malować?  
Czy kiedy przyszła śpiącego całować,  
Jak z rozwartymi skrzydłami gołębie?  
Czy wtenczas kiedy uciekała trwożna?  
Czy gdy na jedną ze mną księgi kartę  
Wbijają oczy błękitne, otwarte,  
Na każde moje spojrzenie ostrożna?  
Czy kiedy wiejskim otoczona dworem  
Chodziła gdyby zakłęta królowa?  
Czy kiedy cicho uśnie pod jaworem?  
Czy kiedy goni? czy kiedy się chowa  
W księżycu blasku biała, lub wieczorem  
Od Alp na śniegu różowych różowa.

XXI.

Skąd pierwsze gwiazdy na niebie zaświecą  
Tam pójdę, aż na ciemnych skał krawędzie.  
Spojrzę w lecące po niebie łabędzie,  
I tam polecę, gdzie one polecą.  
Bo i tu, i tam, za morzem, i wszędzie,  
Gdzie tylko poślę przed sobą myśl biedną,  
Zawsze mi smutno, i wszędzie mi jedno;  
I wszędzie mi źle — i wiem, że źle będzie.  
Więc już nie myślę teraz tylko o tem,  
Gdzie wybrać miejsce na smutek łaskawe,  
Miejsce, gdzie żaden duch nie trać lotem  
O moje serce rozdarte i krwawe;  
Miejsce, gdzie księżyc przyjdzie aż pod ławę,  
Idąc po fali... zaszeleści złotem,  
I zaśkocze tak duszę tajemnie,  
Ze stęskni, ocknie się i wyjdzie ze mnie.

1835.

W A C Ł A W.

Są przedmioty, którychby się pióro poety tknąć  
nie powinno; takim zapewne jest śmierć Wacława, któ-  
rego nam Antoni Malczewski tak cudownymi kolorami  
w poemacie *Marya* odmalował. Jakiś jednak mimowolny  
pociąg, chciałbym go nazwać natchnieniem, zmusił mnie  
do napisania następnego poematu; a od prawdziwych nie  
odstępując podań, starałem się o ile możności zidealizo-  
wać rzecz pełną czarnych mętów i okropności. Może kil-  
ka strof spowiedzi Wacława wyjedną mi u czytelnika  
nieco pobłażającego sądu dla reszty i ogólnego układu  
pisma, którego już ani poprawić ani przemienić nie jestem  
zdolny.

I.

Witaj mi, ziemio stepów gładka, cicha,  
Gdzie kwiat dla Boga kwitnie i usycha;  
Gdzie dwa kurhany na błękitnem niebie  
Przez całe stepy patrzą się na siebie;  
Gdzie przerywają trupy sen grobowy,  
Orłami z sobą prowadząc rozmowy;  
Lub gdy je przyjaźń w mogiłach nie zbliża,  
To krzyż się groźnie pogląda na krzyża,  
I oba drowna niby grożą sobie  
Przez całe stepy zemstą śpiącą w grobie.  
Krzyżowe groźby i poselstwa ptaków  
Lecą przez krwawe doliny bodiaków;  
I czuć w powietrzu, że tu myśli wojna,  
Choć słońce złote, choć ziemia spokojna.  
Bo choć się skończą rycerstwa i waśnie,  
To ziemia mogił tak prędko nie zaśnie,  
Ale w jej sercu wolność się odzywa,  
Kiedy się orzeł gdzie z mogiły zrywa,  
Kiedy zatętni jaki wichur głuchy,  
Gdy zaszeleszczą powojów łańcuchy;  
Albo gdy śmignie jaki złoty sumak,  
Myśli, że biały Puławskiego rumak;  
Albo gdy kosa o kamień zadzwoni,

Myśli, że Sawa jedzie w tysiąc koni.  
Ale już w grobach są ci sławo-kraśni.  
Ziemio kurhanów, nie marz o nich — zaśnij!

## III.

Jeśli pod tobą wolny koń stepowy,  
Omijaj zamek ten i te parowy;  
Niech cię nie wabi ten na zamku czole  
Napis, co błyska od słońca na pole:  
Bo to jest kłamstwo marmurów ohydne,  
Złotem pisane i z daleka widne.  
Uciekaj stepem przez burzanu fale,  
Nie wierz napisom, nie zazieraj w sale,  
Bo tam owionie i męstwo ci zetrze  
Gorsze niż w grobach — zdradziectwa powietrze!  
Gorsze niż dzuma, co zabija ciała!  
Gorsze!... Choć pałac ten wygląda biało,  
Choć za nim widać lipy starożytne,  
Białe kościółki, jeziora błękitne;  
Chociaż łabędzie śpią na tych jeziorach;  
Choć róże stoją w jutrzeńki kolorach;  
Chociaż słowiki mieszkają w topolach,  
A dalej błękit i kłosa na polach:  
Nie wierz zdradzieckiej natury obłudzie,  
Ten zamek pełny, w tym zamku są ludzie!

## IV.

Od czasu jeszcze dawnych Pelopidów,  
Od wygaśnięcia rodziny Atrydów,  
Nigdzie krwi tyle na gmachu kamieniach,  
Nigdzie plam tyle od zbrodni w sumieniach,  
Nigdzie rodziny tak czarnej nie było —  
Tak czarnych prochów pod żadną mogiłą...  
Chciałbym powiedzieć: W Imię Ojca, Duchu!  
Kto tak okropnej powieści wysłucha?

## V.

Choć w zamku gości częstują wspaniale,  
Gospodarz dawno nie schodzi na sale.

Niegdyś w gromadnem widziano go kole,  
Jak trup wśród ludzi, jak upiór przy stole.  
Zimne po sercach przechodziło mrówie,  
Kiedy cò mówił, gdy pił jakie zdrowie;  
A gdy wziął kielich w rękę trupią, siną,  
W kielichu krew się zdawała, nie wino.  
Każdy, co z gości do stołu zasiadał  
Nie znał go prawie, nigdy z nim nie gadał;  
Gdy wszedł, nie wstawał nikt przed tym człowiekiem,  
Choć orderami był srebrny i wiekiem;  
Ani posłane z poselstwem od matki  
Kiedy go w rękę całowały dzieci,  
Jakby przed marą piekielną, szkaradną,  
Stają przed ojcem zaleknione; bladną,  
I uciekają, nie wyrzekłszy słowa,  
Lub kamienieją. Nie twarz to surowa,  
Bo miłą miał twarz ten człowiek z natury;  
Ani wzrok jego dziki i ponury,  
Bo na swe dzieci patrząc łyzy miał w oku;  
Lecz przerażenie z boskiego wyroku  
Wisiało nad nim jako krwawa tęcza;  
A gorzej, wiedział to sam, że odstręcza;  
Że còś pomiędzy nim a światem stoi,  
Czego się sługa, dziecko, słońce boi.  
Więc już od dawna zaniechał z rozpaczą  
Przepraszać serca, które nie przebaczą;  
Ujmować dusze, co chcą nienawidzić;  
A nie mógł nimi pogardzać i szydzić.  
Nawet choć wiedział, że tłumną hołota  
Rzucał się sprośny lud na jego złoto,  
Tak wielką znalazł pokorę w swej winie,  
Że nie pogardził i otworzył skrzynie;  
A wtenczas sercu jego biczem jędy  
Był brzęk liczonych po zamku pieniędzy.

## VI.

Nareszcie uciekł od ludzi i słońca.  
A przy nim tylko, jak anioł obrońca,  
Małeńki, błydy i nierozkwitniony  
Był smutny synek jego pierwszej żony.



To jedno dziecko przy nim czuwa, tleje,  
 Jako różyczka przy cedrze wędnieje.  
 On duszę ojca, gdy w rozpacz upada,  
 Szafirowymi oczkami spowiada;  
 I patrzy że czarny nędzarz nie unika  
 Tak błękitnego grzechów spowiednika,  
 Ale mu z oczek cały błękit świeży  
 Pije oczyma, i wdycha, i wierzy  
 W ostatnią pomoc, w moc dziecka pacierzy.  
 Kiedyś zawczesnym zagrożoną zgonem  
 Dziecinę swoją nazwał Eolionem;  
 Bo myślał, że ten kwiatek biały, kruchy,  
 Wezmą ze złotej kolyseczki duchy  
 I w nieśmiertelne zaniosą ogniska:  
 A więc mu nie dał ludzkiego nazwiska  
 Ale powietrzne, duszy, nie popiołom  
 Imię, łatwiejsze wymówić aniołom.  
 To dziecko jemu zostało przy boku  
 Ze łzą w źrenicy, z promionkami w oku,  
 To czuwa przy nim. Lecz z wyroków Pana  
 Dusza w dziecięciu błędem obłąkana,  
 Smutna, i z ciałkiem niedołężnym zwadna,  
 A w obłąkaniach jak aniołek ładna;  
 Gdy się uśmiecha, zda się, że do nieba;  
 Płacze, to myślisz, że mu tak potrzeba  
 Nad jakąś dawną pamiątką, lub szkoda,  
 Jak zapłakanej wierzbie stać nad wodą.  
 Tylko że ojcu, gdy mu dziecię zbladło,  
 W chorobie dziecka jest zgryzot zwierciadło;  
 Tylko że nieraz jakaś moc grobowa  
 Przekłóństwo ojca kładnie w dziecka słowa;  
 Lub w obłąkano czynności dziecięce  
 Jakieś piekielne mieszają się ręce,  
 I straszne rzeczy czynią dziecka mocą,  
 I dziś, gdy Wacław zasnął, przed północą...

## VII.

Lecz gdzież jest młoda małżonka? Grafini?  
 Czemu nie przy nim? Dawniej niewolnica,

Dziś samowładna w zamku monarchiini;  
 Z kimże to bładzi po świetle księżycyca?  
 Z kimże to słucha śpiewania słowików?  
 Dla kogoż rzuca ucztę, stołowników,  
 Dzieci i męża bezsenne węzglowie?  
 A jednak, mówią, dba o grafa zdrowie,  
 Sama przyprawia mu z lekarstwem czary.  
 Nieraz przy łożu, jak ulotne mary,  
 Staje powiewna z lampą w ręku, błada,  
 Słuchać, co śpiący o niej we śnie gada.  
 A mówią ludzie, że nieraz jej ręka  
 Słucha, czy serce się w chorym nie pęka;  
 Bo takie drgania mu piersi podnoszą,  
 Takie go zimne, straszne poty roszą,  
 Gdy śpi, a patrzy na śpiącego żona,  
 Jakby go anioł śmierci brał w ramiona.  
 Lecz dzisiaj z kimże na wieczornym chłodzie  
 Chodzi ta pani po nglistym ogrodzie?  
 Jeśli zbrodnicza miłość w sercu bije,  
 Ona się z taką miłością nie kryje,  
 Ale otwarcie, z bezwstydem na czole,  
 Kochanka sadza u boku przy stole:  
 Bo ten kochanek nie wybrany w tłumie,  
 Zwycię pochlebia jej skażonej dumie;  
 To jaki książe, to króla powierny:  
 Pies nań nie szczeka, przepuszcza odzwierny,  
 Wszyscy go nawet witają ukłonem;  
 Zamek jest jego łożem; domem, tronem  
 Władą; gdzieindziej podobny do węża,  
 Tu zdrajca panem jest żony i męża.  
 Więc to nie z gachem Dyana grafini  
 Tajemne schadzki ma w ciemnej jaskini,  
 W grocie, co gładkim wyłożona brusem,  
 Szklanej kaskady zamknięta obrusem;  
 Szarfa ta wody leąca z wysoka  
 Nie puści w grotę śledzącego oka,  
 Ani księżycyca, lecz przez nią przeleci,  
 Czarna jaskółka, co w grocie ma dzieci,  
 Ta jedna kryształ skrzydłami rozcina;  
 Na wszystko miłość waży się matczyzna.  
 Lecz noc, jaskółki śpią w gniazdach ukryta,

Lecz ciemność trwożną okryła kobietę;  
Chociaż nie sama, drży jak liść osiny,  
Kiedy się w gniazdach poruszają ptaszyny,  
Gdy woda głośnieję w kaskadzie zakrzyczy.  
A ten powiernik kto? duch tajemniczy?  
Szata go długa w ciemności obiela,  
Na głowie wianek stepowego ziela:  
Na głowie siwem porośniętej runem  
Wiąże się burzan czerwony z piołunem.  
A przed nim kocioł, czary i amfory...  
Ku jakiej sprawie? ku czemu przybory?  
Czy klątwy rzucać, czy palić ofiary?  
Czy zabić kogo piekielnymi czary?  
Z jakim to widmem skandynawskiej Frei  
Grafini dzieło zaczyna Medei?

### VIII.

Zaledwo pani wargę koralową  
Pierwsze i drżące otworzyło słowo,  
O! nieba! leci jasnych światła krocie  
Z pałacu, ciemną aleją, ku grocie,  
I rozsypują się po drzew łańcuchu;  
W ogrodzie pełno krzyku, blasku, ruchu.  
Na cichej wodzie łabędź się poruszył,  
Strzepotał, wody zwierciadlane skruszył,  
Zapienił cały krąg, zbudzony nagle,  
Otworzył wszystkie puchy, pióra, żagle,  
I znów spokojny spogląda wspaniale  
Na rozchodzące się kręgami fale.  
Tak silne serce posępnie się rzuci,  
Kiedy go ze snu jaki grom ocuci,  
Porwie się nagle, tłum spokojny zmięsza;  
I widzi, jak się przerażona rzesza  
Cofa, jak kręgi bladymi ucieka  
Od rażonego nieszczęściem człowieka;  
To wtenczas duma na pomoc przybędzie,  
To wtenczas skrzydła się duszy łabędzie  
Całe rozwina przeciw wichrom losu,  
To wtenczas serce jak z twardego ciosu;  
I tem się nawet chełpi boleść sroga,

Że miała świadkiem walki—tylko Boga.  
I tem się cieszy serce, choćby pękło,  
Ze zamiast podłych zlitować—przelepkło.

### IX.

Ludzie po drzewach szukający wszędzie  
Budzą słowiki i piosną łabędzie.  
Już słycać szmery, już wrzawa szalona,  
Że graf otruty, że cierpi, że kona.  
Wreszcie okropna wieść do groty wpadła:  
Powiernik zaśmiał się, a pani zbladła.  
I znów skościeli oboje na długo.  
Lecz ktoby wtenczas ją widział z tym sługą,  
Ktoby ją widział, kiedy przez kaskadę  
Blaski księżycy ją oblały blade,  
Ktoby w jej usta już nie koralowe  
Ale poblądzie, otwarte, surowe  
Spojrzał i słuchał, gdy tak stała cicha,  
Jak przez te usta serce w niej oddycha;  
Ktoby usłyszał, z jakim dzikim wrzaskiem  
Wybiegła z ludźmi się spotkać i z blaskiem  
I z obwinieniem, co na każdej twarzy  
Przy migającej się pochodni żarzy,  
Ktoby w tej chwili, nie zalane łezką,  
Ale pięknością jasne nadniebieską  
Widział jej oczy, gdy je w gwiazdach trzyma,  
Albo o męża pyta się oczyma;  
Tenby ją całkiem miał nie potępioną:  
Zepsuta była, niewierną—lecz żoną.

### X.

Jedno tam okno na zamkowej sali  
Od czerwonego księżycy się pali.  
To właśnie okno grafowskiej komnaty,  
Jak anioł blaskiem czerwonym skrzydlaty  
Stoi na zamku, patrzy na katusze,  
I czeka, by wziąć z tego ciała duszę.  
U bramy zamku tłum poblądły czeka.  
Na drodze widać konnego człowieka,



Jak czarny szatan z płomykiem na głowie.  
 Otwierać bramy, nim się człek opowie!  
 Bo to nie dyabeł, ani żadna jędrza,  
 To kozak pański konno wiezie księdza.  
 Będziesz pamiętał, ty księżu Prokopie,  
 Jak się kozaczy koń przez jary kopie,  
 Jak parska ogniem, jak daje szczupaka,  
 Choć ma na sobie księdza i kozaka.  
 Hej! hej! skrzypiąca brama się odmyka,  
 Kozak na koniu przywiózł spowiednika;  
 Przeskoczył djaków i bab białych wianek,  
 Wziął go za kaptur i rzucił na ganek.  
 Sam idzie w tłumy, gdzie ponure gwary,  
 Ze ktoś na pana rzucił śmiertne czary.  
 Kto? wszystkie oczy idą ku tej stronie,  
 Gdzie u grafini w oknie lampa płonie.

## XI.

Próżno ksiądz czeka u grafa podwoi;  
 Zamknął się Wacław i ludzi się boi,  
 I z małym synkiem sam na sam się pieści.  
 Widziano pierwsze trucizny boleści,  
 Sam mówił ludziom, że otruty kona,  
 Potem służalców wygnał; nawet żona  
 Wejść się nie waży, gdzie spoczywa chory,  
 Bo sam ode drzwi zasunął zapory;  
 A bramę chyba wyłamać wypada,  
 Jak umrze.—U drzwi słuchają... Graf gada.  
 Czasem się jakiś głossek serafina  
 Niebieską skargą ojcu przypomina;  
 Czasem dwa tylko ciężkie odetchnienia,  
 Jakieś żalosne szmery i westchnienia;  
 I służebników tłum się niecierpliwi,  
 Bo słońce weszło—oni jeszcze żywi.  
 I dzień na straszne zszedł oczekiwaniu,  
 Na skargach ojca, na dziecka płakaniu;  
 I księżyc weszedł, a ci dwaj straszliwi  
 W tajemniczości nocnej jeszcze żywi.  
 Śmierć ich mównymi uczyniła smutnie;  
 Ich głos w zamknięciu, jak dwie zgodne lutnie.

Ci, co słuchali przez grube podwoje,  
 Mówią, że więcej tam głosów niż dwoje.

## XII.

Oddawna wieści są i poszept głuchy,  
 Ze z grafem jakieś są po nocach duchy.  
 Raz go widziano, jak przez zamku cienie  
 Wodził za sobą dwa ciche płomienie,  
 Skrawe, czerwone, piekielne straszyla,  
 Mające oczy i włosy i skrzydła.  
 Ścigany przez nie, wybiegał z komnaty  
 Tylnymi drzwiami na ogród, na kwiaty;  
 I raz go z wody wydobyła zgraja;  
 Było to, mówią, w dzień trzeciego maja.  
 Widziano, jak biegł przez łąkę w zawody,  
 Ognie go, mówią, zagnały do wody.  
 Widziano, jak się topił cały błąd:  
 Skądże ta rozpacz? i te ognio-ślady?  
 Gdy ziemia w nowe kwiaty się ustraja,  
 Gdy wszystko ciche w dzień wiosniany maja?  
 A już to od lat wielu takie rzeczy,  
 Nikt nie przysięgnie i nikt nie zaprzeczy,  
 Wszyscy się boją wierzyć w takie dziwo.  
 W młodości słychać zgrzeszył bardzo krzywo,  
 Dla tego piorun za nim się pomyka,  
 Owiewa skrami, straszy, lecz nie tyka,  
 Tylko grobowym okraży zapachem,  
 Aby go zabić krwią, albo przestraczem.  
 A mówiąc o tem ludzie z twarzą bladą  
 Dodają: człowiek ten przewinił zdradą,  
 I sam się dzisiaj chce karać za zbrodnie,  
 Sam przyzwał piekiel czerwone pochodnie;  
 A kiedy przyjdą i nad łożem staną,  
 On się nakrywa chustą krwią zbrzyganą:  
 W tej chuście niegdyś mu kozacka spisa  
 Podała w nocy sąd na infamisa,  
 Gdy kraj zdradzony już był i rozdarty.  
 Ta chusta i te pergaminu karty

Leżą przy łożu koło puginatu.  
Niech go Bóg broni w rozpaczę od szalu!  
Biada! o biada! gdy przy łożu siedzie  
Śmierci przyczyna i śmierci narzędzie.  
To dość dla serca, co się samo dręczy,  
Widm nie potrzeba, sumienie wyręczy.  
A rzecz straszniejsza! sumienie Waclawa  
Nabyło nawet nad uśpionym prawa;  
On w nocy wstaje i z otwartem okiem  
Po zamku chodzi niesłyszczanym krokiem;  
Czasem pochodnią sobie świeci nocną;  
Oczy otwarte, wyiskrzzone mocno;  
Lecz jakby co się roilo w źrenicy,  
Ani w nich mgnienia, ani błyskawicy;  
Ani się światła bliskiego przelekna;  
A gdy się wpatrza w co—zda się, że pękna.

### XIII.

Znałem ja Grafa Waclawa za młodu —  
Dumny z piękności, z wysokiego rodu;  
Drzewo, co później mogło czekać zimy—  
On tak wyglądał, jak rycerz Solimy,  
Piękny i straszny, kiedy go koń kary  
Niósł do kochanki przez burzanów jary;  
Kiedy na jakie powietrzne wołanie  
Stawał obejrzeć się gdzie na kurhanie;  
Myślałbyś wtenczas, że to anioł stepu  
Pod błękitami niebieskiego sklepu  
Stoi i czeka, aż wichur poruszy  
Na jaką walkę skrzydła jego duszy.  
Cóż się z nim stało? czy to moich powiek  
Mara?—gdzie tamten anioł, rycerz, ozłówek?

### XIV.

Smutny był koniec jego pierwszej żony:  
Dostała wcześniej anielskiej korony  
Zamordowana, utopiona w stawie,  
Gdy na wojennej był Waclaw wyprawie.  
Mówią, że obce pomścili się prawa

Śmierci synowej na ojcu Waclawa.  
Jeżeli tak jest? o! Chryste na męce!  
Jakie w tym rodzie serca, jakie ręce?  
Mówia, że ojciec Graf w turmę zamknięty  
Umarł przed sądem, a drudzy, że ścięty;  
Lecz takiej rzeczy myśl nie wierzy sama,  
Na takim wielkim rodzie taka plama!  
Tak wielka szyja złamana nad gminem?  
Lecz ojcu nie mieć litości nad synem!  
Ale zabójców nasłać na synowę,  
I za pioniądze móc odkupić głowę!  
Gdy nieraz olów ludzki się zagłębia  
W serce orlicy—i za śmierć gołębia.  
Niktże tej śmierci pomścić się nie umie  
Na krwi wysokiej? na wyniosłej dumie?  
Niktże, prócz syna, co za te popioły  
Ojcowi musiał miecz pokazać goły?  
Tak się więc zbrodnia ogniwiami winie,  
Ze ojciec własny widzi wroga w synie;  
Albo umiera syna krwią czerwoną,  
Nie pożegnany i nie przebaczony;  
Albo tak skała syna pierś łabędzią,  
Aby mu nie był czystszy, ani sędzią:  
Aż tam nareszcie stanie pochyłony  
Zdrajca narodu przed zbójcą swej żony;  
Aż znowu wróca pod zwyciężajne prawa,  
I od sprzedajnej głowy wyższa... krwawa.

### XV.

Ale to pewna, że śmiercią tej żony  
Graf Waclaw dziwnie na sercu zmieniony.  
Ponurość ciemne okryła oblicze,  
Serce zamknięte ludziom, tajemnicze,  
Na czole duma. Gdy kto weń uderzył  
Miłością czystą ojczyzny... nie wierzył.  
Na wszystkie echa rozkoszy i jęku  
Serce się jego już pozbyło dźwięku.  
Cóż na cichego, okropnego w łonie.  
Mówią, że myśli o polskiej koronie;  
Króla w nim widzą przyjacielskie oczy,  
Wielkość wyśledza głos fałszyu proroczy:



Jam go opuścił śród tego zamętu  
 Myśląc: i cóż jest twardość dyamentu!  
 I cóż jest wierność grobowi, pamiątkom,  
 W sercu najtwardszem? jakimże to wrątkom  
 Daje się dusza unosić Wacława?  
 Chmurzy się niebo... burza będzie krwawa.  
 Więcej niż Boga ta dusza tajemna  
 Zamyka w sobie... przyszłość będzie ciemna!  
 Bogdajbym nie zgadł! lecz smutna w nim siła,  
 Miłość go tknęła, boleść nie zabiła;  
 Więc jeszcze nadto w nim miłosnej siły  
 A już nikogo kochać... prócz mogiły.  
 O! kraj nieszczęsny, co jak spadkobierca  
 Po żonie weźmie dar strategożerca.  
 Ludul przeżegnaj tę marę złowrogą!  
 Ona na scenę świata wchodzi z trwogą;  
 Myśli, że anioł ją rzucił obrończy,  
 Nieszczęściem zaczął... a piorunem skończy.

## XVI.

A dziś... już koniec! Do Wacława gmachu  
 Weszła posepna królowa przestachu.  
 Czy go kto otruł, czy struła zgryzota...  
 Kona, a przy nim synek, róża złota,  
 Gwiazdeczka ranna, także więdnie, gaśnie.  
 A w zamku bójka, kradzieże i waśnie.  
 Ten bierze sprzęty, ten ściany odziera;  
 Zamek się niszczy, pan zamku umiera.  
 Gdzie żona?... Ona w najciemniejszej sali  
 Brylanty chowa i papiery pali;  
 Nie sama... Greczyn w Arnauta stroju  
 Leży na złotem węgłowie w pokoju;  
 Jak sułtan jaki wydaje rozkazy,  
 A nie powtarza wydanych dwa razy,  
 Bo go ta piękna słucha, myśl zgadywa,  
 I całuje go w ręce... nieszczęśliwa!

## XVII.

„Dyano!“ Przyszła, stanęła w pokorze—  
 „Zrzuć teraz, piękna, te ślubne obroże,

„Wypogódź teraz czoło lodowate.  
 „Lubię tę chłopkę, tę polską Hekate,  
 „A skoro tylko zablyśnie Fingary,  
 „Sam pójdę patrzeć jak zamawia czary,  
 „I śmierć posyła ludziom z ciemnej groty.“

„O! Antynoc, już czuję zgryzoty,  
 „A przecież śmierci męża jam niewinna.  
 „Ona to! ona, ta kobieta gminna  
 „Musiała jakieś zemsty niepowszednie,  
 „Lub spełniać jakie chłopskie przepowiednie;  
 „A gdy ja chciałam, by ta wiedźma z piekła  
 „Czarę miłosnem zaklęciem urzekła:  
 „Ona... o! srogi i okropny błędzie!...  
 „I może on mię trupem kochać będzie,  
 „I z grobu przyjdzie po miłość — umarły.“  
 Tu się powoli drzwi sali otwarły.  
 Struchleli nagle oba kochankowie,  
 Wszedł śpiący, z szmatą skrwawioną na głowie.

## XVIII.

Kto go tak ubrał? Nieraz synek mały,  
 Kiedy na ojca padał księżyc biały,  
 Widząc, jak w świetle twarz się Grafa mroczy,  
 Dwie białe róże kładł ojcu na oczy:  
 Lub w obłąkaniu (o! jasne i wdzięczne  
 Dziecka przysługi!) promienie miesięczne  
 Od ojca wzroku brał na swoje lica,  
 I tak zesmutniał cały od księżycza.  
 A dziś... okropność! miałzby Wacława?...  
 Przy łożu chustka ta leżała krwawa...  
 Miałzby synek ten łachman grobowy,  
 Może z anioła ciemnego namowy,  
 Na głowę ojcu?... o nie! ta czerwona  
 Chusta nie była w ręku Eoliona.  
 O! nie... przysięgam święci aniołowie!  
 Syn nie położył mu tej krwi na głowie.  
 Bo mniej straszliwa byłaby ofiara,  
 Gdyby ojczyzny samej przyszła mara  
 Zajrzeć w lekarstwo zaprawne piołunem,

I zdrajcę takim nakryła całunem;  
Aby raz jeszcze, nim go Bóg obudzi,  
Czerwono wrył się w pamięci u ludzi.

XIX.

Cóż to? czy serce w tej kobiecie pękło?  
O marmur czoło uderzyło, jętko,  
Kosć zadzwoniła gdy czołem upadła  
Przed same nogi groźnego widziadła.  
I dziwnie... zadrżał, oczyma nie mignął,  
Lecz cały zadrżał i cały się wzdrygnął,  
I stanął chwilę we śnie, zadziwiony,  
Jakby usłyszał skąd o śmierci żony.  
Lecz chwilę tylko chwiał się jak na szali  
I nie obudził się... i poszedł dalej.

XX.

Sen to, czy mara jaka niezabawiona?  
Krzyczą po zamku, że Grafini kona.  
Nie dowiedzieć się z czego u Greczyna,  
Krew w nim zastygła, zimny jak gadzina;  
W pochodni światło obłąkany patrzy,  
Chłodny jak kamień, od marmuru bladejszy;  
Grafini kona... mówią... on nie słyszy.  
Złękli się ludzie jego trupiej ciszy,  
Tracają... milczy jak widmo zakłète,  
Usta ma drżące, zęby mocno ściète;  
Wzięli, zimnego zanieśli na łożo.  
Co się w tym zamku stało? Wielki Boże!  
Tu śmierć nie czeka zwyczajnej kolei:  
Grafini, mówią, była przy nadziei.  
Wszyscy widzieli i tłum cały pyta,  
Czy jeszcze żyje, czy z dzieckiem zabita.

XXI.

Patrzaj! tam słońce nad dniewprowe skały  
Wyrzuca świetne brylantowe strzały.  
Kwiaty ze łzami się podnoszą wdzięczne,

Tam w błękit czoło chowa się miesięczne;  
Sarneczki złote na kurhany skaczą,  
Róże się polne otwierają, płaczą,  
Orzeł na krzyżu z rosy skrzydła trzepie.  
Jaki spokojny wschód słońca na stepie!  
Tylkoż w tym zamku złote słońce budzi  
Z przerażonego snu pobladłych ludzi!  
Tylkoż w tym zamku otworzą się oczy,  
Które przed nocą mgła śmierci zamroczy!  
Na cóż więc było na ten świat przychodzić,  
Cierpieć, miłować, nienawidzić, szkodzić:  
Ażeby wreszcie słońce dawno znane  
Weszło... ostatnie... i nie zapłakane.

XXII.

Graf Wacław woła. Wybito podwoje,  
Wchodzą. Czy trupów powalonych dwoje?  
Graf Wacław, przy nim synaczek maleńki...  
Zbledli... Graf woła księdza i trumienki...  
Wyszli; pojechał kozak do stolarza.  
Do Grafy księdza wzięto od ołtarza.  
Ksiądz ten pocieszać umiał nieszczęśliwe;  
Spokojne lice i włosy miał siwe.  
Obudził ojca, wziął go pod ramiona,  
Postawił, krzyż mu przycisnął do łona,  
Na złote słońce obrócił go twarzą,  
Na róże, co się pod oknami żarzą;  
Słońce i kwiaty czy boską mu chwałę,  
Czyli dzieciątko to przypomną małe.  
Dobrze, bo przerwą posępne rozpaczę,  
Bo może westchnie, przemówi, zapłacze?  
Nie, stoi martwy, twarz mu się nie mieni:  
Tak w brylantowem powietrzu jesieni  
Stoją bezlistne drzewa w szronu szacie,  
I zadumane jak po jakiej stracie.  
I przyszli ludzie z gotową trumionką;  
Ksiądz się obrócił i znak im dał ręką,  
I wzięli trupka, po cichu wynieśli.  
Ojciec nie słyszał tych ludzi, a jeśli  
Słyszał, to udał dziwną licem chłodność.



Ostatnią dumę w nieszczęściu — łagodność.  
I postradawszy tę dziecinę drogą,  
Już nie zapytał się o nią nikogo.  
I tak był długo bez myśli, bez uczucia,  
Jak trup, nim dzieło zacznie się zepsucia.  
Ksiądz złożył ręce na piersiach i czeka  
Na smutną spowiedź grzesznego człowieka.

## XXIII

Usiadł... ksiądz słucha... on usty drżącymi:

„Księżę! skończyłem już wszystko na ziemi.  
„Patrzaj! czy widzisz ten komin i tygłę?  
„Bóg mię ukarał srogo, niedościgle;  
„Wiem, co w tej czarze było — o! anioły!  
„Ogień miłosny i ludzkie popioły.  
„Wypiłem z moim synkiem przez połowę  
„Co? może ojców mych resztki grobowe?  
„Strasznie pomyśleć, kto napój przyprawił,  
„Co mię otruło, jaki się duch zjawił,  
„Aby mi dzisiaj po nocy powiedział,  
„O czem grobowiec dotąd tylko wiedział.  
„Cóż to za zemsta? jacy to nieczuli,  
„Co zdrajcę prochem antenatów struli;  
„Tym czystym prochem zdradzonym nিকczemnie,  
„Co się trucizną stał, gdy wstąpił we mnie.  
„A jakąż to myśl mieli ci mściciele  
„Uśpione uczucia budzić w mojem ciebie,  
„Żyły nalewać znowu krwią namiętą,  
„Zbudzić to serce, gdzie zgryzoty piętno.  
„Wiedzieliż oni, co ogień poruszy  
„W czarnem sumieniu, w pokalanej duszy?  
„Jaka rozogni się w krwi mojej zgniółość?  
„Co wyjdzie na jaw? — zaprawdę nie miłość!  
„Ale zgryzotę zbudzili i pychę:  
„Przekłęci! serce już tak spało ciche!  
„Już tak popiołem i pleśnią nakryte,  
„Już tak spokojne! już takie zabite!  
„A teraz znowu krwią nalane wściekłą;  
„Bolesć w nim, burza, pioruny i piekło:  
„Wszystko, co ludzi przerażało trwogą,

„Ale nie miłość — co kochać? i kogo?  
„Ach! gdyby nawet z grobu wywołani,  
„Gdyby ta nawet pierwsza moja pani,  
„Ta najkochańsza, najśłodsza, umarła  
„Wstała, to serce by moje rozdarła;  
„Płakałbym może i z cierpięć się skarżył,  
„Alebym kochać już nie mógł, nie ważył;  
„Bo na to trzeba jaśniejszej godziny  
„Niż starość ludzka, pełna krwi i winy,  
„Co jako skrawy chmurny zachód słońca,  
„Otwiera niebo bez Boga, bez końca.

## XXIV.

„Księżę, są o mnie haniebne powieści,  
„Nie wierz im wszystkim. Bez sławy, bez cześci,  
„Nie jestem takim jak ludzie niewinni;  
„Ależ ja więcej cierpiałem niż inni,  
„Ale ja większe miałem serce w sobie  
„Do nakarmienia... Tam małżonka w grobie,  
„Tam ojca sądzą mojego, o! zgroza!  
„Na śmierć haniebna, na karę powroza.  
„Mój teść otrzymał wyrok nie ojczysty...  
„Mój ojciec, mój ród dawny, dumny, czysty,  
„Wszystko to jedna godzina obali!  
„Dzisiaj to wszystko ważyłbym na szali,  
„Dzisiaj bym wołał o! Boże! przed gminem  
„Powieszzonego się nazywać synem;  
„Lecz wtenczas! z hańbą grożone zameściami,  
„Mój ojciec, mój ród, moje imię!... Szczęściem  
„Mój ojciec umarł, tak jak był powinienu...  
„(Zemuś ty, księżę, zadrzał? jam nie winien...  
„Ze mię widziano tej nocy przy turmie  
„W księżycowego wichru dzikim szturmie?  
„Na zapienionym żem uciokał koniu,  
„Żem pędził z głuchym tętentem po błoniu,  
„Ze ojca mego we krwi znalaziono  
„Naza jutrz... księżę! rozedrzyj mi łono  
„I obacz serce, nim pójdę do trumny,  
„Bo mówię prawdę, lecz przysięg, za dumny.

## XXV.

„Jestem niewinien, ale nie wiem czemu,  
 „W pamięci jestem podobny winnemu.  
 „Bo wyznam tobie, żeś tej śmierci żądał,  
 „Nawet spodziewał się, czekał, wyglądał;  
 „Bo i wieść o niej chwyciłem łakomą  
 „Myśla, lecz zimno, jak rzecz już wiadoma.  
 „Coś we krwi miałem, coś w myśli ustrzegło,  
 „Co mi o śmierci tej pierwszej przysięgło.  
 „To kiedy przyszli zwiastować mi smutni  
 „Ludzie, co chcieli męczyć i okrutni,  
 „Lubią posępnych słów oglądać skutek:  
 „Wzgardziłem dumnie pokazać im smutek;  
 „Lecz pokazałem lico zimne, szczerze,  
 „Już podniesione nad zwyczajną sferę;  
 „Już w tej krainie cichej, wewnętrznej burzy,  
 „Gdzie nawet czoła śmierć ojca nie chmurzy,  
 „Ale przechodzi wszystko ziemskie, mija —  
 „Jady nie trują i miecz nie zabija.  
 „Pokazałem im tę niezmienną czoła,  
 „Które zmroziło dotknięcie aniola.  
 „Wytłómaczyli to ludzie inaczej,  
 „Ten marmur bólu, tę ciszę rozpaczy.

## XXVI.

„Ty wiesz, że dumni nieszczęściem nie mogą  
 „Za innych śladem iść tą samą drogą.  
 „A gdy się duma z nieszczęścia wylegnie,  
 „To i Bóg czoła takiego nie sięgnie,  
 „To nawet wiara nie pochyli głowy:  
 „A cóż dopiero piorun, miecz, okowy,  
 „A nawet ludzkie przekleństwo i wzgarda:  
 „Tak była ciemna, taka była harda  
 „Duma w tem sercu. Na co mnie przywiódła,  
 „Ty wiesz; lecz duszy nie sądz, bo nie podła.  
 „Jam się nie rzucił jak koń do zawodu,  
 „Ja nie stanąłem przeciwko narodu,  
 „A gdym się oprzeć musiał w rzeczy ciągu,  
 „To się na wielkim oparłem posagu.

„I nie szukałbym był podpory wroga,  
 „Gdybym większego znalazł w sercu — Boga.

## XXVII.

„Nie uniewinniam ja siebie o! księżel!  
 „Jakie mię gryzły tu w tej piersi węże,  
 „Jakie po nocach walki obłąkane  
 „Z pamięcią, duma, zaczęte, wytrwane;  
 „Aż sumieniowi uczyniłem zadość:  
 „Swiadczą te oczy, to czoło, ta bladeść.  
 „O! trzeba było siadać nad mem łóżem,  
 „Gdy we śnie serce mi coś pruło nożem;  
 „Gdy się budziłem w noc bezksiężycową  
 „W ciemności, ze krwi piorunem nad głową,  
 „Albo widm okiem do łoża przybity,  
 „Zimny, i łzami i potem okryty,  
 „Nie wiedząc, czemu serce drży boleśnie.  
 „Mówią, żeś chodził po pałacu we śnie,  
 „Nie wiem; lecz nieraz, gdy sen ciężki spadał,  
 „Możem wstał, chodził, płakał, jęczał, gadał,  
 „Możem z krwi rękę o rękę ocierał,  
 „Możem zabijał i trumny otwierał,  
 „Możem się dzielił z kim jaką mogiłą,  
 „Nie wiem: bo o tem mi się wszystkiem śniło.  
 „I nawet dzisiaj na mnie krew czerwona,  
 „Na głowie... Gdzie jest moja druga żona?

## XXVIII.

„Stój! stój! Nie szukaj tej kobiety, ojczu.  
 „Od innych ciosy okropne, zabójcze,  
 „Lecz od niej gorsze ja rany poniosłem.  
 „Ona zrobiła, że śmierć kraju zniosłem.  
 „Anioł piękności i wróg nieodstępny,  
 „Stała, gdy z hańbą walczyłem posępny,  
 „Com cierpiał w sobie i com czuł, nie czuła,  
 „Co w sercu mojem zmartwychwstało, struła,  
 „Aż przyszło wreszcie, że dziś, jedza blada...  
 „Lecz z tego niechaj ona się spowiada,  
 „To na jej sercu, to je kiedyś zrani.



„Patrz! ja ten ogród zasadziłem dla niej,  
 „Te drzewa, łąki, tam niby w obłędzie  
 „Strumienie i na błękitach łabędzie,  
 „I ta z marmuru Karary łązienka,  
 „To dla niej... Patrzę, i serce mi pęka;  
 „Bo to zostanie po mnie wszystko — długo...  
 „O! gdybym to mógł jaką krwawą strugą  
 „Zalać i zniszczyć i duszę wyzionąć,  
 „I z zamkiem i z nią i z wszystkim utonąć;  
 „Zostawić gruzy leżące na pował,  
 „Którychby człowiek nie znał, nie żałował,  
 „Nie myślał o mnie, tu błędząc, nie gadał;  
 „Ze tutaj zdrajca chodził, dumiał, siadał,  
 „Tu się śmiał z Boga, a tutaj łyż ronił,  
 „A tu się w grocie kaskadą zasłonił,  
 „Bojąc się słońca, co tę ziemię złoci,  
 „I żył jak węże w zimnie i w wilgoci.!

## XXXI.

„Obróć tu, księżo, twe łzawe oblicze.  
 „Leż ja w życiu chwil okropnych liczę!  
 „Słuchaj, po śmierci kraju, już zhańbiony,  
 „Dom odwiedzałem mojej pierwszej żony.  
 „O! co ja czułem, gdy lip poczet stary  
 „Zaczął nademną swoje smutne gwary,  
 „Kiedy się miesiąc w liść zabłąkał szumny...  
 „Ja, co tam żyłem młody, jasny, dumny,  
 „Z nią razem, ojczel! Ja, co w tej krainie  
 „Myślałem niegdyś, że młodość nie minie;  
 „Wchodzę... trzy razy wspomniałem o Bogu,  
 „Trzy razy, błądy, przejść nie mogłem progę.  
 „Przeszedłem wreszcie — w komnatach nikogo...  
 „Ściany się zdały napełnione trwoga,  
 „Ze mnie tam widzą napełnione w ciemności;  
 „Ale w powietrzu jakiś szmer litości,  
 „I coś szeptało: *nie płacz!* z każdej cegły;  
 „A mnie ogromne łyż po twarzy biegły.  
 „Na cóż to przyszedł ów Waclaw wyniosły,  
 „Chwasty go same w tym gmachu przerosły.  
 „Sam, o! bawdajbym był sam, o! zhańbienie!

„Starzec wychodzi w księżycy promienie,  
 „Poznaję, mój teść... przy niepewnym świetle  
 „Widzę, że w ręku ma jakieś zawicie:  
 „Twarz jego dzika, okropna, surowa;  
 „Rozwija, patrzę — ojca mego głowa!...  
 „Po śmierci zemsty bezczelnej dokazał,  
 „Wyjął z mogiły trupa i ściąć kazał.

## XXXII.

„To tak mi starzec zwiędłe serce kruszy,  
 „To tak anielstwo wypędzono z duszy,  
 „To tak myśleli, że mię zdeptać mogą;  
 „Aż się od hańby obroniłem — trwoga...  
 „Lecz nie pomogło... bo jak od zwierciadła  
 „Od ludzi trwoga ta na mnie upadła,  
 „Bo wyschły jak trup, po uczuć pogrzebie,  
 „Jąłem się lękać nie Boga, lecz siebie.  
 „Więc niech się skończy ten los, co mi cięży,  
 „Niech w nieskończoność dusza się rozpreży,  
 „Wszystko straszliwe, co się w serce ciśnie,  
 „Niech się jak piorun wyrwie i rozbłyśnie.  
 „Niechaj część każda pokalanej duszy  
 „Dozna właściwych bólów i katuszy;  
 „Lecz niechaj wszystko to w jednym mordercu  
 „Zamknięte, w jednym nie gryzie się sercu.  
 „O! były chwile okropne na świecie!  
 „I ta noc!... Księżo, pociesz ty mnie przecie,  
 „Czy ty łyż tylko masz dla mnie pacierzem?  
 „Dla mnie, co stoję nad śmierci wybrzeżem,  
 „Co tu widziałem pełną tajemnicy  
 „Śmierć w synka mego błękitnej źrenicy.  
 „Okropność! jego usteczka różane,  
 „Miłością jakąś obłąkane, pjane,  
 „Z ognia oddechem, z lutniowymi gwary,  
 „Pocałunkami tu goniły mary.  
 „Widziałem moje sny młodości złote,  
 „Zachwyty, miłość, niepokój, tęsknotę,  
 „Wydane dziecka niewinnem obliczem,  
 „Lecz on kochał nic, on tęsknił za niczem,

„A jednak tęsknił i kochał. Widziałem,  
 „Jak się w coś wpatrzył z obłąkania szalem;  
 „Myślałem... biedny! czego się on męczy?  
 „Łabędź w jeziora zakochał się tęczy,  
 „Umarł, nim zgasła, nie doczekał nocy,  
 „Lecz ile było w nim ognia i mocy!  
 „Jakie wyrazy tęskne, smutne, śliczne,  
 „Długo echowe i melancholiczne  
 „Z ust mu jęczały! Była jedna chwila...  
 „Myślałem, że mu skrzydełka motyla  
 „Z ramion wyrosną, że główka zaświeci  
 „Ogniem niebieskim, i w niebo uleci;  
 „Bo na paluszkach wstał, rosnał w człowieka;  
 „Myślałem, że już odemnie ucieka...  
 „Wrócił... przy nogach mi go ból pokonał,  
 „W godzinie jednej kochał, cierpiał, skonał.  
 „O! cud okropny!—co—iskrę słoneczną—  
 „W serduszkach dziecka zamknął miłość wieczną.  
 „To, co ja dotąd w mojem sercu mieszcze,  
 „To go zabiło... a ja cierpię jeszcze!  
 „I jeszcze kocham i widzę to jawniej  
 „W sercu, przed śmiercią, że kocham jak dawniej.  
 „Tuł z krzyżem, księżel tu stawaj u czoła!  
 „Niechaj myśl moja tych snów nie wywoła,  
 „Niech nie przychodzi tu jej cień bladawy...  
 „Przyszła!... tam za nią stoi ojciec krwawy,  
 „Włos jego siwy... ot to męki moje  
 „Ta para, ludzi tych w powietrzu dwoje.  
 „A jednak twarze to może jedyne,  
 „Co odpuszczają mi hańbę i winę,  
 „Co, widząc dolą znękanego twarą,  
 „Jak inni ludzie nie patrzą ze wzgardą.  
 „Maryo! nie idź za księżyc się chować,  
 „Dobrze, żeś przyszła się tu ulitować,  
 „Dobrze, żeś mi się duchem pokazała  
 „Taka posępna i cicha i biała,  
 „Jak gdyby za mną w mogile tęskniąca.  
 „Maryo! czekaj zachodu miesiąca,  
 „Pójdziemy razem... gdzie?... ja nie wiem.—Księżo,  
 „Wkrótce me ciało już ziemię zależe,  
 „Na długie słowa już mi braknie czasu;

„Każ uszyć nową jej suknię z atlasu,  
 „Każ włożyć wianek z róż świeżych uwity,  
 „Niech ją obmyją, ubiorą.. kobiety...  
 „Pamiętaj... trumna to od wejścia czwarta...  
 „Patrz, jak ta szata już na niej podarta...  
 „Czy dobrze?... zrób to, nim promienie świtu...  
 „Patrz! uśmiechnęła się na to z błękitu.

## XXXIII.

„Nie mów nikomu o mnie, słuگو boży,  
 „Niech mój grobowiec ludzi długo trwoży.  
 „Weź i tę chustę... choć krwią powalana,  
 „Możesz ją złożyć przed ołtarzem Pana,  
 „Albo... Dla czegoś drgnął przed tym rozkazem?  
 „Poważ tę chustę przed Panny obrazem,  
 „Musi być święta ta krew, co ją broczy,  
 „Bo mi ją kiedyś naród rzucił w oczy.  
 „Więc to męczeństwo pobladłego czoła,  
 „To mój ostatni jest dar dla kościoła.  
 „I jam coś ciernia czuł w mojej rozpaczce,  
 „Może Bóg wspomni na to i przebaczy.  
 „Żalu mojego najlepszą jest próbą  
 „To upodlenie się moje... przed sobą.  
 „Co będzie z moim duchem nad mogiłą?  
 „Pewnie nie gorzej jak to, co już było.  
 „W dumie mej jeszcze przynajmniej znachodzę,  
 „Że mię przed śmiercią broni uledez trwodze.  
 „Gdy przy tem łożu nie, tylko rozpaczce,  
 „Gdyby mniej dumny, płakałbym... nie płaczę;  
 „Lecz coś jest we mnie, gdy w grób muszę wchodzić,  
 „Z czemby się żadne ży nie mogły zgodzić:  
 „Wściekłość na siebie, żar, co się nie studzi,  
 „A nawet, księżel jakiś żal do ludzi;  
 „Jak gdyby oni byli winni z dawna,  
 „Że się krew we mnie zaczerniła sławna.  
 „Lecz nie... i myśl ta nie może pocieszyć.—  
 „To wszystko... Księżo, czy śmiesz mię rozgrzeszyć?  
 „Olej, co czyni w Bogu śmierć wesołą,  
 „Czy się odważysz lać na zdrajcy czoło?  
 „Jam nie żałował i nie nie naprawił,  
 „Kraj jeszcze we krwi... a jam go zakrwawił;



„I długo będzie ta krew po mnie płynąć,  
 „Tysiące walczyć i tysiące ginąć;  
 „Po mnie nieszczęścia, więzienia i wojny...  
 „I mógłżebym ja w grobie spać spokojny?  
 „O! nie! nadzieja jest szaleństwem dla mnie...  
 „A jednak... starcze ty! módl się ty za mnie!“

## XXXIV.

Graf Waclaw skonał. O! domysłów płonność  
 Na lice wyszła trucizny zieloność.  
 Ale krew jego już dawno zopsuta:  
 Ciągła samotność, łzy, wzgarda, pokuta,  
 To nieraz także te trucizny duszy  
 Wyjdą na ciało zwiędłe od katuszy,  
 I nieraz lice trupowi odmienia,  
 Połamią, poskrzają, zsinia, pozielenia:  
 Więc może i te splamienia Waclawa  
 Nie z gwałtu poszły, lecz z natury prawa:  
 Lepiej tak wierzyć, niż oskarżać ludzi.  
 Niech się podstępna ciekawość nie trudzi;  
 Gdy ziemia z siebie rzecz przeklętą zrzuca,  
 Niechaj spokojność w tłum zmieszany wróci.  
 Lecz nie, ten zamek wre skargą i gwarem.  
 Domysły rosną z niepokojem, swarem:  
 Mówią, że pani chciała ukryć winę,  
 Mówią, że miała otrucia przyczynę;  
 Jaka? nie można wierzyć w takie baśnie.  
 Miałaby otruć małżonka — a właśnie  
 Zadatek nowej miłości i wiary  
 W jej łonie — po cóż przy kołysce mary?

## XXXV.

Po ukraińskich stepach syczą żmije,  
 Pogrzeb się czarny z pochodniami wije,  
 A za pogrzebem groźny wichur wyje.  
 Smutno, posępnie przez kurhany płynie  
 Pogrzeb możnego pana w Ukrainie.  
 Z każdej mogiły ognista kolumna  
 Wytryska w niebo, gdy nadchodzi trumna.

Już przemieła, a jeszcze czerwono  
 Wszystkie kurhany w Ukrainie płoną  
 I rozmawiają cicho o pogrzebie.  
 Gwar na tym stepie, a cisza na niebie.  
 W ziemi grobowej głucha trupów wrzawa,  
 Bo między nimi stanął trup Waclawa.

## XXXVII.

I znów na zamku jasnych światel krocie,  
 Księżyc w ogrodach, szum kaskady w grocie;  
 I znów tam cicho, i kaskada grzmiąca  
 Znowu się srebrzy na blasku miesiąca.  
 Mówią, że łabędź i róża czerwona  
 Szepcą w powietrzu imię Eoliona,  
 Gdy wszystko ścichnie wieczorna godzina,  
 Gdy róże płaczą i łabędzie płyną.  
 A o dzieciątku tem z twarzyczą ducha  
 Została jakaś ciemna powieść, głucha.  
 Mówią, że raz go widziano w tej grocie  
 Całego w gwiazdach, w promienistym złocie;  
 Duchy powietrzne za tęczową szarfę  
 Przyniosły jemu zapaloną harfę;  
 Usiadł... do ognia strun przybliżył ręki:  
 A pierwsze z harfy westchnienia i dźwięki  
 Zwołały wszystkie łabędzie z ogrodu;

. . . . .  
 . . . . .  
 . . . . .  
 Zrobiły szelest w tym łabędzi tłumie;  
 A gdy śpiewaka pieśń i tony rosły,  
 Wszystkie się razem łabędzie podniosły  
 I poleciały płaczącym orszakiem  
 W niebo gwiazdziste, z harfą, ze śpiewakiem,  
 I znikły, długo widziane na górze,  
 Jak girlandami spięte białe róże,  
 Ulatujące w niebieskie krainy  
 Dosłuchać harfy tej, i tej dziecińcy.  
 Nie wiem, czy wierzyć, lecz cudy są wszędzie;  
 I odtąd znikły w ogrodach łabędzie

I szafirowych wód nie krają Ionom,  
 Bo poleciały wszystkie z Eolionem.  
 A Bóg nam wieszczów udzielić nie raczy,  
 Odkąd zabrakło już białych słuchaczy.  
 1836.

### OJCIEC ZADZUMIONYCH W EL-ARISH.

Dla objaśnienia następnego poematu, potrzeba mi nieodbić powiedzieć kilka słów o kwarantanie na pustyni między Egiptem a Palestyną, blisko miasteczka El-Arish. Wymyśłem to jest dziwnym Mohameda Ali, że między dwoma swoimi państwami nazaczył myślą na błędnym piasku granicę, i pod karą miecza zmusił wolne beduiny rozbijać w tem miejscu namioty i żyć przez dni kilkanaście pod dozorem straży i doktora; inaczej zaś z Egiptu do Syryi dostać się nie mogą. Podróżując na wielbłądzie, musiałem podobnemu ulec losowi. Po ośmiu dniach drogi, przybyłem z Kairu na smutną dolinę piaszczystą, abym na niej przez dni dwanaście zamieszkał. Z razu, pojąc nie mogłem, jak miejsce puste, bez żadnego domu błędnym piaskiem zawiane, mogło prawu ludzkiemu podlegać; ale miecz Baszy zdawał się wisieć w błękitnym niebie nad głową moich przewodników Arabów, bo przybywszy na dolinę kwarantany, kazali zaraz ukłęknać wielbłądom, a w twarzach ich czarnych widać było głębokie poddanie się ludzi wolnych pod prawo straszego człowieka. Przybył doktor z miasteczka El-Arish; pierwsze to było miasteczko, które od wyjazdu z Kairu obaczyłem z daleka, a doktor pierwszym napotkanym człowiekiem. Pan Steble, tak się nazywał ów lekarz, emigrant włoski, ożeniony świeżo z panną Malaganbą, sławną pięknością na wschodzie, o której Lamartine z takim uniesieniem rozpowiada, starał się natychmiast mój pobyt pod otwartem niebem jak najwygodniejszym uczynić; wydał ze składu kilka namiotów dla naszej podróżnej gromadki, a jak się później dowiedziałem, rączki jego żony grzeźły w białej i srebrnej mące, aby mi na chlebie europejskim nie zabrakło. Rozłożywszy się pod namiotem, przywykać zaczą-

łem do smutnego widoku, który mnie otaczał. Opodał nieco rzeczka, sucha prawie aż do dna, przerywała piasku dolinę i szła do morza, za nią szara wstęga palmowych lasów; od północy błękitna szarfa morza Śródziemnego roztrącała się o piasek i smutnym gwarem fal napępiała cicho nad pustynią powietrze; nad morzem zaś, na piramidalnej piasku mogile, błyszczał białą kopułą mały grobowiec Szecha, straszny, albowiem tam w jego lochach składano umarłych z dżumy; a zaś architektura jego i żółtawa białość nadawały mu pozór kościotrupa. Z innych stron wzgórze piaskowe i na nich straży namioty i patrzący na kwarantane strażnicy w jaskrawych orjentalnych ubiorach; w środku zaś doliny niby stożec piaskowy, z którego muezin obwoływał donośnym głosem wielkość Boga rano, wieczorem i w nocy. Wszystkie te obrazy czytelnik drugi raz odbite znajdzie w następującej powieści; a pokażą się mu we właściwszem świetle, albowiem je zobaczy przez łzy ludzkie. Co do mnie, przywykać zacząłem do mego namiotu i podobałem sobie w ciszy piaskowego stepu i w szumie morza, do którego brzegów pozwalano mi chodzić, wzięwszy z sobą jednego z kwarantany strażników. W wigilią Bożego Narodzenia (1836 r.) kiedy z tej spokojnej pustyni myśli moje odbiegły aż do dalekiej ojczyzny mojej, i ku owym dniom, które dawniej spędzałem na ucztach w grodzie rodzinnem, okropna burza, przewiewana wichrem z morza Czerwonego na Śródziemne, gruchnęła w nocy i połała się deszczem piorunów na mój namiot oddalony od ludzi. W smutne i zamyśłone o kraju serce zaczęło wchodzić powoli prerażenie... Szeleszczący od wicherów i deszczu namiot chwiał się nademną, i zacerwieniony od piorunów wydawał się ognistym i strzegącym łoża bezsennego cherubinem... Wichur mi zagasił światło a wilgotny knot na nowo zapalić się nie chciał. Próżne tu byłyby opisy; albowiem wielkością biblijną nacechowana była ta burza w pustyni — Anelli myślał, że już przyszedł wichur, który go z ziemi zwieje i zanieśie w krainę cichą — przeszła jednak ta bezsenna noc zgrozy, a gdy nad rankiem wyszedłem z namiotu, chmury żelazne okrywały niebo i drobny deszczyk zasmucał powietrze. Ale nie tu był koniec przestraszów; krzyk Arabów uwia-



domił mnie o nowem niebezpieczeństwie: owa rzeczka, gdzie wczora zaledwo nitka wody sączyła się po piaszkowem korycie, nabrzmiała nocną ulewą, i srebrnymi płetwami prosto biegła roztoczyć się po dolinie, na której stały nasze namioty; zaledwo kilka chwil czasu zostawało do ratunku, unieśliśmy za pomocą Arabów namioty nasze na najbliższe wzgórze piaskowe, a zaraz po nas przyszła woda napelnic owe kręgi piaskowe, które jako ślady naszych zerwanych domów zostały w dolinie. Zziębły i ponury patrzałem ze wzgórza na tryumf tej biednej rzeczki, a patrząc tak, dziwnego doznawałem wrażenia. Bez dachu, bez ognia, bez pokarmu, doznawszy morskiego prawie na ziemi rozbicia, nie mogłem jednak udać się do bliskiego miasteczka, gdzie byli ludzie, ani prosić, aby mię pod dach jaki przyjęto i przy gościnnem posadzono ognisku. A mogły nadejść okropniejsze burze, mogło nareszcie przyjść morze i zatopić wzgórze, na którym stałem; a wszystko to trzeba było własnymi siłami wytrzymać, ocalić się lub zginąć pod okiem ludzi, którzy się mnie i rzeczy moich dotknąć nie mogli i **nie** śmieli. Wyjaśniło się nakoniec niebo, a ja nauczony doświadczeniem, już nie w dolinie, lecz na wzgórzu najwyższem rozbiłem namiot; i przyszły dnie pogodne, ciche, spokojnie płynące w pustyni. Drogman mój Soliman, sławny z tego i chełpliwy, że był niegdyś tłumaczem Champoliona, Roseliniego, Fresnela i wielu innych, opowiadał mi o swoich dawnych panach różne drobne szczegóły ich podróży i ze mnie zapewne zbierał zapas małych spostrzeżeń, którymi będzie bawił przyszłych wędrowników. Wieczorem zaś, usiadłszy na ziemi u wejścia do namiotu, piękny ten Arab, z długą brodą, oświecony wzierającym między płótna księżycem, śpiewał mi strofy z poematów arabskich, których dźwięk niezrozumiany i smutna nuta kołysały mnie do snu. A wtenczas — może mnie anioł snów okrywał płaszczem rycerza Solimy, i naznaczał krzyżem czerwonym na pierśsiach, a zaś Araba tego przemieniał w giermka, śpiewającego smutne dumy z ziemi rodzinnej. Lecz dosyć już o tym śnie tajemniczym z życia mojego, o tym złotym stepie i o tym namiocie, gdzie miałem chwile spokojne, gdzie, budząc się, przez roztworzone płótno oczy moje

napotykały konstelacyą Oriona, tak podobną do gwiazdzistej lutni, zawieszzonej przez Boga nad biednym namiotem błędnego Polaka. Dosyć o tym cichym tygodniu życia — przeminał. — Wielbłądy moje znów ukłękły przedemną i podniosły się z pielgrzymem zadumanym, wyciągając długie, węzom podobne szyje ku grobowcowi Chrystusowemu; a kiedy już byłem o godzinę drogi ku wschodowi, obróciłem się na siodle, aby raz jeszcze spojrzeć na mój namiot zielony; obaczyłem go na wzgórzu i zdawało mi się, że sam wyszedł na miejsce wysokie, aby mnie pożegnać; a czy to ludzie, pakując rzeczy, czyli też sam namiot, nie czując już w sobie mieszkańca, wyrwał kilka kołów z piasku i skrzydłem powiewał za mną, pokazując mi swoje łono czarne i puste. — Odwróciłem się od tej rzeczy, co miała serce rozdarte po mnie. A wkrótce zaczęły się pokazywać na piasku lilije białe, zwiastując, że się zbliżam do żyźniejszej krainy: i pomyślałem, że na te same kwiaty obróciwszy oczy, mówił Chrystus do uczniów swoich, aby się nie troszczyli o jutro i o rzeczy z tego świata, patrząc na lilije, które Bóg odziewa.

Oto jest opis kwarantany odbytej przezemnie na pustyni; gorszą daleko wysiedział ów starzec, opowiadający nieszczęścia swoje w następnym poemacie. Historyja jego boleści nie jest całkowicie zmyślona; opowiadał mi ją doktor Steble, któremu tak za nią, jako za chleby i za uprzejmość dla mnie, podziękowałbym tutaj, gdybym wiedział, że te kilka wyrazów znajdzie go na pustyni. Ale czemże jest dla niego wspomnienie w niezrozumianym języku, i wymówione głosem, który zaledwo się tak rozchodzi, jak kręgi na wodzie po rzuceniu do niej kamieniu.

Trzy razy księżyc odmienił się złoty,  
Jak na tym piasku rozbiłem namioty.  
Małeńkie dziecko karmiła mi żona,  
Prócz tego dziecka, trzech synów, trzy córki,  
Cała rodzina dzisiaj pogrzebiona  
Przybyła ze mną. Dziewięć dromaderów  
Chodziło co dnia na piasku pagórki

Karmić się chwastem nadmorskich ajerów;  
A wieczór wszystkie tu się kładły wiankiem,  
Tu, gdzie się ogień już dawno nie pali.  
Córki po wodę chodziły ze dzbankiem,  
Synowie moi ogień rozkładali,  
Zona, z synaczkiem przy piersiach, warzyła.  
Wszystko to dzisiaj tam, gdzie ta mogiła  
Promienistemu słońcu się odśmiecha,  
Wszystko tam leży pod kopułą Szecha.  
A ja samotny wracam — o! boleści!  
Trzy razy wieków przeżywszy czterdzieści,  
Odkąd do mego płóciennego dworu  
W tej kwarantanie wszedł anioł pomoru.

O! niewiadoma ta boleść nikomu,  
Jaka się w mojem sercu dziś zamykał  
Wracam na Liban, do mojego domu:  
W dziedzińcu moim pomarańcza dzika  
Zapyta: starcze! gdzie są twoje dziatki?  
W dziedzińcu moim córek moich kwiatki  
Spytują: starcze! gdzie są twoje córki?  
Naprzód błękitne na Libanie chmurki  
Pytać mię będą o synów, o żonę,  
O dzieci moje — wszystkie — pogrzebione  
Tam, pod grobowcem tym okropnym Szecha;  
I wszystkie będą mię pytały ecna,  
I wszyscy ludzie, czy wracam ze zdrowiem,  
Pytać się będą — Cóż ja im odpowiem?

Przybyłem. Namiot rozbiłem na piasku.  
Wielbłądy moje cicho się pokładły;  
Dziecko, jak mały aniołek w obrazku,  
Karmiło wróble a ptaszęta jadły,  
Aż do rąk prawie przychodząc dziecinie.  
Widzisz tę małą rzeczulkę w dolinie?  
Od niej wracała najmłodsza dziewczyna,  
Z dzbankiem na głowie, prościutka jak trzcina.  
Przyszła do ognia i wodą z potoku  
Śmiejąc się lekko trysnęła na braci;  
Najstarszy, z ogniem zapalonym w oku,  
Wstał, dzbanek wody chwycił w drżące dłonie

I rzekł: sam Bóg ci za wodę zapłaci,  
Bo chcę pić jak pies, bo ogień mam w łonie.  
To mówiąc, wodę wypiwszy ze dzbana,  
Powalił się tu jak palma złamana.  
Przybiegłem — nie czas już było ratować.  
Siostry go chciały martwego całować;  
Krzyknąłem wściekły: niech się nikt nie waży!  
Porwałem trupa i rzuciłem straży,  
Aby go wzięła na żelazne zgrzebla,  
I tam, gdzie grzebią zarażonych, grzebla.  
A od tej nocy, tak pełnej boleści,  
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.

Tej samej nocy Hafne i Amina  
Umarły, leżąc na łożu przy sobie.  
A patrz! tak cicho umierały obie!  
Ze choć po śmierci najstarszego syna  
Oczy się moje do snu nie zawarły,  
A nie słyszałem, jak obie unarły.  
I nawet matka własna nie słyszała,  
Choć wiem, że także tej nocy nie spała.  
Rankiem obiedwie sine jak żelazo,  
Dwie moje córki zabite zarazą  
Wywlec kazałem strażnikom z namiotu;  
I porzucili nas! i bez powrotu!..  
A jak dorosłym przystoi dziewicom,  
Włosami ziemię zamiotły rodzicom.

Widzisz to słońce w niebie lazurowem?  
Zawsze tam wschodzi za lasem palmowym,  
Zawsze zachodzi za tą piasku górą;  
Zawsze to niebo niesplamione chmurą;  
A mnie się zdało wtenczas, nie wiem czemu,  
Że słońce słońcu nie równe złotemu;  
I już nie takie, jakie było wczora,  
Ale podobne do słońca upiora.  
A niebo, które patrzyło na zgubę  
Mego rodzeństwa, moich trojga dzieci,  
Tak mi się mgliste zdawało i grube  
Ziemi wzywem i słońca purpurą,



Że nie wiedziałem, czy pacierz doleci  
Do Pana Boga, co się zakrył chmurą.

I tak dni dziesięć przeszło, choć nie skoro.  
Reszta mych dzieci żyła, wszystko czworo.  
Małżonka moja serce miała lżejsze,  
I nawet moje dzieciątko najmniejsze  
Zyło, i kwiatkiem nie chciało usychać;  
Ja sam nareszcie zacząłem oddychać,  
Bo nie wierzyłem, żeby wzięwszy troje  
Bóg mi chciał zabrać wszystkie dzieci moje.

O! była to więc piekielna godzina!  
Gdy patrząc na twarz najmłodszego syna,  
Śmierć zobaczyłem. Ach, ja go tak strzegłem!  
Pierwszy na twarzy znak wystąpił drobny;  
Niktby nie dostrzegł, ja ojciec spostrzegłem.  
On do tamtego stawał się podobny;  
Stawał się, jak mój trup pierworodzony,  
Z jasnego blady, z bladego czerwony.  
Patrz! Na twarzy plam żelaznych krocie,  
Więc zawołałem głośno: śmierć w namiocie!  
I pochwyciwszy go z takimi trądy,  
Wyniosłem na step, pomiędzy wielbłądy,  
Aby go tam śmierć zgryzła do ostatka;  
I żeby na to nie patrzała — matka.

Przy konającym czuwaliśmy bliscy,  
Ja z wielbłędami, na kolanach wszyscy.  
Łamałem ręce i wołałem głośno:  
Oby nie umarł! lub się był nie rodził!  
A tam nad palmy, z twarzą nielitośną,  
Gdy konał mój syn, blady miesiąc wschodził  
I patrz! — tego z pamięci nie zatrzeć!  
I nie wiem, jak ten sam miesiąc mógł patrzeć?  
Gdy konał w moim ojcowskim uścisku.  
Chciałem go spalić na popiół w ognisku:  
Lecz ledwie ogień zaczął biec po szacie,  
Wyrwałem trupa i rzuciłem straży;  
Poniosło mi go czarnych dwóch grabarzy,  
I lepiej mu tam przy siostrach i bracie.

Od tego zgonu i od tej boleści  
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.

Pod kręgiem słońca jako krew czerwonym  
I pod namiotem tym zapowietrzonym  
Żyliśmy, słowa nie mówiąc do siebie,  
I śmierć przed samą śmiercią udawali,  
Myśląc, że Boga oszukamy w niebie,  
Że się ten bałwan zarazy przewali.  
Powrócił! — Anioł powrócił morderca!  
Ale mnie znalazł bez łez i bez serca,  
Już omdłego na boleści świeże,  
Już mówiącego: niech Bóg wszystko bierze!  
Miałem na syna trzeciego cierpienia  
Powieki bez łez i serce z kamienia.  
Boleść już była jako chleb powszedni.  
I pod oczyma mi konał mój średni,  
Najmniej kochany w mem rodzinnem gronie  
I najmniej z dzieci płakany po zgonie.  
To też Bóg jemu wynagrodził za to,  
Bo mu dał cichą śmierć i lodowatą,  
Bez żadnych bólów, bez żadnych omamień,  
Skonał i skościł i stał się jak kamień.  
A tak okropnie po śmierci wyglądał,  
Jakby już próżnych naszych łez nie żądał,  
Ale chciał tylko lice swoje wrazić  
W serca nieczułe, oczy nam przerazić,  
I wiecznie zostać w rodziców pamięci  
Z twarzą, co woła: jesteście przekleci!

Skonał. Myślałem wtenczas — o! rozpaczyl!  
Ze jeśli reszcie Pan Bóg nie przebaczy,  
Jeśli anioła śmierci przyśle po nie,  
Dziecko mi weźmie, żonę — a po żonie  
Mnie nieszczęsnego zawoła przed Stwórcę.  
Córka! Ja myśleć nie śmiałem o córce!  
I trwoga o nią nie gryzła mię żadna.  
Ach, ona była młoda! taka ładna!  
Taka wesola, kiedy moją głowę  
Do lilijowych brała chłodzić rączek,  
Kiedy, zrobiwszy z jedwabiu osnowę,

Okolo cedru biegala po trawie,  
Jak pracowity snujac sie pajaczek.  
Patrz! i ten pas moj blyszczacy jaskrawie  
Ona robila — i te smutne oczy  
Ona rakbami zlocistych warkoczy  
Tak przeslaniala, ze patrzalem na nia  
Jako na rose przeze lzy i slonce.  
Ach, ona byla domu mego pania!  
Ona, jak jasni anieli obrońce,  
Najmniejsze dziecko w kolyseczce strzegla,  
I gdzie placz jaki slyszala, tam biegla,  
I wszystkie nasze oplakala ciosy,  
I wszystkie nasze lzy wziala na wlosy.  
Dziesiec dni przeszlo i nocy tak dlugich,  
Ze smierc juz mogla na gwiazdy odleciac;  
Dziesiec dni przeszlo, dziesiec nocy drugich  
Przeszlo — nadzieja zaczynala swieci...  
Po dzieciach ustal wielki placz niowieści,  
I naliczyliśmy ranków trzydzieści.  
Nareszcie, zbywszy pamieci i mocy,  
Polozylem sie i zasnalam w nocy.  
I we snie, w lekkie owinięte chmury  
Ujrzałem moje dwie umarte cory.  
Przyszly, za rece trzymajac sie obie;  
I pozdrowiwszy mnie pokojem w grobie,  
Poszly, oczyma cichymi blyszczace,  
Nawiedzac inne, po namiotach spiacze.  
Szly cicho, zwolna, schylaly sie nisko  
Nad matki lozem, nad dziecka kolyaska;  
Potem na moja najmłodszą dziewczynę  
Obiedwie rece polozily sine!  
Budze sie z krzykiem i umarta dziatwe  
Klnac, wolam dziko: Hatfe! moja Hatfe!  
Przyszla jak ptaszek cicho po kobiercu,  
Rzucila mi sie rączkami na szyje;  
I przekonalem sie, ze Hatfe zyje,  
Slyszac jej serce bijaco na sercu.  
Ale nazajutrz grom przyszedl uderzyc —  
Córka!!! -- Lecz na co z boleścią sie szerzyc?  
I to mi dziecko sroga smierc wydarla!  
I ta mi córka na rękach umarla!

A byla jedna—najstraszniejsza chwila—  
Kiedy ja bole targaly zabojcze,  
Wolala: ratuj mnie! ratuj, moj ojcze!  
I miala wtenczas czerwone usteczka,  
Jak mloda rosa, kiedy sie rozchyla.  
I tak umarla ta moja dziewczeczka,  
Ze mi sie serce rozdalo na dwierci,  
A piekna byla jak aniol—po smierci.

Przyszli nademna plakat nieborakiem  
Straznicy; przyszli mi wydrzec to ciało.  
I nieostrożni zaczepili hakiem;  
Hak padl na pierś jej twarda, kragla, biala,  
I tu... Bogdajby jak ja nie umarli!  
Tu ja pod mymi oczyma rozdarli.  
Ty im to, Boze niebieski, spamiętasz!  
Wzialem ja i sam zanoslem na cmentarz.

Z zalożonymi na piersiach rekoma  
Siedziala trzy dni matka nieruchoma  
W kacie namiotu, zolta jakby z drewna.  
Dziecina stala sie blada i rzewna;  
Bo mleko matki zaczelo wysychac,  
I co dnia bylo placz w kolysecie slychac.  
A ta pustynia—nie masz dzieci w grobie!  
Ona inaczej wydaje sie tobie,  
Moze zlocista, jasna i weselna?  
Lecz dla mnie—jest to rownina piekielna!  
Przez te rowniny, przez te piasku kupy  
Ciagnieto sniade moich dzieci trupy.  
A tam na wzgórzu, kedy morze bije,  
Dla ciebie szumi morze, dla mnie wyje;  
A kiedy z wichrem na brzegi nie skacze,  
Dla ciebie szemrze tylko, dla mnie placze.  
Co dnia, gdy przyszla wieczorna godzina,  
Spiewajacem slyszal muezina:  
Jakby sie nad mym ulitowal losem,  
Zaczal smutniejszym obwoływac glosem,  
Krzyczac ze swego piaskowego stoga  
Nieszczęśliwemu ojcu—wielkość Boga.  
O! bądże mi ty pochwalony Alla!



Szumem pożaru, co miasta zapala,  
Trzęsieniem ziemi, co grody wywraca,  
Zarazą, która dzieci mi wytraca  
I bierze syny z łona rodzicielki.  
O! Allach! Akbar Allach! jesteś wielki!

Wszystko, co miało tylko twarz człowieka,  
Zaczęło stronić odemnie zdaleka.  
Namiotu mego—córki go uprzedły—  
Płótna na rosie poczerniały, zwiędły,  
I podarły się i, lekko napięte,  
Były jak próchna z ludzkich trumien zdjęte.  
Zarazę było znać na tym namiocie—  
I wiesz? że nawet tych wróbelków krocie,  
Co zlatywały się tutaj o brzasku  
Jeść okruszyny i kąpać się w piasku,  
Odkąd mi dzieci zaczęło ubywać,  
Po żer przestały się wszystkie zlatywać.  
Czy odstraszyło je podarte płótno  
Namiotu mego? czy twarz moja biedna.  
Nie przyleciała z ptaszyn ani jedna,  
I spostrzegłem to—i było mi smutno.

Po córce w pięć dni — o Boże mój! Boże!  
Z wieczora huczeć już zaczęło morze,  
I słońca się krąg pochował ponury,  
I niebo czarne zaciągnęły chmury.  
Noc przyszła, dotąd w pamięci ohydna,  
Ciemna, od gromów czerwoności widna.  
Jeszcze dziś czuję, i widzę, i słyszę,  
Słyszę, jak namiot gęste sieką deszcze,  
Jak się rozciąga, jak głucho szeleszcze,  
Jak się nademną w ciemności kołysze  
I od piorunów się cały czerwieni,  
Podobny grobom szatańskim z płomieni.  
Zdawało mi się, za burzy łoskotem,  
Zem słyszał martwe dzieci za namiotem,  
Wszystkie jęczące przeraźliwie, głucho;  
Więc natęczałem wzrok, serce i ucho,  
I z przerażeniem rozmyślałem w sobie,  
Jak moim dzieciom takiej nocy w grobie?

I nagle... Czemuż ta śmierć tak zdradziecko,  
Tak cicho weszła pod namiotu zagłę!  
Grom spadał hucząc po gromie—i nagle  
W kołysce z cicha zapłakało dziecko:  
A płacz ten musiał być strasznym wyrazem,  
Bo zaraz matka, ja, oboje razem  
Rzuciliśmy się, gdzie robaczek lichy...  
A choć dziecięcia jęk był bardzo cichy,  
To tak wydawał się obojgu głošny  
I tak rozdarty, i taki żałośny,  
I tak z głębokich wnętrzości wyjęty!  
I tak rozumny i taki przeklęty!!!  
Ześmy oboje biegli gromem tknięci,  
I bez nadziei już, i bez pamięci!

I nie zawiodło przecucie żałoby!  
Umarło—z takiej jak tamte choroby.  
I poszło leżeć między trupy bratnie  
Moje najmilszel i moje ostatnie!!!  
Śmierć mi go czarna wzięła nielitośnie.  
I już nie wróci! ani mi urośnie!  
Ani go kiedy mój dom już zobaczy!—  
I już nie wróci nigdy!—o! rozpaczyl!!!

Noc przyszła druga, błyszcząca gwiazdami.  
Byliśmy z matką w namiocie—przed nami  
Leżało dziecko na stole, nieżywe,  
Niernohomością śmierci przeraźliwe.  
Uczułem wtenczas, patrząc na tę postać,  
Ze gdyby mogło choć tak z nami zostać  
Przez wszystkie lata—choć tak, nie inaczej,  
Ubyło by mi z serca pół rozpaczy.  
A to już, ani zarazy strażnicy,  
Ani ja niosłem do Szecha kaplicy,  
Gdzie się nam trupia otwierała brama,  
Ale je matka tam zaniosiła sama.

W namiocie pustym ja zostałem z żoną.  
Ale czy pojmiesz?—zamiast nas połączyć  
Boleść, obojgu nam rozdarszy łono,  
Zaczęła jakieś jady w serca sączyć,

I teraz chyba je sam Bóg oczyści.  
 Smutek podobny był do nienawiści,  
 I stanął czarny, wielki między nami.  
 Więc rozłączeni byliśmy i sami.  
 I nie mówiliśmy do siebie słowa—  
 Bo powiedz, jakaż być mogła rozmowa  
 W pustym namiocie między mną i żoną?  
 Pomiedzy ojcem i matką tych dzieci?...  
 Słońce wschodziło w upały czerwono,  
 Co dnia tonęło tam, gdzie teraz świeci,  
 Jak jaka skrawa pożaru pochodnia.  
 Więc tak bezdzietnym było—i tak co dnia—  
 Cisza ogromna namiot nasz zaległa.  
 Chyba mysz jaka w księżycu przebiegła;  
 Zgoła innego jęku ni szelestu...  
 Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu.  
 I kwarantany przybyli lekarze,  
 Głęboko patrząc w nasze smutne twarze.  
 Widziałem, jak się każdy z nich zadziwiał;  
 Bo nachyliłem się był i posiwiął.  
 A żona moja od niespań i troski  
 Była jak bursztyn, albo żółte woski;  
 Na głowie miała z włosów siwych wieniec,  
 Jakiś okropny ceglany rumieniec,  
 A oczy pełne takiej błyskawicy  
 Jak ci, co wyjdą na słońce z ciemnicy.  
 Lekarz nam kazał w sustawy uderzyć,  
 Tam, gdzie zaraza pierwsze rzuca strupy:  
 Zdrow byłem. Ludzie! czy będziecie wierzyć?  
 Ja, co me wszystkie całowałem trupy,  
 Z tej kwarantany wychodziłem zdrowy:  
 Żona, co nawet nie tknęła połowy,  
 Nad piersiami się uderzywszy, zbladła,  
 I zachwiała się z jękiem—i upadła.  
 A ja na ręce wziętem trup niewieści,  
 Zniosłem w namiot i rzuciwszy brzemię  
 Upadłem przy niej jak martwy na ziemię,  
 I obudziłem się — na dni czterdzieści...

Przed samą śmiercią wyznała mi matka,  
 Ze chciała z grobu swojego dzieciątka

Jakiej pamiątki, kamienia lub kwiatka,  
 Włoska w złocistych na głowie obrączkach;  
 I ta po dziecku umarłem pamiątka—  
 Patrzaj! obrazek ten, co trzymał w rączkach,  
 Te włoski złote i tak dzisiaj święte,  
 W mogiłce z główki maleńkiemu zdjęte—  
 Bo biedna matka miała tyle mocy,  
 Że odkopała dziecko o północy,  
 Znalazła jeszcze nieczepsutem wcale,  
 Pocałowała w usteczek korale  
 I znów włożyła do trupich obsłónek,—  
 Te upominki i ten pocałunek,  
 Zazdrosnej ziemi Szecha ukradzione,  
 Zabiły matkę i wzięty mi żonę.

I znów się łono piaskowe otwarło,  
 Gdzie pochowałem matkę martwych zmarła.  
 Potem wróciłem do płóciennej nory  
 Schować się w cieniu, jak nocne potwory.  
 Ani ja słońca na niebieskim sklepie,  
 Ani mnie ludzic widzieli na stepie.  
 Stałem się jako zdzięczinniali starzy:  
 W pamięci mojej żadnej żywej twarzy.  
 Tylko te sine i okropne lica,  
 Które mi wzięła zarazy martwica.  
 I w dzień błękitny i w noc każdą ciemną  
 Oni tu byli w tym namiocie ze mną;  
 Gadalem z nimi, zmyślałem rozmowy,  
 W których rozmawiał ze mną tłum grobowy;  
 I często dziwnym natrafielem losem  
 Na głos, co moich był dzieciątek głosem.  
 Z obłąkanego budziły mię śnicia  
 Po nocy hyen przeraźliwe wycia,  
 Tam nad trumnami... i słuchałem błądy  
 Jak nad trupami płaczą trupo-jady.  
 Stałem się wreszcie jak wąż, gdy ochłodnie,  
 I przechodziły mi dnie i tygodnie  
 Bez żadnych bólów, pamiątek, omamień.  
 Stałem się twardy i zimny jak kamień.  
 I raz... Ach! boska nademną opieka!  
 Patrzę, ktoś w namiot mój cicho zagląda;



I ach! nie była to już twarz człowieka,  
Lecz głowa mego starego wielbłąda.  
Spojrzał—i spojrzal z twarzą tak litośna,  
Ze rozplakałem się jak dziecko głośno.

I tak przeżyłem smutnych dni czterdzieście;  
Przyszli mię ludzie uwolnić nareszcie.  
O! gorzka wolność i chwila odlotu!  
Jam do ciemnego już przywykł namiotu;  
Z uczuciem smutku, boleści i zgrozy  
Będę wyrywał koły i powrozy,  
Które... (o! Boże wiekuisty, świeć mi!...)  
Do tego piasku zatykałem z dziećmi.  
Ach! pomóż ty mi je zerwać, sam jestem!  
A może tobie posepnym szelestem  
Te płótna więcej boleści powiedzą?  
One widziały wszystko! wszystko wiedzą!  
Czy nie są teraz jak męki obrazy!  
Patrz na nie, dotknij, nie bój się zarazy,  
Nie bój się śmierci, co dotknęciem sinem...  
Wszak ty nie jesteś, synu, moim synem.  
Lecz nie! uciekaj! ja wiem, że te płótna  
Straszne się muszą obcym ludziom zdawać.  
Śmierć od zarazy? ach! to śmierć okrutna!  
Zaczynasz własnych braci nie poznawać,  
Potem cię ogień pali, piersi gorą...  
Ach! ja tak moich widziałem ośmioro!  
I co dnia patrząc na tak konające,  
Wysiedziałem tu całe trzy miesiące.  
Dziś, oto dziewięć wielbłądów podróżnych,  
A na nich, patrzaj, osiem juków próżnych;  
I nie zostało mi nic—oprócz Boga;  
I tam mój cmentarz—a tamtędy droga.  
1836.

## BENIOWSKI

### Pieśń I.

Za panowania Króla Stanisława  
Mieszkał ubogi szlachcic na Podolu;

Wysoko potem wyniosła go sława —  
Szczęścia miał mało w życiu, więcej bolu;  
Albowiem była to epoka krwawa,  
I kraj był cały na rumaku, w polu.  
Łany, ogrody leżały odłogiem,  
Zaraza stała u domu, za progiem.

Maurycy-Kaźmierz-Zbigniew miał z ochrzcenia  
Imiona — rodne nazwisko Beniowski;  
Tajemniczą zaś gwiazdę przeznaczenia,  
Co go broniła jako Częstochowski  
Szkaplerz: od dżumy, głodu, od płomienia  
I od plag wszystkich — prócz śmierci i troski;  
Bo w życiu swoim namartwił się bardzo,  
A umarł, choć był z tych, co śmiercią gardzą.

Młodość miał bardzo piękną, niespokojną.  
Ach! taką tylko młodość nazwać piękną,  
Która zaburzy pierś jeszcze niezbrojną,  
Od której nerwy w człowieku nie zmiękną,  
Ale się staną niby harfą strojną,  
I bite pieśnią zapału — nie pękają!  
Przez całą młodość, Pan Beniowski bujnie  
Czuł za trzech ludzi — a więc żył potrójnie.

Wioszczkę małą miał, ale dziedziczną,  
Dwadzieścia miał lat, był u siebie panem.  
Spraszał do domu szlachtę okoliczną —  
Fortunka jego ciągle ciekła dzbanem.  
Miał nadto proces i sprawę graniczną;  
A prędzej sprawę wygrałby z szatanem,  
Niż z ową psiarnią wtenczas palestrantów:  
Słowem, że przyszło do długów i fantów.

Pozbył się naprzód klinów i futurów,  
Potem i konie wyprzedal z uprzężą —  
Nie znano wtenczas jeszcze w Polsce szorów,  
O które żony dziś mężów ciemieją —  
Pozbył się potem swoich białozorów:

Regentowi dał charty — w rękę księżą  
 Ostatnie grosze dwa za ojca duszę  
 I na ornaty dwa ojca kontusze.

Z tych majątkowych ostatnich konwulsyj,  
 Nie zyskał jedno wyrok przeciw sobie,  
 Wyrok, w którym rzecz była o ekspulsyi.  
 Mało o to dbał, tracąc na chudobie;  
 Dzisiaj są ludzie młodzi stokroć czulsii,  
 Lecz Pan Beniowski rzekł: ja sam zarobię  
 Na drugą wioskę, et si non mi nocēs  
 Fortuna — z wioską nabędę i proces.

I znowu mój syn będzie miał przyjemność  
 Z palestrą jadać i być Akteonem;  
 I na przyjaciół wzdychać niewzajemność  
 I stać, tak jak ja, pod ciemnym jesionem,  
 Który mój ojciec sadził. — O nikczemności!  
 Tu Pan Kazimierz jęknął harfy tonem,  
 I na szumiący jesion łzawo spojrział.  
 W tej chwili zyskał trochę — trochę dojrzał.

Trochę skorzystał w sobie jako prawnik,  
 Trochę skorzystał jak człowiek odarty,  
 Na którego sam Pan Sędzia, Zastawnik  
 I Regent, niby trzy głodne lamparty,  
 Lub jako muły puszczone na trawnik,  
 Lub jak na duszę rozsierdzone czarty,  
 Wpadli, ogryźli, i na pocieszenie  
 Rzecz zostawili słodką: doświadczenie.

O doświadczeniach ty jesteś pancierzem  
 Dla piersi, w której serce nie uderza;  
 Jesteś latarnią nad morskiem wybrzeżem,  
 Do której człowiek w dzień pochmurny zmierzał  
 O doświadczeniach! jesteś ciepłem pierzem  
 Dla samolubów! tyś gwiazdą rycerza,  
 Bawelną w uszach od ludzkiego jęku;  
 Dla mnie, wśród ciemnej nocy, świecą w rękul

Lecz Pan Beniowski liczył lat dwadzieścia:  
 O doświadczenie, jak o grosz złamany,  
 Nie dbał; wolałby mieć wioskę i teścia,  
 To jest ślubem być dozgonnym związany  
 Z Panną Aniela. Tej sztuka niewieścia  
 Sprawiała, że był srodze zakochany;  
 Na gitarze grał i rym śpiewał włoski,  
 I wszystko dobrze szło, dopóki wioski

Nie stracił, wtenczas po włosku: addio!  
 Po polsku: pisuj do mnie na Berdyczów.  
 Okropne słowa! jeśli nie zabija,  
 To serce schłoszcza tysiącami biczów.  
 Panna Aniela, dziewczę z białą szyją,  
 Była z rodziny dostatniej A..wiczów;  
 Kochała wiernie, wierność była w modzie;  
 Lecz ojciec — ten stał jak mur na przeszkodzie.

Mimo to jednak Aniela, jak różę,  
 Co nad wysoki mur liściem wybiegna  
 Patrzeć na słońce, oczy miała duże,  
 Czarne. — Jak różę, co się nad mur przegna,  
 I mimo czujne ogrodowe stróżę,  
 Zerwaniu chłopiat i dziewcząt ulegną;  
 A potem gorzki los tych niewiniątek  
 Wiednąć na włosach i sercach dziewczątek!

Aniela, mimo ojcowskie czuwanie,  
 Widywała się ze swoim Zbigniewem.  
 Kronika milezy, czy to widywanie  
 Odbywało się pod jaworu drzewem,  
 W godzinę, kiedy słychać psów szczekanie,  
 Kiedy słowiki wywołują śpiewem  
 Księżyc z pod ziemi; lecz pozwól Asindziej,  
 Że się nie mogli widywać gdzieindziej,

Zwłaszcza o innej porze. Ojciec srogi,  
 Do tego wielki oryginał, splennik.  
 Dyabeł wie jakiej wiary: w rzymskie bogi  
 Wierzył, i wierzył w prorocтва i w sennik;  
 Chrystusa także krwią oblane nogi



Całował; zwał się cesarzów plemiennik;  
Słowem, była to dziwna meskolancya  
Świętości, złota, folgi — jak monstrancya.

To porównanie pojąłbyś od razu,  
Gdybyś go widział w złocistym szlafroku,  
Z łbem łysym, gdzie jak z Rembrandta obrazu  
Odstrzeliwało słońce, kiedy w mroku  
Adamaszkowych purpur, stał jak z głazu  
Kłaniającym się ludziom na widoku;  
I stał jak martwy, niczem się nie wzruszył,  
Lecz widać było, że żył, bo się puszył.

Zamek jego stał nad rzeczką Ladawą,  
Na skale, a pod skałą staw był wielki.  
W tym stawie widać było twarz jaskrawą  
Słońca i białe łabędzie Anielki;  
Grobelkę z młyńską u końca zastawą,  
Za groblą kościół Panny Zbawicielki,  
Z trzema wieżami baniastymi, w złocie,  
I chat okienka niby oczy kocie.

Wszystko to było dziwnie piękne, cudne!...  
Zwłaszcza, że szlachcie, wielki oryginał,  
Góry uczynił do przebycia trudne;  
Wężowe w skałach ścieżki powycinał,  
I między róże, co rosły odludne,  
Postawiał golce rzymskie... Ten puginał  
W rękę swym trzymał i miał twarz brodatą...  
Skąd łatwo było poznać, że to... Kato.

Apollo w morzu zostawił koszulę  
I na Starosty górach stał bez listka.  
Dalej, w egipskich katakombach — ule...  
Dalej posagi, którym koniec świstka  
Wyłaził z gęby i przemawiał czule  
Do pana zamku... jak do antychrystka...  
Albowiem wszystkie te wymysły pańskie  
Nie katolickie były... lecz pogańskie.

W ogrodzie stała jakaś larwa niema,  
Czarna, ogromna, rozrosła szeroko;  
Był to krzesany dąb na Polifema.  
Jedno w koronie miał wybite oko  
A tyle widział nieba, co obiema;  
I nad sadzawką coś dumał głęboko,  
Patrząc tem jednym okiem w ciemną wodę;  
Na deszcz miał czarny wzrok, jasny w pogodę.

Naprzeciw była bardzo ciemna grota,  
Przed nią się nieraz siwy rybak skłoni,  
Gdy go na stawie ogarnie ciemnota,  
A sieci pluszczą wśród spokojnych toni.  
Albowiem w grocie Matka Boska złota,  
Z wieńcem różanych lamp na jasnej skroni,  
Jako Dyana o poranku biała,  
Na staw z różanej tęczy wyzierała...

Słowem... było to istne głupstwa wzgórze,  
Zwierciadło czyste cnego Antenata,  
Na którym meszły świeciły papuże,  
Rzymska, purpurą bramowana szata.  
Przy ucztach często na łysinie... róże,  
A w rękę czara ze śmiercią Sokrata,  
Tak dobrze, wiernie wykowana rylcem,  
Że kto pił, zdał się mędrce... nie opilcem.

Z tego wszystkiego pan Kazimierz śmiał się,  
Lecz zakochany w cudownej Anieli,  
Wyjawić szczerze swoich myśli bał się;  
Polubił nawet te posagi w bieli,  
Te grotty od lamp różane... i stał się  
Nabożnym bardzo w każdej skalnej celi;  
W każdej albowiem była jego droga,  
I w każdej po niej została część boga...

W oń jakaś, jakiś duch nieprzenikliwy,  
Co myśli wtrącał i duszę w marzenia:  
Każdy z nas miał kraj młodości szczęśliwy,  
Kraj, co się nigdy w myślach nie odmienia.  
Ja sam, com widział Chrystusa Oliwy,

Góry z marmuru i góry z płomienia,  
Wolę... i sędzę najpiękniejszą z krajów  
Jedną maleńką wieś, pełną ruczajów,

Pełną łąk jasnych, gdzie kwitnie wilgotna  
Konwalia... pełną sosen, kalin, jodeł;  
Gdzie róża polna błyszczy się samotna,  
Gdzie brzoza jasnych jest kochanką źródeł...  
A zaś przyczyna temu jest istotna,  
Ze na tych bagnach, gdzie potrzeba szcudel,  
Jam wtenczas bujał na młodości piórach,  
Jasny i chmurny... jako księżyc w chmurach.

O! Melancholio! Nimfo! skąd ty rodem?  
Czyś ty chorobą jest epidemiczną?  
Skąd przyszedł do nas? Co ci jest powodem,  
Ze teraz nawet szlachtę okoliczną  
Zarażasz? Nimfo! za twoim przewodem  
Ja sam wędrówkę już odbyłem śliczną!  
I jestem dzisiaj... niech cię porwie trzysta!  
Nie Polak, ale istny Bajronista.

Trochę w tem wina jest mojej młodości,  
Trochę tych grobów, co się w Polsce mnożą,  
Trochę tej ciągłej w życiu samotności,  
Trochę tych duchów ognistych, co trwożą,  
Palcami grobów pokazując kości,  
Które się na dzień sądny znów ułożą...  
I będą chodzić, skrzypiąc, płacząc, jęcząc;  
Aż wreszcie Pana Boga skruszą... dręcząc.

Prześliczna strofa! mógłbym zacząć od niej  
Nowy poemat, jak sąd ostateczny;  
I przy Eumenid pokazać pochodni,  
Jak jest grzech każdy dziwnie niebezpieczny;  
Jak w jasnym niebie daleko jest chłodniej,  
Niż w piekle, kędy płonie ogień wieczny;  
Lecz wolę dzieło to rzucić na później,  
Bo do porządku mnie wołają woźni.

Ci woźni są to krytycy... Kolego!  
Byłeś w Arkadyi tej, gdzie Jezuici

Są barankami?... pasą się... i strzegą  
Psów... i tem żyją, co ząb ich uchwyci  
Na pięcie wieszczą?... Kraina niczego!  
Pełna węzowych ślin, pajęczych nici  
I krwi zepsutej... Niebieska kraina!  
Co za pieniądze bab truć nas zaczyna.

Był wieczór. Z kwiatów wychodziły wonie  
Melancholiczne, ciemniał las dębowy.  
Beniowski kazał osiodłać dwa konie:  
Jeden dla siebie, na drugim domowy  
Miał jechać sługa. Beniowski na skronie,  
Chciałbym powiedzieć: włożył hełm stalowy,  
Lecz nie poemat pisząc tylko gadkę,  
Powiem, że tylko wdział — konfederatkę.

Zapiął na piersiach szpencer z barankami,  
Zawiesił burkę z tygrysimi łapy;  
Wsiadł na koń, spojrzął na ganek ze łzami,  
Pogłaskał konia — koń otworzył chrapy  
I w ciemną domu ścież zaparskał skrami  
Na pożegnanie. Klasły dwa harapy  
Pana i sługi. I pan ze swym sługą  
Wyszli z rodzinnych progów — i na długo!

O! gdyby wtenczas jaka Nimfa smętna,  
Wiadoma ludzkiej przyszłości, krzyknęła:  
Już ty nie wrócisz! i stopy twej piętna  
Są tu ostatnie! lecz jeśli twe dzieła  
Zapisze sława wszystkim pamiętna:  
Ten dom, z którego cię nędza wypchnęła,  
Będzie świątynią, a te ciche świerki  
Pójdą na krzyż i na — tabakiorki.

A twe koszule porzną na skaplerze,  
A twe papiery, choćby to był tylko  
Od ekonomy list, albo przymierze  
Wiecznej miłości z Hańdzią lub Marylką,  
Sawantka łzami rzewnymi wypierze  
I w sztambuch wklei, albo przypnie szpilką.  
Ze twa peruka, jeśli masz perukę,  
Frenologistów podeprze naukę!



Że twój but prawy powieszą w Sybili,  
A o znikniony lewy będą skargi.  
Nie mówię więcej, bo mój rym już kwili  
I łzami się już zalewają wargi!  
Lecz gdyby jaka Nimfa w owej chwili,  
Kiedy nasz rycerz na świata zatargi  
Puszczał się, takie proroctwo wyrzekła:  
Uczulby w sercu coś, coś nakształt piekła.

O! dzika żądzo pośmiertnego żalu,  
Jakiem ty jesteś smutnem głupstwem ludzi!  
Zwłaszcza, że wieszysz prosto do szpitalu  
Rozmarzonego. A nim się obudzi,  
Już w jego oczach, jak w mglistym opalu,  
Błyskają światła, szpitalnicy chudzi,  
Mniszek pacierze, trumien robotnicy,  
Mgła — za tą chmurą Pan Bóg nakształt świecy.

Ale to wszystko jedno. Nasz bohater  
Dom swój opuszczał ze swym starym sługą,  
Jak opuszczała swój dom panna Plater,  
A kiedyś, dawniej, Czarnecki z kolczugą.  
Ach tak, jak później nasz sejmowy krater,  
Który wybuchnął wielką, jasną fugą  
Z Warszawy, Wisłę przewędrował promem,  
I mówi, że jak ślimak wyszedł z domem.

Ach! tak jak sztaby, klub i wszyscy święci,  
Co dzisiaj w każdym są kalendarzyku  
Emigracyjnym, niby z krzyża zdjęci,  
Jak ja nareszcie, co w tym słoneczniku  
Muszę się kręcić, bo się ze mną kręci  
Za każdym słońcem — słońce mamy bez liku!  
I trzeba dobrze nam tą myślą przesiać,  
Ze dla niezgody słońce — królem jest miesiąc.

Lecz to dla innych wieszczów, ta bez twarzy  
Walka, jak w dawnej Skandynawów wierze  
Wojna niebieskich, krwawych luminarzy.  
Teraz niech nowi wystąpią rycerze.

.....  
Pan Kaźmierz jechał takim być ułanem,  
Kłaniało mu się zboże całym łanem.

Kłosek mu każdy dziękował ugięty,  
Bławatek każdy mu się przypatrywał,  
Ani się skarżył, choć kopytem ścięty.  
Beniowski jechał cicho, sługa śpiewał  
Jedną z tych pieśni, w których jęk zamknięty,  
A głos po łanach złocistych przepływał  
I wpadał w ciemny las, na dębów słuchy:  
Te drżały, bijąc skrzydłami jak duchy.

Ciemniało. Rycerz wyjechał nad jary,  
Skąd rzucił okiem na dom swej kochanki.  
Skała ta, jako wielki obłok szary,  
Stała nad stawem; nad nią były wianki  
Drzew ogrodowych i dom wielki, stary,  
Z płomienistymi okny i krużganki.  
Całą tej górze postać ekscentryczną  
Odjęła złota noc swą szatą śliczną.

Nie widać było posągu Junony,  
Dalekim oczom zniknął gdzieś Apollo;  
Ale dąb widać było zamyślony,  
Co stał nad zamkiem żeniony z topolą;  
Lecz z zamku księżyc wybuchał czerwony,  
Jak smutny aktor, co z Hamleta rolę  
Wyjdzie na scenę. Księżyc wstąpił krwawy  
I ocerwienić zaczął staw Ladawy.

Pan Kaźmierz był z tych, co stawiają na tuza  
Cały majątek. Przegrał go i plunął,  
Lecz patrząc na ten dom, gdzie wziął harbuza,  
I z nadziei swych na wiek wieków runął,  
Westchnął! i wzniosła mu się w piersiach śluza,  
Łzami się zalał i z siodła się zsunął  
Jak człowiek, który dostał nagle mdłości.  
Przyskoczył stary Grześ: „Co jegomości?“

„Święta Maryo, ratuj! dziecko kona!”

Na to Beniowski rzekł: „poprawiam strzemię“  
Odepchnął sługę, co go brał w ramiona,

W konfederatkę się chlasnął i w ciemię;  
Spojrzał na księżyc, co zeń jak z Memnona

Wydobył jęki, i całe trosk brzemię  
Takim westchnieniem wielkiem w księżyc cisnął,  
Ze księżyc śmiał się, zmarszczył i znów błysnął.

Westchnawszy, jechał dalej brzegiem jaru,

A za nim sługa w ceglстым kontuszu.  
Smutnemu wiatr się zdaje pełen gwaru,

Litość aniołów brzęczy koło uszu:  
Smutny jest gotów do bójk i swaru,

Gorączkowego pełen animuszu.  
Takim Beniowski był i jego lozak,  
Szcześnie, że żaden nie zjawił się kozak.

Bo w takiej chwili kochanek rozpaczny

Gorszy niż lwica Wirgila hirkańska.  
Jechał więc smutny rycerz, za nim baczny  
Na wszystko jechał Grześ; a wódka gdańska  
W skórzanej fłaszce dźwięk dawała smaczny.

I bełkotała ta Nimfa szatańska  
Właśnie jak gołąb, co z miłości grucha,  
Lub poetyczna na Litwie ropucha.

Słyszając, jak słodko zapraszała faszka,

Spróbował jej Grześ raz, dwa i trzy razy;  
I w oczach mu się wnet zrobiła kasza  
Z gwiazd, a sam księżyc był szperką, a glazy  
Ludźmi. Więc jako żona Eneasza,

Został się w Troi, z konia spadł na ślasy.

I tak bohater zbył swojego sługi,  
Ale za koniom jego szedł koń drugi.

I było coraz ciemniej. Wtem, o cuda!

Koń Grzesia zaczął prześcigać panicza.  
Na nim siedziała jakaś wiedźma ruda;

Gałęż pokrzywy miała zamiast bicza;  
Tu widzę, że mi się poemat uda,

Że mi już muza swoich łask użyzoza;  
Więc dalej! wieszczów galopem wyprzedźmy,  
Jest *ex machina Deus*—w kształciec wiedźmy.

Więc, jak powiadam, zrównały się konie.

Beniowski nagle ocknął się i wzdrygnął,  
Widząc, że siedział czart w srebrnej koronie  
Na koniu, co go jak wichur prześcignął,  
I wziął z Kaźmierza rąk w kosciane dłonie

Lejce, i stepem zamroczonym śmignął,  
Ciągąc za sobą mojej pieśni syna.  
Ze Polak daje się wieść, nie nowina!

Widziałem. Ale stój, Muzo! bieg krzywy

Tu nie przystoi wcale. Miesiąc świeci,  
Na koniu wiedźma, gałęzią pokrzywy  
Smaga po zadzie konia i tak leci  
W srebrnej koronie, jak anioł straszliwy,  
O którym roją na pół senne dzieci;  
Ze koń ma ze mgły, z węzów srebrnych biczę,  
Skrzydła ogniste i niańki oblicze.

I coraz prędzej, jakby anioł zgonu,

Pędził za naszym rycerzem i babą;  
Dźwięk głuchy kopyt, jak jęczenie dzwonu,  
Jako tętnienia echo, jęczał słabo,  
A ręka wiedźmy, jak liść wielki klonu  
Gdy zecerwienieje, lub, jak mówi Strabo,  
Łapa Ibisa czerwona, bez pierza,  
Za lejce trzymała swój, i lejce rycerza.

W zawrocie głowy rycerz wlepił oczy

W tę rękę z trzema czerwonymi żyty.  
A więc rozmyślał, czy z konia zeskoczy?

Ale mu jego koń był bardzo miły.

Czy świeńie szablą, aż się łeb potoczy  
I spadnie z karku wiedźmy do mogiły?

Ale i ta myśl druga i ta chęćka  
Zdawała mu się nie zła, lecz za prędka.

A tu bym wiedzieć chciał twe mądre zdanie,  
Mój czytelniku, i twój sąd o rzeczy,



Gdyby cię takie spotkało porwanie?  
Byś nie spodziewał się znikąd odsiecz?  
I widział taką rękę, Mości Panie!  
Czerwoną? do miliona krwawych mieczy,  
Taką ohydną rękę? pełną kości?  
Co pozbawiła cię ludzkiej godności!

Zwłaszcza, jeżeli jesteś demokratą  
I o swą godność indywidualną  
Dbasz wielce. Cobyś więc powiedział na to?  
Gdybyś przez babę tak suchą! fatalną!  
I—nie wiem pewnie—lecz może wasatą  
Sę-Symonistkę, i nie idealną,  
Ale kościaną, był pozbawion woli  
I tchu, i czynił to, co godność boli?

Nie wiesz? Więc sobie zamawiam twą łaskę  
Nadal, na rzeczy ważniejszych sądenie.  
Beniowski więc wpadł w szatańską zatrzaszkę;  
Widzę w tym jego gwiazdę, przeznaczenie!  
I leciał jak wiatr, patrząc w bladą maskę,  
Którą słoneczne wkładają promienie  
Na twarz księżycą; a w tym prędkim biegu  
Świat mu się cały zdawał kłębem śniegu.

Nagle—zwolniła kroku przewodniczka,  
Roześmiała się, zeskoczyła z siodła.  
Beniowski siedział na koniu jak świeczka,  
Patrząc, gdzie go ta wędrowka zawiodła.  
Ujrzał, że chwastem zarosła uliczka  
Między skałami, co mogą za godła  
Służyć dwom sercom rozdartym na wieki,  
Wiodła go prosto—prosto— do pasieki.

Pasiekę tę znał dobrze, i te skały,  
I tę ścieżeczkę pełną rudej glinki.  
Tutaj pasterskie roił ideały,  
Z których czytelnik może robić drwinki.  
Starosta córce dał ten gaik mały,  
I od niej nazwał miejsce—Anielinki.

A zaś ta wiedźma na pozór straszliwa,  
Była to nianka Panny, stara Diwa!

Poznał ją rycerz i za tę czerwoną,  
Za tę lbisa rękę wnet uściśnął.  
„Więc ty lryda jesteś, a Junona  
„Jest twoja Pani? Teraz oblok przysnął!  
„Ach! widzę, jaką miałem myśl szaloną!  
„I cobym zrobił, gdybym szablą świsnął  
„I odciał ci tę rękę, Diwo staral  
„Drugi raz nie graj w dyabła i w Tataral“

Tak mówiąc, za swą Diwą szedł z pośpiechem.  
I ze skał wyszli na łąkę zieloną,  
Na którą księżyc spoglądał z uśmiechem,  
Widząc tysiącznych róż otwarte łono.  
Chata nakryta prostej słomy wiechem,  
Scieniona lipy ogromnej korona,  
Stała na łące w najciemniejszej głębi,  
Z girlandą śpiących w około gołębi.

Z drzeniem za Diwą szedł Beniowski młody,  
Prowadząc konia, co się wyrwał z dłoni  
I poszedł zwolna, parszcząc, do wody;  
Ta wyglądała z pod białych jabłoni  
Szarfą księżycą, błękitem pogody.  
Za nim koń drugi poszedł rząc, a oni...  
To jest, nie konie, lecz nasz rycerz z Diwą,  
Weszli w lepiankę pochyłą i krzywą.

Staruszek, Diwy mąż, poświecił w sieni,  
I drzwi otworzył od Panny pokoju.  
Na progu stała, jakby smętna ksieni,  
Panna Aniela, cała w białym stroju;  
Z dyamentowych zaś miesiąc pierścieni,  
Podobny do gwiazd migających roju,  
Błyskał na kruczych włosach rozwiniętych,  
Właśnie jakoby złote światło Świętych.

Beniowski myślał, że Anioł, i witał  
Jak bóstwo, długiem, przeciągłem westchnieniem,

Potem się zmieształ i o zdrowie spytał;

Co dziś byłoby wielkiem uchybieniem!

Nieświatowością znakiem, że nie czytał

Pani Sand, że się bajronicznym cieniem

Nie okrył, że jest niezgrabny w rozmowie,

Że nie wie, jak to mówi romansowie.

Ja sam się dziwię, że za bohatera

Wziąłem takiego prostego szlachoićal

Oto pierwszy raz swe usta otwiera

Przed swą kochanką, która w nów księżyca

Swe włosy czarno-błękitne ubiera,

Jakby sawantka, albo czarownica,

I słyszy, że nie jak wieszcz lub astronom

Kochanek wita ją, lecz jak ekonom.

Na niezgrabnego już masz patent, a ja,

Rycerzu, wyprę się twoich grubijaństw,

I cała moich poematów zgraja

Lęka się dalszych twoich swarów, pijaństw!

Anelli cię ma biały za lokaja;

I Balladyna, skora do zabijaństw,

Wolałaby się w trupów ukryć gęstwie,

Niż przyznać, że jest z tobą w pokrewieństwie;

Co jest niejaka prawda, bo te mary

Jedne się rodzą z serca, drugie z głowy,

A trzecie tylko z dziwnej, twardej wiary

W przyszłość, a czwarte obłok piorunowy,

A piąte mi koń w stepach przyniósł karw.

Lecz ten poemat będzie narodowy,

Poetów wszystkich mi uczyni braćmi,

Wszystkich, oprócz tych tylko, których zaćmi.

Lecz do powieści.— Więc na progu stała

Panna Aniela prosta, dumna, czysta;

Dla zalotników zwyczajnych jak skała,

Z czego kochanek wybrany korzysta.

Albowiem nigdy nie kokietowała

Dla tego tylko, aby mieć ze trzysta

Kornych kochanków pod wachlarza trzonkiem,  
Z którychby żaden nie chciał być małżonkiem.

Lecz u Polaków tak: ciągną jak słomki

Za oczkiem jakiej Marysi lub Wandy,

Która im różne rozdaje przydomki,

A wiosną listkiem cyprysu, lewandu

Z nimi w zielone gra, lub wiąże słomki;

Lub wędkę rzuca w te rybek girlandy,

Które za każdym wody pluskiem płyną,

Skosztują, haczek obaczą—i miną.

Lecz u Polaków tak: widziałem całe

Przy jednej panie gimnazya, licea;

Ta miała często rączęta nie białe,

A złość tak wielką w sercu jak Medea;

A zaś korzyści z tych miłości małe,

I małe bardzo na później trofea.

Rozdały wiele włosów, łez, podwiązek,

Żadna nie weszła stąd w małżeński związek.

A stąd przestroga, że takie zbiorowe

Miłości nie są w miłości nie warte;

Że lepiej serce zawrócić niż głowę;

Serca w miłości bowiem są uparte,

Choć głowy stokroć bardziej romansowe,

I stokroć bardziej ognienie zażarte;

I często widząc, że na świecie źle tym,

Z rozpaczny kończą tak, jak Werner w Getym.

Więc z drugiej strony w tem jest kompensacya

Dla tych, co dzisiaj są starymi panną,

Gdy na rozstajnej drodze jaka stacya

I kamień—i trup w białą czaszkę ranny,

Świadczą, że każda z nich, jako akacya

Okryta słodkim kwiatem w czas poranny,

Brzęczała w koło pszczoł zalotnych wieńcem,

I ma kochanka w piekle—potępieńcem.

Takim sposobem wnc jest heroina,

I poeci ją rymami zaszczyca:



Już jej nie nazwie nikt w pieśni dziewczyna,  
Lecz musi nazwać posepnie dziewicą!  
A kochanek jej, jak Fingal lub Ryno,  
W chmurach skłębionych igra z błyskawicą,  
I śpiewa wichrom piekielny tryolet,  
Mając łązy w oczach, a w ręku pistolet.

Ale to nie był los Panny Anieli;  
Chociaż tak piękna, jak żadna śmiertelna,  
Zbliżyć się ludzie i kochać nie śmieli.  
Została dumna i nieskazitelna,  
Chodziła jako łabędź lub anieli,  
Kołysząc się na giętkiej stopie.—Strzelna  
Nie była swymi żrenicami—zgoła!  
Lecz oczy czarne jej paliły czoła.

Włosy jej długie, krucze, w róg zwinięte,  
Ciężyły głowie swą jedwabną wagą.  
Ta sama głowa miała kształty święte,  
I uświęcone snycerską powagą,  
Smukłe, ku plecóm w okragłość ściągnięte.  
Ktokolwiek widział marmurową, naga,  
Florentką Wenus, nie weźmie za fraszki  
Tęgo, co mówię tu o formie czaszki.

Jak owo jaje, w którym kiedyś Leda  
Powiła syna bogu łabędziowi,  
Jak? — dzisiaj się to wytłómaczyć nie da  
Przez żaden nowszy cud katolikowi;  
A gdym tłómaczył, to panna Praxeda  
Święta, aniołek jezuicki, wdowi,  
Jak na kazaniu siedziała sanskryckim,  
A potem dała mi w sam łeb—Witwickim.

Więc dziękowałem Bogu, że z pod prasy  
Nie wyszło jeszcze sześć psalmów Bojana,  
Bobym te wszystkie katolickie kwasy  
Miał na łbie, wszystkie sześć! Bo ta kochana  
Panna Praxeda, gdy chodzi w zapasy  
I chce traktować jako szatana,

Co ma pod ręką katolickich wieszczów,  
Rzuca na głowę, i bije, i wrzeszczy.

Podziękowawszy więc Bogu, że tylko  
Dostałem Złotym Ołtarzykiem, który  
Każdą klamerką mię ukłuł jak szpilką,  
Na niedźwiadkowe się bowiem pazury  
Zamyka. Czemże jest ból? Jedną chwilką!  
Jak mówią w Dziadach Mickiewicza chóry.  
Podziękowawszy w tej chwili chwilowość,  
Wpadam w opisy znów i w romansowość.

Aniela miała cudowną postawę,  
W noszeniu głowy cudną lekkość — włosy  
A l'antique — barwy troszeczkę bladawe,  
Oczy skier pełne, teraz pełne rosy,  
Smutne i twarzy kochanka ciekawe,  
I pytające się o własne losy.  
Jej ręka piękna, mała i biała,  
Za szorstką, silną biorąc rękę, drżała.

„Ty wyjeżdżałeś! tyś mi nie powiedział,  
„Ale me serce jest miłosnym szpiegiem!  
„Nie mów mi, że jest między nami przedział  
„Fortuny. Jestem nad przepaści brzegiem!  
„Usiadł opowiem, wszystko będziesz wiedział!  
„Nie strasz się tylko trudności szeregiem,  
„Nie strasz się! jesteś ludziom w poniewierce...  
„Lecz ja cię kocham jedna, ja mam serce.

„Straciłeś cały majątek? — i cóż mi  
„Majątek, ludzi sąd? ja kocham ciebie!  
„Ja twego serca chcę, a nie twych dusz mi  
„Potrzeba! pójdę o zebrany chlebie.  
„Nie odpowiadaj mi na to, nie krusz mi  
„Serca, mój los już zapisany w niebie.  
„Ja kocham ciebie! w twojem sercu żyję.  
„Kto nas rozdzielić chce, ten mię zabije!

„Dzisiaj przyjechał Dzieduszycki z drogi,  
 „Znów się oświadczył i o moją rękę  
 „Prosił. Mój ojciec stał się dla mnie srogi,  
 „I guwernantka, jak na moją mękę,  
 „Za ojcem trzyma. I ludzie i bogi  
 „Przeoiwko nam są — i wuja Sosenkę  
 „Przekabacili już na swoją stronę.  
 „Płakałam — patrzaj, oczy mam czerwone.

„A tu jak na złość! dla Dzieduszyckiego  
 „Był bal. Czy widzisz, jak jestem ubrana?  
 „Musiałam ubrać się dla ojca mego  
 „W ten księżyc, lecz ja dla mojego pana,  
 „Dla ciebie tylko! dla ciebie samego  
 „Ubrałam się tak w kwiaty, po kolana.  
 „Prawda, że dobrze mi tak bez zawoja?  
 „Ja nie ubrałam się dla nich — ja twoja!

„Lecz ty wyjeżdżał? gdzie? O! ty niewierny!  
 „Gdyby nie Diwa, byłbyś już daleko.  
 „Gdzieżeś ty jechał? Gdy mię ból niezmierny  
 „Drećzy, kiedy mnie przed ołtarze wleka;  
 „Gdy nie zostaje nic, jak się w cysterny  
 „Rzucić, lub twoją się zakryć opieką,  
 „Ty mię opuszczał w chwilę tak okrutną!  
 „Ja przebaczyłam już, ale mi smutno.

„Czy ty nie ufasz, że ja zdołam jedna  
 „Oprzeć się, zostać twoją? Ja nie płochał  
 „Ty nie wiesz, co to jest kobieta biedna,  
 „Kiedy ją drećzą; kiedy mocno kocha,  
 „Zgubi się, potem u wszystkich wyjedna  
 „Ży nad swem sercem zgubionem i trocha  
 „Kwiatów, i więcej też żadnej nie trzeba,  
 „Cóż to? Nie mówisz nic do mnie? O nieba!

„Myślałam, że ty mi dasz nadziei“ —  
 „Tu wypuściła z rąk rękę kochanka —  
 „Myślałam, że ty w tej smutnej kolei“...  
 „Tu qłisko, szczęściem, stała z wodą szklanka,  
 „Wzięła ją, drżące w szkło usteczka klei.

Ząbki o kryształ dzwonią jak kraszanka,  
 Kiedy się z drugą spotka w dziecka dłoni.  
 Rzekłbyś, że perła o dyament dzwoni:

„Myślałam“... Głos jej o jedną oktawę  
 „Zniżył się i pękł, jak pęknięcie struny.  
 „Bolesć zlamada jej giętką postawę,  
 „Myślałbyś, że się chyliła do truny!  
 „Tak nawet małe usteczka jaskrawe  
 „Zbladły, uczuwszy gorzkich łez piołuny.  
 „Padła na krzesło i przez łzawe deszcze  
 „Błysnął ostatni jęk: „Kochasz mię jeszcze?“

Beniowski już był na kolanach — w dłonie  
 „Wziął drżącą rączkę Anieli. Tu proszę  
 „Włożyć mi wieniec Petrarcki na skronie;  
 „Bo na tem pieśń zakończę i ogłoszę  
 „Po dawnych wieszczów umarłych koronie  
 „Czas bezkrólewia; pobuntuję kosze,  
 „Krytyków kupię z Grabowskim prymasem,  
 „Reszta owczarzy moja. A tym czasem

Jako pretendent, na własne poparcie  
 „Utworzę całe wojsko w drugiej pieśni.  
 „Epiczny zamiar wyjawię otwarciem,  
 „Wyjdę z dzisiejszej estetycznej cieśni,  
 „I skrzydeł mojej Muzy rozpostarcie  
 „Tęczowym blaskiem was oślepi wcześniej,  
 „Niż miałem zamiar. Suszę tylko głowę,  
 „Jak w rzecz wprowadzić rzeczy nadzmysłowe.

Nie podobało się już w Balladynie,  
 „Ze mój maleńki Skierka w bańce z mydła  
 „Sięcho po rzece kryształowej płynie;  
 „Ze bańka się od gazowego skrzydła  
 „Babki-konika rozbija i ginie;  
 „Ze, w grobie leżąc, Alina nie zbrzydła;  
 „Lecz piękna z dzbankiem na głowie martwica  
 „Jest jak duch z woni malin i z księżycą.

Nie podobało się, że Grabiec spity



Jest wierzba, że się Balladyna krwawi;  
Ze w całej sztuce tylko nie zabity  
Sufler i *Młoda Polska*, co się bawi,  
Jak każdy głupiec, plwając na sufity  
Lub w studnię; która po sobie zostawi  
Tyle, co bańka mydlana rozwalin,  
A pewnie nie woń miry, ani malin.

O Boże! gdyby przez Metempsychozę  
W Kozaka ciało wleść, albo w Mazura,  
I ujrzeć, jaką popełniłem zgrozę,  
Pisząc naprzykład — Anhellego. Chmura  
Gwiazd, białych duchów, które lgną na łozę  
Jak szpaki Danta; rzecz taka ponura,  
A taka mleczna i niewarta wzmianki,  
Jak kwiat posłany dla pierwszej kochanki.

Pewnie bym—lecz ta spowiedź jest za długa,  
Dygresye nudzą; więc mój czytelniku,  
Spróbuj, czy ci się pieśń podoba druga,  
Gdzie więcej nieco będzie gwaru, krzyku,  
Kościół i wielka słoneczna framuga,  
I na tęczowym Duch Święty promyku;  
Także cokolwiek szlachty. Powieść taka  
Jak dawny, długi, lity pas Polaka.

## Pieśń II.

O, nie lękajcie się mojej goryczy!  
Dalibóg, nie wiem sam, skąd mi się wzięła.  
Długo po świecie pielgrzym tajemniczy  
Chodziłem, farby zbierając do dzieła,  
A teraz moja Muza strof nie liczy,  
Lecz złe i dobre gwiazdy siać zaczęła.  
Komu za kołnierz spadnie przez przypadek  
Syrjusz, zrzucony przez nią, lub Niedźwiadek,

Spali się, lecz ja nie winien. Per Baccol  
Różnymi drogi mój poemat wiodę;  
Jak Chochlik często częstuję tabaką,

A gdy kichają, ja zaczynam Ode,  
Naprzykład drugą piękną Ode taką,  
Jak do młodości. Może serca młode  
Pokochają mię za to, że jestem śmiały,  
Jak Roland, który w pół rozcinał skatły.

I teraz chciałbym rozciąć... co?... dom jeden,  
Podolski jeden dom rozciąć na dwoje;  
I pokazać wam, jaki szczery Eden!  
Jak nieraz pełne aniołów pokoje!  
Jak złoty, piękny domów jest syreden!...  
Ukraińskie to słóweczko, nie moje.  
Wywołał je tu rym przez dźwięki bliźnie,  
Nie miłość, którą mam ku kozaczyźnie.

Chciałbym więc rozciąć jeden z dawnych dworów,  
Które na górach stoją nad stawami.  
Stawy, to tarcze z tęczowych kolorów,  
Gdzie się łabędzie białe za gwiazdami  
Gonia, podobne do srebrnych upiorów,  
A na nie księżyc jasnymi oczami  
Patrzy... na niebie jeden, przez topole,  
A drugi taki złoty księżyc... w dole.

Atoli, wewnątrz tych domów dopiero  
Poetycznem jest... zwłaszcza, jeśli miłość  
Oświeci, wonną je napełni mirą,  
I ścian drewnianych sprostuje pochyłość.  
Podolanek są usta srebrną lirą,  
Serca... ta strofa ma pewną zawilłość.  
Której nie lubię, lecz ją skończyć muszę:  
Serca są takie jak aniołów dusze.

Sam znałem jedną... lecz nie wspomnę o niej,  
Bo się nadzwyczaj mój rym rozserdeczni.  
Od serca mi jej wiało tyle woni  
I tyle światła, że mi dziś słoneczniej,  
Chociaż mi zegar teraz północ dzwoni,  
Niż gdybym w Boga się patrzył najwieczniej.  
Niech was bluźnierstwa nie rozpędza trwoga,  
Ona umarła już... jest częścią Boga —

Duszą, światłością, wola, jedną chwilą  
Wieczności, wiedzą wszystkiego... O! dosyć!  
Niech resztę grobu cyprysy ochyła,  
Różom najbielszym jej żalobę nosić,  
Jej słońca drogi młecznej nie omyła;  
Zdziwiona blaskiem, będzie się podnosić  
Jako harmonii lekkiej głos, bez końca,  
Ze słońce na wielkie słońca, i nad słońca.

A gdy się w drogi zatrzyma połowie,  
Jak gołąb puszcze za nią skrzydła chyże,  
A tu mi ręce zawiążcie na głowie,  
I twarzą bladą połóżcie na lirze,  
Jakbym, w alpejskim upadłym parowie,  
Spoczywał. Miałem ja troski i krzyże,  
Więcej niż śniło się wam filozofom —  
Lecz dajmy pokój tym myślom i strofom.

Dosyć o sercach strzaskanych, o świecie  
Tu — ziemskim i tam — nadstonecznym; oba  
Smętne są. — Światy wam utworzę trzecie;  
Jeżeli się mój poemat podoba,  
Znów drugi, wielki tom napiszę w lecie:  
A te zostaną pieśni jako próba,  
Wcale nie według mego serca... ale  
Ponieważ moje są, otwarcie chwala.

Głupi! o sobie dobrze mów! wykrzyka  
Ryszard w okropnym bardzo monologu,  
Ujrzawszy siebie we śnie jak krwawnika  
Ocierwienionym, na piekielnym proggu...  
Szkoda, że w księdzu Kiofalińskim znika  
Szekspir; przyczyną jest trudność połogu  
W stanie bezżennym... także to, że z księdza  
Nie może nagle być Makbeta jedza.

O księżkach dobrze mów! jest to przestroga  
Już nie Szekspira, na tym fundamencie  
Moralność cała stoi!... Lecz na Bogal  
Gdzie mój poemat? Moje przedsięwzięcie  
Epiczne? Moja Ariostyczna droga?...

Widzę, że wszystko mi stoi na wstręcie.  
Nawet pisania łatwość rzuca plamę —  
Mówią, że w czterech dniach uktadam Dramę.

O Boże! ileżbym stworzył romansów,  
Gdybym chciał wszystkich d...w być zabawą!  
Wyspą dla grubych naszych Szanso Pansów,  
Na którejby się uczyli ze sławą  
Sylabizować. Lecz z prozą aliansów  
Nie chcę... do wiersza mam, jak sądzę, prawo.  
Sam się rym do mnie miłośnie nagina,  
Oktawa pięści, kocha mię Sekstyna.

Ktoś to powiedział, że gdyby się słowa  
Mogły stać nagle indywiduami,  
Gdyby ojczyzną był język i mowa:  
Posąg by mój stał, stworzony głoskami,  
Z napisem *patri patriae*... Jest to nowa  
Krytyka... Stój!... ten posąg błyska skrami,  
Spogląda z góry na wszystkie języki,  
Lśni jak mozaika, śpiewa jak słowik!

Otocz go lasem cyprysów, modrzewi:  
On się rozjęczy jak harfa Eola,  
W róże się same jak Dryada wdzwawi,  
Głosem wyleci za lasy na pola,  
I rozlabędzie wszystko, roześpiewi...  
Jak smukła, pełna słowików topola!  
Co kiedy w nocy zacznie pieśń akrydyłata,  
Myślisz... że w niebo ulatujesz z chata,

Ze porwał cię głos, jasność księżycowa,  
Serce rozkwitłe, rozlatane pieniem.  
O! gdyby mogły się na posąg słowa  
Złożyć i stanąć pod cyprysów cieniem.  
Jak marmur, który duszę w sobie chowa,  
I z wolna złotym wylowa strumioniem!  
A tak powoli łuje i łagodnie,  
Ze po tysiącach lat, jak słońce wachodnie  
Stoi w nim cała, ogromna... O! gdyby—!



Zachcenia moje są jak Klefta żądze,  
Który chciał w trumnie mieć dla słońca szyby  
I dla jaskółek... na co?... Znowu błądzę,  
Jak Telimena, gdy wyszła na grzyby,  
A zbiera mrówki — mrówkami są żądze —  
Na wiatr to mówię tylko, lecz w nadziei,  
Zem dostrzegł, jako Poznańczyk, idei.

Czy w poemacie tym równie szczęśliwa  
Krytyka równe porobi odkrycia?  
Nie wiem. Czasami myśl w eterze pływa,  
Przez piękne bardzo przelatując śnicia;  
Lecz później, pismo, druk... tęczę obrywa  
Z kształtów... A teraz odbłysek mego życia  
Na ten poemat pada niezbyt pięknie.  
Patrzcie, jak serce wesole... gdy pęknie!

Szczęściem, że pieśni tej bohater młody,  
Świeży, miłosny i ma ciemne oko,  
Złote połyskiem zielonawej wody,  
Lecz nie zbyt na świat patrzące głęboko.  
Owszem ma nadto serdecznej pogody,  
Nadto mu prawie na świecie szeroko.  
Ach! nieraz szczyrze westchniecie z litości,  
Widząc, jaki w nim brak artystyczności!

Poezya go otacza... czytelniku!  
Na jego miejscu, o! ileżbyś razy  
Uczuł, że dusza twa na wykrzykniku  
Hypogryfując, leci, klnie wyrazy,  
Klnie, że w około zimnych serc bez liku  
Same szkielety pod nią, same płazy!...  
Beniowski, jakby go Bóg o tem ostrzegł,  
A priori to czuł... lecz i nie spostrzegł.

Co lepsza, nigdy nie mówił, nie pisał,  
Biedaczek! brakło mu formy gotowej!  
Nigdy się w myśli dzwon nie rozkołysał,  
Idei żadnej w nim nie było nowej...  
Najnowsze z ustek różanych wysysał,  
I teraz, patrzcie: w pasiece lipowej

Kłęczy pokornie przy kochanki nodze,  
Oboje na zbyt niebezpiecznej drodze.

Lecz młodość... O! ta pomimo dewotek;  
Ta jest najlepszą obroną dziewicom;  
To jest kochanków młodość. Mimo plotek,  
Szesnastoletnim się przybliżyć licom  
Pozwólcie... zwłaszcza, gdy chłopiec podłotek  
Zazdrości skrzydeł dwu synogarlicom,  
Dla tego tylko, że się mogą bratać  
Piórkami... ścisnąć, i gruchać, i latać.

O pierwsza miłość!... Tej wiernym obrazem  
Jest zamienienie serc bez interesu!  
Tej ideałem jest latanie razem  
W krainie, w której nie ma końca, kresu.  
Potem się człowiek głupi staje płazem...  
Mimo krew zimną, z każdego karesu  
Mogą wynikać rzeczy złe i zdrożne,  
O których książki już mówią nabożne.

Za takie rzeczy, nie rozumiem zgola,  
Dla czego w Rzymie nieszczęśne grzesznice  
Sadzą do zamku Świętego Anioła...  
Prócz tych... Ta strofa musi zakryć lice;  
Wstydy się, że tę myśl wzięła od czoła,  
Nie zaś z profilu. O, Muzy dziewice!  
Zarumieniem waszem ucieszony,  
Wracam do bajki mojej... z innej strony.

To jest, zostawiam z kochankiem dziewicę  
Śród róż, drzew, światła księżycowych, woni,  
Wód, rzucających srebrne błyskawice  
Z pod brzoź i bielą okrytych jabłoni,  
Serce przy sercu, i przy licu lice,  
Dłoń niespokojna w niespokojnej dłoni;  
Ach! są to rzeczy bardzo piękne, czułe,  
Lecz wieszczą mogą przemienić w gadułę.

A więc do zamku wracam, gdzie starosta  
Kłaniał się, pocił, dał, puszył, brał na ton:

A chociaż szlachta go słuchała prosta,  
 O rzeczach duszy rozmawiał jak Platon,—  
 Na mózg wesółych ludzi wielka chłosta!  
 Więc się rozeszli, wołając sen... jak świat on,  
 Co się naówczas zdał za-atlantyckim...  
 Został się pan starosta z Dziołuszyckim.

Zwalił to wprawdzie na króla rozkazy;  
 Ale się wyparł król, jak zawsze bywa,  
 Wyparł się jako święty Piotr... trzy razy,  
 I cała wina na koguta spływa,  
 Dla tego, że piał. A więc wszystkie zmaży  
 Pan regimentarz, kochanek Gradywa,  
 Dźwigał na sobie i chował *in petto*  
 Zemstę, jak Włochy, co się mszczą *stiletto*.

Tymczasem chciał się ożenić bogato,  
 I okiem wszystkie przemierzywszy domy,  
 Najlepszym z domów wydał mu się na to  
 Ów zamek, wielki, malowniczy, stromy,  
 Gdzie mieszkał szlachcic pół, pół król, pół Kato,  
 Pół waryat, a pół syn Cezarów Romy;  
 Małeńki starzoc pół tysego czoła,  
 Ojciec, który miał córkę—pół anioła.

Wybrawszy teścia, przyjechał bez swatów,  
 Z intencją ojca się oświadczył pannie.  
 Wspomnił o drzewie naszych antonatów,  
 Nie wspomnił ani raz o krwawej wannie,  
 Którą chciał sprawić dla konfederatów,  
 Ale o królu mówił nieustannie!  
 Pokręcał wąsa, zarzucał wylotów—  
 Lubił pić, bardzo nienawidził kotów!

Dla tego kochał psy. Gdy gardło zalał,  
 Pozwolił nieraz Anieli szpicowi,  
 Aby mu lizał wąs — za psami szalał —  
 Zalecał nawet dobr intendentowi,  
 Ażeby chłopów psom kąsać pozwalał,  
 Mówiąc zuzwyczaj, że to psy uzdrowi

Od bólu zębów, a stąd od wściekliczny;  
 Miał jednak dobrą stronę... aneuryzmy.

Te dowodziły, że miał serce... Głowy  
 Nie dowodziła w nim choroba żadna,  
 Lecz materyalny kadłub, z okiem sowy,  
 Na szyi zawsze nieruchomej; składna  
 Figurka, uśmiech i ukłon węzowy;  
 Grzeczność, co w takim panu bardzo ładna!  
 Wielka znajomość świata, krajów, ludzi,  
 I wiele tego wszystkiego, co ludzi.

Ow pan układny więc siedział przy stole,  
 Przy samym panu staroście, na prawo;  
 Dobijał właśnie targu, i na czole  
 Widać mu było niecierpliwość krwawa,  
 Gryzącą—oczy utopił sokole;  
 Za ręce teścia trzymał ręką prawa,  
 Lewą na stole wyciągniętą, prosto  
 Ku kielichowi i mówił: „Starosto!

Jakem człek prawyl! jakem Polak prawyl!  
 Tak pragnę córkę twoją uszczęśliwid,  
 Wierzaj mi i bądź, starosto, łaskawy\*.  
 Tu, pragnąc trupi głos nieco ozywić,  
 Pociągnął wina. Pił jak but dziurawy,  
 I zwykł się nieco był po picin krzywić.  
 Tak wyciągnawszy blisko wina kwartę,  
 Zmarszczył, i czoło rozjaśnił wytarta

I rozjaśniony znów do zamku pana:  
 „Starosto, zezwól na szczęśliwość naszą\*.  
 Tak mówiąc, teścia przyszedłgo kolana  
 Ściśnął pod stołem i oczy, co strasza  
 Chłopów, jak oczy czerwone szatana,  
 Uczynił cukrem i pełną ptaszę;  
 A miał na oczach swoich, jak jastrząbek,  
 Z powiek wilgotno-czerwonych obrąbek

Starosta na pół śpiący ale grzeczny,  
 Nie wstawał, ani odpowiadał na to;



Pan to był bowiem, co chciał być bezpieczny,  
 Zwłaszcza, gdy ujrzał twarz żółta, wąsata,  
 I wiedział, że gniew może ściągnąć wieczny,  
 Gniew, który czeka z lichwą i z wypłatą.  
 Siedział więc zimny, lecz trochę się puszył,  
 Ze w konkur wielki pan o córkę ruszył.

Nie odpowiadał nic, bo przez połowę  
 Już spał, a wreszcie nie chciał odpowiadać.  
 Pan Dzeduszycki zaczął prośby nowe,  
 Jak do pacierzy jał ręce układać;  
 Już się był począł przez słowa miódowe  
 Do uspiętego napół serca wkradać,  
 Już widział uśmiech, co poprzedza wszędzie  
 Ostatnie, słodkie słowo: *niech tak będzie.*

Gadając, ręce pokornie złożone  
 Na stół położył obie, i wytrzeszczał  
 Na pana zamku oczy zaiskrzone;  
 Albowiem uśmiech mu senny obwieszczał,  
 Że po pijanemu zdobył sobie żonę,  
 Wtem nagle jak wąż wzdął się i zawrzęszczał,  
 Wstał, lecz na stole miał obiedwie dłonie,  
 A na nich papier i orła w koronie.

Urzał na karcie był, a karta była  
 Nożem tureckim do rąk mu przybita,  
 Bolesć go nad nią w arkadę skrzywiła!  
 Oczy w niej toną, myślałbyś, że czyta,  
 Że karta trupie kolory odbiła  
 Na jego żółtą twarz. Ksiądz karmelita  
 Za stołem cicho stał i patrzył z góry  
 Na czytelnika bladego tortury.

Ocknięty zamku pan, to raz na księdza,  
 To znów na ściany patrzył, wstając zwolna:  
 Ręka na szabli, w oczach gniewu jędra  
 Ledwo się w sobie pohamować zdolna;  
 Lecz myślał, że mu sen mary napędza,  
 Tak dziwną była ta cisza okólna,

Ten papier nagle do stołu przybity,  
 Dzeduszyckiego jęk—wzrok karmelity.

Już dawno by się był skokiem lamparta  
 Rzucił do szabli—ale mówiąc szczerze,  
 Myślał, że sen mu grał sztukę Mozarta,  
 Że Don-Zuana widział na operze,  
 Gdy trupa ziemia puściła otwarta  
 Na muzykalny wieczór i wieczerzę;  
 Tak trudno było pomiarkować zrazu,  
 Czy ksiądz był z ciała ludzkiego, czy z głazu.

Godzina była nocna, i bez przerwy  
 Piał kogut, świece miały długie knoty;  
 Na wieżach zamku śpiewał ptak Minerwy,  
 A w jednym oknie stanął miesiąc złoty—  
 Znacnie działanie tej gwiazdy na nerwy.  
 Miesiąc więc w oknie stał, dziwne łoskoty  
 Na dachu, jakby jęczenia grobowe,  
 Wreszcie Ładawy pan odzyskał mowę.

„Ktoś ty?“ Ksiądz mileczał. „Co tu robisz, mnichu?  
 Co znaczy papier ten? na Lucyperal“  
 Tu Dzeduszycki zajęczał po cichu,  
 Ale tak jęknął, jak człek, co umiera.  
 Spojrzył, chciał spojrzeć, lecz w powiek Kielichu  
 Nie było oczu, tylko białość szczerza,  
 Jak w zwierciadlanym łysnęła odrzugu;  
 Szkło tylko—gałki uciekiły do mózgu.

Starosta spojrzył i cofnął się biały  
 Jak wosk, jak oczy, którymi go szukał  
 Pan Dzeduszycki; ale okazały  
 W cofnieniu się swem, na ludzi nie hukął,  
 Zwłaszcza, że ksiądz był wielki, a on mały.  
 Nieraz zaś przedtem pan starosta fukał  
 Na równych sobie, niższym dawał szlagę,  
 Licząc na swoją małość i powagę.

Więc co miał w oczach skier, wszystkie zapalił,  
 Co miał na czole zmarszczków, zebrał razem.

Sam by się Jowisz oburzony chwalił  
Tak olimpijskim na twarzy wyrazem.  
Sporunowany ksiądz w proch się nie walił,  
Lecz w jedną szybę okien rzucił głazem.  
Na ten brzęk—wszystkie ganki i komnaty  
Przewiał ogromny wrzask: Konfederaty.

Starosta spuścił łeb, ksiądz się przybliżył,  
I wyjął szablę mu złożoną z ręki:  
„Przebacz, wielmożny pan, jeśliś ubliżył,  
Lecz zamek był nam potrzebny; a jeśli  
Tego człowieka słuszne—Bóg go zniżył.  
Ten, co na krzyżu poniósł krwawo mękę,  
Ten go nam daje; a wyrok nie minie:  
Kto mieczem grzeszył, ten od miecza zginie!”

Podczas tej mowy twarze się wasały  
Pokazywały w podwojach, kołpaki,  
Konfederatki, czapki i rogaty,  
I kragle, i kapuzy, i paklaki,  
I owe jeszcze uszami skrzydlate,  
Co ekonomów są laurem. Gdy taki  
Rój czapek i rój północnych laterek  
Zjawił się, rzekł ksiądz: „ja jestem ksiądz Marek!”

Wstrzymał się, powiódł okiem po staroście,  
Zmarszczył się i rzekł: „dla kozaka Sawy,  
Który się bije z chłopami na moście,  
Wypuścić racę nad zamkiem Ladawy!  
Wy się tu, proszę, bracia nie panoszcie  
Rabunkiem, zamek się nie poddał krwawy;  
Ale wielmożny dziedzic sam to czuje,  
Ze opór próżny—więc kapituluje“.

Na to starosta krzyknął: „protestuję!  
Przeciwko zdradzie haniebnej waszmościów,  
Jako Rzymianin z zamku ustępuje,  
Mieć nie będziecie nawet moich kościów“.  
Tu mi czytelnik zapewne daruje  
Trochę w tej mowie niegramatycznościów!

Lub niechaj raczy ze mną na spoczynek  
Do księżycowych wrócić Anielinek.

O! tam poezya gotowa!—Romeo!  
Pożycz mi twoich słów rozplamienionych.  
Zresztą już Urzę mam z Kasyopeą,  
Mam księżyc i mam dwoje serc pękniętych,  
I Filomele, co tak jak J. B. O.  
Ów Londyńczyków słowik zapalonych,  
Śpiewa dla chcących spać arystokratów,  
Tak, że go wszyscy dają do stu katów.

O! tam poezya. Gdyby tylko na to,  
Aby się zegnać, warto brać amanty.  
Czuliście kiedy tę łzę lodowatą  
Przy pożegnaniu, ciężką jak brylanty?  
Te słowa: „pójdę i skonam za krata!”  
Czyście słyszeli te słodkie kuranty,  
Grane przez wszystkie pozytywki żywe,  
A jednak—przysięgłbym, że niefalszywe:

Czyście zegnali? klęczeli? włos rwali?  
Tracili ducha? wymowę? kolory?  
Z paszportem pugilares? i tak dalej...  
Czy przysięgaliście, jako upiory  
Wrócić po śmierci, przy księżycu biali?  
Łopotać w okno czarne skrzydłem zmyry?  
Kochankę swoją w noc poślubną napaść,  
Unieść na koniu i w ziemię się zapaść?

Czy wam pozwolił potem los nie wrócić?  
Zachować smutku wrażenie niestarte,  
I całe życie się przeszłością smucić?  
Odwiedzać morza, ludy, Egipt, Sparte,  
A zawsze: „Ona teraz musi nucić!  
Teraz na księżyc oczy ma otwarte!”  
Ach! takem ja śnił, lecz na piramidzie  
Tfu! odebrałem list, że za mąż idzie!

To mię cokolwiek zmięszalo—nie bardzo,  
Ale cokolwiek zmięszalo, Bóg świadkiem!



Są ludzie, którzy wtenczas klną i gardzą,  
Lecz ja to smutnym nazywam wypadkiem.  
Takich dwa, a me serce tak zatwardza,  
Ze niezabudką już, ani bławatkiem  
Nie da się nigdy wyprowadzić w pole,  
Chyba mi posag położą na stole.

Ha, takeń zgorzkniał, że nawet nie trącę  
W tej pieśni—smutnej lutni pożegnania.  
Szeptali długo jak wierzby płaczące:  
Gołębie słycać tam było gruchania,  
Ezy zimne—usta zmywają gorące;  
Słuchać serc bicia, płacze, słowa, łkania.  
Już się rozeszli, rzecz skończona!—Horror!  
Miłość przechodzi już w pamiętek kolor,

W kameleona, w serdeczną jaszczurkę,  
W rzecz poetycznie piękna, w sen niebieski,  
W muzę, Olimpu zamglonego córkę,  
W poemat smutny od deski do deski,  
W mgłę podnoszącą się z łez, w białą chmurkę  
Na tle przeszłości, w gwiazde, w arabeski  
Tęczowe, chmurą obwiedzione złotą!  
W dole: Raphael pinxit, albo Giotto

W Galeryi siedzi dusza. O tęczowa  
Kopuło myśli! tyś moim kościołem!  
Wymalowana, jasna, księżycowa,  
Nad srebrnym duszy wisząca aniołem!  
Modlitwą w tobie są rozpaczy słowa.  
Serce wygląda jak urna z popiołem,  
W najtajemniejszej kaplicy stojąca,  
Tak jesteś, gdy cię żaden wiatr nie trąca.

Lecz kiedy burza zawieje i wzruszy  
Z filarów ciebie, kopuło tęczowa,  
Pekasz jak niebo nad aniołem duszy;  
Próżno się broni w błyskawicach głowa!  
Cały gmach na nią upada i kruszy  
I ją i serce, które biedna chowa!

Jak smętny łabędź, pod skrzydły białymi  
Pękło — popioły rozwiął wiatr po ziemi.

Skończona wielka tragedia powagi  
I ciszy greckiej; reszta wiatru wyciem —  
Myśl zabłysnęła nagle jak miecz nagi,  
Marzenia stają się czynem i życiem;  
Czyny się stają piorunem odwagi —  
Rozbiły kościół! Pod jego rozbitciem  
I serce pękło i burza przewyła —  
Z wszystkiego, patrzcie co?—krzyż i mogiła.

Precz! wszystkie takie sceny, odgrywane  
W teatrze naszych wnętrzości. Maurycy  
Przejdzie, uczuje sercem każdą zmianę,  
Czas mu postawi zwierciadło różnicy,  
Czas matematyk. Dziś serce strzaskane —  
Ruszył na koniu pędem błyskawicy;  
Za nim pasieka, szczęście, przyszłość, ona!  
Kto wie, za kilka lat czy jego żona?

Panna Aniela, jeszcze nieświadoma  
Odmian, które się w zamku wydarzyły,  
Biegła — ścieżeczka przed nią była stroma,  
Pomiędzy skalne wijąca się bryły;  
Potem sadzawka i ów dąb z rękoma  
Założonymi, ów dąb pełen siły,  
Który się dawniej kochał bez nadziei,  
Jedno swe oko topiąc w Galathei.

Nad tą sadzawką nasza młoda panna,  
Już zadyszana, stanęła poprawić  
Włosy. Sadzawka była bowiem szklanna,  
Można się było w niej oczyma bawić;  
I była to gwiazd kryształowych wanna,  
I rybki się w niej zaczynały jawić,  
Długie, błyszczące robiąc korowody,  
Ilekcć leżkę rzuciła do wody:

Ale przed rankiem rybki spały na dnie.  
Panna Aniela uwiązała włosy,  
Nie przypatrzyła się nawet, czy ładnie,  
Lękała się tknąć kwiatów pełnych rosy,  
I serce biło w niej, bo chciała zdradnie  
Do zamku dostać się, a jakieś głosy  
W powietrzu cichem brzęczały i gwary;  
Jak gdyby przez sen mruczał zamek stary.

Konfederatów był to wrzask daleki,  
Którzy już doszli byli do piwnicy.  
Panna Aniela wezwała opieki,  
Nabożną będąc, u Bogarodzicy.  
A wtem, gdy wzniosła do nieba powieki,  
Blask jakiś nagły jak od błyskawicy  
Całą oślepił. Nim oddech utracę  
W tej strofie, powiem, że ujrzała racę.

Była to owa rasa, nakazana  
Przez księdza Marka, na znak panu Sawie;  
Pod biedną panną zadrżały kolana  
Z trwogi, wąż leciał, paląc się jaskrawie,  
I syczał, i tak jak oko szatana  
Spojrzał z błękitu, i tak jako pawie  
Piór płomienistych zaokrąglił końce,  
I zatrzymany w niebie, trwał jak słońce.

Anieli zdało się, że już odkryta,  
Że już ją widzi ojciec, jej dugena,  
Niebo, ta rasa na gwiazdach rozbita,  
I każda róża w ogniu, i phalena:  
Już zdało się jej, że świat cały pyta  
I pokazuje ją palcem. — Ta scena  
Byłaby bardzo przykra dla tej panny,  
Gdyby to zamiast racy, był świt ranny.

Lecz rasa zgasła i swe włosy złote  
W ciemnem powietrzu cicho osypała.  
Kilka z tych włosów przez grubą ciemnotę  
Upadło właśnie z nieba tam, gdzie stała  
Panna Aniela, myśląc jak tę psotę

I te wycieczki będzie ubierała  
W wymówki; i pod ulewą ognistą  
Przybrała na się postać dziwnie czystą.

Różane usta przygryzła zdradliwie,  
Z oczu spuszczonech w bok miotła błyski,  
Trochę się patrząc smutnie i fałszywie,  
Przygotowała dla ojca uściski,  
Dla guwernantki podobne pokrzywie  
Pocałowanie, jeden ukłon niski  
Dla pretendenta do obrączki ślubnej,  
I z tym ukłonem uśmiech treści zgubnej.

Mimo to wszystko, serce biło szybko,  
Coś do tej główki wpadło... i pobiegła,  
Biegąc jak gdyby była złotą rybką,  
Która od wędkę zdala plusk spostrzegła;  
I coraz prędzej leciała i gibko  
Chwiała się, ogniem twarzyczkę zażęgła,  
Zadyszała się... i różowa wpadła  
W bramę i w koło spojrzała i... zbladła.

.....  
Nie zapytała ich o nic, nie śmiała  
O nic zapytać panna starościanka.  
Ale spojrzawszy na nich, już nie drżała;  
Już wyglądając dumnie jak Rzymianka,  
Wyprostowana, sroga, trochę biała,  
A okiem paląc jak Transteweranka...  
Biegła, jak wichur szła przez korytarze,  
O swego ojca twarz patrząca w twarze.

Jako Elektra weszła; elektrycznie  
Cała się wstrzęsła, widząc ojca w tłumie,  
Który dowodził wtenczas retorycznie,  
Że schylić głowy przed nikiem nie umie;  
Że radby się był rozsądzić granicznie  
Z konfederacją... i tak dalej. W szumie  
Tych słów nie więcej nie pojęła córka,  
Tylko, że ojcu grozi jakaś chmura.



Ujrawszy córka to, nie mówiąc słowa,  
 Pewnymi kroki do stołu się zbliża:  
 Widzi, że sterczy w nim sztyletu głowa  
 W papier utkwiona, więc jak piorun chyża  
 Wrywa ów nóż i za gorset chowa.  
 Wtenczas, by ręce boże zdjęte z krzyża,  
 Ręk dwoje wyszło z pod papieru . . .

Serce w nim chore było coraz prędzej,  
 Czekając tylko na noża wyjęcie,  
 I pękło. — Siwy ten sęp z okiem jędzy  
 Utonął teraz już w dziejów odmiecie;  
 Ale są życia, co z tej samej przędzy  
 Wina się... dla nich ten rym i przeklecie:  
 Niech swoją przyszłość w tej pieśni odkryją!  
 Niech jak psi patrzą na trupa i wyją!

Gdy padł ręk własnych zcierwieniony łzami,  
 Ksiądz Marek z krzyżem do niego przyskoczył;  
 Lecz..... za krzyż ukąsił zębami,  
 A potem ręką odepchnął i zboczył.  
 Szmer zgrozy zachwiał w pokoju światłami!..  
 Ksiądz wyjął bréwiarz, ustami namoczył  
 Palec i karty przewracał z pokorą,  
 Wiedząc, że duszę tę... już dyabli biorą.

Wtenczas starosta rzucił się do stołu,  
 Kułakiem stuknął, krzyząc: „rozbójnicy!”  
 Przemierzył księdza od góry do dołu:  
 „Waszeć byś lepiej modlił się w kaplicy  
 „Niż — z mojego cię wyklnę kapitolu!  
 „Córko! podaj mi papier... kozak, świecył  
 „Siadał tu panna, *et pagina fracta*  
 „Pisz protestacyą, która pójdzie w akta.“

Posłuszna panna Aniela usiadła,  
 Chwyciła w rękę pióreczko łabędzie...  
 A starzec do niej: „ta krew czarna, zsiadła,  
 „Ta krew na stole atramentem będzie,  
 „Umocz tu pióro.“ Aniela poblada;

Krwia był zalany stół aż po krawędzie,  
 Krwia, co wyciekła z rąk regimentarskich,  
 Gdy mu przybito do nich wyrok barskich.

„Je posłuszna, w krwi zmoczyła pióro,  
 „Potem spojrziała i dreszcz ją przeniknął.  
 „Wezwawszy bogów na świadki... pisz, córco!  
 „Których bogdajby wzroku nie uniknął  
 „Ów czyn nieszcześny i haniebny... juro!“...  
 „Tu karmelita ksiądz powstawszy, krzyknął:  
 „Ja egzorcyzmem te szatany zwalczę...  
 „Co? ty krwią każesz pisać, bałwochwalcze?

„Zaprawdę mówię ci, panie starosto,  
 „Ze masz na oczach bielmo i ślepotę.  
 „I powiem ci tu bez ogródek... prosto,  
 „Ze prosto idziesz w piekielną ciemnotę,  
 „Za to cię Pan Bóg chciał ukarać chłostą,  
 „I gdyby nie ja — te komnaty złote  
 „Byłyby dzisiaj twoją krwią zwalane,  
 „I purpurowe i w ogień odziane.

„Gdyby nie nasze nad tobą czuwanie,  
 „Dzisiejszej nocy kozak twój Mohiła  
 „Miał tu pohulać z tobą, wielki panie!  
 „Dziśby tu wielka rzeź w zamczysku była.  
 „Idź!... on przykuty łańcuchami w ścianie,  
 „A przy nim zbójców powiązanych siła,  
 „Idź! obacz, jakie teraz mają łoża:  
 „Leżą na workach, a w tych workach... noże!

„O! taka pościel będzie dla grzesznika,  
 „Co, jak ty, patrzy na mordy spokojnie!  
 „Dziś byłbyś w piekle, tu, bez spowiednika  
 „Zamordowany... Pan Sawa się zbrojnie  
 „Z twoimi chłopcy na moście potyka,  
 „I za twą całość krew wylewa hojnie:  
 „A twoja siwa się tu rzuca głowa,  
 „Jak gołąb biała, lecz w myślach jałowa?“

Podczas tej mowy pan starosta w czoło

Księdza jasnymi patrzył się oczyma;  
Nagle, jak człowiek, gdy ujrzy, że goła  
Zbójca siekiere nad głową zatrzyma,  
Zadrżał. — A wtem pan Sawa wszedł wesóło...  
Sawa, ogromny skarb dla pisoryma,  
Pół kozak, a pół szlachcic... ten donosił,  
Ze całą groblę starosty krwią zrosił.

I widać było to na nim: wszedł z brzękiem,  
Hucznie, lecz spojrzął i zmieszał się cały,  
Ujrzawszy oczy, w których całym pękiem  
Kupido trzymał najeżone strzały.  
Zamek był broni napełniony szczękiem,  
Trup na podłodze, karmelita biały  
Nad trupem, blady starosta, stół krwawy,  
Za stołem panna anielskiej postawy,

Jako Sybilla z piórem w ręku... Bastal  
Na tym się moja pieśń kończy obrazie.  
Dalej ujrzycie zapalone miasta,  
Szlachcica z Żydem, z psem na drogoskazie  
Wiszących — Romans w poemat urastał  
Co w nim o królu będzie, o zarazie,  
O Panu Bogu? Pociągnąwszy hausta  
Jak się rozogni myśl, napiszę Fausta.

Jak się rozgniewam na imaginacya,  
Dyabłowi oddam bohatera duszę,  
I pewnie zyskam wszystkich aprobacją —  
A tych, co płakać ze mną nie chcą... zmuszę.  
I demokracją i arystokracją  
Do łez głębokich trzecią pieśnią wzruszę...  
Wziąwszy następnie za rymów dewizę:  
Jeżeli gryzę co — to sercem gryzę.

### Pieśń III.

O! jakże smutno w jasnej życia wiosnie  
Być tak samotnym jako Pan Kazimierz!  
Gdy świat przed tobą w nieskończoność rośnie,

Gdy wszystko tęcza; lecz czego się imiesz —  
Błotem. Dopóki serce wre miłośnie,  
Nie żyjesz na tym świecie, ale drzémiesz;  
Gdy zgasnie, wtenczas zacznasz dopiero  
Pojmować, że ten cały świat satyr

Dopókiś młody, bawia cię ballady,  
Poezya gminna nadzwyczaj zachwyca,  
Lubisz w wierszykach chmury, księżyc, gady;  
Znajdujesz, że jest jakaś tajemnica  
W mgle, w której wiersze brzęczą jak owady  
I brylantują myśl blaskiem księżycy;  
I myślisz, że to sam poeta roi,  
Skrzy się i błyska i leci? — On stoi.

Ty sam te wiersze niesiesz w kraj marzenia,  
W tej mgle twych własnych myśli tęcza swita,  
W tych dumkach twoje latają westchnienia;  
Potem z tych wszystkich wierszy, dumań—kwita,  
Potem trzy wiersze Danta, pełne cienia  
Ale rozumu, serce twoje chwytą,  
Waży, rozbiera. A prawdziwa lekcyca,  
Która poezyi uczy, jest dyssekcyca.

Szkoda, że z takiej dyssekcyi wynika  
Jakaś szkodliwa materyalność, sucha —  
Eureka! nasz Pan Grabowski wykrzyka,  
A Tygodnik go Petersburski słucha:  
„Oryginalny wieszczcz do Tygodnika  
„Napisał nowy wierszyk pefen ducha,  
„Który zapewnia mu wieniec osobny;  
„Wiersz, do niczego przedtem niepodobny!“

Z czego korzystam ja, i dwie już dramy  
Piorunem bardzo skończyłem wygodnie;  
Dla tego w raj u mam zamknięte bramy,  
I żadnej duszy myślą nie zapłodnię —  
Cóżkolwiek ma być — wszyscy umieramy!  
A czy nad grobem gwiazdy, czy pochodnie  
Czy laur, czy chwasty, czy łza? Dobrze i to!  
Wlazłem jak w błoto w tę myśl pospolitą.



Był czas, żem lękał się pospolitości,  
 Jako święconej duch się lęka wody;  
 Lecz teraz często schodzę z wysokości.  
 Dla własnej sławy, spokoju, wygody,  
 Krytykom jak psom rzucam kilka kości —  
 Gryza, lecz przyjdzie czas, że te Herody,  
 Przez których teraz moje dzieci giną,  
 Będę gdzieś w piekle gryzł jak Ugolino.

Tymczasem wracam do powieści. Ranek  
 Błękitnie w polach podolskich zaświtał,  
 W niebiosach oczy utopił kochanek,  
 I marzeniami swoją przyszłość czytał;  
 I widział ją tak uwita, jak wianek,  
 Z dni szafirowych, złotych; już się witał  
 Ze sławą przysłą i z tysiącem głośnych  
 Awantur, pragnąc nadzwyczaj miłośnych.

Już widział dziesięć przynajmniej Andromed  
 Do skał przykutych srogimi żelazy,  
 Z warkoczem, który wisi jak u komet —  
 Miłe nadzwyczaj w młodości obrazy!  
 Młodość albowiem świeża, jak Mahomet  
 Pantheistyczną jest, i wszystkie głązy  
 Zmienia w kobiety, w ogień topi kruszce,  
 Huryski widzi zamiast ziarenek w gruszcze.

A tu odsyłam mego czytelnika  
 Do Alkoranu, gdzie stoi przypisek,  
 Że w raju każda się gruszką odmyka  
 I cztery z siebie wydaje Hurysiek.  
 Chciałbym tam na czas być za ogrodnika,  
 I z tych owoców co dnia mieć półmisek;  
 Zwłaszcza, że w każdej gruszcze, do wyboru,  
 Masz cztery panny różnego koloru

Słowem, ideał nasz kochanek białych  
 Tęczowym jest na Wschodzie dogmatycznie;  
 U nas liczonoby do rzeczy śmiałych,  
 Gdyby kto nawet, tworząc poetycznie,  
 W rymach malując jedną z tych przestałych

Owoców, starą pannę, seraficznie  
 Rozeskrzydloną w Bogu, bez rozważa  
 Rzekł: pleć zieloną miała jak szparagi

A jednak wielki poeta i prorok  
 Powiedział to w koranie, i krytyka  
 Milczy, krytyka owa, która co rok  
 Tyle wad w moich utworach wytyka,  
 Jako ostrowidz lub jako nosoróg;  
 Bo widzi ostro i rogiem przenika;  
 Szczęśliwa, gdybym dbał i był gorący!  
 I włożył imię jej w poemat drwiący.

Imię krytyki? nie, krytyków. Al bah!  
 Któż z nich ma imię? Z. K., S. K., E. K.  
 Mówią, że młodą Polskę pisze—baba!  
 Ale ja, widząc jak kasa i szczeka,  
 Sądzę, że jezuita, a ma draba,  
 Który tłumaczy na język człowieka:  
 Hymny, przestrogi, pacierze i lekcye  
 W dyabelskim napisane dyalekcie,

I stąd się mocno cieszę, jak filolog,  
 Widząc, że u nas to się da wyszczekać,  
 Do czego Cerber w piekle czyni prolog  
 Ze swego wycia. Ale nie czas zwlekać  
 Pieśni dla tego, że jakiś teolog  
 Krytyka mię chciał w kawałki posiekać!  
 Jakby, w balladach porównania szukaj,  
 On był przyjaciel wierny, a ja Tukaj.

Ale ważniejsze rzeczy radzi Muza.  
 Oto już słyszę z daleka pukanie  
 Z dziań, z dubeltówek, z flinty, z arkebuza;  
 I czuję w sercu, że nadspodziewanie  
 Prędko mój rycerz może dostać guza.  
 Niechaj się wola Pana Boga stanie!  
 Ja go prowadzę w ogień:—jeśli zginie.  
 Poemat się mój wcale nie rozwinie.

Szkoda! czterdzieści cztery pieśni całych!

Czterdzieści bowiem cztery w planie stoi;  
 Bowiem do rzeczy zawsze dążąc śmiałych,  
 Zacząłem Epos tak, jak śpiewak Troi,  
 Większą, bo naród mój nie lubi białych  
 Rymów i nagiej się poezyl boi;  
 Więc rzecz, co działa się tam gdzieś za Sasa,  
 Muszę opiewać całą wierszem Tassa.

Lecz już nareszcie zbierał się do lotu,

Gdy oto nagle, prawie bez łaskotu,  
 Jakby mu jaka Nimfa na ramiona  
 Złożyła ręce.—Wrzasnął głośno: kto tu?  
 I mocniej w nim pierś zadrżała wzburzona.  
 Spojrzał, na ramion mu siedziało brzegu  
 Dwoje gołębi jaśniejszych od śniegu.

Czy jastrząb je tu jaki, myślał, goni?  
 Czy się wydają w stepach gołębnikiem?  
 Tak myśląc, zdjął je i trzymając w dłoni,  
 Rzucił w powietrze. . . . .

Taniec w gołębia lot przemienia dziwnie;  
 Tak owe białe gołębie przeciwnie

Z lotu zrobiły taniec i nad głowa  
 Pana Zbigniewa na skrzydłach trzymane,  
 Jakby miłosne dając sobie słowo,  
 Miłośnie dzióbki złączyły różane;  
 I rozleciały się w błękit na nowo,  
 Wążąc się długo smętne, zadumane;  
 Jakby straciły i szukały siebie,  
 Podobne zmarłym душom ludzkim—w niebie.

I obaczywszy się nagle, jak strzały  
 Znów szły ku sobie lotem błyskawicy,  
 I znów złączone, jako płatek biały  
 Śniegu, gołabek przy swej gołębiczy  
 Kręcił się, skrzydłem ją trącał nieśmiały;  
 Aż zmordowani obaj tanecznicy,

Najmilsze z siebie dali malowidło:  
 Senną kochankę gołab wzięt na skrzydło.

Przyniósł na ziemię, położył na trawie,  
 I w koło chodząc, budził gardłowaniem.  
 Na szyję wyszły mu kolory pawie,  
 Miłość go takim darzy malowaniem!  
 Miłość ubrała mu piersi jaskrawie  
 W ogień tęczowy. Z takim się kochaniem  
 Zapatrzył gołab w swoją senną panią,  
 Że tęcza blasków z niego—przeszła na nią.

I obudziła się. I znów oboje  
 Leciały prosto na Zbigniewa barki.  
 On je pogłaskał i wnet wszystko dwoje,  
 Tęczowe piersi zgasiwszy i karki,  
 Z ramion mu poszły, i w kregi, i w słoje  
 Tnące powietrze. Z razu był nieszparki  
 Lot, póki rycerz nie ruszył wędzidłem,  
 Póki nie gonił, wabiły go skrzydłem.

Lecz gdy bezmowne owe dwie istoty  
 Przelały swoją myśl w serce człowieka,  
 Coraz prędzszymi udały się loty;  
 I wnet zrozumiał rycerz, że go czeka  
 Awantur nowych, dziwnych łańcuch złoty,  
 Zaczarowany zamek, albo rzeka  
 Pełna Rusałek. O! domysły trafne!  
 Może w pokrzywy przemieniona Dafne?

Może Minotaur i zakłętę skarby,  
 Z których, jak z dobrej wioski będzie przychód;  
 Tak młodość wszystko stroi w lśniące farby,  
 Nigdy się małych nie spodziewa lichot.  
 O, gdyby nie to! to nigdy lkar by  
 Nie latał, nigdy by nie żył Don-Kiszot.

Beniowski, goniąc gołębie i mary,  
 Obaczył, że na dąb samotny siadły;



Był to ów sławny dąb, gaduła stary,  
 Jak czarownica krzywy i wybladły.  
 Ogniste zeszcła kora miała szpary,  
 Z konarów liście na poły opadły.  
 Liść, co pozostał, zwiędły i zwalany  
 Szumiał po drzewie, jak krwawe łachmany.

Bez kształtu, spiekły, podarty, nieżywy,  
 Zimę i lato wisiął na konarze;  
 Kruk się go lękał, a jeleń pierzochliwy  
 Nigdy nie zasnął w tym krzemiennym jarza  
 Bo z wiatrem ów liść łopotał straszliwy  
 Jako szatańskie skrzydło, całe w żarze—  
 Nocą, z pod owych skrwawionych warkoczy  
 Próchno świeciło się w dębim—jak oczy.

Nie krokodyle, nie hipopotamy,  
 Nie muł tworzący na Nilu oftalmie,  
 Nie dżuma, nie tęsknota, nie te bramy,  
 Na które patrząc, że zamknięte, żal mię  
 Brał, że tak naszych żon nie zamykamy  
 W jednym haremie, jak w Armidy palmie...  
 Ta strofa poszła krzywo, bo ze Wschodu  
 Wygonił mię brak awantur i lodu.

Za to w ojczyźnie Danta to oboje  
 Znalazłem. Lecz to rzecz jest tajemnicza...  
 O to bynajmniej nie dbam i nie stoję,  
 Aby wiadano, czy moja dziewczica  
 Męża kochała się realnie. Roję,  
 Snię, tworzę, harfy używam lub bicia,  
 I to jest moja poetyczna droga...  
 Lecz z mego życia poemat—dla Boga.

On wie, On wiedział, nad jakimi chmury  
 Stawałem bez łez i pieśni, z myślami  
 Aniołów w przepaść leocących... to chóry .  
 On słyszał, gdyśmy byli z Bogiem sami.  
 Nie zwiódły Go te królewskie purpury,  
 W które ja się tu, jak przed sztyletami

Cezar, obwijam, gdy mię w serce raża,  
 Ażeby umrzeć z niewidzianą twarzą.

Bóg sam wie tylko, jak mi było trudno .  
 Do tego życia, co mi dał, przywyknąć;  
 Iść co dnia drogą rozpaczy odludną,  
 Co dnia uczucia rozrzucać, czuć, niknąć;  
 Co dnia krainę mar rzuciwszy cudną,  
 Powracać między gady i nie syknąć;  
 Co dnia myśl jedną rozpaczy zaczynać,  
 Tą myślą modlić się—i nie przeklinać.

On! i pustyni gwiazdy lazuruowe,  
 I zachodzące nad morzami słońce,  
 I jedno serce ludzkie... Lecz to nowe  
 Głosy dla mojej lutni—te cierpiące—  
 Milcz, serce! Albo się strzaskaj, echowe  
 Narzędzie pieśni, bólu, wiecznie drżące  
 I obłąkane, niezaspokojone...  
 Uderzam ciebie w złości... Milcz, szalone!

I patrzył... owych zaś gołębi para,  
 Która go tańcem cudownym przywiodła,  
 Skoro dąb zagask i ognista mara  
 Przed znakiem krzyża uleciała podła:  
 Owe gołębie, których ja z Antara  
 Pieśni pożyczam i biorę za godła  
 Miłości... nigdy za małżeński związek!—  
 Skoro dąb zagask, zleciały z gałązek,

I okrążywszy go potrójnym lotem,  
 Skryły się w jego wnętrze wypróchniałe.  
 Tak był szeroki, że mógł być namiotem,  
 I zmieścić... nie wiem, czy mógł... wojsko całe—  
 Lecz mógł pomieścić haftowany złotem  
 Ów sztab, co dzieli naszych wodzów chwałę,  
 I dzieli się tak cudownie i sztucznie,  
 Jak ową siedmią ryb Chrystusa ucznie.

Tak, że zostanie i zbiorą z ostatka  
 Siedem dla wojska koszów, napełnionych

Okruszykami sławy. Rzecz to rzadka  
Tak zły apetyt! w ludziach tak czerwonych!  
Ale, że to jest cudowna zagadka,  
O sławie onej i o rybach onych,  
Nie mówię więcej... Na gryzącym zębie  
Wolałbym niż tę sławę—te gołębie,

Które dąb cały okrzywszy pilnie,  
Do spróchniałego wleciały ósrodka;  
Skrzydłami siekąc powietrze tak silnie,  
Jak piskorz kraje wodę, albo płotka.  
Pomyślał wtenczas rycerz, że niemylnie  
Awantura go jakaś w dębnie spotka,  
I nie czekając, skoczywszy z rumaka,  
Szedł ku dębowi temu z czasów Kraka.

Dochodząc wejścia, nasz młokosik rzeski  
Usłyszał w drzewie szmer i pocałunki...  
Ciemny był wewnątrz dąb, ciemno-niebieski,  
Bo próchno, niby brabantkie koronki  
Rozbłękitniło chropowate deski,  
Jak dla Rusalki kościół, lub Bogunki.  
Było tam światło takie, jak w zawieci,  
Gdy księżyc świeci w mgle... światło nadziei!

Ktokolwiek deptał ziemię starożytną,  
I popiołami nakryte pokoje,  
Gdzie laury rosna, pomarańcze kwitną;  
Ktokolwiek był tam z kochanką we dwoje,  
Ktokolwiek grocie odwiedzał błękitną  
Kapei—i tam ujrzał bóstwo swoje  
Nagle błękitnem powietrzem kościoła  
Zmienione w blade widmo i anioła;

Ktokolwiek zważał te podmorskie świty  
Oblewające je od stóp do głowy,  
I widział, jak się z różanej kobiety  
Czynił duch jasny lecz bezkolorowy,  
Błyszczący, żywy posąg Amfitryty,  
W błękitnym ogniu mórz zniknąć gotowy,

Tak piękny! w skały ukryty i w morze...  
Żywy—lecz w niebios pośmiertnym kolorze;

Ktokolwiek w grocie tej, na kruchej łodzi,  
Zamknawszy oczy, znowu je otwierał,  
Myśląc, że księżyc nowy z fal wychodzi  
W kształcie kochanki; ktokolwiek nie sterał  
Imaginacyi i ta jemu płodzi  
Kształty; ktokolwiek je w księżyc ubierał,  
Niech popracuje, albo puści żagle  
Myślom... a ujrzy tu zniecka, nagle—

Ujrzy, co pan Kazimierz. W owém drzewie  
Od lat szesnastu zaledwie dziewczątko,  
W błękitne próchien rzucone zarzewie  
W grocie z promieni... Nazwałbym ją prządką  
Arachną... Muza moja sama nie wie,  
Jaką od innych odznaczyć pieczętką  
Ów utwór nowy... W błyskotnej sukience  
Stała, na piersiach swych trzymając ręce.

Na skrzyżowanych rękach białe ptaszki.  
Siegały jej ust dzióbki różanymi;  
W oczach błękitnych przestrach wzięt na ważyk  
I dwie perłowych łez zrobił równymi —  
Spadały obie. Szkła czeskie i blaszki  
Wydawały się gwiazdami złotymi,  
I z włosów dziwne rzucały promienie—  
Bielutką miała twarz—z tęczy odzienie.

Gdy wszedł do dębu rycerz, cała trwożna  
Spłonęła, twarz jej splonęła i szyja;  
Wstyd pokazała w sobie nieostrożna,  
I ten rumieniec, co w skażonych mija...  
Widzę, że dalej już pisać nie można,  
Bo opisowość poetę zabija;  
I Pegaz się mój homeryczny zdębi,  
Stwórzcie więc myślą panią dwóch gołębi.

I niechaj się wam roją rzeczy cudne  
O czarodziejskim Rusalek kościele;



Gdy w koło jary dzikie i odludne,  
I ogryzione przez wilków piszczele,  
I trupy czarną krwią zastygłą brudne,  
I innych czarnych okropności wiele...  
A w głębi dębu gwar innego świata,  
Szum liści, próchno się w gwiazdy rozlata.

Beniowski z ładną panienką... Dziewico!  
Która te wiersze czytasz, czytaj dalej...  
Miłości moje, jako próchna świeca  
Lecz nigdy się krew w marach nie zapali;  
Ledwo ustami płomienia zachwyca,  
Wnet je strach księdza, albo los oddali,  
Rozerwie ręce, strwoży niewymownie,  
I dalszą miłość prowadzą — listownie.

W listach dopiero... a wszystkie umieszczę  
W przypiskach... mój bohater będzie czyły:  
Już to nie będą moje rytmy wieszczę,  
Ale esencja serc, prosto z szkatuły  
Wyjęta: serca nią wszystkie rozpieszczę.  
A może nawet młodość będą psuły...  
Nie emigracją, bo tej dyabeł nie chce,  
I żadną serca żądzą już nie łechce.

Ambicya serce z pod żeber wykradła,  
Sejm się nie kocha już, ani też gminy;  
Zbiorowa ta osoba będzie jadła,  
Piła, wydawać dziennik, biuletyny,  
Gwiazdy się każdej spyta, co upadła:  
Jakie pryncypia ma?... A księżyc za miny  
Arystokratą nazwie i dla tego,  
Ze w smutnej twarzy swej ma coś—srebrnego.

Pryncypia... O pryncypia! jakbym chętnie  
Powiedział prosto dziś, co o was myślę!  
Gdyby mi teraz w serca mego tętnie  
Nie brzmiała inna struna... Więc przekreślę  
Te strofy... Dusza mi zagrała smętnie,  
Śmiechu na ustach nie mam, ni w umyśle.

Wszystko prowadzi dziwnie boża ręka,  
Tak dziwnie!... że mi serce wre i pęka.

Więc polityczne moje Falanstery,  
Bądźcie mi zdrowe!... I wy, co bez głowy  
Upadli z pańskiej jak z niebieskiej sfery,  
W arystokratów gracie: smętne sowy!  
Co w grze myślicie bić jako kozery  
Asa, choć będzie z sercem i laurowy:  
Was także żegnam, bez miecza rycerze,  
A choć mi serce pęka—śmiej mię bierze.

Żeby też jedna pierś była zrobiona  
Nie podług miary krawca—lecz Fidyasza!  
Żeby też jedna pierś, jak pierś Memnona!  
Żeby też jedna!—Ha—to mię przestrasza—  
Kościuszkę przeczuł was, krzyząc: skończona!  
Z krzyża swojego krzyknął tak—a wasza  
Pierś to pojęła, z tą myślą umiera.  
Chociaż mi serce pęka... śmiej mię zbiera.

Co będzie z wami, prosto wam nie powiem,  
Nie jestem jako wieszcz wszystkowiedzący.  
Krwia do was piłem, moim duchem, zdrowiem;  
A teraz ciskam serce, puhar kłaniący...  
Słyszycie? Pękło. Teraz mi węzłowiem  
Jedno kobiece serce—jestem śpiący;  
Omdlały jestem, ogniem owionięty,  
Piekielne rzeczy rzucający, święty.

Niech się komedia gra. Może mi przyjdzie  
Grać inną, wtenczas was wszystkich przerażę.  
Ległem jak czarny Sfinx przy piramidzie.  
Z grobów ojczystych patrzą blade twarze;  
Może wieszcz—zechcę jeszcze w jasnowidzie  
Rzec co ciemnego? Może wam pokażę  
Pełną piorunów usta, piersi, trzewa,  
Może zamilknę jak lew, co poziewa,

Patrząc na małość zielonego węża,  
 I zasną, zasną—ha! lecz przebudzenie?  
 Niech los i serca szaleństwo zwycięża!  
 Z mózgu mojego mieliście jedzenie,  
 Lecz serce moje się jak łuk wypręży,  
 Zrzuca was głodne sępów pokolenie.  
 Ugolin odbił piekło.—Ognia fale!  
 Wyrwicie resztę sępom. Precz, szakale!

Kto inny teraz jest nademną, nie wy  
 Na których patrzył ja, Akteon błady.  
 Między ciemnymi położył się drzewy,  
 Słowiki będą moimi sąsiady,  
 Księżyc, jako mój srebrny anioł lewy,  
 Ona, jak złoty mój duch dobrej rady,  
 Odgoni czarne Cherubinów stada,  
 Mówiąc do nieszczęść tak, jak anioł gada.

Przez litość tylko nademną siostrzaną,  
 Przez błękit tylko swojej własnej duszy,  
 Przez gwiazdę swego losu obłąkaną,  
 Przez moc, co serca wskrzesza albo kruszy.  
 Przez to, że hymny we mnie zmartwychwstana,  
 Jeżeli ona mnie jak harfę ruszy,  
 Będę zbawiony, dumny, bezpokutny.  
 Ale to wszystko sen—i może smutny!

Na Boga! Muzo! Trochę śmiechu! Tyle,  
 Ile potrzeba dla zabawy gminu.  
 Gdy serce moje z pod zasłon odchyłę,  
 Widzę, że nie jest jak serce z bursztynu;  
 A jednak miało kiedyś światła chwile,  
 Dawnej miłości winne, temu winu,  
 Które upaja na śmierć, potem wskrzesza.  
 O! chcę miłości uczyć! Gdzie jest rzesza?

Odbiegła.—Skarży się na moją ciemność.  
 Poeto, „fiat lux“ zacięcie krzyczą.  
 I we mnie dziwną znaleźli wzajemność:  
 Życze, aby to było, czego życza!  
 Tygodnik jakąś wynalazł odjemność

We mnie; lecz niech się dobrze wtajemniczą,  
 A ujrzą, żem jest coś, jak grecki antyk,  
 Lecz panteista trochę i romantyk.

A teraz prosto i bez epizodów  
 Śpiewam, jak prawy wieszcz, nie jak amator,  
 Co mój bohater ma jechać do lodów  
 Sybirskich i do Chin i pod Equator;  
 Do innych nagich i dzikich narodów,  
 Aż mu na grobie wyróżną: *sta viator*.  
 Wtenczas ratunku już ze śmiercią nie ma,  
 Zatrzyma się czytelnik i poema.

Lecz nim nastąpi to, cudne mam rzeczy  
 W tece! cudowna awantur girlanda!  
 Rycerz mój rąbie, zabija, kaleczy  
 Nakształt Hektora, Ajaxa, Orlanda;  
 Przybywa zamkom w porę do odsieczy,  
 Pisze kronikę wierszem, jak Wiganda,  
 O awanturach własnych geografia,  
 Po której ludzie na kraj świata trafią.

Na starość także napisał: *Pomysły*  
*Do dziejów*, które się dziać kiedyś mogą,  
 Z czego korzystał dzisiaj jeden ścisły  
 Krakowczyk, książkę wydawszy niedroga.  
 Książka ma polską duszę, a na zmysły  
 Działa jak Niemiec; mnie zaś szarpie srogo,  
 Bije po rękę jak rektorska linia;  
 Jeśliś ciekawy, patrz Rozdział: *Opinia*.

O autorowie z nudy! O, Fenixy!  
 Powstali z trupów, z prochów własnych, z łózek.  
 O polityczne moje nowe Ixy!  
 Upadam wszystkim pokornie do nóżek,  
 Lecz życzę, aby nas dzieliły Styxy.  
 A teraz z waszych korzystam przestrózek,  
 I już nie Ody piszę, ani Hymny,  
 Ale poemat ten — nadzwyczaj zimny.

Bohater w dębnie zamknięty z młodzieńką



Panna, a jednak stoi o pięć kroków;  
 Jeśli coś mówi, mówi bardzo krótko.  
 Nie spuszcza żadnych na scenę obłoków,  
 Bo ani z wód kobietką, z niezabudką,  
 Rozmawia czyściej lilja, pani stoków,  
 Gdy je wiatr zdrajca ku sobie pokłoni,  
 Jako tych dwoje, których ja mam w dłoni.

I mógłbym... mógłbym, — lecz nie chcę... a może  
 Nie mogę, nie mam dosyć serca, żaru.  
 Próchno świecające księżycowo w korze  
 Zda mi się pełne widm, pokus i gwaru  
 Pełne... Zatrzymaj mię, potężny Boże!  
 Bo gotów jestem dla lepszego czaru  
 Rzucić na serce mego czytelnika  
 Trochę awantur własnych z pod równika.

Lecz nie. — Sybirski będę, lodowaty;  
 Dla tego wchodzę w styl nowych poetów.  
 Słyszycie, jak się krzą odłudne kwiaty?  
 Słyszycie głuchy łomot oczeretów?  
 Ktoś jedzie, spieszenie mu pewno za katy!  
 Odtętnia głucho echo jarych grzbietów.  
 Wiele być musi jadających rycerzy,  
 Kiedy przed nimi takie echo bieży!

Na pozłoconym kurzawy tumanie,  
 Która do dębu że słońcem się wkradła,  
 Naprzód ksiądz jakiś wleciał niespodzianie,  
 Za księdzem jakaś złota mara wpadła.  
 Ksiądz był w habicie, a mara w żupanie,  
 W szerokich bardzo szarawarach z radła,  
 Na których złota leżała kurzawa,  
 Słowem, Ksiądz Marek to był i pan Sawa.

Ku nim więc moja Nimfa srebrnej cery  
 Pobiegła skocznie i, całując w ręce,  
 Oddała księdzu Markowi papiery  
 Schowane bardzo tajemnie w sukience;  
 Potem zaczęła śpiew o sobie szczery;  
 Słów jej nie kładnę wszystkich, bo przekrecę,

Albo bym musiał kłaść po kropkach kropki,  
 Bowiem ta Nimfa mówiła jak chłopki.

Mówiła, jak dwa gołębie siostrzane  
 — Przeprowadziły ze stepów obronę...  
 Mówiąc płakała — na usta różane  
 Kapiąc, padało kropelkami słońce.  
 Pan Zbigniew patrzył zaś w stronę, na ścianę,  
 Ksiądz w ziemię, Sawa łamał ostróg końce.  
 Widząc, że sędzić są gotowi *krzywo*,  
 Rycerz do księdza rzekł dumnie i żywo:

„Z Węgier albowiem moje rodowody  
 Prowadzę i mam hrabiowskie tytuły,  
 Ale że jestem bez grosza i młody,  
 Nie wiele sobie ważę te bibuły  
 I pergaminy; lecz chcę iść w zawody  
 Z przodkami, jako człek na sławę czuły  
 I mocno hańbę ojczyzny czujący;  
 Niedoswiadczony jeszcze, lecz gorący.

Gdy tak przemówił, ksiądz Marek otworzył  
 Ramiona i jął ścisnąć postać gietką:  
 „Ja znalazłem twego ojca! gdyby dożył,  
 „Pewnieby twoją chęć pochwalił przedką.  
 „Bogdajbyś późno się w grobie płożył  
 „Jasnym, jak człowiek wielki — ani wędka  
 „Sprośnych rozkoszy tu był ułowany.  
 „Zlituj się, Matko niebieskiej korony!

„Oto dziecko to oddaję w opiekę  
 „Tobie, Dziewico czysta, Matko Boża!  
 „Broni rzuconego w tę nieszczęścia rzekę,  
 „Która z nas płynie do wieczności morza.  
 „Pozwól, że z niego tę cielesność zwlekę,  
 „Która tu krwawi ducha jak obroza,  
 „A zaś mu w duszę ognistą przeleje  
 „Rozpacz, co wszystko łamie — i nadzieję.

Pieśń IV.

.....  
I w ciemnym dębie było tylko dwoje:  
Książd z piórem w ręku, ze świeczką dziewczyna;  
I tylko świerszcze między drzewne słoje  
Wrzały piosenką. Była to godzina,  
W której tak miło pójść nad jasne zdroje,  
Gdzie słońcu broni przystępu leszczyna;  
I na murawie legnąć aksamitnej,  
W brzęku motyli, przy wodzie błękitnej.

Lecz w owe czasy któż jedną godzinę  
Marzył, spokojnie przedumał nad wodą.  
Któż miał czas marzyć, że tak wszystko minie,  
Jak kwiat będący motylom gospodą?  
Jak niezabudka drżąca przy leszczynie?  
Jak iza? — jak wszystko, co się zowie modą?

A więc niech wszystko mija! Wstańcie, burze!  
I zwieście mój ślad z tej smętnej pustyni!  
I moje myśli, jak łez pełne kruże,  
Przechylcie, niech je próżnymi uczyni  
Czas. Wszak stawałem na niejednej górze  
Blżej piorunów, niż gadu, co ślini  
Pocałunkami nawet twarz człowieka!  
Blżej chmur, co grzmia, niż ludu, co szczeka!

I dziś od ogni boskich w dół zepchnięty  
Z piramid czoła, z wulkanicznych szczytów,  
Cierpię, lecz jeszcze gardzę. I ten ścięty  
Rym nieraz kąsa was aż do jelitów  
I płynie jako szalone okręty,  
Z fal odrzucany do niebios błękitów,  
Gdzie mu początek był i koniec będzie,  
Gdy śmierć na żaglach okrętu usiędzie.

Tymczasem z szumów żaglowych i waru  
Myśli zhlukanych jest harmonia dzika,

Która ja lubię, że tak pełna gwaru,  
Ze czasem jak wąż pośród ruin sykał  
Czasem podobna do Aniołów swaru,  
Gdy błyskawicą letnią się odmyka  
Niebo, i znów się zasuną płomienie  
Na dziwny duchów świat, skąd szło westchnienie.

A jednak, gdyby twoja, o! młodości!  
Żelazna niegdyś wola, dumna, twarda;  
Gdybym nad sobą miał więcej litości,  
Gdyby mi nawet w krew nie przeszła wzgarda  
Tego, co teraz jest i co w przyszłości  
Być może, lutnię szalonego Barda  
Skruszyłbym, wzięwszy pod zgięte kolano,  
I nową harfę wziął niepokalaną.

Lecz późno, późno już! Gdzie są słuchacze?  
Czy w grobach klaszczą w ręce zadziwione?  
Czy urągają? nie wiem i nie raczę  
Gonić myślami te smętne, stracone,  
Mary. Lecz nieraz, kiedy mi zakracze  
Orzeł, lecący na słońce czerwone,  
Zda mi się, że to jakaś dusza bratnia  
Znów odlatuje odemnie — ostatnia!

Lubiłem takie dusze, dzikie, smętne,  
Rozokolone na niebie szeroko,  
Błyskawicowe trochę, trochę mętne,  
Nawet, gdy w ciało się straszne obloką,  
I w pioruny się rzucają namiętne,  
Lub nad Safony chwieją się opoką.  
Lubiłem takie dusze — nie bezkarny!  
Wybrednie marząc w różach — kolor czarny.

Dziś uleczony napół, lubię różę  
Takie, jakimi je Bóg stworzył, ładne  
I wiotkie. Teraz wam powieścią służe  
I w żadne więcej ustępy nie wpadnę;  
Żadną gawędą pieśni nie przedłużę,  
Ale też z faktów wam nic nie ukradnę.



Bo wszystko godne jest pamięci wiecznej,  
I wszystko może ujść w kompanii grzecznej.

Stoi więc w dębie moja młodyca  
Ze świecą, jasne dwa gołębie burczą;  
Ksiądz pieczętuje sygnetem szlacheica  
Listy. Posłuszne się papiery kurczą  
W kopertę; z lakiem ożeniona świeca,  
Mówiąc Delilla stylem — styl tak sturczą  
Poeci, że dziś gwałtem trzeba z Francyi  
Rozumu — jeszcze więcej elegancyi.

Już więc Ksiądz Marek, tu mnie nie dościgną  
Ixy warszawskie, kochanków zaślubił,  
I nim oboje w małżeństwie ostygną,  
Przypieczętować chciał, już tak naczubił,  
Już, już... wtem szable mu po oczach mignął  
Ksiądz wstał, szcęk wielki był, pieczętkę zgubił,  
Ujrzał na ścianach boju stereotyp,  
Bowień dąb w środku był jak dagerotyp.

Co się więc działo zewnątrz, to się w łonie  
Suchego dębu odbiło tęczowic.  
Był bój: naprzeciw siebie szły dwa konie,  
A na koniach szli dwaj bohaterowie,  
Nad głową niosąc podniesione bronie,  
Szablice, każda jako sierp na głowie!  
Teraz ksiądz poznał, że ci wojownicy  
Byli to z Panem Sawą Pan Maurycy.

Poznawszy, w duchu rzekł: nie pójdę godzić!  
Niechajże sobie trochę krwi utoczą,  
To może nadto gorących ochłodzić,  
Potem z rozważą większą w ogień skoczą.  
Tak mówiąc patrzył, jak chcąc sobie szkodzić,  
Na ścianach tęczę tworzyli urocza.  
Światłość ich obu owionęła krwawa,  
W ogniu na białym koniu migał Sawa.

Spotkali się raz, złożyli nad głową,  
I znów ich konie rozniosły szalone!

Za drugim razem, tnąc sztuką krzyżowa,  
Beniowski, zgrabnie skoczywszy na stronę,  
Dał szacht tak płytki koniowi nad głową,  
Ze mu z przyciętych uszu, dwie czerwone  
Trysły fontanny—jak rubin się żarzą,  
W biegu nadjechał na nie Sawa twarzą.

Więc się na białym wydawał rumaku,  
Mając zalane oczy krwi wytryskiem,  
Jakby Delfina miał w złotym czapraku  
Pod siodłem, który krew wyrzucał pyskiem.  
Nie dając jednak najmniejszego znaku,  
Ze był zmieszany tym ostrym dogryzkiem,  
Obróciwszy się koniowi do grzbietu,  
Strząsł krew i z olster dobył pistoletu.

Straszny był wtenczas! We krwi, co go broczy,  
Spokojną miał twarz i spokojnie mierzył  
Do bohatera pieśni — między oczy;  
I gdyby krzemień był spadł i uderzył  
W dekę, co skrami pryskając odskoczy,  
Pewnieby więcej moj bohater nie żył.  
Bo sam wyznawał, że w szturmaku onym  
Widział przybitą kulę czemś czerwonym.

Więc pewnie by ją był duszy oczyma,  
Jak mówi Hamlet, w czasie swej zobaczył,  
Gdyby nie dziwne, a dla piso-ryma  
Miłe zdarzenie. Bóg zachować raczył  
Człowieka, a ja zeń zrobię olbrzymą;  
Było mi tylko czytelnik przebaczył,  
Ze empirycznie, minawszy przyczynę,  
Wdałem się w skutek rzeczy, w rąbaninę.

Lecz wpadłszy, muszę kończyć. Więc Pan Sawa  
Lewo przymrużył oko i wycelił,  
A zaś powszechnie o nim niosta sława,  
Ze nawet pannom, gdy sobie podchmielił,  
Wystrzelał korki. Była to zabawa,  
Którejbym wcale z innymi nie dzielił,  
Gdybym był panną gdzieś w szlacheckich dworkach,  
Pod owe czasy, i chodził na korkach.

Wycelił więc już prosto, w samo czoło,  
I palec już giął, gdy nagle, o dziwy!  
Jakoby Irys, co rzuciwszy koło,  
Z tęczy zlatuje na zamglone niwy,  
Lekko jak anioł, jak ptaszek wesoło,  
Dzieweczka z dębu dała skok straszliwy,  
Skok na dwa łokcie od ziemi wysoki,  
W poezyi mówiąc, skok aż pod obłoki.

Z obłoków spadła na konia ze śniegu,  
Na którym siedział Pan Sawa złowrogi.  
Nim się obejrzał, już na siodła brzegu  
Stojąca za nim, jak Olimpu bogi,  
Prosta i naprzód podana do biegu,  
Chwycała za lejc, i na tylne nogi  
Podniósłszy konia z rycerzem do góry,  
Tak pomięszala go, że strzelił w chmury.

I nie czekając, aż poprawi strzału,  
Lejcem i głosem zagrzawszy rumaka,  
Rzuciła w galop taki pełny szalu,  
Ze galop konia był jako lot ptaka.  
A ta dziewczeczka, by duch ideału,  
Stojąc nóżkami na końcu czapraka,  
Resztą się ciała, strach przechodzi mrowił  
Oddała całkiem unieść błękitowi.

I błękit ją wziął tak zrównoważoną,  
Z rozciągniętymi jako ptak rączęty.  
Z włosów, co były na głowie korona,  
Naprzód się złoty zrobił wąż zwinieły  
W kłęby, i leciał wraz za tą szaloną,  
W połyskujące ją chcąc winąć skręty.  
I różne kwiaty wyrzucał ze skrętów,  
Które goniły ją mgłą dyamentów.

Za włosem, i za kwiatami, i za nią  
Pędziły równym dwa gołębie lotem.  
Nie widzę więcej, jary się tumania,  
Dymnej kurzawy przesłonięte złotem;  
W kurzawie rycerz znika z moją panią;

Jeszcze raz galop konia runął grzmotem,  
Jeszcze raz jeździec na wierzchołku góry,  
Jak z ametystu, z płomienia i z chmury

Błysnął i zniknął. Teraz, kto wypowie  
Uczucia wewnętrzne w moim bohaterze?  
Zamiast kul srogich pana Sawy w głowie,  
Ujrzał... a tu mu wcale nie ubliżę,  
Bo wiem, że wiedział, co są Centaurowie,  
Przypomnieć musiał więc o Dejanirze;  
I miał na twarzy taki wyraz boski,  
Jak ten, co wiersze pisząc, liczy zgłoski!

Oczy utopił w kurzu obłok złoty,  
Gdzie zniknął rycerz, koń, panna, jej włosy,  
I za włosami, jak dwa papiloty,  
Białe gołąbki na dwóch końcach kosy.  
I stał i patrzył, gdy z dębowej groty  
Wyszedł ku niemu Karmelita bosy,  
I przeżegnawszy się Chrystusa znakiem,  
Spytał: „Dla czego Waś się bił z Kozakiem?”

„Skądże wam przyszło, żeście tu z jaszczura  
„Dobyli szabel i na konie wsiedli?”  
Na to Pan Zbigniew: „Oto jest rzecz, która  
„Zwaśniła obu, gdyśmy tutaj jedli  
„I pili; oto złota miniatura,  
„O którą srogi bój obaśmy wiedli.  
„O taką się rzecz bijemy nie pierwsi;  
„Ja mu ją, księżo, sam zerwałem z piersi.

„A zerwawszy ją, chciałem serca dostać  
„Z pod żeber jego tą szablą turecką.”  
Tak mówiąc, strasznie miał marsową postać.  
A ksiądz: „O taką rzecz chodziło świecką?  
„Wartoby obu dyscypliną chłostać!  
„Wstyż się, Wielmożny Hrabio! jesteś dziecko:  
„Tę miniaturę mi dała dla ciebie  
„Córka Starosty dziś, jak Bóg na niebie!  
„Ja zaś, nie mając kieszeni w habicie,



„I nie chcąc wieszać tej rzeczy na sobie,  
„Dałem ją Sawie, by ją schował skrycie,  
„Aż mi ją przyjdzie na myśl, oddać tobie.  
„A przytem i list skropiony obficie  
„Łzami, a w takim pisany sposobie,  
„Że choć ksiądz jestem, w miłostkach nie służę,  
„Podjąłem się ten list schować w kapturze.

„Oto jest pismo dziś pisane w nocy,  
„Czytaj Waś! ja tymczasem na koń siędę;

Beniowski błady jak duch o północy  
Już nie uważał na księdza gawędę;  
Ale otworzył list, czytał i wzdychał,  
Bo ten list w niebo rwał i w piekło spychał.

A naprzód w liście było opisanie  
Tego, co w drugiej mojej pieśni stoi,  
To jest: jak zamek wzięto niespodzianie,  
Jak go dostano prędzej niżli Troi;  
Jak na śmiertelnym już był karawanie  
Pan Dziędużycki, jak w piwnicach broi  
Szlachta, będąca w zamku na załodze;  
Jak Ładawiecki pan zdał rządu wodze,

A sam zamyślał jechać do Warszawy  
I córkę z walki uprowadzić pola.  
„O! mój Zbigniewie! nie miej ty obawy,  
Pisała Panna, nigdy ojca wola,  
„Nigdy ponęta, nigdy przestrasz krwawy,  
„Nigdy szalone szczęście lub niedola  
„Nie skłonią mego serca do odmiany!  
„Bądź sławny! jesteś mój, jesteś kochany!

„Odjeżdżam teraz, ale się otoczę  
„Myślami, kwiatów poleskich zapachem,  
„Woniami, które były tak urocze,  
„Gdy w Anielinkach, pod słomianym dachem  
„Ty mię porzucił, a ja ci warkocze  
„Dałam całować, przeniknioną strachem,

„Abyś mi u nóg nie padł konający,  
„Tak byłeś błady przy gwiazdach i drżący.

„Powiem ci teraz, żem się była zlekła,  
„Abyś ty we mnie nie usłyszał głosów,  
„Z którymi w sercu jakaś struna pękła,  
„Gdy się dotknąłeś usty moich włosów.  
„Pomnisz, żem wtenczas tak jak dziecko jękla,  
„Chwytałam się szat twoich, drzew i kłosów,  
„Myślałam, że już ginę z światłem, z echem,  
„I że westchnienie śmierci—jest uśmiechem.

„Kiedy to piszę, słońce wschodzi z wieńcem  
„Chmur i tak wstydzi mię, że nie wiem czemu,  
„Cała się zlałam łzami i rumieńcem;  
„Ty wiesz, ja zawsze kwiatowi białemu  
„Podobna, póki mi był oblubieńcem  
„Chrystus. Uśmiechnij się słońcu złotemu,  
„Bo mi się przed nim łza gorąca toczy  
„I tak rumieni mnie, jak twoje oczy.

„Niespokojności pełne serce moje!  
„Smutno mi rzucać te miejsca, te stawy!  
„Jeżeli kiedy przywiodą cię boje  
„Aż do mojego zamku, do Ładawy,  
„Każ sobie Panny otworzyć pokoje;  
„Na stole stoi filiżanka z lawy,  
„Rzucam dla ciebie w nią maleńki kwiatek,  
„Nosłam go dziś całą noc—bławatek.

„Nie trać nadziei nigdy, nigdy! Kto ma  
„Wolę, ten wszystko pokona.—*Addio!*  
„Z wyciągniętymi za tobą rękoma  
„Jeszcze raz wołam tobie—*caro mio!*  
„Przy tobie zawsze będę, niewidoma,  
„I wprzód mi serce, niż ciebie zabijał  
„Niel ty nie możesz zginąć tak jak oni,  
„Których nie kocha nikt — i nikt nie broni.

„Pytałam dzisiaj starej wróżki Diwy  
„Ozy mi Bóg ciebie zachowa i wróci!

„Odpowiedziała: że będziesz szczęśliwy,  
 „Że się o ciebie wiele duchów kłóci  
 „Czarnych i złotych z tęczowymi grzywy;  
 „A czyny twoje ktoś na harfie nuci;  
 „Że zawrzesz z królem indyjskim przymierze;  
 „Nie będziesz temu wierzył, lecz ja wierzę.

„Przepowiadając, mówiła mi stara,  
 „Ze widzi ciebie w sankach z wieloryba,  
 „A zaś przy tobie stoi jakaś mara  
 „Ubrana w szaty dziewicze; to chyba  
 „Ja—czy nie prawda? O! gdyby ta szpara.  
 „Gdyby ta jasna z dyamentu szyba,  
 „Przez którą Diwa widzi przyszłe rzeczy,  
 „Mogła zastąpić we mnie wzrok człowieczy!

„Zgodziłabym się nie widzieć na niebie  
 „Gwiazd ani słońca, nie widzieć błękitu;  
 „Lecz tylko w każdej chwili widzieć ciebie,  
 „Na ciebie patrzeć od zmroku do świtu  
 „Zda mi się nawet, że w jakiej potrzebie  
 „Pomagałabym ci okiem—do szczytu  
 „Szczęścia i sławy—choćby...“ Tu przerwany  
 Był list i dwoma plamkami zwalany.

Te plamki były do ust podniesione,  
 Lecz ksiądz podstawił pod usta szkaplerza  
 „Te całuj! krzyknął, te rany czerwone,  
 „Któro miał Chrystus, godne ust rycerza!  
 „Nie te kropelki łez gorzkie i słone,  
 „Z których rdza pada na kryształ puklerza.  
 „Rzuć ten list—daj go, jak mówią, szatanul  
 „A słuchaj! ważną misją dam Waćpanu.

. . . . .

Młodości! każ się tej łabędziej marze  
 Z ognia i złota unosić po świecie.  
 Niech szumi wino w twej platońskiej czarze,  
 Na głowie niechaj będzie wonne kwiecie;  
 A blisko ślubów wysokich ołtarze,  
 Gdzie Saturnowy wąż się z ogni plecie:

Tam ślubuj przyszłość. Muza mdleć zaczynał  
 Dajcie mi bursztyn, i różę, i wina!

Kłębami dymu niechaj się otoczę,  
 Niech o młodości pomarzę pół-senny.  
 Czuję, jak pachną kochanki warkoczę,  
 Widzę, jaki ma w oczach blask promienny;  
 Czuję znów smutki tęskne i prorocze,  
 Wtóruję mi znów szumiąc liść jesienny.  
 Napróżno serce truciznami poim!  
 Kochanko pierwszych dni! znów jestem twoim.

Patrzaj, powracam bez serca i sławy,  
 Jak obłąkany ptak — i u nóg leżę.  
 O! nie lękaj się ty, że łabędź krwawy,  
 I ma na piersiach rubinowe pierze.  
 Jam czystyl głos mój wśród wichru i wrzawy  
 Słyszałaś w równej zawsze strojny mierze;  
 U ciebie jednej on się łez spodziewał,  
 Ty wiesz, jak muszę cierpieć, abym śpiewał.

Idź nad strumienie, gdzie wianki koralów  
 Na twoje włosy kładła jarzębina;  
 Tam siądź i słuchaj tego wichru żalów,  
 Które daleka odnosi kraina,  
 I w pieśń się patrzaj tę, co jest z opalów,  
 A więcej kocha ludzi, niż przeklina.  
 I pomyśl, czy ja duszę mam powszedną?  
 Ja, co przebiegłszy świat, kochałem jedną!

Twój czar nademną trwa. O! ileż razy  
 Na skałach i nad morzami, bez końca,  
 W oczach twój obraz, w uszach twe wyrazy,  
 A miłość twoją miałem nakształt słońca  
 W pamięci mojej. Anioł twój bez skazy  
 Na moich piersiach spał—a iza gorąca  
 Nigdy mu jasnych skrzydeł nie splamiła:  
 Twa dusza znała to—i przychodziła.

W gajach, gdzie księżyc przez drzewa oliwne  
 Przegląda blade, jak słońce sużnienia,



Chodziłem z tobą, jak dwie mary dziwne:  
 Jedna z marmuru, a druga z promienia.  
 Skrzydła nam wiatru nie były przeciwnie,  
 I nie ruszały włosów i odzienia.  
 Między kolumny na niebie się kręśląc,  
 Staliśmy jak dwa sny, oboje myśląc.

Z taką więc ciszą i z taką powagą  
 Wejdziemy kiedyś w Elizejskie bory,  
 My, cośmy ziemię tę widzieli naga,  
 Przez piękne niegdyś widzianą kolory.  
 Cośmy poznali, że nie jest odwagą  
 Rozpącznym czynem skończyć żywot chory;  
 Lecz uleczeni przez trucizn użycie,  
 Sercu zadawszy śmierć, znaleźli życie

Pierwszy to i raz ostatni, o miła!  
 Mówię do ciebie. Jest to błyskawica,  
 Która ci chmurę posępną odkryła,  
 I boleść wyszła z niej, jak nawałnica.  
 W twoim ogrodzie pustym będzie wyła,  
 Gdy księżyc pełny, jak srebrna różycą  
 Gmachów gotyckich, biały blask rozleje  
 W te, gdzieśmy niegdyś chodzili, aleje.

Bądź zdrował odejść nie mogę, choć słyszę  
 Wołające mię duchy w inną stronę;  
 Wiatr mną jak ciemnym cyprysem kołysze  
 I z czoła mego podnosi zasłonę,  
 Z czoła, gdzie anioł jakiś skrami pisze  
 Wyrok łamiący mnie między stracone;  
 Ja czekam, krusząc wyroki okrutne—  
 Twe oczy patrzą na mnie—takie smutne!

Bądź zdrował drugi raz cud się powtórzy:  
 Martwy, odemknę ci w grobie ramiona,  
 Kiedy ty przyjdiesz, do zbielącej róży  
 Podobna, zasnąć.—Dosyć!.. Pieśń skończona!  
 Oko się moje senne łzami mruży,  
 Róże uwiedły, czara wychylona,

I pieśń gdzieś leci odemnie echowa —  
 Już pożegnałem cię — jeszcze bądź zdrował

## Pieśń V.

Przez ciemne, smutne gościńce kurhanów  
 Niesie go czarny koń dniami i nocą.  
 Pod ziemią tępna zakopanych dzbanów  
 Z prochem rycerzy, na niebie łopocą  
 Kruki, jak stada posępne szatanów.  
 W czaharach zbroje rycerzy migocą  
 I dzidy błyszczą krwawymi płomyki.  
 Tam, na kurhanach, posępne lirniki

śiedzą i grają dumy dawnych czasów.  
 Dumy wychodzą na rozległe pola,  
 Wpadają smutne w szum dębowych lasów;  
 I stamtąd znowu, jak harfy Eola,  
 Zmieszane z szumem liścianych hałasów,  
 Wychodzą na step: a ludzka niedola  
 Leci, wichrami płaczącymi wiana,  
 Jakby nie ludzi ustami śpiewana,

Tu siedzą wianki, na polu, czumaków,  
 I ogień palą wielki, jasny, chmurny;  
 Tam dalej wieńce podróżników ptaków,  
 A drop na straży, albo sęp bezpieczny,  
 Podobni zdala do rzymskich orszaków  
 Koło chorągwi, albo koło urny,  
 Gdzie smętne wodza popioły złożone,  
 Odprawujące straż i zamysłone.

Beniowski przebył Dniepr, gdy raz wieczorem,  
 Kiedy już księżyc powstawał zamglony,  
 Obaczył ogień pod dębowym borem  
 W ziemi palący się, wielki, czerwony.  
 Przy ogniu siedział człek okryty worem,  
 Dzikiej i strasznej twarzy jak Hurony;

Gotował strawę i pazury czarne  
Krwawiąc, odzierał ze skór całą sarnę.

Ta wywrócona, oczyma szklanymi  
Zdała się zebrać u ognia litości.  
Dalej siedziało dwóch panów na ziemi:  
Na jednym żupan był, skóra i kości.  
Drugi otyły i z rubinowymi  
Policzki, pełen w sobie wielmożności,  
Przepijał głośno do drugiego zdrowiem  
Z butla, co miał brzuch obszyty sitowiem.

Ow pan wspaniałej tuszy, trochę baba  
Na twarzy, dziwnej miał zbroję struktury.  
Od kołnierza mu szła żelazna sztaba  
Malowanymi natykana pióry.  
Rzekłbyś, że rodzi go królowa Saba,  
Ze z dawnych czasów spadł jak żaba z chmury.  
Chociaż się zbroja nam wydaje dzika —  
Beniowski poznał zaraz pancernika. !

Gdzieniegdzie jeszcze snuli się po kraju  
Starzy minionych czasów kochankowie,  
Którzy nie pili kawy, ani czaju,  
Żelaza kawał nosili na głowie,  
Jak starej kawał arki na Synaju;  
A Bóg im dawał rumianość i zdrowie,  
Zwłaszcza, że słomę wkładali do butów.  
Litwin-pancernik, jeden z tych mamutów

Siedział, jak mówię — i z oplecionego  
Butla pił. Litwin to był starej daty,  
Z chudym się na czas połączył kolega.  
A jego sługa, czerwono-kudłaty  
Perkunas, który pana znał małego,  
I z miłości mu, a nie dla zapłaty  
Służył, choć nosił imię dawnych bogów:  
Kucharzem teraz był... i u trójnogów

Wieszkał — ach! nie już dla Znicza kadzidło,  
Lecz kawał sarny... już nie dawne runy

Śpiewał, lecz dyabła żmudzkiego straszycło  
Krzyżem odpędzał, gdy były pioruny.  
Wybornie umiał wędzić gęsi skrzydło  
I po tatarsku zawiązać kołduny.  
Król perski, który płacił złota minę  
Za każdą nową rzecz... to za boćwinę

Dałby dwie. O boćwino! Hipokreno  
Litewska! Ty, co utworzyłaś szkołę!  
Waza twa zawsze wytryska Kamena,  
Która ma oczki gazeli wesołe,  
A w rękę białym swym — ni piu ni meno,  
W rączkach, które są zakasane, gołe,  
Wieniec z barszczowych uszów! O nagrodzi!  
Ze mi go kiedyś dasz... marzyłem młodo —

Lecz teraz tracę nadzieję. — Niestety!  
Nie lża, jak mówi Kochanowski, próżno!  
Próżno deptałem Parnasowe grzbiety,  
I miałem nieraz Dyane usługą —  
Kiedym chciał zamknąć Sybir w tryolety,  
Muza została mi rymami dłużną:  
Z tego więc poszło, że pisałem prozą,  
Odjemną — mówi Tygodnik — o zgrozo!

Odjemną!... czy od Tygodnika? Boże!  
Kto tam odejmie co, ten będzie mądry.  
Tybys nie odjął sam nic, Pitagorze!  
Z twoją tabliczką w rękę — —

. . . . .  
. . . . .  
. . . . .  
. . . . .

Po kropkach piszę dalej. Wiatr był chłodny  
I ogień palił się wesoło z trzaskiem;  
Beniowski — nie był to charakter modny,  
Co się księżycu tylko karmi blaskiem —  
Przypomniał sobie właśnie, że był głodny...  
Więc jak astronom gwiazdy wynalazkiem.



Albo poeta ucieszony nowym  
Rymem, nieznanym i błyskawicowym,

Albo dewotka, gdy grzech jaki stary  
Przypomni sobie przed samą spowiedzią,  
Albo jak trafne litewskie ogary,  
Gdy wpadną razem na łapę niedźwiedzią;  
Albo... lecz sposób ten porównań stary  
Krasickim trąci i złoconą miedzią.  
Więc prosto bez gawędy i odwleczeń,  
Beniowski ludzi ujrzawszy i pieczeń,

Zsiadł z konia... Teraz, kiedy go prowadzą  
Tak materyalne gusta, moja Muza  
Opuszcza, z całą swą harfiarki władzą.  
Chociaż tam złota leży kukuruza,  
Choć kapuściane tam kociołki kadzą,  
Choć nerka, nakształt czerwiennego tuza  
Leży i w maśle na patelni warczy,  
Jak serce wroga na Odyna tarczy —

Choć piękny ten las, gdzie o piersi dębów  
Ogień czerwony swoje skrzydła łamie,  
Chociaż Perkunas ma nakształt trójzębów  
Widelec w rękę i Neptuna ramie,  
Które do czarnych dymu wchodzi kłębów,  
Jak ów waż, co chce Danta chwycić w bramie  
Dytejskiej i w żar łeb żelazny kładzie...  
Choć uczyt prostszej nie było w Helladzie,

Wolę porzucić dym, płomień, pieczywo,  
Rycerza, moją szlachtę — a sam w stępy  
Jako ognisty koń z rozwianą grzywą,  
Jak Ariost, nie jak Homer idę ślepy.  
Ta rozmaitość może być pokrzywą  
I pieśń na różne podzieliwszy szczepy,  
Może do końca nie trafić i ładu;  
Lecz rozmaitym będę—dla przykładu.

Chodzi mi o to, aby język giętki  
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa:

A czasem był jak piorun jasny, prędki.  
A czasem smutny jako pieśń stepowa,  
A czasem jako skarga Nimfy miętki,  
A czasem piękny jak aniołów mowa,  
Aby przeleciał wszystko ducha skrzydłem.  
Strofa być winna taktem, nie wędzidłem.

Z niej wszystko dobyć, zamglić ją tęsknota;  
Potem z niej łyskać błyskawicą cicha,  
Potem w promieniach ją pokazać złota;  
Potem nadętą dawnych przodków pycha,  
Potem ją utkać Arachny robota,  
Potem ulepić z błota, jak pod strycha  
Gniazdo jaskółcze przybite do drzewa,  
Co w sobie słońcu wschodzącemu śpiewa.

I gdyby stary ów Jan Czarnoleski  
Z mogiły powstał: on to by zrozumiał,  
Myśląc, że jakiś poemat niebieski,  
Który mu w grobie nad lipami szumiał,  
Słyszcy, ubrany w dawny rym królewski,  
Mową, którą sam przed wiekami umiał.  
Potemby, cicho mżąc, rozważał w sobie,  
Ze nie zapomniał mowy polskiej — w grobie.

Więc nie mięszajcie mi się tu, harfiarze,  
Którym dziś klaska tłum! precz! mowo smętna,  
Co myślom własne odejmujesz twarze,  
Dając im ciągłą łzę, lub ciągle tętą;  
Wolałbym słuchać morza na wiszarze  
Jakiej opoki, co wieków pamiętna,  
W szumie, jakoby nie w skończonym rymie,  
Odrzuca falom jedno — wielkie imię,

Niż — moja Muzo, stój! Od imion własnych  
Wara! z tej strony zrobiłabyś cmentarz.  
Coś nakształt Danta tercetów niejasnych,  
Do których trzeba dodawać komentarz.  
Krytykę Dońców i Sławian prekrasnych  
Zostawmy drugim. Lepiej ją spamiętasz,

Gdy ich, jak złota strzała Meleagra,  
Przeszyje pióro pana Michała Gra...

Ej ty na szybkim koniu!... Dalej wiecie,  
Wieszsz wielki sobie zapytanie czyni;  
A drugi mu wieszsz w przyległym powiecie  
Odpark: Skąd, powiedz, wracają Litwini?  
*That is the question!* Tu pytanie trzecie:  
Komu ty jedziesz? jak mówią Zmudzini,  
Które ja czynię, naśladowując metra  
Galop w połowie pierwszej heksametra.

Komu ty jedziesz? Jadę księżycowi,  
Aby się w konia przeglądał kopytach,  
Wonnemu jadę na stepach kwiatowi,  
Dziewannom, które w złotych stoją kitach;  
Anioł mi srebrny, jasny w skrzydła łowi,  
I leci za mną, jak sen po błękitach,  
Na koniu stojąc rycerskim jak sława,  
I goni mię w kurhany — mówi Sawa..

Tak mówiąc, leciał. A zaś Nimfa ładna  
Złożyła złote skrzydełka powoli,  
Potem usiadła, ale taka zdradna,  
Jak wrona, kiedy z wieśniakiem po roli  
Chodzi, szykowna i do lotu składna:  
Widać, że z chłopa drwi, a z psem swawoli.  
Usiadłszy, włosy zrzuciwszy na łono,  
Dwie nówek w jedno włożyła strzemiono.

Kozak ustąpił i nie mówiąc słowa,  
Pędził do swego stepowego domu:  
Była to grota podziemna, stepowa,  
Mało widziana i wiadoma komu.  
Koń się w niej mieści i trzoda się chowa,  
Kiedy po niebie leją węże gromu.  
Tam młody Sawa żył pośród burzanów,  
Z nim koń, pies wiorny i kilka baranów.

Pies pod niebytność Pana był pastuchem,  
Wspaniał trzode i wilki zagryzał,

Straszny pies czarny z obszarpanem uchem,  
Gdzie krew zawrzała, jakby kto ponizał  
Korale — szyja obtarta łańcuchem;  
Bo pies swojego pana tylko lizał,  
Gości zaś zębem przerażał i białkiem,  
Sądząc się w pana pałacu marszałkiem.

Sawa, wracając raz z nad Styru dolin,  
Jeździł albowiem nieraz w ziemię Łucką  
Z atentacyami do jednej z podstolin,  
Wracając... patrzy, pies z mordą kałmucką  
Siedzi przed samą grota, jak Ugolin  
Smutny, nad czaszką ogryzioną ludzką,  
I oblizuje się po krwawych chrapach,  
Jako egipski bóg — na tylnych łapach.

Lecz czy ta czaszka zjedzonego trupa  
Chodziła kiedy nogami szlachećca?  
Czy była czaszką Rugieri biskupa?  
Nie mogąc się od psa, ni od martwica  
Dowiedzieć, przykuł brytana do słupa.  
A pies zapatrzył się w oczy księżyca,  
Nie jęczał, nie gryzł żelaza, nie skakał;  
Ale zapatrzył się w księżyc — i płakał.

Kto widział w Rzymie posag niewolnika  
Germana, który w smutku cicho stoi,  
Wie, co twarz, choćby zwierzęca i dzika,  
Zawiera bolu, gdy się uspokoi,  
I kraj przeszłości myślami odmyka,  
I o wolności kiedyś dawnej roi...  
Wie, co czuł Sawa, gdy na łańcuch schwytan,  
Nie wyrzucał mu nic — mileżący brytan.

Więc go pottrzymał tak, potem zmięczony  
Na wolność puścić znów antropofaga.  
Lecz odtąd pies był dziwnie zamysłony,  
I smutku wielka w nim była powaga.  
Czy to dla tego, że był nakarmiony  
Amerykańskim zwyczajem Osaga?



I czuł dziwną czczość, zajadłszy w parowie  
Poetę może — z poematem w głowie?

Nie wiem i wolę nie dochodzić wcale.  
Więc do powieści. Sawa wszedł do jamy.  
Słońce wschodzące przez burzanów fale  
Lało się w grootę ognistymi błamy,  
Barany białe leżały na skale,  
Nad grota.—Obraz ten oprawić w ramy! —  
Za Sawą wszedł koń w jamę wyłaczaną  
Słońcem i poszedł do żłobu, po siano.

Za Sawą weszło dziewczę z gołębiami,  
Pies łasił, koń rżał, gołębie gruchały,  
Brylantowymi jedno źródło skrami  
Padało z tętmem, lejąc się ze skały.  
Idylę moją pies cokolwiek plami  
Przeszłością; ale któż jest doskonały?  
Pies więc i grota, koń, gołębie, trzoda,  
Spokojnie słońce wschodzi, mruczy woda.

Sawa na siodle oparł się; dziewczyna  
Siadła przy źródle i czesała włosy.  
A do niej Sawa: „Oj moja Swentyna!  
Latasz po stepie, jak cygańczuk bosy,  
A czerwieniejesz teraz, jak kalina.  
Oj będzie łycho! Toż to moje losy!  
Chciał ja się mieczem wyrąbać na panka,  
A siostra wyjdzie na łycho — Cyganka!“

„Na łycho wyjdę, czy na spokojnicę,  
„A tobie to co? ty wyjdź na hetmana!  
„Znajdź sobie jaką piękną krasawicę,  
„Córkę starosty, albo kasztelana,  
„Taj siężeń. Ja ci ubiorę w brusznicę  
„Korowaj, sama pójde w step Bojana,  
„Gdzie mi śpiewają kwiaty i źórawie:  
„A spać nie będę na wproszonej ławie.

„Mnie świat szeroki! Jak złotego gila  
„Przedała kiedyś Włochom Guślarycna,

„Ty na kurhanie dumał Czaromyła,  
„Gdzie tobie dumy piała Janczarycha.  
„A mnie Włoch bił! bił! Oj! łyza mi rozchyła  
„Palce, gdy myślę, jak ja była licha!  
„Jaka ja biedna była niewolnica!  
„A dziś co ze mnie? wiatr! i gołębica!

„Nie łąj mnie, ale na stepy wyprowadź,  
„Pocałuj, zapłacz, świniuj, taj polecę!  
„Gołębie moje umieją tańcować,  
„Na chleb zarobią, na cerkiewne świecco.  
„Będzie mnie za co ubrać i pochować.  
„Albo ja martwa pójde wpływ po rzecce,  
„A gdzieś Rusalki srebrne wezmą sobie  
„I pochowają w śpiewającym grobie.

„Taj będzie koniec z żalną Swentyną!  
„Oj! nalatała się ja po kurhanach!  
„Oj! nakarmiła się gorzką kaliną!  
„Jak jemieluszka! Była ja przy panach!  
„I była między chłopami Caryną!  
„A wszystko smutno! Chodzę jak w kajdanach,  
„Ni ojca, ani matki na tym świecie!  
„Groszów zebrała co? taj wiatr rozmiecie!“

Sawa jak szatan zmarszczył się: „Poganko!  
„A co! straciłaś już twój srebrny wianek?  
„Przydybał ciebie ja, moja kraszanko!  
„Przy tobie jakiś złoty marcypanek,  
„Szlachcic. Co robisz ty z nim? mów, cyganko!  
„Co ty robiła z nim przez cały ranek?  
„Cóż? oszukana, ha? kwiatku kaliny,  
„A kiedyż prosisz na ślub i na chrzciny?“

Nie rzekła na to nic; lecz zamysłona  
Wstała, cmuknęła i ptaki srebrnymi  
Ubrawszy swoje wysmukłe ramiona,  
Pokłoniła się bratu aż do ziemi;  
I chwilę stojąc przed nim pokłoniona,  
Jak brzoza listki wiejąca złotymi,

Wstała i nogą jakiś zygzak chiński  
Kreśląc na piasku, rzekła: „Słysz, Caliński!

„Pomiędzy nami stoją te hramoty!  
„Aż przyjdzie rzeka i ten piasek zmyje,  
„Aż przyjdzie zjesz ten piasek piorun złoty,  
„Aż przyjdzie wąż skrzydlaty i wypije,  
„Ani mnie ujrzysz! Ani ja wiem, kto ty?  
„Ani ty wiedzieć będziesz, gdzie ja żyję?  
„Łzami kupiła ja ten świat podniebny,  
„I komu zechcę, dam pierścionek srebrny.“

Tu Sawa wściekły wrzasnął: „Ty wyrodna!  
„Z pierwszym szlachcicem cyganisz na jarze!“  
Na to, jak róża, która nie jest do dna  
Białą, lecz w liści kryształowej czarze  
Kryje rnmieniec, a kiedy swobodna,  
Słońcu odemknie łono i pokaże  
Swoją rubinowy wstyd i tę konieczną  
Białego kwiatu rumianość serdeczną,

Podobnie wtenczas się zarumieniła,  
I ręką bijąc powietrze przed sobą:  
„Niel, niel ja nigdy!“ Białą twarz zakryła,  
„Pierwszy raz jestem sploniona przed tobą;  
„Teraz się będę zawsze czerwieniła  
„Przed każdym okiem, przed każdą osobą.  
„Bogdajbyś ty tak, gdy się będziesz żenił,  
„Pierwszy raz twoją miłą zaczerwienił!

„Gdy dawniej, w rękach i na linie Włocha  
„Giełam się jak wąż, cóż robiły pany,  
„Aby mnie słowem zczerwienić choć trochę!  
„A byłam jako kwiatek ołowiany.  
„Nie czerwieni się serce, aż zakocha;  
„Nie zawsze blady jest, kto nie kochany.  
„Bądź zdrów, nie będę nadaremnie szlochać,  
„Jeśli, jak mówisz, kocham? — lecz kochać!

„A gdy się dowiesz, że w kurhanie leże,  
„O! przyjdź na kurhan mój z psem i sokołem!

„Połóż się chwilę na darniny świeże;  
„Niech sokół czarnem krzyż obleci kołem.  
„Ja także jestem jak polscy rycerze,  
„A ksiądz mię postem nazywa, aniołem;  
„Ja listy noszę, ja zapalam słupy,  
„Ja zbieram, grzebię i obmywam trupy.

„A któż przypomni o mnie, kiedy zginę?  
„Jeśli ty mówisz, że miłość tak trudno  
„Zyskać, kto w grobie położy Swentynę?  
„Kto różę na nim posadzi odludną?  
„Kto złoży na krzyż moje ręce sine?  
„O! jak tam w grobie niekochanym nudno  
„Spać na kamieniu!“ — Tak mówiła śpiewna  
Ta czarodziejska, stepowa królowna.

Sawie zabrakło na odpowiedź czasu...  
Wybiegł na stepy, nad swój dom gliniany;  
A za nim Ninfa mojego Parnasu,  
Jako duch ze mgły na słońcu różany.  
Stanęli. Burzan podobny do lasu  
Purpurowymi podpływał bałwany,  
By morze blaskiem piorunów rozbite.  
W burzanie wojska brzęczały ukryte.

Czasem chorągiew wybiegła nad morze,  
Jak maszt łaciński u rybackiej łodzi;  
Czasem ujrzałeś, że koń piersią porze  
Trawy i z trawy jak Delfin wychodzi.  
Lecz cały na wiatr wyskoczyć nie może,  
Jak posąg, co się u snycerza rodzi,  
I cały w gładzie osadzony zadem,  
Po piersi koniem jest, a po pas gadem.

I tak się wojsko przez burzany pruć,  
Jak prąd ogromny sumów lub łososi;  
I tak się jako wąż żelazny snuć,  
Co czasem ogon, czasem łeb podnosi.  
Ale się pieśni narzędzie popsuło!  
O wypoczynek moja Muza prosi;



Ambrozyi słodkiej już zabrakło w kрузu.  
A więc żegnajcie! na stepowem wzgórzu

Moje posągi dwa od słońca złote!

Me szyki w trawach tonące i ziołach!  
Tu Malczewskiego trzeba mieć tęsknotę,  
Tęsknotę, co jest w ludziach pół aniołach;  
Tu trzeba śpiewać, a ja baśni plotę,

Bo kiedy grzebię w ojczyzny popiołach,  
A potem ręce znów na harfie kładnę:  
Wstają mi z grobu mary — takie ładne!

Takie przejrzyste! świeże! żywe! młode!

Ze po nich płakać nie umiałbym szczerze;  
Lecz z nimi taniec po dolinach wiodę,

A każda, co chce, z mego serca bierze:  
Sonet, tragedya, legendę lub ode,

To wszystko, co mam, co kocham, w co wierze.  
W co wierzę... Tu mię spytasz, czytelniku:  
W co?... Jeśli powiem... będzie wiele krzyku.

Boże! kto Ciebie nie czuł w Ukrainy

Błękitnych polach, gdzie tak smutno duszy,  
Kiedy przeleci przez wszystkie równiny  
Z hymnem wiatrzanym, gdy skrzydłami ruszy  
Proch zakrwawionej przez Tatarów gliny!

W popiołach złote słońce zawieruszy,  
Zamgli, zczerwieni i w niebie zatrzyma,  
Jak czarną tarczę z krwawymi oczyma!

Kto Cię nie widział nigdy, Wielki Boże!

Na wielkim stepie, przy słońcu nieżywym,  
Gdy wszystkich krzyżów mogilne podnoże  
Wydaje się krwią i płomieniem krzywym..  
A gdzieś daleko grzmi burzanów morze:

Mogily głosem wołają straszliwym;  
Szarańcza tęcze kirowe rozwinie,  
Girlanda mogił gdzieś idzie, i ginie.

Kto Ciobie nie czuł w natury przestrachu .

Na wielkim stepie albo na Gulgocie;

Ani wśród kolumn, które zamiast dachu

Mają nad sobą miesiąc i gwiazd krocie,  
Ani też w uczuć młodości zapachu

Uczuł, że jesteś — ani rwąc stokrocie,  
Znalazł w stokrociach i niezapominkach:  
A szuka w modłach i w dobrych uczynkach

Znajdzie... ja sędzę, że znajdzie... i życzę

Ludziom małego serca: kornej wiary,  
Spokojnej śmierci... Jehowy oblicze  
Błyskawicowe jest ogromnej miary!  
Gdy warstwy ziemi otwartej przeliczę  
I widzę kości, co jako sztandary  
Wojsk zatraconych, pod górnymi grzbiety  
Leżą... i świadczą o Bogu... szkielety;

Widzę, że nie jest On tylko robaków

Bogiem, i tego stworzenia, co pełza.  
On lubi huczny lot olbrzymich ptaków,  
A rozhukanych koni On nie kieża...  
On piórem z ognia jest dumnych szyszaków...

Wielki czyn często Go ubłaga, nie iza  
Próżno stracona przed kościoła progiem,  
Przed Nim upada na twarz — On jest Bogiem!

Gdzież więc ten człowiek, który jest zwiastunem

Pokory? co się Bogiem ze mną mierzył?  
Ja go chcę jeszcze — w głowę tę piorunem,  
Tak, jakim wczoraj go w piersi uderzył.  
Czy widzieliście? i on ma piorunem  
Zaprawne usta... Lud, co w niego wierzył,  
Radość udaje, ale głowy zwiesił,  
Bo wie, że skinał Ja — i wieszczą wskrzesił.

Jam zwolna serca mego rwał kawały,

Zamieniał w piorun i w twarz jemu ciskał;  
A wszystkie tak grzmią jeszcze jako skały,  
Jakbym ja w niebie na sztuki rozpryskał!  
Boga, a teraz kawałki spadały —  
Jam zbił, lecz cóżem dziś u ludzi zyskał?

Za błękitami był bój i zwycięstwo —  
Ludzie nie widzą we mnie... tylko męstwo.

Zaprawde!.. Gdybyś mię widział, narodzie,  
Jak ja samotny byłem i ponury,  
Wiedząc, że jeśli mój grom nie przebodzie,  
Litwin z Litwinem mię chwycą w pazury.  
Już przypomniawszy gniazdo me na wschodzie,  
Wolałem ręką krzemienieckiej góry,  
Ażebym weszła rozpędzić tę ciemną  
Zgraję... i stanąć za mną... lub podemną.

Bo się kruszyło we mnie serce smętne,  
Ze ja nikogo nie mam ze szlachetnych;  
I próżno słowa wyrzucam namiętne,  
Pełne łez i krwi i błyskawic świetnych,  
Na serca, które zawsze dla mnie wstrętne —  
Ja, co mam także kraj, łąk pełen kwietnych:

.....

Jeśli wy bez serc! Wy! — To moje serce  
Za was czuć będzie, przebaczać bez miary.  
Ikwo! Płyn przez łąk zielonych kobierce!  
Ty także sławna, że fał twoich gwary  
Jakoby z Niemnem w olbrzymiej rozterce  
Gadają. — Tyś zmusiła Niemen stary  
Wyznać, że wielki, że w sławę płyniemy —  
Lecz rzekł: „Niech idzie tam, gdzie my idziemy.“

Ha! ha! Mój wieszczu! Gdzież to wy idziecie?  
Jaka wam świeci, gdzie, portowa wieża?  
Lub w Stawiańszczyźnie bez echa toniecie,  
Lub na koronę potrójną Papieża  
Piorunem myśli podniesione ślecie...  
Gnacie?... Znam wasze myśli i wybrzeża!  
Nie pójdę z wami waszą drogą kłamną —  
Pójdę gdzieindziej!... i lud pójdzie za mną!

Gdy zechce kochać, ja mu dam łabędzie  
Głosy, ażeby miłość swoją śpiewał;

Kiedy kłać zechce... przeczennie kłać będzie;  
Gdy zechce płonać... ja będę rozgrzewał,  
Ja go powiodę gdzie Bóg... w bezmiar... wszędzie.  
W me imię będzie krew i łzy wylewał.  
Moja chorągiew go nigdy nie zdradzi,  
W dzień jako słońce, w noc jak żar prowadzi

Ha! ha! odkryłeś mi się, mój rycerzu?  
Więc teraz z mieczem pod ciebie przypadam!  
Napród ci słońce pokażę w puklerzu,  
Przed słońcem ciebie z trwogi wypowiadam,  
Fałsz ci pokażę w ostatnim pacierzu,  
I pokazanym fałszem śmierć ci zadam!  
Patrząc na twoją twarz zieloną w nocy,  
Jak księżyc — słońca wyrzekłeś się mocy?

Jam ci powiedział, że jak bóg litewski  
Z ciemnego sosen wstałeś uroczyska;  
A w rękę twem krzyż, jak miesiąc niebieski,  
A w ustach słowo, co jak piorun błyska.  
Tak mówiąc... ja syn pieśnił syn królewski!  
Padłem. — A tyś już następował zbliska!  
I nogą twoją jak na trupie stawiał?  
Wstałem... jam tylko strach i śmierć udawał!

Znajdziesz mię zawsze przed twojem obliczem,  
Nie powalonym, hardym i straszliwym...  
Nie jestem tobą... ty nie jesteś zniczem.  
Lecz choćbyś bogiem był... ja jestem żywym!  
Gotów wężowym bałwan smagać biczem,  
Dopóki świat ten pędzisz biegiem krzywym.  
Kocham lud więcej niż umarłych kości...  
Kocham... lecz jestem bez łez, bez litości

Dla zwyciężonych... Taka moja zbroja,  
I takie moich myśli czarnoksiężstwo;  
Choć mi się oprzesz dzisiaj—? przyszłość moja!  
I moje będzie za grobem zwycięstwo...  
Legnie przedemną twych poetów Troja,  
Twe Hektorowe jej nie zbawi męstwo.



Bóg mi obronę przyszłości poruczył: —  
Zabiję — trupa twego będę włóczył!

A sąd zostawię wiekom... Bądź zdrow, wieszczu!  
Tobą się kończy ta pieśń, dawny boże.  
Obmyłem twój laur w słów ognistych deszczu,  
I pokazałem, że na twojej korze  
Pęknięcie serca znać... a w liści dreszczu  
Widać, że ci coś próchno duszy porze...  
Bądź zdrow! — A tak się żegnają — nie wrogie,  
Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych - bogi

1841.

4/1841 103

Koniec tomu pierwszego.



Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu  
nr inw.: K - 25896



BGZs 25896

271 -

138161

8.12.73





